

Anna Głuszczyk-Turska

ŚWIETLNA UKŁADANKA



NOVAE RES

Anna Głuszczyk-Turska

ŚWIETLNA UKŁADANKA



NOVAE RES

Spis treści

[Świetlna układanka](#)



„Zdarza ci się czasami, że czujesz się nie na miejscu? Wydaje ci się, że jesteś inny od wszystkich, zawsze wyobcowany, bo nie wiesz czemu, ludzie uwielbiają się z ciebie śmiać? Gdyby mogli, wykreśliliby cię ze swojego życia jednym niewzruszonym gestem? Nie przejmuj się, najprawdopodobniej zagubiłeś się w alternatywnym świecie. Nasi szukający pomogą ci trafić do swoich!”.

Takie informacje można znaleźć na stronie internetowej www.swietlnaukladanka.pl. Oprócz tego znajduje się tam wiele praktycznych porad, na przykład to, jak rozpoznać objawy zagubienia (wyobcowanie, lęk, przesadna nieśmiałość, piękne sny, apatia, senność), czy to, jakie są doraźne środki pomocy (dobry film, najlepiej komedia, ciekawa książka, spotkanie z przyjacielem, joga, aromatyczna kąpiel itp.).

Na samym starcie wita cię grupa młodych ludzi. Patrzą prosto na ciebie z krzepiącym uśmiechem, jakby mówili: „Nie martw się, jesteś w dobrych rękach”. I po prostu przestajesz

się martwić.

W jednym z tych światów, w kraju zwanym Polską, w miasteczku Irys, mieszkały dwie siostry: pierwsza podobna do drugiej (albo odwrotnie, jak kto woli). Obie miały takie same włosy - sprężynki w kolorze miedziano-brązowym. Dziewczynki zawsze dbały o to, żeby mieć inne fryzury - jeśli jedna zapuszczała włosy, druga je obcinała. Bliźniaczki różniły się również kształtem oczu i twarzy. Dla wytrawnego widza te różnice były widoczne na pierwszy rzut oka, przeciętny obserwator musiał się jednak bardzo długo przypatrywać i - jeśli nawet zauważył różnicę - nie potrafił twarzy przypasować do imienia.

Kiedy dziewczynki zamykały oczy, widziały twarze smutnych ludzi. Oczy tych osób patrzyły błagalnie, jakby prosiły o pomoc. Dziewczynki jednak widziały, że nie mogą nic zrobić. Coś ich dzieliło, jakby kraty, szklana ściana lub inny świat. Coś nieuchwytnego, przynajmniej nie dla nich, nie teraz.

Dziewczynki mieszkały w ogromnym domu z mamą i młodszą siostrą Pyzą. Tatuś któregoś dnia wyszedł z domu i dotąd nie wrócił. Nie wiadomo, co się stało, kroniki policyjne milczą na ten temat. Telefon też.

Dom był zdecydowanie za duży na ich czwórkę. Choć dziewczynki dzielnie pomagały mamie w codziennych obowiązkach i cotygodniowym wielkim sprzątanu, mama pewnego dnia postanowiła zamknąć całe piętro. Wszystkie

meble przykryły białymi prześcieradłami, rzeczy użytkowe zniosły na dół, a drzwi zamknęły na klucz.

Następnego dnia dzieci cichcem wywiesiły na drzwiach kartkę z napisem: „Zamknięte do momentu powrotu tatusia”. Ani na chwilę nie zwątpiły, że pewnego dnia tata wróci.

Miaściczko Irys tak naprawdę niczym się nie różni od innych polskich miasteczek. Zimą jest szare i nijakie, jesienią całe w błocie i bylejakości, tylko miejscami błyska złotem, sytą czerwienią i pomarańczą. Dopiero wiosną zakwita wszystkimi możliwymi kolorami, jakby nagle odkryło, że nie warto się martwić, że trzeba żyć chwilą, cieszyć się życiem, kwitnąć. Latem natomiast całe miasto cieszy wzrok dojrzałym pięknem. Jak to bywa w małych miasteczkach chyba w każdym świecie, w Irysie wszyscy wiedzą więcej o twoim życiu niż ty sam. Kiedy zaginął tata dziewczynek, cała szkoła wrzała od plotek.

- Na pewno poszedł do innej - szeptały koleżanki.

- Mówię wam, widziałam, jak wsiadał do tego samochodu. Schował się tak, że prawie go nie było widać, ale ja jestem pewna, że to był on! Nikt inny przecież nie musiałby się ukrywać!

Ania na początku strasznie się przejmowała wszystkimi uwagami. Cały czas chodziła z zapuchniętymi od płaczu oczami. W szkole nie znalazł się prawie nikt, kto by ją pocieszył. *No cóż - myślała - to chyba prawda, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ale to by*

znaczyło, że ja nie mam żadnej przyjaciółki.

Ania miała jednak to szczęście, że od urodzenia знаła swoją bratnią duszę.

Bratnia dusza to osoba, którą każdy z nas musi odnaleźć. Inaczej będzie się czuł niepełny. Bratnia dusza to duchowy bliźniak. Musisz go zacząć szukać jak najwcześniej i nigdy nie możesz zwątpić w to, że go znajdziesz. A poszukiwania wcale nie są łatwe. Taka osoba zwykle czeka na ciebie w świecie tobie przeznaczonym. A jeśli nie trafiłeś do swojego świata? Jeśli jesteś puzzlem, który się zagubił i nie potrafi się odnaleźć? Albo jeśli twój bliźniak trafił nie tam, gdzie trzeba? Nie, to nie jest łatwa gra, ale jest warta świeczki.

Najgorsze jest to, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z obowiązku szukania. Czeka, aż poczucie braku przejdzie samo. Myśli, że wystarczy znaleźć męża lub żonę, urodzić i wychować dzieci, albo że będzie imprezować przez całe życie – wtedy nie ma czasu na myślenie. Uczucie braku nie przechodzi, wręcz przeciwnie – z biegiem lat się nasila. Z tego powodu tyle osób wpada w alkoholizm, choroby, popełnia samobójstwa.

Wy, którzy wiecie, mówcie o tym innym. Nie ustawajcie w wysiłku. Wszyscy muszą się dowiedzieć. Wtedy świat będzie szczęśliwszy.

Ania wiedziała. Wydawało jej się, że wie o tym od urodzenia. Ale to nieprawda. Babka dziewczynek należała do szukających. Wiedziała wszystko. Stąd jej ogromna radość, gdy się dowiedziała, że urodzą się dwie, dwie prawie naraz.

- Jesteście najszczęśliwszymi dziećmi na świecie! - śmiała się babcia. - Nie musicie się szukać. Bóg obdarzył was łaską.

Ania na początku nie wiedziała, o co babci chodzi... Jaka łaska? Co ona mówi? Przecież jej siostra jest wredna, złośliwa i wkurza ją chyba najbardziej ze wszystkich istot na tym świecie. Ale od zniknięcia taty wszystko się zmieniło. Już wie.

Gosia miała podobnie. Kiedyś w trakcie podróży samochodem stwierdziła jakby od niechcienia:

- Chciałabym mieć starszego brata. Nie siostrę, brata.

Babcia rzuciła jej wtedy piorunujące spojrzenie, po czym uśmiechnęła się pogodnie i stwierdziła:

- Pogadamy, kochana, za parę latek.

Dziewczynki bardzo lubiły, jak tata opowiadał o dniu ich narodzin. Robił przy tym takie zabawne miny, że nie mogły przestać się śmiać. Tata musiał to opowiadać obowiązkowo w każdą rocznicę ich urodzin.

- Zamknijcie oczy. Już? Na pewno nie podglądacie? (Dziewczynki kręcą głowami). Wyobraźcie sobie teraz, że dzwonię do szpitala i dowiaduję się właśnie, że moja żona urodziła. Uwaga, dzwonię. (Udaje, że wykręca numer).

„Panie doktorze, czy moja żona już urodziła? Tak? (Śmieje się). Dziewczynka czy chłopiec? (Tu robi wielkie oczy i otwiera szeroko usta). Co? Panie doktorze, to wreszcie ile? Dwoje czy jedno – to jest zasadnicza różnica! Panie doktorze, czy umie pan liczyć? Bo mam pewne podejrzenia... To proszę mi teraz policzyć do dziesięciu. Nie, nie żartuję. W takim razie niech się pan skonsultuje. Albo przekona naocznie. Bo mam pewne podejrzenia, że jest pan bardzo chory. Skąd wiem? Stąd, skąd pan nie wie. Z książek, proszę pana! Był taki pacjent, który widział wszystko podwójnie. I co? I nic! Zmarło mu się niestety! Panie doktorze! Panie doktorze! (Udaje dźwięk rozłączonego połączenia: pip, pip, pip). Co to, do cholery, ma znaczyć?” (Tu robi wściekłą minę i rzuca niewidzialną słuchawką).

Dziewczynki śmieją się głośno. W pewnym momencie tata krzyczy:

- Cicho! - Znów udaje sygnał telefonu. Podnosi niby-słuchawkę. „Halo? - krzyczy i szybko zasłania sobie ręką usta. - Nie, mam, jeszcze nic nie wiadomo. Raz mówią o dwojgu, innym razem o jednym. Boję się dzwonić, bo jeszcze wypatrzą trzecie. A czemuż nie miałbym żartować? Przecież nikt nie umiera! Dobra, mam, zaraz tam pojadę. Tak, wiem, zadzwonić jak najszybciej, bo będzie się mama denerwowała. No, pa”. - Odkłada niby-słuchawkę. - Po tym telefonie - opowiada tata - przez chwilę stałem w bezruchu, o tak (staje na baczność i się nie rusza).

Dziewczynki wtedy zwykle wdrapywały mu się na ramiona i próbowały go łaskotać. Chichotały jak szalone,

kiedy udało im się sprawić, że tata się poruszył.

- No, dość już tego. - Tata zdejmował je z ramion bez wysiłku, jakby były kruszynkami chleba. - Jak chcecie słuchać dalej, to musicie usiąść grzecznie na miejscu. Gotowe?

- Taaakkkk!!! - krzyczały dziewczynki.

- A więc potem złapałem szybko pierwszą lepszą kurtkę i wybiegłem z domu. Musiałem się przekonać na własne oczy, o co tu chodzi. No i okazało się, że jesteście dwie. Ale narobiłyście zamieszania! Wszystkie kobiety w naszej rodzinie zamartwiały się, w co też was ubiorą. Wasza ciotka już obmyślała strategię szycia: jak najwięcej ubranek w jak najkrótszym czasie. A dziadek długo nie mógł wstać z fotela, na którym usiadł pod wpływem zasłyszanej informacji. Ale była draka!

- Tatusiu, a opowiedz teraz o twoich narodzinach - szepnęła mu Gosia do uszka.

- Nie, skarbie, nie teraz. Nie czujesz tych rozkosznych zapachów? Chyba mama pichci dla nas obiadek...

Nigdy nie chciał rozmawiać o swoich urodzinach, jakby specjalnie unikał tematu. Po jego zaginięciu, dokładnie rok temu, Ania zaczęła się poważnie zastanawiać, czy przez te wszystkie lata tatuś nie skrywał jakiejś STRASZNEJ TAJEMNICY.

Właśnie minęły dwa miesiące od ich urodzin, dwa całe miesiące od zniknięcia taty. Dwunastego kwietnia rodzice

przyszli do pokoju dziewczynek. Chóralnie odśpiewali im *Sto lat* (tata strasznie fałszował, ale przynajmniej było zabawnie). A potem wręczyli prezenty, jak zwykle pięknie zapakowane. Nigdy nie dostawały tego samego. Tata zwykle mawiał, że wystarczy, że wyglądają tak samo. Reszta powinna być inna.

Ania dostała swoje pierwsze wieczne pióro. Było w kolorze hebanu, w kolorze jeszcze niezapisanych tajemnic. Ania czuła, że nie może się doczekać, by nakreślić pierwszą literę na kartce, zapisać niezapisany dotąd świat. Chciała, żeby to całe zamieszanie związane z przyjęciem urodzinowym już się skończyło, żeby mogła zostać tylko z piórem i kartką, ze światem, który chciałyby zapisać, stworzyć.

Gosia dostała zestaw ołówków do szkicowania. Na opakowaniu biegły konie, niby tylko zarysowane, niewyraźne, a jednak wyglądały jak żywe, zatrzymane w biegu. Gosia chciała zatrzymać świat, chwile, które coś znaczą. Zapisać, ale w zupełnie inny sposób, świat już istniejący.

- Tatusiu, czy mogę cię narysować? - spytała od razu po rozpakowaniu prezentu.

Tata się roześmiał.

- Tak od razu? Może wpierw potrenujesz trochę? Nie wiem, zaczniesz od prostszych rzeczy? Ludzie są trudni do rysowania. Chyba nie chcesz, żebym wyszedł z koślawym nosem i jedną wargą? - Skrzywił się zabawnie. - Czy uważasz, że nie jestem już wystarczająco brzydki? - Wszyscy

się roześmiali. Gosia nie dawała za wygraną.

- A ciebie, mamusiu?

- Tata ma rację, kochanie. Powiedzmy, że za dwa miesiące o tej samej porze. - Uśmiechnęła się. - A teraz może pojedziemy na basen ze zjeżdżalnią?

- Hurra! - krzyknęły dziewczynki. Zaczęły się prześcigać, która pierwsza znajdzie strój kąpielowy i dobiegnie do łazienki, żeby się przebrać.

- Dziś miałam go narysować - szepnęła Gosia. - I co? Co to za tata, który nie dotrzymuje obietnic?! - Tupnęła nogą ze złości.

- Narysuj mnie - poprosiła Ania. - Ja się nie boję krzywych nosów. - Roześmiała się gorzko.

- Aniu, może byśmy go poszukały, co?

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - Ania pokręciła głową. - Myślisz, że, jak to bywa w bajkach, weźmiemy na plecy worki z prowiantem i wyruszymy w daleką, niebezpieczną podróż? Przecież jesteśmy bezbronni, prawie jak te nasze chomiki.

- Ale ja tak nie mogę tylko czekać. - Gosia pociągnęła nosem. Milczała przez chwilę, a potem spytała: - Czy ty naprawdę myślisz, że on wróci? Gdzie on teraz jest? Co robi?

- Śpi - odpowiedziała Ania z taką pewnością, że nie można było jej nie posłuchać.

Tamtego dnia po basenie wybrali się na płonące lody do

Hortexu. Potem do domu zjechała się cała gwarna rodzina. Zrobiło się głośno i duszno, tak duszno, że dziewczynki razem ze swoją siostrą cioteczną Kamilką większość czasu przesiadziały na balkonie, popijając zimną lemoniadę.

- A kto to? - W drzwiach balkonu stanął tata w przebraniu klauna. - Moje słodkie cukiereczki, zaraz któreś schrupię! - Zaczął ganiać dziewczynki. - No, dajcie się schrupać, proszę. Alfredo jest bardzo głodny! - Dziewczynki z piskiem uciekały.

Ania z Gosią schowały się w swoim pokoju w szafie. Były pewne, że tylko one znają tę kryjówkę. Nie minęło nawet kilka minut, a drzwi zaczęły się powolutku otwierać. Pojawiła się najpierw ręka, która wymacała nogę Ani. Dziewczynki usłyszały głos pełen triumfu:

- Aha! Chyba tu coś mamy!

Potem pojawiła się głowa, aż wreszcie cały Alfredo zaczął się wtarabaniać do szafy. Dziewczynki głośno piszczały.

- Tato! - krzyknęła Gosia. - Nie zmieścisz się tu!

- Cii! - Tata przyłożył palec do ust. - Jak się ścieśnicie trochę, to wejść.

Wszedł i zamknął za sobą szafę.

- I co? Teraz będziesz nas jeść? - Dziewczynki zaczęły chichotać.

- Cicho! - uspokajał je tata. - Chcę wam coś powiedzieć. Zamilkły.

- Muszę dzisiaj na chwilę wyjść. Nie pytajcie dokąd, musiałbym skłamać. Ale to nic takiego, naprawdę. Po prostu

obiecałem komuś... poufność. Mówię wam to, żebyście się nie przestraszyły, że mnie nie ma. Być może tak dobrze byście się bawiły, że nawet nie zauważyłybyście mojego zniknięcia. Ale tak na wszelki wypadek wolę powiedzieć.

- Mama wie? - spytała Ania.

- Tak, kochanie. Ona wie wszystko.

Mama jednak nie wiedziała wszystkiego. Dziewczynki przynajmniej nie wierzyły, że potrafiłaby je okłamać, patrząc im prosto w oczy.

Tata wyszedł. W swoim przebraniu klauna. Dziewczynki rzeczywiście bawiły się wspaniale. Razem z Kamilką zrobiły przedstawienie dla całej rodziny. Opowiadało o rycerzach, którzy zakochali się w tej samej dziewczynie. Bliźniaczki jako rycerze miały wąsy i drewniane miecze.

Przez cały wieczór nikt nie wspomniał ani słowem, że od kilku godzin brakuje jednej osoby. Dopiero następnego dnia rano, gdy dziewczynki razem z mamą przygotowywały śniadanie w kuchni, Ania nagle zamarła wpatrzona w zegar. Wykrztusiła dopiero po chwili:

- Patrz, mammo! Zegar stanął!

- Ano rzeczywiście - stwierdziła mama. - Trzeba będzie wymienić baterie.

- A to nie znaczy - Ania zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiała, czy kontynuować - że ktoś umarł?

- Nie, dziecko, nie umarł. Zasnął.
- Ale zasnął tak, że się jeszcze obudzi?
- Tak, maleńka, z pewnością.

Ania milczała przez chwilę, jakby próbowała zebrać wystarczająco dużo odwagi. Wreszcie wykrztusiła:

- Myślisz, mamuń, że to przez tatusia?

Mama spojrzała na córkę z troską.

- Ja myślę, że on już wraca do domu. - Poglądziła Anię po włosach. - Chcesz poznać mój sekret? Jeśli się czegoś bardzo, bardzo boisz, weź kilka głębokich oddechów, o tak. A jak już się trochę uspokoisz, wyobraź sobie sytuację, którą chciałabyś ujrzeć: że na przykład witasz się z tatusiem. Dobrze? Zobaczysz, że wszystko się spełni.

Ania zamknęła oczy. Próbowała wyobrazić sobie spotkanie z tatą, ale nie dała rady. Jego twarz nie chciała się pojawić, jakby zamazał ją złośliwy chochlik. Zamiast tego Ania bardzo wyraźnie zobaczyła twarz babci.

- Hallo! Hallo! No co się patrzysz z takim zdziwieniem? - mówiła babcia. - Chodźcie do mnie szybko! Zamierzam umierać, tu tyle spraw niezłałatwionych, a wy myślicie o bzdetach. No, prędeż tu do mnie!

Ania otworzyła oczy.

- Słyszałaś to? - spytała mamy bardzo cicho.
- Nic nie słyszałam.
- Babcia mówi, że chce umierać!

Mama się zaśmiała.

- To lećcie do niej szybko!
- Jak to tak? - zdziwiła się Ania. - A ty nie idziesz? A jeśli

ona naprawdę...?

- Moim zdaniem ta wasza babcia nie umrze jeszcze przez kolejne pół wieku. Już ja ją znam - zaśmiała się mama.

- To dlaczego ona tak do mnie mówi?

- Dziecko kochane. Czy ty myślisz, że jakby powiedziała inaczej, byłabyś gotowa od razu do niej biec?

- No nie, chyba nie.

- No widzisz, sama sobie odpowiedziałaś. A teraz biegnijcie do niej. Pewnie chce wam powierzyć jakiś straszny sekret - mówiąc to, mrugnęła do Ani znacząco.



Zgubił się. Normalnie się zgubił. Nie miał pojęcia, jak to się stało, przecież doskonale znał tę drogę. Po lewej stronie płynęła rzeka Irys, po prawej ciągnęła się ścieżka rowerowa, która prowadziła prosto na osiedle domków jednorodzinnych. Jego osiedle.

Te domy wyglądały prawie tak samo, a jednak inaczej. Gdyby ktoś miał przed sobą zdjęcia dwóch miejsc i musiał odgadnąć różnice między nimi, byłoby mu naprawdę trudno. Marek dał się nabrać. Zapukał do drzwi domu, który powinien być jego. Otworzyła mu stara kobieta z twarzą tak pooraną zmarszczkami, jakby ktoś opisał na niej mapę dróg, którą przeszła przez całe swoje życie. Marek nie mógł nic powiedzieć. Zamarł w bezruchu, jakby na coś czekał. Kobieta też milczała. Patrzyli na siebie przez chwilę. To on pierwszy dał za wygraną. Odwrócił się i podszedł do najbliższej ławki w parku.

Dziwna sprawa - mówił do siebie szeptem. - *Bardzo dziwna.*

Tydzień temu dostał list. Elegancka papeteria pachniała różami. Cała była pokryta zamaszystym, ale równym pismem. Przeczytał go wiele razy, aż zniknął cały ten zapach. Nie mógł do końca zrozumieć. Kobieta, której nie znał, prosiła o spotkanie. Pisała, że to sprawa życia i śmierci, że jeśli on nie przyjdzie, nie będzie dla niej odwrotu. Przyszedł więc o wyznaczonej porze. „Usiądź pod tym największym dębem w parku i czekaj tam na mnie. Przyjdę na pewno” – pisała. Usiadł, czekał. Siedział tak chyba ze dwie godziny. Czekał, aż kobieta z listu wyłoni się z mgły. Nikt się nie pojawiał. Marek czuł się jak ostatni głupek, że dał się tak zbałamucić. W pewnym momencie zobaczył jednak kobiecą postać. Szła ku niemu. Sposób, w jaki się poruszała, był równie zamaszysty jak jej pismo. Kiedy wydawało mu się, że przy nim siada, kobieta zniknęła. Jakby zapadła się pod ziemię albo po prostu jakby jej wcale nie było. Wstał gwałtownie, wytężał wzrok, chciał krzyknąć, ale nie wiedział jak. Proszę pani? Parę razy okrążył okolicę. Nie zobaczył już nikogo. Wtedy właśnie zaczął wracać do domu.

Sprawa życia i śmierci. Czy to znaczy, że już umarła? A może wystarczy, że przyszedł na spotkanie? Marek przypomniał sobie, że czytał kiedyś artykuł o kobietach-chochlikach. Zwabiały one ofiary w wyznaczone miejsce, usypiały je, a potem okazywało się, że ktoś jest na drugim krańcu kraju lub nawet na innej półkuli. I zawsze, bestie, robiły to tak sprytnie, że po pobudce miało się wrażenie, że jest się u siebie. Zasypiałeś w parku i budziłeś się w parku. To by się zgadzało.

- Mamo, mamó, popatrz! Klaun! - krzyknęło dziecko, wskazując na niego palcem.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Markowi wydawało się jednak, że znacznie przyśpieszyła kroku.

Stwierdził, że zapuka jeszcze raz do „swojego” domu. Może mu się przywidziało, może to okrutny sen, który zaraz zniknie? Znów otworzyła mu stara kobieta.

- Znam cię - stwierdziła na wstępie. - Wejdz. No wchodź! - krzyknęła, widząc jego niezdecydowanie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. - Nie pamiętasz mnie, prawda?

Marek pokręcił głową. Skąd niby miał ją znać? Czy kiedykolwiek był w tym dziwnym miejscu pachnącym wanilią? Skąd się wziął ten zapach? Wszedł do środka. Kobieta zaprowadziła go do dużego, przestronnego salonu pełnego kwiatów i dostojnych antycznych mebli. Na ścianach wisiały obrazy w złotonych ramach, na kanapie wylegiwał się ogromny biało-czarny kocur. Coś to Markowi przypominało. Te obrazy. Skąd znał tego pana z długą siwą brodą w wojskowym mundurze?

- Jesteś już dorosły! - śmiała się kobieta. - Jakie to dziwne, że tak mało się zmieniłeś! Urosłeś i zmężniałeś, ale buźka została ta sama. Szkoda - westchnęła - że stara Pola nie dożyła tej chwili!

- Czy mogłaby pani mówić jaśniej? - Starał się nie podnosić głosu, ale wkurzała go ta cała sytuacja. Czuł się tak, jakby kobieta bawiła się jego kosztem.

Staruszka spoważniała.

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - spytała cicho.

- W ogóle nie wiem, o czym pani mówi.

Kobieta otworzyła szufladkę w komódce. Przez chwilę w niej grzebała, aż w końcu wyjęła ramkę ze zdjęciem.

- A to pamiętasz? - Podała ją Markowi.

To było zdjęcie ślubne. Małżonkowie stali zwrócenii do siebie, tylko twarze patrzyły w obiektyw. Kobieta miała długie kręcone włosy. Na zdjęciu wydawały się kruczoczarne, kontrastowały z bielą sukni i welonu. Bił od niej spokój. Markowi wydawało się, że ten spokój zrodził się ze szczęścia. Kogoś mu ona przypominała, ale kogo? Mężczyzna był w eleganckim garniturze, włosy miał zawadiacko podniesione do góry, wyglądał jak dorosła wersja Piotrusia Pana.

- Piękna fotografia - westchnął Marek. - Dziś już takich zdjęć nie robią. W odcieniach szarości ci młodzi wyglądają jak bogowie.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? - Kobieta była widocznie rozczarowana. - Niczego ci to nie przypomniało?

- Ta kobieta... - Marek zawahał się na chwilę - ...wydaje się dziwnie znajoma. Tak mi się zdaje, że ona jest podobna... do mnie.

Kobieta roześmiała się serdecznie.

- Herbatki? Widzę, że czeka nas długa opowieść.

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w kuchni.

Marek patrzył na fotografię i coraz bardziej widział w tej kobiecie siebie. Nagle zagrzmiął zegar z kukułką. Była dziewiąta. Jego ulubiona godzina. Czas tylko dla siebie. Dziewczynki grzecznie już spały, żona przysypiała obok

z jednym okiem wpatrzonym w książkę. Marka zawsze to bawiło.

- Ty coś pamiętasz z tego następnego dnia? - droczył się z nią, próbując wyciągnąć książkę z jej rąk. Wtedy jej oczy robiły się ogromne. Trzymała książkę kurczowo.

- Jasne, że pamiętam - mówiła głośno i odwracała się na drugi bok, by kontynuować lekturę. Zwykle nawet nie zauważała, kiedy gasił światło.

Poczuł intensywniejszy niż wcześniej zapach wanilii. Stara kobieta szła, niosąc w rękach tacę. Postawiła przed nim parującą filiżankę.

- Waniliowa. Moja ulubiona - stwierdziła z uśmiechem. Usiadła na ogromnym skórzanym fotelu naprzeciwko Marka.

- Dlaczego tak bardzo lubi pani wanilię? Czuć ją wszędzie.

- Kojarzy mi się z młodością - zaśmiała się. - Pewnie nie wiesz, że wanilia to roślina wiecznie zielona. Wyobrażasz to sobie? Nie przekwita, jest stała. Trwa, a życie się zmienia. Polubiłam ten kwiat. Rośnie w moim domu.

Marek parsknął śmiechem.

- Jak to możliwe? Przecież te rośliny u nas nie rosną, nie ma możliwości, żeby...

- Uwierz mi, że są - przerwała mu delikatnie. Zdjęła z szafki roślinę i przyniosła mu ją. Miała żółto-białe kwiaty. Marek schylił się, żeby ją powąchać. Nic nie poczuł.

- Ona nie pachnie - zaśmiała się kobieta. - Pachnie tylko

jej owoc - laska wanilii - i to też jedynie, gdy pęknie. Ale dość już o tym - powiedziała, odstawiając doniczkę na miejsce. - Chciałeś zapytać o coś zupełnie innego, prawda?

Marek czuł, że robi się cały czerwony. To była udręka jego dzieciństwa. Chwila wystarczała, żeby spąsowiał od stóp do głów.

- Co to za miejsce? Kim pani jest? Czy ja tu byłem? Dlaczego nic nie pamiętam? - zasypał kobietę gradem pytań.

- Powoli, powoli - powiedziała kobieta spokojnie. - Nie wiem jak ty, ale ja wolę zaczynać od początku. Wtedy historie żyją swoim życiem, wszystko się układa, jakby wskakiwało na swoje miejsce w puzzlach. - Mrugnęła do niego. - Rozsiądź się wygodnie, bo trochę to potrwa.

- Ale ja nie mam czasu. - Marek poruszył się w swoim fotelu. - Muszę wracać do dzieci, do żony... To przecież nieodpowiedzialne! One nie wiedzą, co się dzieje!

- Uspokój się wreszcie! - Kobieta podniosła głos. - Wszystko ma swoją porę, a uwierz mi, że twojej rodzinie niczego nie ubędzie, jeśli chwilę na ciebie poczeka.

- Ale one myślą, że zaraz wrócę.

- Obiecuję ci, że dam im znać.



Dwa tygodnie po zniknięciu taty przyszedł do domu dziwny list. Napisany został na eleganckiej papeterii. Bardzo intensywnie pachniał wanilią.

„Rodzino Marka - pisał ktoś, pismo było koślawe, jakby osoba, która kreśliła te słowa, nie mogła utrzymać długopisu w ręku - nie martw się o niego. Wróci. Nie wiem jeszcze kiedy, ale obiecuję wam to. Kwiat, który znajdziecie w kopercie, zasadźcie w dużej doniczce. Dbajcie o niego, proszę. Jeśli jego liście zżółkną, musicie jak najszybciej odnaleźć Marka. Jeśli będą zielone, czekajcie na niego cierpliwie. Pozdrawiam serdecznie i życzę wiecznie zielonych liści.

PS Nie będę się podpisywać, bo po co? Jeśli się czegoś bardzo pragnie, odnajdzie się to lub wyjaśni”.

- Jakoś mnie to nie pociesza - westchnęła mama, patrząc

na zieloną roślinę. Zrobiła tak, jak przykazano jej w liście. Roślina przyjęła się bardzo dobrze, rozrosła się, miała mnóstwo kwiatów.

- Jak to możliwe - dziwił się każdy, kto widział tę roślinę - że wanilia tak pięknie kwitnie w tych warunkach?

- Wszystko jest możliwe - odpowiadała Grażyna filozoficznie. Miała już dość tych pytań. Czasami czuła się jak bestia z bajki Disneya, jakby tylko czekała, aż wszystkie liście opadną, a ona na zawsze pozostanie bez męża.

- Chodźcie, chodźcie - krzyknęła babcia, nie odwracając się nawet.

- Babciu - powiedziała Gosia z pretensją w głosie - czemu nigdy nie dasz się zaskoczyć? Mogłabyś przynajmniej udawać.

- Nie mogę się powstrzymać - zaśmiała się kobieta. Wciąż jeszcze była piękna. Z jej twarzy biła szlachetność i pogoda ducha, oczy patrzyły tak, jakby widziały więcej. Największą ozdobą były jednak jej włosy, choć siwe już, wciąż jeszcze gęste. Zawsze nosiła je rozpuszczone. „Te fale na mojej głowie - lubiła powtarzać - przypominają mi, że życie nie jest takie proste, jak czasami nam się wydaje” - śmiała się.

- Dlaczego nas straszysz, że umierasz? - krzyknęła na nią Ania.

- A co, to nieprawda? - zdziwiła się babcia. - Ależ to, skarbie, najszczerza prawda. Z każdym dniem coraz

bardziej umieram, zbliżam się do śmierci, nie oddalam. Co nie zmienia faktu, że zamierzam jeszcze pożyć ładnych parę latek. No to co? – Klasnęła w dłonie, po czym wstała z fotela.
– Przyszłyście tu poznać sekret, więc go dostaniecie. Chodźcie za mną!

Poprowadziła je po krętych, rzeźbionych schodach. Minęły długi korytarz, aż dotarły do pokoju znajdującego się na samym jego końcu.

– To przecież... – zdumiała się Gosia. – To przecież ten pokój, do którego nie można wchodzić, bo ciągle jest w nim bałagan.

– Posprzątałam – zaśmiała się babcia i otworzyła drzwi.

W pokoju panowała ciemność. Okna zostały zasłonięte czarnymi roletami. Ledwie można było rozróżnić zarysy krzeseł, których w tym pokoju było mnóstwo.

– A teraz patrzcie. – Babcia pstryknęła palcem. W tym momencie po pokoju zaczęły tańczyć świetlne punkciki. Dziewczynki patrzyły zafascynowane, jak stopniowo każdy z tych punkcików nabiera kształtu, przeistacza się w...

– To przecież są puzzle! – krzyknęła zdumiona Ania.

– Obserwujcie dalej. – Babcia się uśmiechnęła.

To, co zaczęło się teraz dziać, wyglądało jak świetlna układanka, jakby jakaś niewidzialna ręka kierowała każdy element na przeznaczone mu miejsce. Te punkciki, które znalazły swoją przystań, zatrzymywały się i rozświeślały jeszcze mocniej, inne latały w popłochu po całym suficie, jakby rozpaczliwie szukały miejsca i nie mogły go znaleźć. Puzzle nie były kompletne. Było w nich mnóstwo czarnych,

niezamieszkałych jeszcze plam.

- Babciu - spytała Gosia - a czemu niewidzialna ręka nie może ich wszystkich umieścić we właściwych miejscach? Przecież ja sama widzę, gdzie który powinien pasować.

- Ho, ho, ho! - śmiała się kobieta. - To ty masz, dziecko, sokoli wzrok! Ja po tylu latach praktyki tak szybko tego nie widzę! Przecież tych puzzli jest tutaj ładnych parę tysięcy! Tak naprawdę - dodała już poważniej - to nie jest niestety takie proste. Ale to już wam opowiem - w tym momencie pstryknęła palcem, w pokoju nagle zrobiło się ciemno i nieprzyjemnie - gdy zejdziemy na dół na cappuccino. Co wy na to?

Dziewczynki nie potrzebowały słów zachęty. Same z siebie wystrzeliły do przodu, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od tego ponurego miejsca. Usiadły, zapadając się w dwa razy większych od nich fotelach.

- Hmm - usłyszały chrząkanie - hmm...

Gosia pierwsza odwróciła głowę.

Za nimi stała babcia. Gosi wydała się jakaś dziwnie duża, jakby przez te parę minut urosła kilkanaście centymetrów.

- Lekcja numer jeden - powiedziała kobieta, grożąc im palcem - chcecie pomagać ludziom, zacznijcie od pomocy w domu. No już! Wstawać mi tu i do roboty!

Dziewczynki zerwały się z foteli jak oparzone. Babcia jakby nigdy nic zajęła miejsce Gosi.

- No - stwierdziła zadowolona - osiem czubatych łyżeczek poproszę.

- Masz pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi? - szepnęła

Gosia w drodze do kuchni.

- No jasne - prychnęła Ania. - A ty nie wiesz?

Gosia pokręciła głową.

- To ja ci tłumaczyć nie będę! Strasznie tego nie lubię!

Poczekaj na babcię!

- Ale jesteś! - W głosie Gosi słychać było urazę. - Foch! - Odsunęła się od siostry.

- Przecież wiesz, jak nie cierpię czegoś tłumaczyć... - usprawiedliwiała się Ania. - Ja sama wolałabym dopiero dziś się wszystkiego dowiedzieć. Ty, gdzie babcia trzyma kawę? - spytała, rozglądając się po przestronnej kuchni. Zaśmiała się nagle. - Wiesz co? Przeglądałam ostatnio katalog IKEA i normalnie babcia ma kuchnię jakby wyjętą z tego katalogu. Ale mamy nowoczesną babcię, co nie?

Gosia milczała. Wyjęła cappuccino z szafki nad zlewem, nasypała po osiem łyżeczek do trzech jednakowych filiżanek, nastawiła czajnik bezprzewodowy. Stała z założonymi rękami, patrząc przez okno. W pewnym momencie stężała, wszystkie mięśnie jej się napięły, wyglądała, jakby była gotowa do skoku.

- Co się dzieje? - Ania błyskawicznie wyczuła zmianę w zachowaniu siostry.

- Ktoś nas obserwuje - wycodziła Gosia przez zęby. Bez słowa zaczęła szybko iść w kierunku wyjścia.

- Zaczekaj no! - krzyczała za nią siostra.

Gosia szła dalej, ani przez chwilę nie zwalniając. Dopiero na podwórku przystopowała trochę, starała się iść jak najciszej. Ania podążała tuż za nią. W końcu go zobaczyły.

Przy dużym świerku od strony kuchni stał chłopak.

- Strasznie mi przypomina - szeptała Ania - Włóczykija z *Muminków*. Popatrz, ma nawet taki sam kapelusz - zachichotała. Gosia spojrzała na nią karcącym wzrokiem.

- Cześć - powiedziała najgłośniejszym głosem, jak umiała. Chłopak aż podskoczył z przerażenia, odwrócił się w ich stronę, po czym w popłochu uciekł. - Dziwna sprawa. - Gosia pokręciła głową. - Kto to mógł być?

- Nie wiem - stwierdziła Ania - ale na pewno ktoś z naszych.

Gosia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Czy ty cały czas musisz być taka tajemnicza? O co wam wszystkim chodzi? Chyba mi się to nie podoba.

Ania chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę domu.

- Chodź do babci, zaraz się wszystkiego dowiesz.

Babcia była w kuchni. Kiedy weszły, rzuciła im piorunujące spojrzenie.

- Skaranie boskie z takimi dziećmi - zrzędziła. - Nawet nie można im powierzyć zrobienia głupiego cappuccino, bo od razu przepadają jak kamień w wodę. Przez was musiałam podźwignąć z fotela moje stare kości, czajnik bulgotał jak szalony, cała kuchnia paruje, a dziewczynki sobie spacerki urządają! - Przy ostatnich słowach podniosła głos. - Zastanawiam się, czy powinnam wam powierzać tę tajemnicę. Ciągle jeszcze jesteście smarkulami!

- Ktoś nas podglądał - wyrwało się Gosi.

- Co? - zdziwiła się babcia.

- Zobaczyłam przez okno, więc postanowiłam go...

przyłapać – jąkała się Gosia.

- Kto to był? Jak wyglądał? – dopytywała się babcia.

- No... jak ten...Włóczykij – odpowiedziała Ania.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- A to skurkowaniec jeden! – Speszyła się wyraźnie. –
Ups, przepraszam za wyrażenie. – Roześmiała się znowu. –
Wygląda na to, że te gagatki są bardzo was ciekawe. W ogóle
chłopcy są strasznie ciekawscy z natury.

- Dlaczego tak się nami interesują? – zdziwiła się Gosia.

- A do tego to my dopiero dojdziemy – powiedziała
powoli babcia. – No, bierzcie kawę i idziemy!



Kobieta westchnęła głęboko, poprawiła poduszkę na kanapie i zaczęła mówić. Coś nieuchwytnego w jej głosie kazało Markowi zapomnieć o całym świecie. Istniała tylko ta opowieść tkana jak pajęcza nić, od miejsca do miejsca aż do osiągnięcia celu.

- Czy pamiętasz te czasy, kiedy zimy były tak śnieżne i mroźne, że na wsiach i w małych miasteczkach nieomal zamierało życie? Ludzie za żadne skarby świata nie chcieli wyściubiać nosów z domów, to musiała być naprawdę wielka rzecz, żeby wyjść. Szkoły były pozamykane, bo nie było jak dojechać. W ogóle koniec świata! - zaśmiała się. - Pamiętasz? - Marek pokiwał głową, a ona kontynuowała: - W każdym razie w jedną z takich zim urodził się Kamil. W tym miasteczku, ze dwa domy dalej. Mama nadała mu imię na cześć wielkiego poety wojennego.

- Krzysztofa Kamila Baczyńskiego - powiedział Marek monotonnym głosem.

- Tak. - Spojrzała na niego z zainteresowaniem. - A skąd

wiesz?

- To też mój ulubiony poeta.

- Ciekawe - pokiwała głową - bardzo ciekawe. Wracając do tematu, Kamil urodził się w Wigilię, dwudziestego czwartego grudnia. Pamiętam to jak dziś. Dziecko było wcześniakiem, więc razem z mamą przebywało w szpitalu gdzieś koło miesiąca. Całe święta i Nowy Rok, to dopiero się działo. - Uśmiechnęła się na wspomnienie. - Ojciec Kamila był u nas codziennym gościem, tak mu się przykrzyło samemu. A tu ani pojechać do szpitala, ani nic. Więc siedzieli tu z moim świętej pamięci mężem i grali w karty. Czasami ja się do nich przyłączałam, ale oni nie chcieli ze mną grać, bo zawsze ich ogrywałam - zaśmiała się. - To dziecko - powiedziała już poważnie - było dla rodziców cudem. Już stracili nadzieję, że kiedykolwiek będą mieli potomstwo, a tu taka niespodzianka! Zawsze mi się wydawało, że narodziny w Wigilię do czegoś zobowiązują. Do wielkich czynów i wielkiego poświęcenia. Do bycia dobrym człowiekiem, co nie jest takie łatwe, jak by się mogło wydawać w tych cukierkowych czasach. Nieprawdaż? - Mrugnęła do niego. - Ty coś o tym wiesz.

- Dlaczego pani mówi o mnie tak, jakby doskonale mnie znała? A nawet lepiej niż ja siebie? Długo musiałbym się zastanawiać, żeby nazwać siebie dobrym człowiekiem. A pani ot tak - pstryknął palcami - rzuca słowami.

- Wcale nie trzeba tak wiele, żeby być dobrym - powiedziała cicho kobieta. - Czasami wystarczy po prostu nie skupiać się na sobie, ale na innych. Dostrzegać świat wokół

innych ludzi. Rozumiesz?

- Proszę opowiadać dalej - odpowiedział Marek wymijająco.

- Nie domyślasz się, do czego zmierzam, prawda?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Po miesiącu dziecko z matką wróciło do domu. Nigdy nie widziałam tak szczęśliwego człowieka, jak jego tata. Wydawało się, jakby unosił się w powietrzu, jeździł jak wariat rowerem do sklepu, spełniał wszystkie zachcianki żony, zapomniał o tej strasznej zimie, która grasowała po kraju i zbierała śmiertelne plony.

- Jak to? Chyba nie zamierza mi pani powiedzieć, że umarł? Jeśli tak, nie chcę tego słuchać. Nienawidzę smutnych historii. Życie jest wystarczająco niewesołe.

- Naprawdę tak myślisz? - Spojrzała na niego z uwagą znad okularów. - A dlaczego?

- Przecież tak wiele pani o mnie wie. A tego akurat nie? Jak to możliwe?

- To jest smutna historia - kontynuowała - ale nie dlatego, że on umarł. Tak się bowiem nie stało. Cała rodzina żyła szczęśliwie aż do pewnego dnia. Powiadają, że trzynastka to nieszczęśliwa liczba. Dla mnie zawsze to będzie piątka. Piątego nigdy nie wychodzę z domu. Zapewniam cię, że tego dnia dzieją się dziwne rzeczy. Znikają ludzie. I najczęściej nie wracają. Czasami ich słyszę. Wiesz, gdy zamkniesz oczy, możesz zobaczyć więcej. Ja widzę ich, jak znikają ze ścieżek, a ślady po nich się zacierają. Nieraz przychodziłam w to miejsce, które widziałam w wizjach. Ani

razu nie zobaczyłam żadnego znaku, niczego, co świadczyłoby o tragedii. Ty jesteś pierwszym śladem. Dałeś mi nadzieję na rozwiązanie zagadki. – Położyła dłoń na jego ręce.

– Ale dlaczego... ja? – zdziwił się Marek. Delikatnie zdjął dłoń kobiety ze swojej i wstał.

– Ty pierwszy wróciłeś. – Podeszła do niego. – Nadal nie rozumiesz, prawda? Jesteś jednym z nich. Tych, co zniknęli.

– Ja? – zdumiał się Marek. – Ja? Przecież miałem rodziców, miałem swój świat. To był mój świat, czułem to.

– Tak? A opowiedzieli ci kiedykolwiek o twoich narodzinach?

– Tak. Nie... – Zamyślił się. – Faktycznie nigdy tego nie zrobili. Zawsze mnie zbywali. Zawsze. I nie miałem czego przekazać córkom, gdy mnie o to prosiły.

– Opowiem ci tę historię do końca, jeśli chcesz – powiedziała kobieta, siadając na swoim miejscu.

– Pozwoli pani, że pochodzę. Mniej się wtedy denerwuję... – Uśmiechnął się niepewnie.

– Jak wolisz. – Machnęła ręką. – Minęły dwa szczęśliwe lata. Wiesz, byłeś tu częstym gościem. Bardzo lubiłeś siadać mi na kolanach. Czekałeś na łaskotki. Uwielbiałeś je – zaśmiała się. – A ja kochałam patrzeć, jak się śmiejesz. – Spojrzała na niego. – Możesz się uśmiechnąć? No proszę, nadal masz te dołeczki w policzkach!

Marek przystanął na chwilę.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział dobitnie. – Chcę usłyszeć, jak zniknąłem! Dlaczego? Gdzie moi rodzice?

Proszę wreszcie skończyć! - Chodził teraz szybko, rozpaczliwie.



- Masz rację - westchnęła kobieta. - Tyle że nie ma za bardzo o czym opowiadać.

- Jak to? - zdziwił się.

- Po prostu: pewnego dnia wyszedłeś cichcem z domu, korzystając z tego, że mama wieszała pranie. Pewnie zainteresował cię jakiś wróbelek lub zobaczyłeś jakieś inne boże stworzenie. Nie wiem. Faktem jest, że kiedy mama zauważyła twoje zniknięcie, szybko wybiegła na podwórko.

Ciebie jednak tam nie było, nie było cię również u nas. Jakbyś zapadł się pod ziemię. Nikt cię nie widział, ostatnim śladem był samochodzik, który zawsze nosiłeś w kieszeni. Leżał w parku przy tym ogromnym drzewie.

- To zupełnie tak jak... teraz! - krzyknął Marek. - Założę się, że również nikt nie widział mojego zniknięcia! Dlaczego ze mnie taki dureń?! Czemu nie słuchałem opowieści mojej teściowej o jakichś alternatywnych światach, o szukających itp.?! Zawsze uważałem, że to bzdury, ale teraz... Wszystko wskazuje na to, że się przeniosłem z powrotem do świata, w którym się urodziłem! Ale jak to się odbywa? - gorączkował się. - Jakim sposobem można się przenieść? Dlaczego wtedy zniknąłem?

- Długo o tym myślałam. Ha! Nieomal pół wieku! - Kobieta mówiła powoli, jakby ważyła każde słowo. - No i doszłam do wniosku, że istnieje kilka wyjaśnień.

- Bardzo odkrywczе - powiedział Marek z przekąsem.

- Pierwsze to takie, że to drzewo jest swoistym tunelem czasoprzestrzennym. Po prostu wciąga niektóre osoby do innego świata. Ale dlaczego te, a nie inne? Zadawałam sobie to pytanie wiele razy, chodziłam do drzewa, mówiłam, jak bardzo chcę się przenieść itp. I nic. Drzewo milczało zupełnie jak... drzewo. Wtedy trafiłam na szukających. Powiedzieli mi, że albo w wieku dwóch i pół roku wiedziałeś już, że to tamten świat jest tobie przeznaczony, albo ktoś bardzo chciał, żebyś się tam znalazł. Rozumiesz, niektórzy ludzie nauczyli się mieszać w tych... tych... puzzlach, czy jak to nazywają. Być może sprawili to twoi nowi rodzice.

- O co to, to nie! - zaprotestował Marek. - Znam ich doskonale, to bardzo dobrzy ludzie. Wszystko by dla mnie poświęcili.

- Chyba nie wiesz, do czego zdolni są ludzie, którzy nie mogą mieć dzieci. Twoi rodzice wcale nie musieli wiedzieć, w jaki sposób do nich trafiłeś. Wcale a wcale. To trochę jak kupno kradzionych samochodów, rozumiesz? Ty zlecasz komuś pracę, ten ją wykonuje. Może opowiadać, że wszystko jest legalne, ale jak jest naprawdę, tylko on wie. Taka jest niestety nasza rzeczywistość - mówiąc to, kiwała głową.

- A co się stało z moimi prawdziwymi rodzicami?

- No właśnie. - Dalej kiwała głową. - I tu pojawia się kolejna zagadka. Rok po twoim zniknięciu wyjechali stąd. Prosili, żebym zajęła się ich domem, mówili, że za miesiąc, dwa wrócą. Że jadą tylko do ciotki nad morze zapomnieć o rzeczywistości. Dzwoniłam tam - nigdy nie dotarli nad morze. Właściwie ślad po nich zaginął. Nie, nie, nie, zaraz, co ja mówię?! Przecież pisali listy. Z różnych miejsc: z Krakowa, Szczawnicy, Białegostoku, zewsząd. Z miejscowości, których nawet nie ma na mapie. Ostatni list dostałam dwa lata temu, ze Świeradowa chyba. I koniec. Odtąd cisza.

- Jak można było zapomnieć o listach, nawet na chwilę?! - krzyknął Marek. - Jakieś to wszystko dziwne. Wydaje mi się, jakby - zamilkł na chwilę - próbowała pani coś przede mną ukryć...

- Hmm - chrząknęła kobieta. - Bo te listy były bardzo dziwne. Suche, prawie same pozdrowienia, bardziej jak

pocztówki. Jakby wcale nie chcieli pisać, tylko robili to z przyzwyczajenia. Znam twoją mamę, była wyjątkowo otwartą kobietą, dlatego nie wiem, co o tym myśleć.

Nagle stanęła Markowi przed oczami pewna scena z przeszłości. Przyszła znikąd, jak olśnienie. Wyjmował kiedyś z biblioteczki rodziców podniszczoną książkę, *Robinsona Crusoe* chyba, wersję dla dorosłych. Książka wypadła mu z rąk, kartki rozścieliły się po podłodze. Marek zaczął je składać do kupy. Męczył się przy tym niemiłosiernie, bo każda kartka to była inna strona. Wtedy natrafił na tę pocztówkę. Przedstawiała ruiny zamku i napis: „Pozdrowienia z Mirowa”. Na odwrocie ktoś nakreślił, jakby w pośpiechu, parę słów: „Już nie wiemy, co robić, wszystko jest w liście. Całujemy gorąco. Rodzice”. Marek pamiętał, jak bardzo go ta pocztówka zaintrygowała. Przez kilka kolejnych dni zastanawiał się nad treścią, przeszukał wszystkie książki na półce w nadziei, że znajdzie list, o którym napisali w pocztówce. Nic, żadnego więcej śladu. Bał się zapytać rodziców, bo głupio mu było się przyznać, że czyta cudzą korespondencję. Potem zapomniał. Ale teraz...

- Ja... - zaczął, potem zamilkł na dłuższą chwilę. - Chyba... dostałem kiedyś od nich pocztówkę - głos mu drżał z przejęcia - i list. Ale to by znaczyło, że rodzice, znaczy się ci, co mnie wychowali, musieli o wszystkim wiedzieć

i ukrywali przede mną prawdę. Nie, to jest nie do pojęcia! – krzyknął.

– Jak oni mogliby cię znaleźć? W innym świecie, w obcej rodzinie?

Marek wzruszył ramionami.

– Zupełnie tak jak pani próbowała, przez szukających. Ale i tak coś mi tu nie gra. Skoro wiedzieli lub przynajmniej się domyślali, to czemu nie przyjechali tego sprawdzić, tylko tak z daleka, na dystans, jakby się czegoś bali?



- Wyobraźcie sobie świat przepelniony ludźmi - mówiła babcia do zasłuchanych dziewczynek - miliardami małych kropeczek, z których każda musi wejść w odpowiednie miejsce w puzzlach, aby zapanowały harmonia i szczęście. Już? - Popatrzyła uważnie. - Hmm, a może tak byście zamknęły oczy, co? Tak by było chyba łatwiej coś zobaczyć.

- Ja tam wolę z otwartymi. - Gosia wzruszyła ramionami.
- Ja, babciu, naprawdę wszystko widzę!

- Tak? - Kobieta się roześmiała. - To teraz wyobraź sobie, że są dwa takie światy o podobnej liczbie ludzi. Wszyscy muszą znaleźć swoje miejsce, a nie każdy człowiek żyje w dobrym świecie. No i co teraz? Mówcie, robaczki, mówcie, co widzicie! - Babcia zatarła rękę.

- Wielką plamę z kropeczek! - krzyknęła Ania i się roześmiała, a Gosia jej zawtórowała.

- Ale bez wygłupów, pleciugi! - Babcia udawała powagę.

- Tak naprawdę - odpowiedziała Ania - trudno to sobie wyobrazić.

- No, nareszcie! - Kobieta się roześmiała. - O to mi chodziło! A teraz wyobraźcie sobie wycinek ziemi, jakąś Polskę lub Anglię, lub cokolwiek tylko chcecie, może być nawet... Disneyland. Pomnóżcie to przez dwa. I co? Łatwiej? Trudniej?

- Ja już wiem, o co chodzi! - Gosia kiwała głową ze zrozumieniem. - Mamy pomóc tym... punkcikom wrócić do domu, tak?

- W dużym skrócie - babcia pociągnęła wielki łyk cappuccino - bo nie każdy wie, że się zagubił, że żyje nie tam, gdzie powinien. Ale jak to rozpoznać, to powiedzą wam już w szkole, dobra?

- W jakiej szkole? - krzyknęły dziewczynki razem.

- Cha, cha, cha! - wybuchnęła głośnym, niepowstrzymanym śmiechem babcia. - Właśnie dlatego zostałyście wybrane! Bo jest was dwie! A, jak powiadają, co dwie głowy, to nie jedna!

- Naprawdę tylko dlatego? - zmartwiła się Ania.

Babcia gwałtownie spoważniała.

- W dużej mierze. Nie musicie się już szukać, całą energię możecie spożytkować na szukanie innych.

- Ale czy my żyjemy we właściwym świecie? - zapytała Gosia z powagą.

- A jak wam się wydaje? Czy czujecie się zagubione, samotne, niezrozumiane?

- Czasami tak, bardzo - stwierdziła Ania. - Zwłaszcza w szkole. Wszyscy gadają o takich bzdetach, że mi szkoda by było nawet buzię otwierać.

- Nie ma z kim normalnie porozmawiać - dodała Gosia.

- Naprawdę? - zdziwiła się babcia. Potem pokręciła głową. - Nie. Nie wydaje mi się. Chociaż... Ja wiem... Cóż, szukający zawsze mają pod górkę - skwitowała.

Gosia pamięta to uczucie strachu. Po drodze do szkoły, na przerwach, w domu. Nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego. Irracjonalny lęk przed wszystkim. Światem? Życiem? Ludźmi?

Ania wiedziała, że właśnie przez lęk miała wypadek samochodowy. Przez to, że bała się głupiej klasówki z fizy. Tak bardzo nie chciała iść do szkoły, że wpakowała się pod samochód. Zupełnie niechcący, po prostu świat spełnił jej prośbę. Nie poszła na klasówkę, pojechała karetką do szpitala. Całe szczęście nic się nie stało. To pomogło wygrywać ze strachem. Powoli.

- Czasami wyobcowanie nie świadczy wcale o zagubieniu w innym świecie, ale w tym. Po prostu musicie znaleźć wasze miejsce. Wśród szukających - dodała ze śmiechem.

- Babciu, a dlaczego ty jesteś szukającą? Skąd się biorą ci ludzie? Po czym można ich poznać?

- Ja na przykład, śmiechem żartem, odziedziczyłam to. - Roześmiała się kobieta. - Mój ojciec był szukającym. I ja nim jestem, a mój brat już nie. Z tego samego powodu wasza mama nie jest, wasz wujcio zaś - i owszem!

- Wujek Tomek jest szukającym? - zdziwiła się Gosia. - Nie miałam pojęcia.

- Uprzedzając wasze kolejne pytania, odpowiem od razu, że każdy z szukających musi mieć bardzo mocno rozwiniętą intuicję podchodzącą niemalże pod jasnowidztwo. Szukający, którzy mają kilkudziesięcioletnie doświadczenie w swojej pracy, potrafią na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy dany człowiek jest na właściwym miejscu. To tak, jakbyście któryś z kolei raz układali wielkie puzzle, już niemal odruchowo wiecie, co gdzie leży, prawda?

- Oj, chyba czuję, że się do tego nie nadaję... - Ania się skrzywiła. - Nie cierpię układać skomplikowanych puzzli. Bo zwykle wtedy zamiast rezygnować, szukam, aż znajdę.

- Ej, Anka - odpowiedziała Gosia - a pamiętasz te puzzle, które układaliśmy pod dywanem? Tatuś je przywiózł, chyba z Niemiec.

- No jasne! Układaliśmy, układaliśmy, aż wreszcie części się pogubiły i chyba spakowałyśmy to w końcu do pudła, nie?

- A ja tak chciałam mieć wiszące puzzle na ścianie...

- Cisza, cisza, skowroneczki! - śmiała się babcia. - Muszę wam coś powiedzieć, bo zapomnę! Już mogę? - Spojrzała wpierw na Anię, potem na Gosię.

Dziewczynki pokiwały głowami.

- Zagubione puzzle to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie mogą was spotkać. A moja jak zawsze niezawodna intuicja mówi mi, że takie właśnie was czeka! Niebezpieczne przygody, pojedynki, rycerze, zaklęty książę, ropuchy i inne

obślizgłe stwory!

- O, jak fajnie! - Gosia zaczęła biegać po pokoju. -
Nareszcie bezkarnie będziemy mogły się bić!

- Bić? Chyba z Anią o księcia! - Babcia się roześmiała. -
Wybij to sobie z głowy! U nas się nie używa takiej broni.

- I co, głupio ci teraz? - zażartowała z Gośki Ania. Potem
zwróciła się do babci: - Ona to się normalnie z chłopakami
na przerwach bije. Z jednym nawet wygrała na rękę, wiesz
jak, nie?

- Ohoho! Ale mamy siłaczkę w rodzinie! Dobrze, to też
się przyda - stwierdziła radośnie babcia.

- A czym...? Czym tam się walczy? - spytała Gosia.

- Ale z kim...? Przecież nie będziesz nikogo zmuszać do
zmiany świata, prawda? Tu trzeba raczej używać główki, i to
jak! - mówiąc to, babcia kręciła głową. - No ale myślę, że
akurat z tym sobie poradzicie! Bylebyście wierzyły w siebie
i w innych. Chociaż nie... - sposepniała - być może jednak
broń się przyda... Przecież ostatnio... - zamilkła na chwilę. -
Nie, nie powiem wam na razie tego, jeszcze zrezygnujecie,
i po co by mi to było? Szukający są potrzebni. A teraz ludzie
są coraz bardziej zagubieni. No i jeszcze te ostatnie... -
Zakryła sobie twarz ręką i niespodziewanie się roześmiała. -
Cicho, głupia babo! Miałaś im tego nie mówić - mówiła przez
zakryte usta. - Macie jeszcze jakieś pytania? - zwróciła się
do wnuczek.

- Czy musimy iść w wakacje do tej szkoły? - spytała Ania.

- A chcecie odnaleźć ojca?



Mężczyzna przystanął na chwilę. Kaptur, zakrywający i tak większą część twarzy, zsunął mocniej na oczy. Właśnie pojawiły się przed nim zarysy miasta. Jego miasta. Na ustach człowieka pojawił się uśmiech, który wyglądał bardziej jak grymas niezadowolenia. Nagłym gestem uniósł do góry kij, który dzierżył w dłoni. Kilka razy podnosił go i opuszczał, jakby mówił: „Jeszcze mnie popamiętasz”. Po chwili ruszył dalej, w kierunku najbliższych zabudowań. Nie dotarł jednak do samego miasta. W pewnym momencie po prostu zniknął między ogromnymi skałami, na temat których snuto przeróżne przypuszczenia. Nikt nie miał pojęcia, skąd one się tu wzięły. Okolica była całkowicie równinna i żaden ślad historyczny nie wskazywał, żeby kiedykolwiek w tym miejscu istniały góry.

W skałach była wydrążona duża jaskinia, jednak tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak się tam dostać. Przybysz najwidoczniej był jednym z nich, bez problemu znalazł bowiem wejście do ciemnej, pachnącej wilgocią sali. Kiedy

tylko przekroczył próg, czyjś głos zwielokrotniony echem krzyknął:

- Hasło?!

- Mistyfikacja - szepnął przybysz.

Wtedy ciemności zostały rozświetlone przez lampę naftową. Wydobyta z mroku twarz strażnika wydawała się upiorna: niezwykle chuda, z długim nosem, wielkimi, głęboko osadzonymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi. Przybysz aż się zawahał przez chwilę, czy podążać za nim. Potem jednak ruszył pewnie, jakby znał każdy zakamarek jaskini.

- Jesteś ostatni - powiedział strażnik w momencie, gdy doszli do grupy ludzi zgromadzonej w kręgu. Potem zniknął, zupełnie jakby rozmył się w powietrzu.

- Nareszcie, mistrzu. Czekamy na ciebie - przywitał go brodaty mężczyzna w dżinsach i koszuli w kratę.

- Mówiłem ci, Arturze, żebyście zaczęli beze mnie. - Głos przybysza był gardłowy, dudniący. - Mnie wystarczy tylko raport z posiedzenia.

- Ależ, mistrzu, my bez ciebie jesteśmy jak...

- Milcz lepiej, żebyś nie powiedział za dużo! - zdenerwował się mistrz. - Właśnie sugerujesz, że beze mnie jesteście nic nie warcie! Czy to prawda?

- Ależ nie... Mistrzu... Nie o to mi chodziło... - Głos Artura drżał. - Miałem raczej na myśli, że bez ciebie nie podejmiemy żadnej decyzji. Musisz ją najpierw zatwierdzić.

Zbliżyli się do reszty zgromadzenia. Znajdowało się tam około piętnastu mężczyzn i pięć kobiet. Wszyscy byli ubrani

w dzinsy i kraciaste koszule z naszywką przedstawiającą przekreślony element puzzli. Siedzieli w kręgu na drewnianych krzesłach. Mistrz usiadł na ostatnim wolnym siedzeniu, takim samym jak inne.

- Mówcie - powiedział.

Zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli po sobie, nikt nie śmiał odezwać się pierwszy. W końcu przemówił Artur:

- Już wiemy, które to będzie dziecko.

- Brawo! - zaśmiał się ironicznie mistrz. - Coś jeszcze?

- Mamy kolejne zlecenia - odezwała się kobieta siedząca najbliżej mistrza.

- Kto to taki, Mileno? - spytał mistrz.

- Moja siostra - odpowiedziała.

- Czy ona wie o nas?

- Nie. To znana i szanowana lekarka. W życiu by się nie zgodziła, jakby wiedziała, jak to się odbywa.

- Bardzo dobrze - odpowiedział mistrz. - Ktoś jeszcze chce coś powiedzieć?

- Ja. - Z krzesła podniósł się młody chłopak, prawie dziecko.

- Co takiego? - Mistrz spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Mam wieści na temat szukających. Wpadli na nasz trop. Oni mają... To znaczy... wielu rzeczy się domyślają... - jękał się.

- Jak wielu, Franciszku? - Mistrz patrzył na chłopaka przeszywającym wzrokiem.

- Zbyt wielu - odpowiedział. Wreszcie odważył się

spojrzeć mistrzowi w oczy. - Przede wszystkim wiedzą, że te zaginięcia to nie kwestia przypadku, że dzieci nie trafiają niechcący do tych tuneli, ale że ktoś im w tym pomaga. A odkrycie, kto za tym stoi, to przy tak wysoko rozwiniętej intuicji tylko kwestia czasu.

Mistrz wstał. Zaczął chodzić po kręgu, od krzesła do krzesła.

- Jak - powiedział dobitnie - mogliście dopuścić do takiej sytuacji? To tylko i wyłącznie wasza wina, wasze niedopatrzenia! Już nie pamiętacie, czego was uczyłem? Atakować po cichu, z ukrycia. Objawić się tylko w ostateczności. Moja technika jest doskonała, to wy jesteście niedoskonali! Teraz musicie to naprawić, szybko, nie obchodzi mnie jak, ale musi być błyskawicznie!

- Mistrzu, przepraszam, że przerywam, ale widzę jedyne rozwiązanie tej sytuacji - odezwał się niski, przygarbiony człowieczek.

Mistrz spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Kontynuuj, proszę - powiedział łagodnie.

- Ktoś z nas musi zostać szpiegiem.

- Ha! I ja wiem kto! - wyrwał się Artur.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

- On! - Artur wskazał ręką na Franciszka.

- Ja? - Chłopiec zadrżał. - Ale dlaczego? Ja się nie nadaję!

- Właśnie doskonale się nadajesz - odpowiedział mistrz. - To już postanowione! Koniec zebrania na dziś! Teraz wyruszam w miasto. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech. -

Poinstruuje chłopaka, co ma robić - powiedział i wyszedł.
Czekała go piękna noc, tak piękna, że aż się niecierpliwił...



Tej nocy Marek spał bardzo niespokojnie. Szedł za jakąś dziewczyną, za żadne skarby nie mógł jej dogonić ani nawet zobaczyć jej twarzy. Widział tylko zarysy postaci, słyszał rozpaczliwe szepty:

- Obudź się, Marku! Musisz mi pomóc! Nie ma za dużo czasu! Otwórz oczy i chodź! Biegnij!

Otworzył oczy. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi. Nie mógł się uspokoić. Zacisnął mocno powieki.

- Chcę zasnąć, chcę zasnąć - powtarzał bez końca. Aż wreszcie, po kilkugodzinnych zmaganiach, zasnął. Znowu szedł za nią. Przez gęsty, ciemny las.

- Biegnij! - krzyczała dziewczyna.

- Ale dokąd? - próbował się dowiedzieć.

- Wystarczy, żebyś zaczął! Wzbudź w sobie pragnienie odnalezienia mnie, a wszechświat ci w tym dopomoże!

- Nie rozumiem! - odpowiedział. - Nie możesz mi po prostu powiedzieć, w którą stronę iść?

- Biegnij! - odpowiedział mu głos. - Biegnij!

Potem znalazł się w zupełnej ciemności. Nie widział dosłownie nic, aż się przestraszył. Jeszcze nigdy nie był w tak całkowitej ciemności, bez żadnej nadziei na światło.

- Biegnij! - usłyszał ostatnie słowa, które go przebudziły.

Zszedł na śniadanie przygnębiony, niewyspany. Nawet widok jajecznicy parującej na talerzu i prawdziwego kakao nie poprawił mu nastroju.

- A pani już po śniadaniu? - spytał kobiety, która siedziała po drugiej stronie stołu z kubkiem herbaty.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Ja na śniadanie tylko owsiankę jadam. Nie mam ochoty na nic więcej.

- Ja w sumie też. - Marek odpowiedział jej uśmiechem.

- No proszę! Nie wiedziałam! - zdziwiła się. - Mogę przygotować, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję, naprawdę. Ta jajecznica jest pyszna. Przez kilka godzin uchroni mnie przed głodem, co będzie mi dziś bardzo potrzebne.

- Ach tak... - Skinęła głową ze zrozumieniem. - Idziesz po nią. Najwyższy czas, najwyższy...

Marek aż przestał jeść ze zdumienia.

- Skąd pani to wie? - spytał.

- Wiem jeszcze więcej. Wiem, kim ona jest i dlaczego cię wzywa. No ale... Zabroniła mi mówić.

- Jak to... zabroniła?! Dlaczego nie mogę wiedzieć?! Może wcale nie mam ochoty jej szukać!

- Zrobisz, jak zechcesz - odrzekła poważnie. - Ale wpierw odpowiedz mi na jedno pytanie: czy byłeś i jesteś szczęśliwy? Jeśli odpowiesz twierdząco, wskażę ci drogę do

domu...

Mężczyzna zasepił się.

- Bardzo bym chciał, żeby moja odpowiedź była twierdząca - powiedział ze smutkiem - ale niestety tak nie jest.

Bywały dni, że nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Chodził z kąta w kąt. Próbował czytać, oglądać film, rozmawiać z dziećmi, wszystko na nic. Nie mógł się skupić, po prostu odpływał myślami nie wiadomo dokąd, martwił się bez powodu, odczuwał irracjonalny lęk. Żadna praca mu nie szła, rozbijał naczynia. Grażyna już się przyzwyczaiła. W te dni nauczyła się zostawiać go w spokoju, ponieważ żaden znany jej rodzaj pociechy nie skutkował.

Ostatnimi czasy te dni zdarzały się coraz częściej. Marek zaczął myśleć, że popada w depresję. Jako takie wytchnienie przynosił mu jedynie ciężki trening na siłowni albo całodniowa praca w ogródku. Tylko wysiłek fizyczny sprawiał, że był zbyt zmęczony, aby myśleć.

Przypomniawszy sobie mamę Grażyny. W chwilach najsilniejszych ataków depresji zawsze się zjawiała. Marek nieustannie się dziwił, dlaczego przychodzi akurat w takich momentach.

- Ta twoja depresja tak śmierdzi, że usiedzieć w domu nie mogę - śmiała się. - A wiesz, że to wszystko efekt braku bratniej duszy? - kontynuowała. Marek w tym czasie milczał, siedząc w bezruchu na fotelu w swoim gabinecie. - Już

najwyższy czas, żebyś wyruszył w podróż, Marek! Pobudka!

Marek tylko wzruszał ramionami i mówił:

- Babskie gadanie! - Bacznie się jednak przysłuchiwał, już nawet wchodził na stronę szukających (oczywiście ktoś niechcący zostawił karteczkę z adresem na jego biurku), już był blisko przebudzenia. I wtedy stało się to, właśnie to!

Kobieta pochyliła się w stronę Marka.

- Kiedy nie wiesz, gdzie iść, po prostu zamknij oczy i słuchaj.

- Niewiarygodne! - zdumiał się Marek. - Ta kobieta to samo mi powiedziała dziś we śnie!

- Śniłeś o niej... - stwierdziła w zamyśleniu. - To dobrze.

- Dlaczego obie musicie być takie tajemnicze?

Kobieta spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Marek, przecież ty doskonale wiesz, kim jest ta kobieta. Wiedziałeś od początku. Dlaczego nie możesz przyjąć tego do wiadomości?

- To brednie... - Skrzywił się.

- Cicho! - Kobieta przyłożyła palec do ust. - Złe licho nie śpi!

- Lepiej już pójdę. - Marek wstał od stołu. - Mam tylko jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

- Tak?

- Czy myśli pani, że szukanie rodziców ma jakiś sens?

Kobieta zamyśliła się.

- Czemu nie? - odpowiedziała po dłuższej chwili. -

Tylko... Hmm... Jeszcze czegoś ci nie powiedziałam. Mam prawo przypuszczać, że oni... że oni nie żyją.

- Co? Jakim cudem? Przecież te listy... A nawet brak wiadomości... U pani chyba szklanka do połowy pusta, prawda?

- Coś ci pokażę - odpowiedziała, wstając. - Chodź za mną.

Przeszli przez kuchnię i salon do dużego, ale bardzo zagraconego pokoju.

Kobieta zaprowadziła Marka pod okno.

- Spójrz na to. - Wskazała na wyschnięte rośliny stojące w doniczkach na parapecie.

- Chodzi pani o te kwiaty? Mogłaby je pani częściej podlewać...

- Tak myślisz? A ja ci powiem, że nie podlewam żadnego kwiatu wanilii. Jedne rozkwitają, inne przez cały czas trzymają fason, jeszcze inne powoli, ale skutecznie usychają. Od pewnego czasu, gdy ktoś mi bliski wyjeżdża, zasadzam roślinkę w nowej doniczce. I obserwuję, codziennie. Jeśli usycha, znaczy, że z tą osobą dzieje się coś niedobrego. Jak dotąd jeszcze ani razu moje kwiaty się nie pomyliły. A ten - wskazała na pierwszy z lewej strony - to był kwiat twoich rodziców. Całkowicie wysechł kilkanaście lat temu.

Marek wzruszył ramionami.

- Kwiat kwiatem, a człowiek człowiekiem - stwierdził. - Niech pani wierzy w swoje, ja tam dopóki nie zobaczę, nie uwierzę. I tyle.

Kobieta skierowała się ku wyjściu z pokoju. Machała

rękami, jakby chciała przegonić Marka.

- Więc idź! - niemalże krzyczała. - I szukaj! Tylko nie przychodź tu później żalić się, że nic nie znalazłeś!

Weszli do kuchni. Kobieta przygotowała Markowi z tuzin kanapek, dwie duże butelki wody, kilka konserw, gorzką czekoladę i paczkę cukierków - jak mówiła - na osłodę.

- Masz, niedowiarku! - powiedziała, wręczając mu plecak z jedzeniem. - Wrzuciłam ci tutaj też śpiwór i płaszcz przeciwdeszczowy. Mogą się przydać.

- A namiot się nie zmieścił? - próbował żartować Marek.

- Jest lato - odpowiedziała kobieta poważnie. - A ty nie jesteś rozpuszczalny.

- A jeśli jestem...?

- Dość już tego! - zdenerwowała się. - Przypominasz mi mojego własnego syna. Pyskował, kiedy tylko sytuacja mu pozwalała, a potem uciekł na drugi koniec świata i nawet listu nie napisze, nic. Hultaj jeden! Zaraz, zaraz. Ale ja mam przecież parędziesiąt kilometrów stąd córkę! Dam ci jej adres, może akurat będziesz w okolicy... Momencik, tylko zdobędę gdzieś kartkę i długopis. A to nie jest takie łatwe, bo długopisy to ja zawsze gubię! - Roześmiała się.

Faktycznie, nie było jej dobrych dziesięć minut. Marek rozważał już nawet wyjście bez pożegnania.

- Już niosę! - krzyczała z daleka. - Proszę, oto adres. - Podała Markowi świstek papieru. Zerknął na to.

- Wyszkowice, tak? - spytał. - Trochę to nieczytelne, ale jakoś sobie poradzę. - Schował kartkę do kieszeni spodni. - Dziękuję bardzo za wszystko. - Podał kobiecie dłoń.

- Dla ciebie też zasadzę roślinkę - odpowiedziała tylko i pomachała mu ręką.

Długo się wahał, w którą stronę iść. W końcu skierował się w lewo, ponieważ stwierdził, że choć przez chwilę będzie miał poczucie, że wraca do domu. Po półgodzinnym marszu okazało się, że brama do parku, przez który chciał przejść, jest zamknięta, a na dodatek obok niej najspokojniej w świecie śpi sobie jeź.

- Panie jeżu! - zaśmiał się Marek. - Pobudka! Ktoś chciałby wejść przez bramę! - Zwierzę jednak nic sobie nie robiło z jego słów. W końcu Marek odważył się delikatnie dotknąć jeżowych kolców. - No idź stąd, leniuszku - przekonywał. Wtedy jeź łypnął na niego groźnie jednym okiem i rozłożył się jeszcze bardziej. - Zaraz, zaraz - myślał głośno Marek - a jeśli to ten znak? - Rozejrzał się wokoło, chrząknął. - Wszechświecie! Wskaż mi, w którą stronę powinienem iść - mówił, udając powagę. - No i co? - Znów się rozejrzał. - Nic? Niemożliwe!

W tym momencie spojrział na jeża i momentalnie przestał się śmiać. Zwierzę zmieniło kierunek o dziewięćdziesiąt stopni. Wskazywało w stronę, z której Marek przyszedł. Mało tego, jeź bardzo, ale to bardzo, przypominał w tym momencie strzałkę.

- Zacznę chyba podejrzewać - stwierdził Marek, idąc w kierunku, na który wskazywała strzałka - że to kobiety częściej mają rację.



Dziewczynki pakowały się do wakacyjnej szkoły chyba przez tydzień. Musiały przecież dopilnować, żeby ubranie, które weźmie jedna, nie zostało zabrane również przez drugą. Niestety miały bardzo dużo takich samych ciuchów, więc to zadanie było niezwykle skomplikowane.

- Prawie jak układanie puzzli - żartowały dziewczynki.

W końcu udało im się wszystko pogodzić. Były gotowe.

- Musicie wyjeżdżać? - spytała mama ze smutkiem. - Najpierw tata, teraz jeszcze wy... Dobrze, że chociaż Pyza zostanie ze mną. - Przytuliła najmłodszą córkę.

- Mamusiu, ja też bym chciała z siostruniami! - Pyza zrobiła skrzywioną minkę. - Z tobą będę się nudzić!

- No wiesz co? - skarciła ją Gosia. - Mamie na pewno zrobiło się przykro!

Pyza od razu podbiegła do mamy i mocno ją przytuliła.

- Kocham cię! - powiedziała. - Ale wiesz, ty jesteś dla mnie za stara do zabawy!

Grażyna się zaśmiała.

- Wiem, dziecko, wiem. Ale kto by się mną zajął, jakbyś odjechała? Czy myślisz, że tylko dzieci potrzebują opieki? Ja również jej bardzo potrzebuję.

- No dobra - zgodziła się Pyza wspaniałomyślnie. - Ale w takim razie musisz się mnie słuchać!

Wszystkie się zaśmiały. Śmiały się tak bardzo, że przez chwilę zapomniały, co je czeka.

- Już spakowane? - Do domu wkroczyła babcia. - Znaczą się dopiero, bo tak guzdrających się dzieci w życiu nie widziałam! Ale to nic, szkoła was wszystkiego nauczy. Za dwa miesiące będziecie nie do poznania.

- Czy one muszą...? - zaczęła Grażyna, ale babcia jej brutalnie przerwała.

- Oczywiście, że muszą! To jest ich obowiązek! Wobec was, ojca, a nawet całego społeczeństwa! No, może trochę przesadzam - dodała wesoło - ale faktem jest, że muszą. I bez dyskusji!

- Mama wie lepiej - odpowiedziała Grażyna. - Ja tam nigdy nie rozumiałam, o co chodzi w tych szukających, puzzlach... i Bóg jeden wie, w czym jeszcze.

- Ale bratnią duszę znalazłaś.

- Wiem, mamó, że to dzięki tobie. I bardzo ci dziękuję. Tylko nie każ mi być wdzięczną za to, że znów czeka mnie to samo, co musiałam przeżywać jako dziecko swojej matki. Twoje nocne misje, kiedy siedziałam w oknie i czekałam, aż wrócisz, bo ze zmartwienia nie mogłam spać. Jeśli z moimi dziećmi będzie tak samo, to podziękuję za to.

- Jeśli cię to pocieszy, nocne misje są tylko dla dorosłych

szukających. Ale dziewczynki czeka teraz coś dużo ważniejszego i, moim zdaniem, znacznie bardziej niebezpiecznego.

- Babciu! - syknęła Ania. - Teraz mama nas nie puści!

- Oczywiście, że was nie puszczę - powiedziała twardo Grażyna. - Nie chcę, żeby moje córki narażały się na niebezpieczeństwa. Od tego są dorośli, a nie takie małolaty!

- Widzisz? - powiedziała Gosia, patrząc na babcię z wyrzutem.

- Moim zdaniem - odpowiedziała spokojnie Paulina - mama musi znać prawdę na temat swoich dzieci, choćby miało to doprowadzić do takiej sytuacji. - Podeszła do Grażyny. - Dziecko kochane, czy kiedykolwiek zawiodłam twoje zaufanie? - spytała łagodnie. Grażyna pokręciła głową. - No właśnie. I tym razem obiecuję ci, że twoje córki wrócą do ciebie całe i zdrowe. Razem z Markiem. I może jeszcze z kimś - dodała tajemniczo. - Czy mi wierzysz?

- Tak - odpowiedziała Grażyna. - Ale dziewczynek nie puszczę.

- To jest ostatnie twoje słowo?

- Tak. - Grażyna dumnie uniosła głowę do góry.

Babcia się roześmiała.

- No, no, upór to masz po mamusi! Wiesz, że nie pozostawiasz mi wyboru?

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, Grażyna z Pyzą już siedziały w kuchni na krzesłach ze związanymi z tyłu rękami.

- Mamo, przestań się wygłupiać! - krzyczała Grażyna. -

Rozwiąż nas! Kto to widział, żeby własna matka...

- Oj, przestań krzyczeć! Przecież za piętnaście minut do was wrócę! - odpowiedziała. Potem spojrzała na dziewczynki i dodała: - No, może za pół godziny. Musimy jeszcze dokupić parę rzeczy.

- Nie za mocno je związałaś? - martwiła się Gosia. - A jak im krew nie dopłynie do dłoni?

- No coś ty, Gosiu! - zaśmiała się babcia. - Za kogo ty mnie masz? Gdyby naprawdę chciały, same bez problemu by się oswobodziły.

- Ale to była akcja! - śmiała się Ania. - Jak ty to zrobiłaś? Jak one się znalazły na tych krzesłach?

- Przecież siedziałyśmy w kuchni, nie pamiętasz? - Mrugnęła do niej babcia.

Doszły właśnie do centrum miasteczka. Panował tu wyjątkowo duży, jak na tak małe miasto, ruch.

- Co tu się dzisiaj dzieje? - zdziwiła się Gosia.

- Sobota. Dobrze, teraz wchodzimy do księgarni. Tylko nie rozpraszać się nigdzie, chodźcie blisko mnie. Nie ma czasu na głupoty.

Dziewczynki oczywiście nie posłuchały babci. Zanim zdążyła zareagować, zobaczyła je, jak pędzą do stoiska z książkami fantastycznymi.

- Natychmiast do mnie! - W głowie Gosi zabrzmiał przeraźliwy, piskliwy głos. - Bo zaraz wyjdę i już nie wrócę!

Dziewczynka aż podskoczyła w miejscu, słysząc babciny głos w swojej głowie. Pierwszy raz przeżyła coś takiego.

- Chodź, Ania, wracajmy. - Wyrwała siostrę z letargu,

w którym pogrążyła ją lektura kolejnego tomu o Harrym Potterze.

- A dlaczego? - spytała Ania, nie odwracając oczu od książki.

- Zgadnij! - Gosia zabrała książkę z rąk siostry i odłożyła ją na półkę. - Idziemy!

Babcia pokazywała ręką, co dziewczynki mają wyjąć z półki i umieścić w koszyku. *Sztuka nawigacji, Psychologia ogólna, Psychologia zagubienia, Intuicja - ćwiczenia praktyczne* i kilka innych opasłych tomisk z różnych dziedzin. Dziewczynki patrzyły na rosnącą górę rzeczy w koszyku i były coraz bardziej przerażone.

- Może już starczy? - pytały co rusz ze śmiechem. - Babciu, to tylko dwa miesiące!

- Ale za to jakie! - odpowiedziała i mrugnęła znacząco lewym okiem. - No dobrze, to by było na tyle.

- I gdzie my to teraz włożymy? - zmartwiła się Ania.

- Każda weźmie po trzy książki i po sprawie. Widzicie, jak to dobrze, że jesteście dwie?

Z wielkim trudem udało im się upchnąć książki do mocno już załadowanych plecaków. Potem babcia zaprowadziła je na dworzec autobusowy. Duży, przestronny i obskurny, pełen dziwacznych metalowych konstrukcji i ludzi czekających na podróż, niecierpliwie przemierzających chodnik w tę i z powrotem, jakby nie mogli się doczekać tej drogi, która zawsze może doprowadzić do czegoś nowego, może

lepszego.



- Widzicie ten kolorowy autobus cały zaklejonny puzzlami?
- Rzeczywiście! - krzyknęła Ania - Jejku! Nawet oni muszą się reklamować!

- Bo chcą, żeby każdy wiedział. Lepszego sposobu niż reklama nie ma. Niestety. Mniejsza z tym. Idźcie tam. Opiekunowie was znają. Ja muszę się śpieszyć z powrotem, bo... Wiecie, dlaczego. No, pa, pa. Tylko jeszcze dajcie po cmokasku.

Dziewczynki pocałowały babcię, każda w inny policzek.

- Ja się chyba trochę... boję - szepnęła Gosia, kiedy były już w drodze.

- Nie bój się. - Ania objęła siostrę. - Przecież jesteśmy dwie.

Babcia wyszła z dworca i dosłownie zapomniała, co miała zrobić, dokąd iść. Przez piętnaście minut stała w miejscu i próbowała sobie przypomnieć. Nie mogła. Jakby ktoś ją uwięził za krystalicznie czystą szybą i śmiał się z jej bezsilności. Tak się czuła. Wydawało jej się cały czas, że słyszy śmiech, jeden z tych, które nie wróżą niczego dobrego. Zaczęła iść szybko, żeby go odpędzić, lecz on włókł się za nią jak bezpański pies. Przez długi czas siłowała się z zamkiem w drzwiach do swojego domu, żaden klucz zdawał się nie pasować. Dopiero za którąś z kolei próbą drzwi odpuściły. Kobieta od razu skierowała się do sypialni. Stwierdziła, że musi poleżeć przez kilka minut, zebrać siły i myśli. Zamknęła za sobą drzwi, uchyliła okno, bo zrobiło jej się duszno. W ubraniu położyła się na pościeli, zamknęła oczy i wtedy sobie przypomniła. Zerwała się z łóżka. Próbowwała otworzyć drzwi, lecz te nie chciały puścić. Szarpała z całej siły, lecz w końcu dała sobie spokój. Drzwi zatrzasnęły się na amen. Wtedy znów usłyszała ten śmiech, tym razem znacznie bliżej, jakby tuż za jej plecami. I w tym momencie zatrzasnęło się okno, a w środku, w jej pokoju, stał mężczyzna! Kaptur zakrywał większą część jego twarzy, lecz Paulina wiedziała, że skądś zna ten drwiący uśmiech, to

spojrzenie przykryte półcieniem. Wiedziała również, że właśnie została więźniem w swoim własnym mieszkaniu.

Mężczyzna stał nieruchomo, jakby w każdej chwili gotowy do skoku. Żaden mięsień jego ciała nie drgnął, tylko oczy bacznie obserwowały każdy ruch Pauliny.

Kobieta najspokojniej w świecie usiadła na brzegu łóżka, tyłem do przybysza.

- Czego chcesz? - spytała z mocą.

- Tak po prostu? - odpowiedział mężczyzna. - Spodziewałem się cieplejszego przywitania, po tylu latach. Przecież byliśmy...

- Nie przypominaj mi! - ostro przerwała mu kobieta. - Mów, czego chcesz, i wynocha!

Mężczyzna zdjął kaptur. Twarz miał gładką, pozbawioną zmarszczek. Gniewnym gestem odrzucił długie, siwe już włosy do tyłu i majestatycznym krokiem podszedł do Pauliny.

- Kultura nakazuje - powiedział dobitnie - żeby patrzeć na rozmówcę.

- Tym bardziej zabrania łotrom wtargnięcia do obcego domu i uwięzienia jego gospodyni - powiedziała, patrząc mu w oczy z pogardą. Zobaczyła w jego spojrzeniu tylko gniew.

Ponad trzydzieści lat temu zobaczyła w oczach mężczyzny gniew. Przesłaniał wszystko inne, jakby wypalał od środka. Przestraszyła się wtedy nie na żarty. Wydało jej się, że tak naprawdę nie zna tego człowieka, chociaż spędziła z nim wiele lat swojego życia, w różnych sytuacjach. Wiedziała, że

od tej chwili może być tylko gorzej. To tak, jakby kazać człowiekowi jednocześnie pić sam ocet i się uśmiechać. Gniew zmienia ludzi. Przystają czynić dobro, zaczynają kombinować. Są łatwym łupem dla sekt, mafii, każdej grupy społecznej, w której nareszcie poczują się docenieni.

Nie, on nie był złym człowiekiem. Troszczył się o dzieci, naprawdę się starał. Ale potem, jak nie mógł znaleźć pracy, ech, szkoda gadać... Teraz chyba nawet zwą go mistrzem. Pewnie od siedmiu boleści, bo nawet chleba nie umie porządnie pokroić!

- Z czego się śmiejesz? - spytał mężczyzna.

- Jesteś mistrzem, tam? - Kobieta nie przestawała się śmiać.

- Radziłbym ci zacząć się bać! - Mężczyzna nagłym ruchem wyciągnął z kieszeni płaszcza dużą przezroczystą kulę i położył ją na dłoni. - Czy wiesz, co to jest? - Wyciągnął rękę w stronę Pauliny. W środku znajdowała się układanka. Mnóstwo świetlnych punkcików odbijało się od ścianki do ścianki, jakby w panice szukały wyjścia. Paulina próbowała chwycić kulę, lecz mężczyzna błyskawicznie schował ją z powrotem do kieszeni.

- Jesteś szybszy - stwierdziła Paulina beznamiętnie.

Mistrz się roześmiał.

- Nie martw się, ta kula to tylko atrapa, ale powinnaś wiedzieć, że przez te wszystkie lata opanowałem mechanizm funkcjonowania świetlnej układanki do perfekcji. Jedyłą

przeszkodą na drodze do pełnej kontroli nad światem tak zwanych zagubionych jesteś ty.

Paulina znów spojrzała mu pogardliwie w twarz.

- Mogłeś żyć jak człowiek - odpowiedziała tylko.

Zaśmiał się. Paulinę znów przeszył dreszcz. Męczyzna śmiał się jakby zza grobu, echo odbijało się od ścian, nakładało się kilka głosów jednocześnie. Przerazające.

- Wolałem żyć jak król! - krzyknął ze śmiechem. - A ty mogłaś ze mną, ale nie! Przecież musiałaś pozostać wierna tak zwanym zasadom! I co one ci dały?

- Jestem szczęśliwa - odpowiedziała tylko. A potem wstała. Podeszła tak blisko mężczyzny, jak tylko to było możliwe. Sięgała mu jedynie do ramion. - A teraz powiedz mi, draniu - mówiła z mocą - gdzie się podziewa mój zięć?

- Cha! Cha! - zaśmiał się. - Tu cię mam! No więc - chodził po pokoju powolnym, majestatycznym krokiem - możemy się jakoś dogadać! Ty mi udostępnisz pokój świetlnej układanki, ja ci zdradzę miejsce pobytu twojego zięcia. Co ty na to? - spytał łagodnie, patrząc w jej nieustraszone zielone oczy.

- Poradzę sobie bez ciebie! - odkrzyknęła kobieta.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby mieli nadzieję, że jednak któreś w końcu ustąpi.

- On nie wróci - przerwał ciszę mistrz. - Wiesz, że się o to postaram. Radzę ci więc dobrze się zastanowić nad ostateczną odpowiedzią.

Paulina usiadła zrezygnowana na łóżku.

- Nie wierzę, żebyś był do tego zdolny.

Wtedy rozległ się huk. Kobieta miała wrażenie, że łóżko się pod nią zapada. W uszach słyszała tysiące uderzeń dzwonów, dopiero po dłuższym czasie była w stanie świadomie rozejrzeć się po pokoju i odkryć przyczynę hałasu. Na dywanie koło okna leżał gołąb. Jego białe piórka plamiła czerwień tak intensywna, że mogła nią być tylko krew. Paulina spojrzała na mistrza. Stał spokojnie, tylko kaptur na nowo przykrył większą część jego twarzy.

- Mówiłem, że ze mną nie ma żartów - stwierdził.

- Gołąb to nie człowiek - odpowiedziała trzeźwo, choć można było wyczuć w jej głosie nutkę wahania.

- W takim razie co powiesz na to? - Mężczyzna błyskawicznie złapał ją od tyłu, boleśnie wykręcił jej rękę i przyłożył pistolet do skroni.

Paulina zaczęła się wyrywać.

- Puść mnie ty, ty morderco! Czego ode mnie chcesz? No czego?

Mężczyzna wyszedł z pokoju, pchając przed sobą Paulinę.

- Dobrze, że to blisko. Ciężka jesteś jak nie wiem! Chyba sobie nieźle dogadzasz, co?

- Co cię to obchodzi? - Paulina podjęła ostatnie próby wydostania się z rąk mistrza.

- No, no, no... - śmiał się mistrz. - Nie wyrywamy się, ptaszynko! Bo będzie bolało jak skurczybyk!

Pokój ze świetlną układanką znajdował się naprzeciwko sypialni. Tak naprawdę był bardzo, bardzo blisko niej, zaledwie dwa kroki. Jeśli jednak trzeba było udźwignąć

dotatkowe siedemdziesiąt kilo, czas przejścia zdecydowanie się wydłużał. Mistrzowi zabrało to pięć minut.

- No, nareszcie! Właż pierwsza! - krzyknął, gdy w końcu dotarli do celu.

W pokoju nic nie było widać. Jedyne, bardzo skąpe źródło światła pochodziło z korytarza.

- Teraz pstryknij! - wrzasnął mistrz. - No pstrykaj albo nacisnę spust.

- Zrób to - odpowiedziała Paulina szeptem - a już nigdy się nie dowiesz!

Mistrz się roześmiał.

- Przecież nie jesteś jedyną osobą, która posiada takie umiejętności! Znajdę sobie inną, mądrzejszą!

- Powiesz mi, gdzie jest mój zięć - szeptała Paulina - a ja uruchomię dla ciebie układankę. Zgoda?

- Nic z tego. Nie ułatwię ci zadania. Jeszcze wpadniesz na trop tego, czego nie trzeba, a wtedy już nie będzie śmiesznie! Właściwie - mocniej wykręcił Paulinie rękę, aż ta jęknęła z bólu - to już teraz powinienem cię zabić. Ze wszystkich moich wrogów właśnie ciebie bym się obawiał najbardziej. Za szybko kojarzysz fakty.

- To na co czekasz? - zachrypiała Paulina.

- Nie, nie, nie. Jak ty byś to powiedziała... Sumienie mi nie pozwala! Ale może zaciekawi cię fakt, że mam swoich informatorów w szkole dla początkujących szukających... Wystarczy, że kiwnę palcem, i twoje ukochane wnuczki znikną na zawsze!

Kobieta zaczęła szybko oddychać.

- Czego żadasz? - spytała.

- Żebyś zawsze, kiedy tylko zechcę, uruchamiała dla mnie świetlną układankę.

- Zrobię to! - zdecydowała nagle kobieta. - Zrobię, tylko nic im nie rób! A teraz mnie puść! - dodała głosem nieznanym sprzeciwu.

- Dobrze, ale wiesz, co cię czeka, jeśli wykonasz jeden niewłaściwy ruch?

Skinęła głową. Mistrz puścił ją, ale nadal stał bardzo blisko.

- Nie wierzę, że nie ma w tobie dobra - powiedziała Paulina i pstryknęła palcami.



Grażyna nie wiedziała, co ma robić. Właśnie zegar kolejny, chyba czwarty, raz wybił nową godzinę. A one dalej siedzą przywiązane do krzeseł. I nic nie wskazuje na to, że sytuacja się zmieni. Ten czas jest jak wieczność, każdy szelest staje się nadzieją, która bardzo szybko przekształca się w zwątpienie. Grażyna próbowała już wszystkiego: krzyczała, waliła krzesłem w podłogę. Jedyne, co tym osiągnęła, to porysowane panele i zdarty głos. Potem wołała już tylko w myślach mamę, męża, dzieci, swoją bratnią duszę - Tomka - i kogo jeszcze sobie przypomniwała. Pyza znosiła swoje więzienie znacznie bardziej bohatersko. Po kilku próbach wywołania wielkiego hałasu najzwyczajniej w świecie zasnęła sobie na krześle. Jej główka raz podnosiła się, raz opadała, zataczając tym samym koło. To jednak wcale nie przeszkadzało Pyzie trwać w twardym niedźwiedzim śnie.

W pewnym momencie Grażyna usłyszała pukanie do drzwi, najpierw delikatne, potem jednak, gdy nikt nie otwierał - coraz mocniejsze, wręcz nachalne. Zaczęła

krzyczeć: „Ratunku!” Nie dosłyszała nawet otwierania drzwi ani kroków na korytarzu.

- I po co tak krzyczysz? Rozumiem, że dawno mnie nie widziałaś, ale aż tak się zmienilem? - Przed Grażyną stał uśmiechnięty od ucha do ucha Tomek, jej bratnia dusza. Był niski, okrągłutki i zawsze uśmiechnięty. Sprawiał wrażenie szalenie sympatycznego człowieka. I taki był.

- Tomek? - spytała kobieta ze zdziwieniem. - Co ty tu robisz? Przecież nigdy nie wpadasz tak bez uprzedzenia...

- Ładne mi przywitanie! - zaśmiał się. - Ale dlaczego w sumie jesteście przywiązane do krzeseł?

- Chciałyśmy przeżyć nową przygodę - z przekąsem odpowiedziała Grażyna. - Tak na poważnie to urządziła mnie tak moja własna matka. I na dodatek porwała mi dzieci!

Tomek wybuchnął śmiechem.

- To brzmi coraz bardziej nieprawdopodobnie!

- A jednak - westchnęła Grażyna - to prawda. Ale nie patrz tak, tylko rozwiąż nas wreszcie. Siedzimy już na tych krzesłach parę ładnych godzin!

- Dobra, już, już. Muszę się jednak wpierw na was napatrzeć - zaśmiał się. - To taki niecodzienny widok! - Błyskawicznie uporał się z węzłami. - Trochę mnie dziwi, że same nie potrafiłyście się rozwiązać. Przecież to prościzna!

- Mam więc nadzieję, że następnym razem mama wykręci taki numer tobie! - odpowiedziała Grażyna złośliwie. - Dopiero będziesz miał pole do popisu!

- No! - Klasnął w dłonie. - Wtedy zawołam cię na pomoc, tak jak ty zrobiłaś to dzisiaj!

Grażyna się zdziwiła.

- Jak to? - spytała. - Jakie „zawołam”? Ja cię przecież wcale nie wołałam!

Spojrzał na nią z wyrozumiałym uśmiechem.

- W myślach też nie? - spytał. - Przez te kilkadziesiąt lat naszej znajomości nie odkryłaś, że jesteśmy jak bliźniaki? Czemu dzwonisz do mnie zawsze, gdy mam zły humor? Po jednej nucie rozpoznajesz, w jakim jestem nastroju? Bezbłędnie wychytujesz, kiedy mnie coś gnębi, kiedy bawi?

- Popatrz, Pyza dalej śpi! - Pogładziła dziewczynkę po włosach. - Jakie fajne to moje najmniejsze dziecko. Szkoda, że musi dorosnąć...

- Czemu nie odpowiadasz? - Tomek wyjął sok pomarańczowy z lodówki, nalał do dwóch szklanek, jedną podał Grażynie, a drugą postawił na kuchennym stole. Usiadł na krześle, które jeszcze niedawno więziło Grażynę.

- Jakoś mi ciężko to... ogarnąć - odpowiedziała.

- To się po prostu czuje.

- Ale dlaczego nie przyjechałeś, kiedy zniknął mój mąż?

- A zawołałaś mnie?

- Kręci mi się w głowie od tego wszystkiego - powiedziała, idąc w kierunku salonu. Tomek poszedł za nią. - Znika Marek, wyjeżdżają dziewczynki, własna matka więzi mnie na krześle, a na koniec jeszcze dowiaduję się, że czytasz mi w myślach! - Opadła na kanapę. - Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć?

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Tak, znajdź mojego męża - odpowiedziała z rezygnacją.

Nagle uświadomiła sobie, że Tomek ma rację. Odkąd pamięta, pojawiał się, kiedy pakowała się w jakieś tarapaty. Kiedyś z koleżankami wybrała się na pobliską górkę pojeżdżać na krótkich nartach. Na rozjeżdżonych partiach śnieg dawno zamienił się w lód. Dziewczynki zjeżdżały po tym lodzie na stojaka, jedna za drugą. Grażyna jednak postanowiła być oryginalna i... zjechała tyłem, na stojąco. Skończyło się to rozbitym nosem. Krew leciała ciurkiem, wcale nie chciała przestać. I wtedy Grażyna pomyślała o Tomku - że mógłby tu być teraz, w tej chwili, i zaprowadzić ją do domu. Nie minęło nawet dziesięć minut, a on się zjawił. Grażyna pomyślała wtedy, że właśnie doświadczyła magii. Teraz już wie, że całe jej życie to świadectwo cudów. Tylko trochę późno to odkryła. Ale przecież lepiej późno niż wcale. Żeby jej Marek mógł słyszeć, co myśli... A gdyby tak mocno, mocno się skoncentrować tylko na nim? Może akurat to zadziała?

- Grażynko! - Głos Tomka przywrócił ją rzeczywistości. - Jak chcesz, mogę go poszukać. Tylko jak?

- No właśnie nie mam pojęcia. - Rozłożyła ręce.

- Ja wiem! - odezwała się Pyza ze swojego krzesła. - Tylko obiecajcie, że nie będziecie się śmiać! Dajecie słowo?

- Słowo! - odpowiedzieli chórem, patrząc na siebie znacząco.

Pyza wybiegła z kuchni i za chwilę wróciła z plikiem kartek. Dała je mamie.

- Była burza. Tak bardzo się bałam. Zaczęłam wtedy modlić się do Boga, żeby powiedział mi, gdzie jest tatuś, bo strasznie za nim tęsknię i nie ma mnie kto tak fajnie pocieszyć w trakcie burzy. Coś się wtedy zaczęło dziać, nie wiem... Chyba zasnęłam, a jak się obudziłam, leżały przede mną te rysunki.

- To na pewno twoje, poznaję twój styl - powiedziała ze śmiechem mama. - Na każdym jest to samo drzewo. I tylko drzewo. Co to ma znaczyć? Chyba Marek nie zamienił się w drzewo? - W skupieniu popatrzyła na Tomka. - To niemożliwe, prawda? Powiedz, że nie...

- Jasne, że nie. - Tomek pogładził ją po ramieniu. - Przecież to jest drzewo z naszego parku. Podobieństwo jest uderzające. Niby tylko parę kresek, a jednak. Masz talent, mała - zwrócił się do Pyzy.

- Co to ma znaczyć? - dopytywała się Grażyna.

- Proponowałbym, żebyś zapytała mamy. Z nas wszystkich to ona wie najwięcej.

- Masz rację. Muszę do niej iść, i to teraz. Popilnujesz Pyzy?

- Nic z tego - Tomek pokręcił głową. - Przecież obiecałem, że ci pomogę znaleźć Marka. I dotrzymam słowa. Idziemy wszyscy!



Bolały go stopy. Tak bardzo, że co chwila musiał przysiądać na trawie i je rozmasowywać. Obiecał sobie, że kiedy to wszystko się skończy, nareszcie kupi sobie drogie adidasy. Zawsze szkoda mu było pieniędzy, wolał wydać je na nową książkę, ale tym razem nie odpuści. Słońce szybko przemierzało horyzont, było coraz niżej, a las, przez który Marek szedł od dobrych pięciu godzin, jakoś nie mógł się skończyć. Co będzie, jeśli ciemność złapie go w tym nieprzyjaznym gąszczu? Jedyne pocieszeniem było to, że Marek był kiedyś harcerzem, umiał rozpalać ognisko, robić szałas. Nie bał się. Było mało prawdopodobne, że spotka się oko w oko z dzikim zwierzęciem.

W chwili, kiedy horyzont nieomal połączył słońce, Marek uznał, że najwyższy czas przygotować nocleg. Zebrał drzewo na opał, a miejsce, gdzie miał zamiar się położyć, dokładnie oczyścił z szyszek i igieł. Wbrew sobie poczuł, że jest prawie szczęśliwy. Był znowu harcerzem na obozie, przygotowywał z kolegami wielkie ognisko. Bardzo chcieli, żeby ogień

przewyższała drzewa, ale nigdy im się nie udało. Za to dziewczyny krzyczały z uciechy, niektóre ze strachu, można było tę wybraną bezkarnie przytulić, pocieszyć. Marek uśmiechnął się do swoich wspomnień. Tak, to były czasy.

Ułożył drewno na palenisku w sposób harcerski. W środku łatwopalne szyszki, drobne gałązki z iglastych drzew, na to szalas z grubszych patyków. Potem tylko wrzucamy jedną zapalną i gotowe. No nie, tym razem nie udało się jedną! Ale drugą już tak! Niezły wynik jak na lata bez ćwiczeń! Marek aż zatarł ręce z radości. Usiadł na trawie i dopiero wtedy zauważył, że jest już zupełnie ciemno. Przy ognisku było jednak całkiem przyjemnie, tylko troszkę za gorąco. Marek z westchnieniem ulgi zdjął buty i skarpety. Potem usmażył na ognisku kielbasę, zagryzł ją chlebem i popił wodą. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak mu smakował posiłek. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął nucić harcerskie piosenki.

- Płonie ognisko w lesie, wiatr smętną piosnkę niesie... - śpiewał półgłosem. Kiedy powieki same zaczęły opadać, stwierdził, że czas spać. Dołożył sporo drewna do ogniska i zakopał się w śpiworze. Był pewien, że kiedy ogień przygaśnie, obudzi go zimno.

Jak tylko zamknął oczy, zobaczył Grażynę.

- Gdzie jesteś? - pytała. - Strasznie się martwię. Chcielibyśmy cię znaleźć, ale nie wiemy, od czego zacząć. Odezwij się!

Obraz zaczął przygasać, na twarzy Grażyny Marek zobaczył wysiłek i zmęczenie.

- Czeka! - krzyknął. - Jestem w tym drugim świecie! Sam wrócę niedługo, zobaczysz! - Przy ostatnich jego słowach twarz Grażyny zniknęła zupełnie. Marek otworzył oczy. Przekręcał się z boku na bok, zastanawiając się nad tym, czy Grażyna usłyszała jego słowa. Poślanie okazało się strasznie niewygodne, mógł wyczuć każdą przeoczoną igielkę, zresztą było tak twardo, że bolały go wszystkie kości. Nie, tej nocy chyba już nie zaśnie... I wtedy właśnie sen spłynął na niego jak błogosławieństwo.

Dwie godziny później obudził się znowu. Tym razem wyrwały go ze snu kroki tak głośne, że miał wrażenie, iż drży pod nimi ziemia.

- Dobry wieczór, a właściwie dobranoc. - Do ogniska podszedł mężczyzna cały ubrany na czarno, w kowbojskim kapeluszu. Marek nie mógł dojrzeć szczegółów jego twarzy, wydawało mu się jedynie, że przybysz nie jest już młody. - Czy mogę się przysiąc?

Marek lekko kiwnął głową z nadzieją, że mężczyzna tego nie zobaczy. Przeczuwał, że nie powinien mu ufać. Mężczyzna musiał jednak zauważyć ten znak, bo ochoczo zaczął dorzucać drewna do paleniska i dmuchać w iskry, żeby je na nowo rozpalić. Kiedy osiągnął zadowalający efekt, usiadł na trawie naprzeciwko Marka.

- Widzę, że nie jesteś zadowolony z mojej wizyty... - Przybysz usiłował zagaic rozmowę. Głos miał nosowy, nieprzyjemny. - Jeśli pozwolisz, prześpię się tutaj i o świcie ruszę dalej. Noc mnie zastała w lesie, a jak sam wiesz, to nic przyjemnego.

- Nie mam nic przeciwko. - Marek starał się być miły. - Ognisko jest duże, a na trawie mnóstwo miejsca. Proszę się rozgościć.

- Dziękuję.

Marek zadrżał. Głos przybysza był całkowicie pozbawiony emocji. Mówił jak zaprogramowana maszyna.

- Tak w ogóle nazywam się Zygmunt.

- Marek.

- Miło mi.

Marek skinął głową.

- Masz może coś do jedzenia? - spytał przybysz, chociaż ciężko było uznać to za pytanie. W jego głosie nie było pytańników, wykrzykników, był jednostajny jak zamrażnięte jezioro.

- Kiełbasę. Chcesz?

- Jasne. To najlepsze jedzenie, jakie może przytrafić się wędrowcom. Wiesz coś o tym, prawda?

- Zapraszam tu bliżej - odpowiedział Marek.

Zygmunt ochoczo wstał i tym razem usiadł bardzo blisko Marka. Ten wręczył mu kiełbasę nabitą na kij. Wreszcie mógł się dokładnie przyjrzeć twarzy przybysza. Była ogorzała, lecz gładka. Niemłody już wiek zdradzały jedynie kurze łapki wokół zmrużonych oczu, które patrzyły badawczo; Markowi wydawało się, że nieomal pogardliwie. Ta twarz nie wzbudzała sympatii, lecz niepokój. Marek wiedział, że skądś zna tego człowieka, na pewno już gdzieś go widział, tylko gdzie? I jak to możliwe, że w tym nowym dla niego świecie znowu kogoś zna?

- My się znamy? - spytał, nie oczekując odpowiedzi.

Zygmunt spojrzał na niego, jeszcze mocniej mrużąc oczy, jakby próbował przeniknąć jego myśli.

- Niby skąd? - spytał tylko i zajął się jedzeniem. Dopiero jak przeżuł ostatni kęs, na nowo zagaił rozmowę: - Wolno spytać, dokąd zmierzasz?

- Pytać zawsze wolno - odpowiedział Marek. Milczał przez chwilę, potem podjął temat na nowo, jakby się zdecydował zdradzić tajemnicę. - Szukam kogoś.

Wyglądało na to, że odpowiedź Marka bardzo poruszyła Zygmunta. Wstał, zaczął chodzić niespokojnie w tę i z powrotem.

- Ostatnio przytrafiło mi się coś dziwnego - powiedział. - Stałem sobie na chodniku, to było bodajże w Białymstoku. W pewnym momencie z ogromnym impetem wpadła na mnie młoda dziewczyna. Zatrzymała się na mgnienie oka, ale dopiero w biegu krzyknęła do mnie, że bardzo mnie przeprasza, ale się śpieszy. Powiedziała to wszystko tak szybko, że z ledwością uchwyciłem pojedyncze słowa. Ale wyraz jej oczu mówił za nią. Było w nich wołanie o pomoc. Wtedy odpowiedziałem tylko, że nie szkodzi, ale obiecałem sobie, że pójdę za nią i może się czegoś dowiem.

- Śledziłeś ją? - zdumiał się Marek.

- Przestraszyłem się... Zresztą nieważne. Poszedłem za nią do bloku. Nie wchodziłem już do klatki, no bo jak to by wyglądało? Nie minął jednak nawet kwadrans, kiedy zobaczyłem ją wybiegającą w niewyobrażalnym tempie z klatki. Krzyknąłem wtedy głośno: - Proszę pani! Czy

mógłbym pani jakoś pomóc? – Nie zatrzymała się wcale, ale dotarł do mnie jej krzyk.

– Znajdź Marka! – wołała, czy jakoś tak.

Marek spojrzał na niego w napięciu.

– Kiedy dokładnie ją widziałeś? – krzyknął.

Mężczyzna myślał przez chwilę.

– Chyba z jakieś trzy dni temu. A co? Myślisz, że...?

Rzeczywiście! To miałyby sens!

Marka tknęło coś w słowach Zygmunta. Niby wszystko brzmiało logicznie, ale... Spojrzał na niego uważnie. Przybysz mówił to tak, jakby recytował wyuczony tekst sztuki. Nieomal machinalnie, jakby chciał odklepać swoje i od razu zapomnieć.

– Czy idąc w tym kierunku – Marek wskazał na ścieżkę, z której przyszedł – dojdę do Białegostoku?

Zygmunt spojrzał na niego ironicznie.

– Czy zamierzasz całą tę drogę pokonać pieszo? Wiesz, że masz jeszcze ponad dwieście kilometrów do przejścia? Tu niedaleko jest miasteczko, mają nawet dworzec kolejowy. Chyba łatwiej byłoby wsiąść w pociąg, w dwie godziny byłbyś na miejscu. Mógłbym cię nawet zaprowadzić.

– Dlaczego miałbyś to robić? – spytał Marek podejrzliwie.

– Szkoda mi ciebie, człowieku – odpowiedział Zygmunt.

– Pomyślimy rano – odburknął Marek i odwrócił się w swoim śpiworze tyłem do przybysza.

Nastąpiła cisza. Marek, mimo że nie mógł zasnąć, bał się nawet poruszyć w swoim śpiworze. Nie chciał prowokować Zygmunta do rozmowy. Ledwie dotrwał w bezruchu do

ranka. Kiedy zrobiło się jasno, z ulgą wstał i rozciągnął się, żeby rozprostować zdrętwiałe ciało. Sen w bezruchu na twardym posłaniu najbardziej dał się we znaki prawej ręce, na której Marek spał prawie cały wieczór. Musiał rozmasowywać ją dobre pół godziny, żeby nareszcie móc zapomnieć o bólu. Posłanie Zygmunta leżało na miejscu, lecz jego właściciela nie było. Marek rozglądał się wokoło, lecz nigdzie nie mógł go dojrzeć. Stwierdził, że najlepszym rozwiązaniem będzie szybkie śniadanie i kontynuacja podróży, której końca nie mógł dostrzec.

Wtedy usłyszał głośnie gwizdanie. Aż się zdziwił, że człowiek, który mówi jak maszyna, potrafi tak pięknie i melodyjnie gwizdać.

- Dzień dobry - powiedział Zygmunt.

- Dzień dobry - odpowiedział Marek, siląc się na uśmiech.

- Stwierdziłem, że muszę się zrewanżować za wczorajszą kolację. - Zygmunt podszedł do swojego śpiwora, zaczął wyjmować z niego bułkę, szynkę, pomidory i inne smakowite kąski, na których widok Marek poczuł, że jest bardzo głodny.

- Ale skąd to wszystko? - spytał ze zdumieniem.

- Jak to skąd? Ze sklepu. - Zygmunt wzruszył ramionami.

- Przecież wszędzie wokoło jest las - stwierdził Marek.

- Skąd wiesz? Byłeś tylko w jednej części. A tam byłeś? - Wskazał w kierunku zachodnim.

- Nie.

- No, a właśnie tam jest sklep.

Marek nic już nie odpowiedział. Co by zmieniło, gdyby

mu powiedział, że jakoś w to wszystko nie wierzy, że na pewno wszędzie dookoła jest las, że jeśli się skończy, to najpierw z tej strony, w którą on, Marek, idzie, dopiero później z następnych? Przysiadł się do Zygmunta i zjadł przepyszne śniadanie, szczęśliwy, że nowy znajomy ma zwyczaj milczeć podczas posiłku. Potem wstał nieśpiesznie i zaczął pakować rzeczy do plecaka.

- Pójdę już - powiedział. - Czeka mnie długa podróż.

- Myślałem, że cię zaprowadzę - odpowiedział Zygmunt, nie przestając jeść.

- Dziękuję za dobre chęci, ale sam sobie poradzę. - Marek znajdował się już na ścieżce i powoli szedł naprzód.

- Jak chcesz. Jakby co, to jeszcze trochę pokręcę się w tej okolicy. - Zygmunt mrugnął do Marka, po czym zajął się jedzeniem, tracąc zupełnie zainteresowanie tym, co się wokół niego działo.

Marek był znowu w drodze. Czuł, że zaczyna go wciągać ten sposób życia. W wyobraźni widział siebie odpowiadającego na pytania nowo poznanych ludzi. Prowadził z nimi dialog na niby w stylu: - „Co porabiasz?” - „A wiesz, jestem człowiekiem drogi. Nic mnie nie ogranicza, po prostu idę, dokąd chcę i kiedy chcę. Moim domem jest las, moją matką ziemia, a przeznaczeniem bycie w drodze. Ach, co za życie!” Widział ludzi, którzy porzucają swoje domy i idą za nim, by być wolnymi tak jak on.

Nagle skończyła się ścieżka. Całkowicie, jak urwana struna. Marek był w kropce. *Dokąd teraz iść? I jak?* Wyteżał wzrok w poszukiwaniu jakiegoś znaku, ale nie zobaczył

niczego szczególnego. Zamiast tego pojawiła się mgła. Gęstniała coraz bardziej, coraz szybciej. Marek szedł już teraz po omacku, byle do przodu. Przecież miał dzisiaj wyjść z tego przekłętego lasu i złapać jakiś transport czy coś... Przespać się w cywilizowanych warunkach, wykąpać... Pożałował, że nie posłuchał Zygmunta. A jeśli on miał rację, jeśli ta dziewczyna czeka na niego w Białymstoku? Intuicja mu podpowiadała, że ona jest gdzieś znacznie bliżej, nieomal w zasięgu ręki, ale przecież tyle razy przeczucie go zawodziło! Po kilkunastu minutach szaleńczego marszu po omacku stwierdził, że to bez sensu. Musi jakoś przeczekać tę mgłę, bo inaczej całkowicie straci orientację. Wyciągnął śpiwór z plecaka, opatulił się nim po czubek głowy, bo czuł, że mgła przenika przez ubranie, potem przez skórę i łaskocze go swym chłodem niczym żywa istota. Przeróżające uczucie. Oparł się o drzewo, zamknął oczy. Sam nie wiedział, ile czasu tak pół czuwał, pół drzemał. Kiedy otworzył oczy, zadziwiła go zmiana, jaka dokonała się w naturze przez ten czas. Nastąpiła już noc, a jednak było niemal jasno. Mgła zniknęła zupełnie, ustępując miejsca łagodnemu wietrzykowi. Marek czuł, że drży z zimna w swoim śpiworze. *Żeby nie skończyło się to zapaleniem płuc* – pomyślał. Wydostał się z tej „mumii” i zaczął się rozglądać za patykami na ognisko. Zdziwiło go, że drewno już jest przygotowane, tak samo zresztą jak palenisko. Uważnie rozejrzał się dookoła. Ze zdumieniem stwierdził, że znajduje się dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj. Stracił całutki dzień na to, żeby znaleźć się w punkcie wyjścia!

Poczuł gniew tak wielki, że wydawało mu się, że go rozerwie od środka. Musiał dać temu upust, zajął się więc powiększaniem stosu gałęzi. Po kilku rundkach w głąb lasu i z powrotem nazbierała się pokaźna sverta drewna. Marek, kiedy już minął mu gniew, spojrział na efekt swojej pracy i stwierdził ze śmiechem, że starczy również na jutro. Znów, tak jak poprzedniego dnia, rozpałił ognisko i upiekł kiełbasę. Nie smakowała mu jednak tak samo, wprost przeciwnie – ledwo ją w siebie wmusił. Sen natomiast przyszedł dużo szybciej i był znacznie mocniejszy. Nie przerwało go zimno ani odgłosy, których przecież w lesie nie brakuje. Marek otworzył oczy i zdziwił się, że to już ranek. Jeszcze bardziej zdumiał go jednak fakt, że naprzeciwnko, zupełnie w tym samym miejscu co poprzednio, śpi Zygmunt. Tym razem widok znajomego bardzo go ucieszył. Wiedział, że dzisiaj na pewno nie zabłądzi. Chrząknął cicho w nadziei, że to obudzi śpiącego. Zygmunt jednak ani drgnął. Marek chrząknął więc znacznie głośniej. Znów bezskutecznie. Zaczął więc wyjmować jedzenie, szeleszcząc przy tym tak głośno, że każdy by się obudził. Nie Zygmunt. Marek podszedł do niego, zobaczył jego bladą twarz i przestraszył się nie na żarty. Chwycił nadgarstki mężczyzny i próbował wyczuć tętno. Serce waliło mu jednak tak mocno, że czuł tylko swój przyspieszony puls. Zaczął potrząsać Zygmuntem z taką furją, że nawet człowiek w śpiączce by się przebudził. Wreszcie dał za wygraną. Odsunął się od mężczyzny, spojrział na niego jeszcze raz. Godził się ze śmiercią, z tym, że znów musi radzić sobie sam. Poza tym, mimo że nie przepadał za

tym człowiekiem, było mu po prostu, tak po ludzku, smutno.

Podszedł powoli do swojego plecaka, zapakował rzeczy i ruszył w samotną wyprawę. Tą samą drogą, w tym samym kierunku.

- Nie poczekasz na mnie? - znajomy głos kazał Markowi zatrzymać się i spojrzeć do tyłu. Zobaczył, że Zygmunt stoi blisko niego, gotowy do drogi. Ze zdumienia przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Ty, ty, ty - jękał się - żyjesz? Byłem pewien, że umarłeś.

- Nie, nie, nie. Po prostu uległeś złudzeniu. Wy, ludzie, kochacie ulegać złudzeniom. Zawsze mnie zastanawia dlaczego. To co, rozumiem, że tym razem przyjmujesz moją pomoc? Brawo!

Marek milczał całą drogę. Szedł za Zygmuntem niemal mechanicznie. Ścieżka, która wcześniej nagle się urwała, tego dnia prowadziła dalej prosto, aż do asfaltu. Jak Marek słusznie przypuszczał, las skończył się po dwóch godzinach marszu. Później, aż do miasteczka, szli asfaltem, mijając po drodze pstrokate pola i małe, ubogie wsie. Cała ta okolica wydawała się wyludniona, mężczyźni przez pół dnia marszu nie spotkali ani jednej osoby. Markowi wydawało się to wszystko takie nierzeczywiste, że w końcu uznał, że śni. Cały ten czas od momentu opuszczenia rodziny wydał mu się przeraźliwie długim i nie do końca przyjemnym snem. Nie chciał się jednak obudzić, był ciekaw dalszego ciągu.

W końcu pod wieczór dotarli do miasteczka. Uwagę Marka przykuła nazwa miasta - Kosaciec. O ile dobrze pamiętał, to było inne określenie irysa. Czy to mógł być tylko

zbieg okoliczności? Miał przeczucie, najsilniejsze chyba w całym swoim życiu, że jego bratnia dusza musi mieszkać właśnie tutaj, nigdzie indziej. Nie powiedział jednak ani słowa, szedł dalej za Zygmuntem. Po tym, co zobaczył i przeżył, wiedział, że najrozsądniejszą rzeczą jest słuchać go we wszystkim aż do momentu, kiedy ich drogi się rozejdą.

Miasteczko Kosaciec miało nie tylko tożsamą nazwę z jego Irysem, było również imponująco podobne. Wszystko jednak było odwrócone, jak pieprzyki u bliźniąt. Lustrzane odbicie. Oczywiście architektura miasteczka wyglądała zupełnie inaczej, w końcu wszędzie żyją ludzie o różnych gustach i upodobaniach. Mimo wszystko Marek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest w domu. Doszli na dworzec, który niestety wyglądał zupełnie inaczej niż ten w Irysie. Był brudny, śmierdzący, nieodnowiony. Tynk odpadał ze ścian, na ławkach odpoczywali bezdomni. Marek miał ochotę od razu stamtąd wyjść. Zygmunt patrzył jednak na niego bezlitosnym wzrokiem, przywołując go tym samym do porządku. Podszedł do kasy, żeby kupić bilet, Marek w tym czasie śledził rozkład jazdy. Pociąg do Białegostoku odjeżdżał o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć, czyli dokładnie za pół godziny.

Zygmunt zbliżył się do Marka i podał mu bilet.

- Proszę. Tylko nie zgub - wysilił się na żart.
- Dziękuję. Ile mam ci za to oddać?
- Nie trzeba. Na pewno masz mało pieniędzy, zachowaj je sobie na bardziej potrzebne rzeczy.

Marek spojrzał Zygmunтови w oczy. Próbował znaleźć

w nich rozwiązanie tajemnicy, która go gnębiła. Kim jest ten człowiek? Dlaczego jest w stosunku do niego tak uprzejmy, tak hojny? Czarne jak bezgwiazdna noc oczy Zygmunta wyrażały tylko gniew.

- Idziemy na kawę? - Zygmunt przerwał tę, najwidoczniej niezręczną dla niego, wymianę spojrzeń.

- Dobrze - zgodził się Marek.

Siedzieli w milczeniu w równie obskurnej kawiarence znajdującej się dosłownie kilkanaście kroków od kas. Pili czarną lurę, bo kawą w żaden sposób nie dało się tego nazwać. Marek patrzył tępym wzrokiem na powolnie przesuwaną wskazówkę zegara. Przy tym człowieku czuł się dosłownie jak pies na smyczy przywiązany do przysklepowego słupa. Nie mógł się doczekać, aż znowu wyrwie się na wolność, choćby miał nią być pociąg.

Zygmunt wstał. Zbliżała się dwudziesta pierwsza dwadzieścia pięć. Czas iść na peron. Kiedy tam doszli, pociąg akurat wjechał. Był prawie zupełnie pusty. Marek spojrzał w bok, na Zygmunta. Zobaczył na jego twarzy dziwny uśmiech, jakby triumfu. Wsiadł do pociągu. Dopiero kiedy był w środku, odwrócił się i podniósł dłoń w geście pożegnania. Zygmunt powtórzył jego gest. Z jego twarzy zniknął już uśmiech, pozostała nieprzenikniona maska. Kiedy Marek szukał przedziału, nagle zgasło światło. Szedł więc po omacku, otworzył pierwsze możliwe drzwi i usiadł przy oknie. Przez mgnienie oka zobaczył Zygmunta. Wydawało mu się, że tym razem cała jego twarz jaśnieje od nieskrywanego triumfu. *No tak* - stwierdził w myślach - *maska opadła*.

Za oknem przesuwały się obrazy, coraz szybciej, coraz mniej rozpoznawalne. Światła latarni zniknęły, w końcu pozostała tylko czarna plama przestrzeni. Lampka w przedziale zaczęła iskrzyć, aż wreszcie zapaliła się na dobre. Marek już tego nie widział, bo właśnie odkrywał nowe światy w objęciach Morfeusza.

Mistrz wyszedł z układanki. Podczas przekraczania granicy jego twarz na nowo stała się maską. Paulina jednak wiedziała, że mistrz triumfował. Na szczęście wiedziała również coś, czego nie wiedział ten już obcy dla niej człowiek – że wszechświat lubi równowagę. Jeśli ktoś czyni zło, już niedługo ono uderzy w niego z podwójną siłą.



Na pierwszy rzut oka letnia szkoła dla szukających przypominała obóz harcerski. Przede wszystkim mieściła się w lesie, poza tym dzieci spały w dużych wojskowych namiotach po sześć osób. Jakies dwadzieścia kroków od szkoły znajdowało się jezioro. Tak przezroczystej i zadziwiająco lazurowej wody nie było chyba w żadnym innym zakątku Polski. Zajęcia odbywały się najczęściej na świeżym powietrzu. Przyszli szukający prawie wcale nie mieli wolnego czasu. Tak naprawdę jedyną chwilą w ciągu dnia, kiedy mogli odpocząć, była półgodzinna przerwa poobiadowa. Nawet w nocy nie można było spać spokojnie, bo dowcipna kadra nauczycielska uznała, że to właśnie po ciemku najlepiej uczyć się nawigacji i rozwijać intuicję.

- Kiedy gaśnie światło - zwykł mawiać profesor Trucki, najwybitniejszy umysł w Polsce - budzi się szósty zmysł. Nierozproszony ciągłymi impulsami pochodzącymi z zewnętrznego świata, zaczyna żyć swoim życiem, a rzeczywistość buduje od środka, powoli. W ciemności

łatwiej przestać używać rozumu i całkowicie poddać się uczuciom, nagłym błyskom, nieokreślonej pewności.

Dlatego właśnie już pierwszej nocy po przyjeździe nie było dane świeżo upieczonym uczniom odpocząć. Ledwo zdążyli wybrać odpowiedni namiot, wypakować manatki i zjeść kolację, a już gwizdek pani Magdy, kierowniczkii szkoły, przywołał ich na plac znajdujący się pośrodku namiotu. Gwizdek był niemiłosiernie głośny. Nie ustał, dopóki nie zwabił do siebie wszystkich. Dzieci zaprowadzono do dużej hali, w której wcześniej jadły kolację. Teraz stoły zostały uprzątnięte, powstał jeden prawie pusty plac. Gdzieś tam pozostawiono tylko krzesła. Było ich pewnie z kilkanaście, wyglądały, jakby zostały tam przez przypadek, w ich układzie nie było żadnej logiki.

Kiedy wszyscy uczniowie weszli do hali, pani Magda zamknęła drzwi, jedyne sensowne źródło światła. W tej samej chwili na sali zrobiło się głośno jak na bazarze. Jeden chłopak dźgnął drugiego łokciem, jeszcze inny śmiertelnie wystraszył stojącą obok koleżankę. Krzykom i piskom nie było końca.

- Cisza! - krzyknęła w końcu pani Magda, używając przy tym jedyne go skutecznego argumentu w postaci gwizdka. Był to bowiem dźwięk tak brzydki, że człowiek był gotów zrobić niemal wszystko tylko po to, by wreszcie ustał. Swoją drogą, pani Magdzie niezwykle pasowało to narzędzie tortur, wyglądała, jakby została wprost stworzona do gwizdania. Nawet jej usta na stałe tworzyły niewielki, ale widoczny dzióbek. Jej pulchniutkie ciało pod wpływem wdychania

powietrza nadymało się jeszcze bardziej. Pani Magda w chwili największej furii wyglądała jak pączek, sam dźwięk gwizdka sprawiał jednak, że żadne z dzieci nigdy nie zwróciło na to uwagi. W tym momencie również nastąpiła natychmiastowa cisza.

- Chciałabym teraz, żebyście wykonali jedno krótkie ćwiczenie rozwijające intuicję. Dokładnie opisuje je Collin P. Sisson w swojej książce *Podróż w głąb siebie*. Świetna książka, zachęcam do lektury. A teraz słuchajcie i wykonujcie, dwa razy powtarzać nie będę, a oszustwa nie znoszę. No, myślę, że wyraziłam się jasno. A jeśli ktoś nie zrozumiał, na pewno zrozumie to - dodała z uśmiechem i zagwizdała na swoim czarodziejskim gwizdku. Miała zwyczaj mówić szybko i płynnie, bez zająknięcia, ale i bez specjalnego entuzjazmu.

- Nudy... - Chłopak stojący zaraz za Anią i Gosią ziewnął.

- Ej tam - syknęła Ania. - Cicho bądź!

- Bo co? - zaśmiał się chłopak. - Naskarzysz na mnie pani „Straszny Gwizdek”?

Ania odwróciła się w stronę bezczelnego chłopaka. Jedyne, co zobaczyła, to ciemny zarys wysokiej postaci i duże, nieomal świecące w ciemnościach oczy. Chciała krzyknąć, że kopnie go w kostkę lub coś w tym stylu, ale to wszystko wydało jej się nagle strasznie głupie i naiwne. Chłopak śmiał się jeszcze głośniej.

- Co, zabrakło ci języka w gębie? To pozwól, że odpowiem za ciebie. Albo nie! Powtarzaj za mną: Adam Rawski śmieje się... No co? Czemu nic nie mówisz?

- Hej, koleś, przestań, bo zabiorę gwizdek i zagwizdę ci prosto w tę głupią gębę! - szepnął chłopak stojący za Adamem. - A teraz wreszcie bądź cicho, bo nie ręczę za siebie. Przyjechaliśmy tu chyba się czegoś nauczyć!

- Dobra, dobra, wyluzuj. - Adam dał za wygraną.

Ania spojrzała z wdzięcznością i zarazem ciekawością na swego wybawcę. Ze smutkiem stwierdziła, że chłopak jest na tyle mało widoczny, że nie będzie umiała rozpoznać go za dnia.

- Dzięki - powiedziała, wkładając w to tyle pozytywnych uczuć, że aż sama się przestraszyła, czy nie za wiele.

- Nie ma sprawy - odpowiedział po prostu.

- Anka! - Siostra boleśnie szturchnęła ją w ramię. - Słuchaj! Nie będę ci potem tłumaczyć!

- ...a teraz zamknijcie oczy - mówiła pani Magda swoim usypiającym głosem. - Dokładnie, macie widzieć tylko ciemność, nic poza tym. Wyciągnijcie przed siebie ręce. Już? Dobrze. A teraz obróćcie się cztery razy w prawo.

- A czy może być w lewo? - dobiegł z ciemności donośny męski głos. Po sali przetoczyła się fala śmiechu.

- Cisza! - syknęła pani Magda. - Ostrzegam, że w takich warunkach nie będę pracować! Na moich zajęciach ma być cisza i skupienie! Nie życzę sobie żadnych głupich uwag!

- Ale to nie jest głupie, ja po prostu nie rozpoznaję kierunków...

- To już jest głupota totalna! Jak szukający może nie rozpoznawać kierunków? Kto ciebie tu przysłał i po co? - denerwowała się kobieta.

- Bo mam wysoko rozwiniętą intuicję? - odpowiedział męski głos. Sala znów wypełniła się śmiechem.

- Wspaniale. - W głosie pani Magdy zabrzmiała satysfakcja. - W takim razie podejdź tu do mnie, młody człowieku. Tylko, broń Boże, nie otwieraj oczu. Masz oczywiście za zadanie nie szturchnąć nikogo. Albo nie! Zaczekaj jeszcze chwilkę. Najpierw skończę mówić, na czym to wszystko ma polegać. Kiedy się już obrócicie, moja lewa część sali ma za zadanie dojść do prawego końca sali, natomiast druga strona - do lewego. Radziłabym wam jednak na początku wczuć się w ciemność. Poczekajcie, aż zaczniecie widzieć intuicyjnie. Poddajcie się wewnętrznemu głosowi podświadomości, wyłączcie myślenie, rozsądek. Nie myślcie o tym, gdzie jesteście w danej chwili, idźcie na wycucie, słuchajcie, co podpowiada wasz wewnętrzny głos, on zwykle mówi prawdę. Dopiero kiedy prawdziwie wsłuchacie się w siebie, możecie zacząć powoli podążać w wyznaczonym kierunku. Podejrzewam, że u większości z was dzisiejsze zadanie zakończy się totalną klapą, ale nie martwcie się, będę z wami ćwiczyć kilka razy dziennie. Za dwa miesiące będziecie chodzić z zamkniętymi oczami po lesie. Wszystko jasne?

- Tak! - krzyknęły dzieci.

- W takim razie zapraszam do mnie naszego przymusowego ochotnika. Tylko nie zapomnij o czterech obrotach na dobry początek! Gotowy? To do dzieła!

W ciszy, która zapadła, można było usłyszeć powolne, niepewne kroki. Często przystawały, żeby za chwilę podjąć

wędrówkę na nowo. Pani Magda milczała, w żaden sposób nie komentowała postępów chłopca. Przecież jej głos mógł zdradzić kierunek, w którym chłopak powinien iść. Po pięciu minutach dzieci mogły tylko usłyszeć z jej ust szept zdumienia.

- Brawo... - mówiła cichutko. - Pierwszy raz... coś takiego widzę... Chodź tu bliżej, muszę zobaczyć twoją twarz. Takie rzeczy zdarzają się zbyt rzadko. Jak masz na imię?

- Franciszek.

- Kim jest twój ojciec? Na pewno bardzo znanym szukającym.

- Mój ojciec - odpowiedział chłopak twardo - jest... - zawahał się. - To znaczy on już od dawna nie ma nic wspólnego z szukającymi.

- A mama?

- Mamy nie znam.

- Tak czy siak, coś musi być na rzeczy - stwierdziła pani Magda szorstko. - Inaczej by cię tu nawet nie przyjęli. Dziwi mnie trochę twoja ignorancja w tej kwestii. Ale cóż, to nie moja sprawa. Dobrze, dzieci, zaczynamy.

Ania zamknęła oczy. Obróciła się cztery razy i poczuła się bardzo zagubiona. Zupełnie straciła orientację w terenie. Zaczęła wsłuchiwać się w siebie. Powoli się uspokajała. Najtrudniej było jednak całkowicie wyłączyć rozsądek. I uwierzyć, że wszystko jest możliwe. Po kilku dość

bolesnych zetknięciach z innymi uczestnikami zajęć musiała pogodzić się z faktem, że tym razem jej się nie udało.

Gosia miała więcej szczęścia. Przynajmniej na początku, dopóki rozum nie zwyciężył przeczucie. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi, świat otworzył się dla niej w ciemności. Potem jednak zaczęła myśleć o tym, że wędrowanie po ciemku jest z góry skazane na porażkę, bo jak można zobaczyć, nie widząc?

Rozległ się gwizdek. Kiedy już przebrzmiał, odezwała się pani Magda.

- Możecie już otworzyć oczy. - Pstryknęła kontakt znajdujący się przy wyjściu. - A teraz oceńcie sami, jak wam poszła pierwsza próba. Bo moim zdaniem asami w tej dziedzinie nie zostaniecie. - Zaśmiała się gardłowo.

Mało kto dotarł na koniec sali. Większa część zatrzymała się w połowie drogi. To był dobry krok do nawiązania pierwszej obozowej znajomości.

- Cześć! - Naprzeciwko Gosi stał chudy długowłose chłopak. Uśmiechał się do niej szeroko. Wyciągnął dłoń. - Jestem Franciszek.

- Cześć - odpowiedziała Gosia, patrząc na niego z uwagą. - Ten Franciszek?

Chłopak się roześmiał.

- Odpowiem, jeśli zdradzisz mi swoje imię.

- Gosia - odpowiedziała speszona.

- Tak, to ja tak świetnie radzę sobie w ciemnościach - odpowiedział. Nie przestawał się uśmiechać. - Mawiają, że ukradłem oczy kotu. Pewnie jakaś prawda w tym jest - dodał szeptem. - Znasz tu kogoś, czy tak jak ja czujesz się obco i nie na miejscu?

- Na całe szczęście - odpowiedziała z dumą - mam siostrę bliźniaczkę.

Chłopak pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Szczęściara - stwierdził. - Gdzie ona jest? Chciałbym zobaczyć, czy...

- Jesteśmy takie same? - skończyła szybko Gosia. - W takim razie nie myśl sobie, że ją zawołam. Nie, nie jesteśmy takie same, nigdy nie byliśmy i nie będziemy, a odróżnić nas można bardzo łatwo. Ja jestem wyższa, mocniej zbudowana, mam dłuższe włosy i większe oczy - powiedziała jednym tchem.

Franciszek się roześmiał.

- Zabawna jesteś - stwierdził.

- Wiem. A teraz wybaczone, ale idę poszukać mojej anitrochę-niepodobnej-siostry.

Już wcześniej zauważyła, że Ania stoi pośrodku sali pogrążona w rozmowie z jakąś dziewczyną. Poszła więc szybko w jej kierunku, nie oglądając się za siebie.

- To jest właśnie moja młodsza siostra, Gosia - przedstawiła ją koleżance.

- Ewelina. - Dziewczyna wyciągnęła rękę. Była dość niska i krępa, ale za to miała śliczną twarz aniołka i słodki,

bardzo dziewczęcy głosik.

- Wyobraź sobie - zwróciła się Ania do siostry - że Ewelina będzie mieszkać razem z nami w namiocie.

- Super - stwierdziła Gosia. - A co ty tutaj robisz? - spytała z wyrzutem Franciszka, który właśnie się do nich zbliżył.

- Nie mogłem się powstrzymać. - Chłopak znów uśmiechał się szeroko. - Przedstawisz mnie?

- Nie - odpowiedziała Gosia, krzyżując ręce na piersi.

- W takim razie sam się przedstawię. Jestem Franciszek, ten od intuicji, bardzo mi miło i w ogóle. Siostró Gosi, jesteś bardzo, bardzo do niej podobna.

- Mam na imię Ania - roześmiała się - a to jest Ewelina. Wcale nie jestem podobna do mojej siostry.

- Czy przez całe dwa miesiące zamierzasz mnie prześladować? - krzyknęła na niego Gosia.

- Nie tylko ciebie. - Puścił do niej oko. - Również twoją siostrę.

W czasie, kiedy się przekomarzali, Ania dyskretnie rozejrzała się po sali. Myślała, że może intuicja pomoże jej odgadnąć, który z chłopców przyszedł jej z pomocą. Było ich jednak zbyt wielu, chyba ze dwa razy więcej niż dziewczyn. Ania zauważyła ze zdziwieniem, że już zdążyły się wytworzyć kilkusobowe grupki. Razem na sali było chyba ze czterdzieści osób. Potem zauważyła Franciszka. Odszedł już od nich i stał sam w jakimś oddaleniu, zerkając co rusz na

Gosię. Dopiero z takiej perspektywy Ania go poznała.

- Gosiu - szepnęła siostrze do ucha - Franciszek to ten chłopak, co nas podglądał wtedy, u babci!

Bezczelny gwizdek znów uciszył wszelkie rozmowy.

- Zanim się rozejdziemy spać - powiedziała pani Magda - dam wam zadanie do wykonania. Niech każdy z was przed zaśnięciem pomyśli pytanie, na które koniecznie chce znać odpowiedź. Jak już takowe znajdziecie, wydajcie polecenie waszym umysłom, aby do rana znalazły odpowiedź. Najlepiej poproście konkretnie: muszę znać odpowiedź na takie i takie pytanie do jutra do godziny ósmej. A potem zapomnijcie o wszystkim. Najbardziej wskazane by było, żebyście od razu zasnęli. Jutro każdy po kolei opowie mi o swoich pytaniach i odpowiedziach. Owocnej nocy! - Jej uśmiech stał się tak szeroki, że niemal sięgał od jednego ucha do drugiego. - No, wychodźcie, tylko się nie guzdrajcie, bo zaraz wyjedzą mi najlepsze ciasto. Jeśli już tego nie zrobili. - Po tych słowach pani Magda oczywiście użyła swojego magicznego gwizdka.

Dzieci rozbiegły się do namiotów. Ania, Gosia i Ewelina musiały przejść przez cały obóz, aby dojść do swoich łóżek. W środku namiotu było bardzo ciemno.

- Może zamkniemy oczy i pozwolimy intuicji zaprowadzić nas do łóżek? - zażartowała Ania.

- Kto tam? - krzyknął ktoś z wnętrza namiotu.

- Lokatorki - odkrzyknęła Ewelina.
- Czekać chwilę, już wam świecę latarką.

Chwilę później zrobiło się na tyle jasno, że dziewczynki bez problemu trafiły do swoich łóżek. Współlokatorka z latarką leżała na środkowej połówce opatulona śpiworem.

- Jestem Agnieszka. - Usiadła na łóżku. Dziewczynki po kolei jej się przedstawiły.

- Ale fajnie! - krzyknęła Gosia. - Jest nas tylko cztery! A dlaczego ty już zdążyłaś się położyć? - spytała, ładując się pod śpiwór.

Agnieszka sposepniała.

- Ja tylko pomagam w kuchni - powiedziała. - Nie mam takich zdolności jak wy.

- Znaczący się jakich? - Ewelina się roześmiała. - Bo jak na razie nam również nic nie wychodzi.

- A ja mam pomysł! - Ucieszyła się Ania, która też już zdążyła schować się pod śpiworem. - Będziemy ci przekazywać najważniejsze informacje, jakich się dowiemy. Kto wie, może dzięki temu odkryjesz swój talent?

- Świetna myśl! - podchwyciła temat Gosia. - Proponuję zacząć od naszej pracy domowej! Uwaga, uwaga! Myślimy teraz o tym, czego chcemy się dowiedzieć do jutra do ósmej rano. A jutro każda zda relację!

- Mnie i tak nic się nie przyśni - mruknęła pod nosem Agnieszka.

- Jeśli nie przestaniesz gadać takich bzdur, to przyśnię ci się ja i zapewniam cię, że nie będzie to przyjemny sen! - zagroziła Gosia.

Przez namiot przeszła fala śmiechu. Kiedy już przebrzmiała, stery nad tym miejscem przejęła cisza.

Gosia we śnie zadała pytanie, gdzie szukać ojca. Przez całą noc śniła o olbrzymim drzewie, które tak dobrze знаła. Od wielu lat przychodzili tam z rodziną na majówki. Dziewczynki uwielbiały wspinać się po tym drzewie, często przy dużej pomocy tatusia. Potem mama robiła im zdjęcia na różnych gałęziach, w przeróżnych pozach. Gosia pamiętała szczególnie jedną taką majówkę. Kiedy już się wspięły na najniższą gałąź, tata spytał, która z nich ma wystarczająco siły, żeby zawiesić się rękami na tej gałęzi i wytrzymać przynajmniej pięć minut. Ania wyrwała się pierwsza, nawet nie dała jej, Gosi, szansy. Tata oczywiście się zgodził od razu. Nie zapytał swojej o dziesięć minut młodszej córeczki, czy może również by chciała. Gosia miała mu to za złe. To tak, jakby ojciec od razu uznał, że ona jest słabsza, że nie da rady. Ania teraz przy byle okazji chwali się swoim heroicznym zdjęciem. A Gosia tylko zgrzyta zębami z bezsilności.

Ania zadała zupełnie takie samo pytanie. I również zobaczyła drzewo. Identyczne jak u nich w parku, a jednak nie to samo. Wiedziała to, ponieważ nie poczuła żadnych wspomnień. Drzewo, o którym śniła, na pewno nie było częścią jej życia. A więc czym było?



Najbardziej zdziwił Grażynę fakt, że drzwi do domu jej mamy są uchylone. Zwykle Paulina, kiedy nie spodziewała się gości, zamykała je na klucz po to, żeby nikt jej nie przeszkadzał w odprawianiu codziennych rytuałów związanych ze świetlną układanką. Grażyna do końca nie wiedziała, co ona tam wyprawia, i nawet niespecjalnie ją to interesowało.

- Proszę pani! - krzyczał Tomek już od salonu.

- Babciu! - wtórowała mu Pyza. Tylko Grażyna spojrzała na nich krytycznym wzrokiem.

- Dziękuję wam bardzo - powiedziała z naganą w głosie.

- Jeśli w tym domu był jakiś intruz, to właśnie go wypłoszyliście.

- To niedobrze? - spytał Tomek z naiwnym uśmiechem.

Grażyna tylko spojrzała na niego znacząco i ruszyła schodami na górę. Tomek i Pyza szli za nią.

- Może ja pójde pierwszy? - spytał, kiedy byli już na górnym korytarzu.

- Jeśli się nie boisz - odpowiedziała złośliwie.

Tomek wyprzedził je. Zajrzał wpierw do sypialni.

- Czysto - szepnął konspiracyjnie. I zaczął iść dalej korytarzem.

- Tam nie ma sensu iść - powiedziała Grażyna. - Na końcu jest jedynie garderoba, i tyle. Ale pozostał nam jeszcze ten pokój. - Wskazała palcem na drzwi znajdujące się naprzeciwko sypialni.

- To ten tajemny, tak? - spytał Tomek.

- Tak - szepnęła Grażyna.

W tym momencie, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Pyza otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Nic tu nie ma! - krzyknęła rozczarowana. Spodziewała się nie byle jakich cudów. Chociaż była najmłodsza z rodzeństwa, miała wszystkosłyszące uszy, szczególnie jeśli chodzi o rodzinne tajemnice. Nieraz podsłuchiwała pod drzwiami późnym wieczorem, kiedy rodzice rozmawiali głośno o wszystkim, święcie przekonani, że dzieci grzecznie śpią. Pyza wiedziała o świetlnej układance już od dawna. Śmiać jej się tylko chciało, kiedy babcia opowiadała jej na dobranoc bajkę o szukających, którzy czasami z narażeniem życia próbują odnaleźć dom potrzebującym. Korciło ją, żeby w końcu powiedzieć babci, że ona doskonale wie, że to wszystko prawda. Ale wtedy nie byłoby już tak zabawnie.

- Ale jaja! - wyrwało się Tomkowi. - Gdzie to wszystko się podziało? Czy to możliwe, żeby tak po prostu zniknęło?

- Patrzcie! - Pyza podniosła coś z ziemi. - Zdjęcie! Kto to jest? - podała mamie.

Grażyna wzięła je do ręki. Zdjęcie było czarno-białe, bardzo zniszczone. Przedstawiało młodego mężczyznę o dłuższych ciemnych włosach i wyzywającym spojrzeniu. Ubrany był w mundur wojskowy, co, sądząc po wyrazie twarzy, zdecydowanie mu nie odpowiadało. Na odwrocie było napisane: „Czekaj na mnie - Zygmunt”. I data: „1940 r.”. Grażyna jak przez mgłę pamiętała tego człowieka. To był jej ojciec, mężczyzna, którego jako dziecko kochała nad życie, który był dla niej autorytetem we wszystkim. Po tym, jak pewnego dnia po prostu zniknął, pogrzebała go w swojej pamięci. Inaczej by zwariowała. Spaliły z mamą wszystkie pamiątki po nim, ubrania, buty, a nawet książki. Teraz wspomnienia wróciły do Grażyny z podwójną siłą. Poczwała, że musi usiąść, inaczej zemdleje. Podeszła do najbliższego krzesła i opadła na nie.

- Skąd to się wzięło? - szepnęła. - Wydawało mi się, że wszystko spaliłyśmy...

- Może babcia zostawiła to specjalnie? - Pyza jak zwykle myślała logicznie, co za każdym razem wprawiało Grażynę w zdumienie.

- Ale po co? - wtrącił się Tomek. - I gdzie ona jest?

- Na tym zdjęciu - szepnęła Grażyna - jest mój ojciec, który zniknął wiele, wiele lat temu...

Pyza aż klasnęła w dłonie.

- Czyli dziadek porwał babcię! - krzyknęła z entuzjazmem.

- Co?? - zapytali naraz Grażyna i Tomek.

- No tak. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Przecież

to jasne.

- Chyba mamusia czyta ci za dużo bajek - zaśmiał się Tomek.

- Nie, nie, nie. - Grażyna mocno się nad czymś zastanawiała. - Wszystko zaczyna się układać. Ojciec do mnie kiedyś zadzwonił. Byłam wtedy akurat w ciąży z tobą - zwróciła się do Pyzy. - A on zadał mi strasznie dziwne pytanie, tak dziwne, że aż przez parę dni bałam się wyjść z domu. Spytał, czy nie chcę sprzedać mu swojego najmłodszego dziecka. Mówił coś, że miał wypadek i od tej pory nie może mieć dzieci, a ma teraz młodą żonę, która bardzo tego pragnie. Wyśmiałam go i rzuciłam słuchawkę. Tyle. Babcia mi potem powiedziała, że on jest złym człowiekiem. Nic więcej nie chciała mówić, chociaż jestem pewna, że doskonale wiedziała, co się z nim dzieje. Myślę, że to rzeczywiście on mógł ją porwać.

- Co za rodzina! - Tomek pokręcił głową. - A może razem uciekli?

- Czy ty możesz choć przez chwilę zachować powagę? - wkurzyła się Grażyna. - To naprawdę poważna sprawa!

- Ja spytałem poważnie! - odgryzł się Tomek. - Nie zaprzeczysz, że twoja mama to nietuzinkowa kobieta.

- Ale zadaje się tylko z dobrymi ludźmi, a nie łajdakami i porywaczami!

- Dobrze, dobrze, już nic więcej nie powiem. - Tomek usiadł na jak najdalszym krześle. - To zaproponuj jakieś rozwiązanie.

- Myślę, że ojciec porwał mamę ze względu na

układankę. A dlaczego to robi, nie pytaj. Nie mam również zielonego pojęcia, gdzie możemy ich szukać. Jedynym punktem zaczepienia jest drzewo.



W miejscu, do którego zabrał ją mistrz, pachniało wilgocią. Zimno przenikało na wskroś całe ciało tak, że co rusz wstrząsały nią dreszcze. *Muszę być w jaskini* – myślała, spoglądając na surowe ściany i krople wody równomiernie skapujące na podłogę. Była sama jak palec w ogromnym pomieszczeniu. Od czasu do czasu musiała uruchomić sobie świetlną układankę tylko po to, by poczuć się mniej samotną. Patrzyła na świetlne punkciki i od razu było jej lepiej, zwłaszcza gdy zobaczyła, że któremuś zupełnie bez jej pomocy udało się dotrzeć na miejsce. Wiedziała, że nie powinna bez powodu uruchamiać tej układanki, ale nie mogła się powstrzymać.

Kiedy czuła, że drętwieje jej ciało, zaczynała obchód po jaskini. Wszystko to tylko po to, żeby kolejny raz przekonać się, że jest sama. No... prawie. Raz udało jej się natknąć na mężczyznę w czerni, który zapewne pilnował wyjścia. Potem modliła się, żeby więcej go nie spotkać. To pogardliwe spojrzenie zapamięta chyba do końca życia. Tak jak dzień,

w którym mistrz triumfalnie wyszedł z układanki. Miało to miejsce jeszcze w jej domu. Paulina nie wiedziała, skąd pochodziła tak ogromna radość męża, przeczuwała tylko, że może mieć związek z jej zięciem. Wtedy twardo postanowiła, że nie pozwoli mistrzowi na więcej takich triumfalnych powrotów. Musi zrobić coś, co pozwoli jej znów panować nad układanką.

Kiedy mistrz wychodził, bezdotykowo zatrzaskiwał drzwi. Paulina, mimo swojego ogromnego doświadczenia jako szukająca, nie miała pojęcia, jak on to robi. W ich szkole czarna magia, hipnoza i inne tym podobne sztuczki zniewalające ciało i umysł były surowo zabronione. Uczniów, którzy złamali przepisy, natychmiast wyrzucano ze szkoły. Paulina do tego momentu zdecydowanie popierała zakaz. Kiedy jednak została uwięziona w swoim domu, przekonała się na własnej skórze, że szkoła popełniła olbrzymi błąd. Do zagadnień związanych z magią czy hipnozą uczniowie powinni zostać przygotowani co najmniej teoretycznie, a już na pewno – przejść przeszkolenie z obrony przeciwko szarłatanom!

Mimo wszystko Paulina nie traciła czasu. Nareszcie mogła nawiązać kontakt z nauczycielami wakacyjnej szkoły. Wszyscy po kolei zapewniali ją, że dołożą wszelkich starań, żeby uchronić dziewczynki przed szpiegami, porywaczami i mordercami, a w ogóle jak na razie ten rocznik jest wyjątkowo spokojny i całe dwa miesiące zapowiadają się sielsko anielsko. Paulina nie zdradziła nauczycielom, że jest więziona. Prosiła tylko, żeby wszyscy szukający całą swoją

energię poświęcili na wyjaśnienie zagadki znikających ludzi. Gdyby im powiedziała o swojej sytuacji, zapewne od razu rzuciliby się jej na ratunek. Przecież nic jej nie będzie! Nie przez takie rzeczy się przechodziło!

Nawiązała też kontakt z Gosią. Trochę późno, bo zagadała się z koleżanką Magdą na temat poziomu intuicji u uczniów.

- Gosiu, słyszysz mnie? - zaczęła łagodnie.

Gosia otworzyła oczy, bo przez chwilę wydawało jej się, że słyszy szepty. Cały obóz spał zmęczony po całodziennych zajęciach z nawigacji. Pobudka trwała tylko parę sekund, Gosia znów błyskawicznie zapadła w ciemność. Tym razem szept był znacznie głośniejszy, prawie jak krzyk.

- Pobudka! - krzyknęła babcia tak głośno, jak umiała.

Oczy Gosi zrobiły się duże.

- Kto tam? - spytała. Głos, który usłyszała, brzmiał jak nienastrojone skrzypce.

- Babcia, a któż by inny? - zdenerwowała się Paulina.

- Naprawdę? - Gosia natychmiast przebudziła się całkowicie. Kątem oka zobaczyła, że już świta.

- Naprawdę, naprawdę - przedrzeźniała ją babcia. - Słuchaj mnie uważnie, bo więcej nie będę powtarzać! Po pierwsze: zwracaj uwagę, z kim się przyjaźnisz. Wśród was jest szpieg. Po drugie: zostałam uwięziona, ale o tym ciiiisza!

- Ale babciu, no co ty! - przestraszyła się Gosia.

- Cicho! - zasyczała babcia. - Słuchaj mnie dalej! Musicie szybko znaleźć ojca! Mnie nie szukajcie, poradzę sobie, naprawdę! Ale wasz ojciec... Musicie go odnaleźć!

I uważaj - ktoś może przeszkadzać wam w tych poszukiwaniach, zacierać ślady. Dlatego musicie się pośpieszyć i broń Boże nie mówcie o tym nikomu z uczniów!

- Czy drzewo ma z tym jakikolwiek związek?

- Jakie drzewo? - spytała babcia. Przez chwilę było cicho.

- A... drzewo - powiedział czyjś głos jakby w zamyśleniu.

Gosia była w stu procentach przekonana, że te ostatnie słowa nie należały do babci. A więc do kogo? Porywacza?!

- Drzewo - mówił mistrz - to po prostu drzewo. Nie wiem, czym tu się podniecać. Zasiało się, wyrosło i jest. Ot i cała tajemnica. A wasz ojciec, nawet jeśli miałby się zdarzyć cud, i tak nie zdąży. Zostańcie więc lepiej w szkole i uczcie się pilnie. A mnie zostawcie resztę. - Zaśmiał się głośno.

- Kim jesteś? - krzyknęła przerażona Gosia. Nie zauważyła nawet, że zaczęła mówić na głos i dzięki temu już od jakiegoś czasu przysłuchują się jej wszystkie trzy współlokatorki.

- Nikt cię nie uczył, że niegrzecznie jest zadawać zbyt wiele pytań? A w tym przypadku również niebezpiecznie! - syknął.

- Co zrobiłeś babci? - pytała Gosia płaczliwie. Czuła, że niedługo naprawdę się rozpłacze.

- Do tej pory nic - odpowiedział poważnie. - Ale jeśli zaczniecie kombinować, będę zmuszony ją zabić! - krzyknął na koniec i błyskawicznie zerwał kontakt.

Gosia nie mogła znaleźć sobie miejsca. Chodziła z jednego końca namiotu do drugiego.

- Jak mu się udało - myślała na głos - wtargnąć do babci

świadomości? Jak inaczej mógłby się wtrącić do naszej rozmowy?

- Jak to jak? - zaśmiała się Ewelina. - Zupełnie tak, jakbyś prowadziła konferencję na Skypie. Dołączasz się do linii.

- Co z babcią? - gorączkowała się Ania.

- On ją więzi - szepnęła Gosia. Czuła w gardle, że łyzy blokują przepływ słów. - On, on chce ją zabić! - Chlipała.

- Gośka! - Siostra szorstko próbowała doprowadzić ją do porządku. - Przestań! Nie panikuj! Powiedz mi lepiej, kto to był i co mówił!

- Porywacz. Powiedział, że nasz tatuś nie wróci i że jeśli będziemy coś kombinować, zabije nam babcię.

- To świetna wiadomość! - Ania klasnęła w ręce.

- Co? - Dziewczynki spojrzały na nią w zdumieniu.

Ania się roześmiała.

- Ha! Wiedziałam, że was zadziwię! Ale zobaczcie, przecież jeśli on nam grozi, to znaczy, że się boi! Czyli nic nie jest stracone! Mamy szansę znaleźć tatę! A nawet musimy to zrobić. Ja mogę wyruszać choćby dzisiaj!

- Zapomniałam przekazać od babci - szepnęła Gosia, zerkając to na Ewelinę, to na Agnieszkę - że miałyśmy o tym nikomu nie mówić.

- Ups! - Ania zabawnie się skrzywiła.

- Nikomu więcej nie powiemy. - Zapewniały jedna przez drugą Ewelina i Agnieszka. - Naprawdę.

- Dobra, dobra - zniecierpliwiła się Gosia. - Przecież wiem. Znam się na ludziach - dodała z uśmiechem.

- Idę do sklepu! - Ania wydostała się ze śpiwora całkowicie ubrana.

- Śpisz w codziennych ciuchach? - zdumiała się Justyna.

- Wyobraź sobie, że zdążyłam się przebrać - oznajmiła Ania z promiennym uśmiechem. - Zawsze byłam dumna ze sztuki szybkiego ubierania się pod śpiworem, którą posiadałam dzięki częstym wyjazdom. Bardzo przydatna umiejętność! - Ania zatrzymała się na zewnątrz namiotu. - Kupić wam coś?

- Czekoladę! - krzyknęła za nią Gosia. - Coś czuję, że czeka nas bardzo ciężki dzień!

- Skąd wiedziałaś, po co idę? - krzyknęła na odchodne Ania, śmiejąc się.



Kiedy się obudził, za oknem właśnie szarzało. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co właściwie robi w tym pociągu. Kiedy dotarło to do niego, przestraszył się. Jak mógł tak się dać podejść! Czy Zygmunt rzucił na niego zaklęcie, że zasnął jak dziecko, kiedy tylko usiadł w przedziale? Musi wracać, natychmiast. Tyle godzin zmarnowanych!!

- Jest inna droga.

Marek aż podskoczył na siedzeniu, kiedy usłyszał ten głos. Dopiero teraz zobaczył, że naprzeciwko niego siedzi niemłody już Indianin. *Pewnie przysiadł się po drodze, kiedy spałem* - pomyślał.

- Mówił pan coś do mnie? - chciał się upewnić.

- Jest inna droga - powtórzył mężczyzna.

Marek spojrzał na niego gniewnie, ale powstrzymał się od odpowiedzi.

- Potrafię czytać w myślach - kontynuował Indianin, jakby się tłumaczył. - Mam na imię Karol. - Wyciągnął rękę.

- Marek. - Uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Droga, którą znam, jest znacznie szybsza - kontynuował Indianin. - Od wieków poruszamy się właśnie w ten sposób. Chociaż, jak pan widzi, nie zawsze. Pierwszy raz od wielu lat jadę w tradycyjny sposób. Nasze spotkanie nie może więc być zwykłym przypadkiem.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Przecież nie ma innej drogi! Chyba że ma pan helikopter!

- Naprawdę nie słyszał pan o tunelach czasoprzestrzennych? Tunel, luka... Różnie o tym mówią. Nawet Einstein podejrzewał istnienie takich cudów. Wydaje mi się jednak, że plemiona indiańskie pierwsze wykryły tę drogę przemieszczania się. Robimy to od wieków, podróżujemy nie tylko po tym świecie, ale także po innych, nawet przyszłych. Wspinamy się na wyższe poziomy. Fascynująca wędrówka... - mówił ze spokojem.

- Co mi pan proponuje? - zapytał Marek niecierpliwie.

- Za chwilę będzie końcowa stacja Białystok. Stoi tam mój samochód. Wsiądziemy do niego, a potem... Proszę mi zaufać.

- Jakoś mnie pan nie uspokoił. No ale nie mam wyjścia.

- Wiem, wszystko już wiem. Ma pan taki niepokój w myślach, jedna goni drugą, jakby chciały się zjeść. Musi się pan nauczyć sztuki medytacji. Spokój, harmonia, zgoda na świat i na siebie oznaczają umiejętność życia. Wszystkiego można się nauczyć, a nawet trzeba - mówił Indianin spokojnie. - Nie ma pan wpływu na to, co się wydarzy. Nie ma więc sensu się martwić.

- Jak to nie mam wpływu? - gorączkował się Marek. -

Przecież wszystko zależy od tego, czy zdążę!

- Ale to już zależy ode mnie. Proszę zamknąć oczy, zobaczyć piękno świata. Jestem przekonany o tym, że podświadomie pan wie, że wszystko ma sens, jest doskonale przemyślane i na swoim miejscu.

Marek zamknął oczy. Zobaczył świat ze wszelkimi dobrami, tak piękny, że aż czasami brakuje tchu, i nagle, wbrew wszystkiemu, poczuł szczęście i zgodę na rzeczywistość.

- W takim właśnie świecie - mówił Indianin - możliwa jest podróż w czasie. Pora wysiadać.

Marek wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, pociąg jechał przez miasto coraz wolniej i wolniej. - Mieszka pan tutaj? - spytał.

- Przez chwilę - zagadkowo odpowiedział Indianin.

- Ładny kościół. - Marek wskazał na górującą nad zabudowaniami białą świątynię.

Indianin spojrzał w tamtą stronę, lecz milczał. Marek przypomniał sobie czasy, kiedy marzył o byciu Old Shatterhandem albo przynajmniej przyjacielem Indian. Książki Karola Maya uczyły, że na taką przyjaźń trzeba zasłużyć. Marek odkąd pamiętał, chciał wyruszyć na podbój Dzikiego Zachodu, zamieszkać w wiosce indiańskiej, poznać obyczaje mieszkańców.

- Tego już nie ma - powiedział Indianin. - Przynajmniej nie tak, jak było kiedyś. Rozproszyliśmy się po świecie, a szkoda.

Wyszli z przedziału i ustawili się w kolejce do wyjścia.

- Ale nadal - kontynuował - mamy swoje tradycje, obrzędy, których nikt nam nie zabierze. Mamy swoich medicine menów. Znamy prawdy, których wielu białych nigdy nie pozna.

Skierował swoje kroki w stronę mostu. Marek posłusznie szedł obok niego, starając się nie myśleć o niczym związanym z tą nową znajomością. Nie czuł się pewnie, wiedząc, że Indianin słyszy wszystkie jego myśli. Skupił się więc na drodze. Obskurny, podrapany most, za nim dworzec PKS w jeszcze gorszym stanie. Po tej stronie mostu nie było na czym zawiesić wzroku. Zeszli po śliskich, wąskich schodach.

- To miasto będzie piękne - stwierdził Indianin. - Najważniejsza jest jednak okolica, wspaniała, dzika przyroda, liczne, nie do końca odkryte przez turystów jeziora. Czuję się tutaj wolny.

Schodzili właśnie po nierównych, śliskich schodach. Indianin podszedł do białego opla corsy stojącego na zabłoconym placyku.

- A teraz - powiedział, kiedy już obaj siedzieli w samochodzie - czas na podróż. Proszę się ułożyć wygodnie, zrelaksować.

Marek posłusznie rozłożył sobie siedzenie.

- Ale wygodny fotel! - krzyknął zaskoczony. Wydawało mu się, że zobaczył na twarzy Indianina przelotny uśmiech. Karol włączył radio. Z głośników popłynęła kojąca muzyka przypominająca szum wodospadu, drzew i anielski śpiew. Marek poczuł, że ogarnia go spokój, który bardzo, bardzo

powoli wprowadza go w fazę snu. Indianin prowadził spokojnie. Marek patrzył na mijane budynki, ulice i ludzi i za nic nie mógł sobie przypomnieć, dokąd zazwyczaj ludzie biegną, czy nie czują tego spokoju co on, że na wszystko jest właściwy czas. Nagle zaczęło mu się wydawać, że muzyka rozbrzmiewa w całym mieście, przechodnie zatrzymują się i wsłuchani w kojące dźwięki zapominają o wszystkim oprócz tego momentu. W tym błogim półśnie Marek zdążył jeszcze tylko spojrzeć na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści.

Kiedy się obudził, wydawało mu się, że przespał co najmniej kilka godzin. Bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył, że minęło dopiero piętnaście minut.

- Dobrze, że się pan obudził - powiedział Karol. - Już za chwilę będziemy na miejscu.

- Co? - krzyknął z przejęciem Marek. Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo w tym momencie zobaczył przed sobą tablicę z napisem Kosaciec. - Niesamowite! - wykrzyknął tylko. - I znowu coś przespałem...

Kiedys też przespał jedną z ważniejszych chwil swojego życia - narodziny Pyzy. Taki był zmęczony całonocnym czuwaniem, że zasnął na krześle w poczekalni. Obudziła go dopiero pielęgniarka radosnym szczebiotaniem, że właśnie urodziła mu się dziewczynka. Pamiętał, że zamiast wydać z siebie okrzyk radości, zaklął wtedy pod nosem. Miał przecież czynnie we wszystkim uczestniczyć, wspierać Grażynę na duchu, a tymczasem on w najlepsze oddawał się drzemce!

Ile jeszcze razy mu się to przytrafi? Czy znowu będzie to wiążąca chwila?

- Naprawdę nic nie pamiętasz? - spytał Karol. - Zastanów się przez chwilę.

Marek zamknął oczy i wyteżył pamięć. Przypomniał sobie dziwne dźwięki, które słyszał w trakcie snu, oraz wrażenie, że jego umysł nagle znalazł się jakby w innej częstotliwości. We śnie widział, jak budzi się w samochodzie, obok siedzi Karol za kierownicą. Stoją w miejscu w jakimś dziwnym pomieszczeniu przypominającym tunel pod kanałem La Manche. Indianin coś mówi do niego, ale Marek widzi, że jego usta wcale się nie poruszają. Czuje straszny ucisk w żołądku, jakby poruszali się z niespotykaną szybkością. Nic go nie dziwi, wprost przeciwnie, wreszcie wszystko jest jasne.

Znów otwiera oczy. Spogląda ze zdumieniem na Indianina.

- Czy ja znowu zasnąłem? - pyta. Stoją teraz na jakimś parkingu. Marek widzi przed sobą dworzec, ten sam, w którym siedział poprzedniego dnia i pił lurowatą kawę. Patrzy na zegarek, jest dziesiąta.

- Ale to wszystko było prawdą - odpowiedział Indianin. Wsiadł z samochodu, Marek zrobił to samo. Był piękny słoneczny dzień.

- Jeśli to nie był sen, to co to były za dźwięki, te, które słyszałem?

- Pozwalają na synchronizację półkul mózgowych -

odpowiedział Karol. - Stan, w który wprowadzają, nazwałbym świadomym śnieniem. - Po chwili dodał: - Ona już bardzo długo czeka...

- Czy ja sam mógłbym w ten sposób podróżować?

- Oczywiście, każdy może, i wcale nie są do tego potrzebne te fale dźwiękowe. Tylko ja jedyne w ten sposób wkraczam do tunelu czasoprzestrzennego. Tak naprawdę wystarczy otworzyć swój umysł i pozwolić działać tkwiącej w każdym człowieku mocy. Otwórz umysł, Marku. Odpręż się, wyobraź sobie miejsce, w którym chcesz być, ze wszystkimi szczegółami. Zobacz tam siebie. Wyobrażaj to sobie tak długo, aż zaśniesz. Nie możesz przez ten czas myśleć o niczym innym. Pamiętaj. Nawet nie obejrzysz się, kiedy znajdziesz taki tunel. Jest blisko.

- Czy mógłby pan... - zaczął mówić Marek, ale nagle przestał.

- Nazywaj mnie Karol - odpowiedział Indianin, patrząc na niego z uwagą. - To twoja droga, Marku, sam musisz się z nią zmierzyć. Ale myślę, że nikt nie wykona tego zadania lepiej od ciebie.

- Ale ja nie wiem, od czego zacząć! - westchnął Marek. - Nawet nie mam pojęcia, jak ta dziewczyna wygląda!

- Znaki - odpowiedział Indianin. - Już ktoś mówił ci o tym wcześniej, prawda? Idziesz do sklepu? Bo ja muszę sobie kupić colę. Uwielbiam ją. - Spojrzał na Marka z uśmiechem. Ten odwzajemnił uśmiech.

- Ja niestety też - odpowiedział.

Oparli się o samochód i w milczeniu pili. Kiedy Karol

wychylił swoją półlitrową butelkę do końca, podał Markowi dłoń na pożegnanie.

- Czas na mnie - powiedział.

Marek mocno ścisnął podaną rękę.

- Mam nadzieję, że następnym razem, gdy się zobaczymy, będę mógł się zrewanżować za pomoc.

- A ja mam nadzieję - odpowiedział Indianin - że w szczęściu i harmonii wypalimy fajkę pokoju. - Mrugnął do Marka i uniósł dłoń na pożegnanie.

- Dziękuję za wszystko - powiedział Marek, uśmiechając się raczej smutno. Kiedy samochód Karola zniknął mu z oczu, rozejrzał się po miasteczku. Nie zobaczył niczego, co przyciągnęłoby jego uwagę, żadnego znaku, przeczucia, poczuł tylko, jak ogarnia go uczucie zagubienia. Nie miał pojęcia, co dalej robić.



Grażyna wiedziała, co powinna zrobić. Usiąść pod tym wielkim dębem i czekać, aż coś się wydarzy. Czuła, że prędzej czy później to nastąpi. Nie miała pojęcia, co może się stać, ale wystarczała jej pewność. Wzięła ze sobą śpiwór, poduszkę, kilka grubych książek do czytania. Poprosiła Tomka, żeby przynosił jej jedzenie i zaopiekował się Pyzą. Tomek oczywiście pukał się w głowę, gdy usłyszał o tym dziwacznym pomysle, ale zdecydowanie nie miał w tej kwestii nic do gadania. Grażyna po prostu postawiła go przed faktem dokonanym. Będzie czuwać i koniec.

Już pierwszej nocy trochę zmiękła w swoim postanowieniu. Przede wszystkim trzęsa się z zimna w swoim grubym śpiworze przeznaczonym niby do temperatury poniżej zera. Poza tym przypomniała sobie nagle, że przecież panicznie boi się duchów i ciemności. Każdy drobny szelest przyprawiał ją o szybsze bicie serca. *W co ja się wpakowałam?* – myślała już o północy, spoglądając z lękiem na zegarek. Zdziwiło ją, że o tej porze

ludzie jeszcze spacerują po parku. Oczywiście przede wszystkim roześmiane grupki młodzieży lub pogrążone w cichej rozmowie pary.

Za dnia było bardzo przyjemnie: Tomek z Pyzą dotrzymywali jej towarzystwa. Oprócz tego co rusz ktoś się do nich przysiadał z ciekawości. Grażyna śmiała się, że pewnie jutro ktoś jeszcze prócz niej przyjdzie tu ze śpiworem.

O pierwszej w nocy nastąpiła całkowita cisza. *Zwodnicza* - myślała Grażyna, rozglądając się z lękiem dookoła. Około drugiej udało jej się zasnąć. Weszła do tunelu, który wirował, kręcił się w kółko jak trąba powietrzna. Grażyna czuła, że robi jej się niedobrze, ale... wiedziała, że nie powinna się budzić. Przed sobą zobaczyła drzewo. Ktoś wołał, żeby się pośpieszyła. Nie widziała, kto to, ale głos należał do kobiety. Chciała biec, ale nie mogła. Za bardzo kręciło jej się w głowie, musiała się skupić, żeby nie upaść. Udało jej się w końcu wydostać z tunelu. Wtedy ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że wyszła z drzewa. Przed nią stało drugie. Zupełnie takie samo! A potem - przeżyła wszystko to samo jeszcze raz, tylko w odwrotnej kolejności, jakby się cofała, i w znacznym przyśpieszeniu. Czuła się tak, jakby ktoś jej na żywca wyrywał teraźniejszość! Kiedy się obudziła, przez moment nie mogła złapać tchu. Otworzyła oczy. Krzyknęła z przerażenia, gdy zobaczyła, że pochyla się nad nią jakiś mężczyzna.

- No co ty, Grażynka, to ja! - usłyszała znajomy, roześmiany głos.

- Chyba nie wiesz, idioto, co narobiłeś! - krzyknęła, zrzucając z siebie śpiwór i błyskawicznie wstając. - Mało brakowało, a poznałabym tajemnicę drzewa. Ale ty oczywiście musiałeś wtrącić swoje trzy grosze i nici z rozwiązania zagadki! Poza tym co zrobiłeś z Pyzą?

- Sprzedałem ją żonie... - Uśmiechnął się niepewnie. - Nie gniewaj się, przecież nie mogłem cię tak zostawić. Samej w parku, w ciemną noc. Tylko szaleniec by się na to zgodził!

- Od kiedy tu jesteś? - atakowała go Grażyna bezlitośnie.

- No tak gdzieś od dwudziestej drugiej - odpowiedział.

- Co? - zdziwiła się. - W takim razie dlaczego mnie obudziłeś? Chyba musiałeś widzieć, że nie mogłam zasnąć. Kiedy wreszcie mi się udało, ty przychodzisz i ot tak, dla rozrywki, odbierasz mi sen? Zgadza się? A może zrobiłeś to z zazdrości, bo sam nie dałeś rady zmrużyć oka?

- Posłuchaj mnie, proszę - próbował jej przerwać Tomek.

- No jak mogę się usprawiedliwić, kiedy nie dajesz mi dojść do głosu?

- Dobra, mów - zgodziła się wspaniałomyślnie Grażyna.

- Po pierwsze zaobserwowałem ruch w parku. Przechodzili tędy jacyś ludzie, wydawało mi się, że ich celem jest to drzewo, tylko twoja obecność ich płoszyła. Mogli cię zobaczyć dopiero, jak podeszli blisko, więc zazwyczaj przystawali tu, gdzie teraz stoisz, stali przez chwilę w milczeniu, a potem odchodzili. To wyglądało prawie jak rytuał. Było tych osób może z dziesięć. Wszystkie zachowywały się w bardzo podobny sposób, a co ciekawsze, każda z nich przyszła tu oddzielnie. Nie to mnie jednak

zaniepokoiło najbardziej, lecz twoje zachowanie. Zaczęłaś się rzucać przez sen, bałem się, że rozbijesz sobie głowę. A na koniec krzyczałaś tak strasznie, że musiałem cię obudzić.

- To nie był dobry pomysł, żeby tu spać - stwierdziła Grażyna już spokojnie.

- Dobrze, że nareszcie to odkryłaś. - Tomek odetchnął z ulgą.

- Jutro - odpowiedziała szeptem - znajdę sobie dobrą kryjówkę.

- Ale...

- Pst! - syknęła Grażyna. - Tylko nie mów mi, że to zły pomysł!

- Dobra... - poddał się Tomek. - Ale dzisiaj chyba dasz się namówić na to, żebym odprowadził cię do domu?

Grażyna zastanawiała się przez chwilę.

- Masz rację - stwierdziła. - Nic tu dzisiaj po nas. I tak na pewno udało mi się wszystkich przepłoszyć! - zaśmiała się.

Tomek zebrał rzeczy Grażyny i podał jej ramię. Ruszyli w ciemność.



- Mistrzu, to powinno się stać właśnie dziś w nocy - szepnął Artur. Znajdowali się w tej samej sali co poprzednio, tylko teraz na całej długości stołu paliły się świece.

- Przecież wiem, durniu! - huknął na niego mistrz, po czym dodał spokojnie: - Dziś jest pełnia, a wtedy niektóre dzieciaczki wychodzą ze swoich norek. Same nie wiedzą, że idą. Wtedy ja cyk - ścisnął pięść - i mam je w garści. Budzą się dopiero w zupełnie innym łóżeczku. A że są jeszcze bardzo małe, nawet niezupełnie się temu wszystkiemu dziwią. I to jest w tym najpiękniejsze! - krzyknął z pasją.

- To dlaczego - pytał Artur, nie patrząc mu w oczy - mistrz się nie szykuje tak jak zwykle, przecież to wymaga...

Mistrz się roześmiał.

- Mam teraz świetlną układankę. Tamte metody to już przeszłość. Teraz przechodzę do tamtego świata, biorę dziecko za rękę i prowadzę aż tu. Nic prostszego! Właśnie! Przeprowadź tutaj moją zoneczkę! - Zaśmiał się hałaśliwie.

- To... żona? - Artur otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- A co? Ty głuchy jesteś i ślepy? Zresztą - machnął ręką - nieważne. Po prostu ją przyprowadź!

Artur posłusznie wyszedł.

Mistrz podszedł do stołu, włożył palec w ogień świecy i obserwował, jak ciemnieje.

- Wzywałeś mnie, mistrzu?

Mistrz odwrócił się gwałtownie w stronę dźwięku. Franciszek mógł przysiąc, że przez mgnienie oka zobaczył w jego spojrzeniu strach.

- A! To ty! - Mistrz wyraźnie odetchnął. - Nie poznałem. Podejdź tu, proszę.

Franciszek posłusznie podszedł do stołu.

- Siadaj. - Mistrz wskazał mu krzesło, sam usiadł obok. - Widziałeś kiedyś, jak ćmy rwą się do światła? Jakby nie wiedziały, że parzy... Spójrz na tę. - Wskazał na świecę, w której leżał na wpół spalony owad. - Tak samo jest z nami, Franciszku. Radzę ci być uważnym. - Patrzył na chłopca przenikliwie. - Życie parzy, gdziekolwiek się nie obrócisz. Rwiemy się ku światłu i szczęściu, a co nas spotyka? Tylko to. - Wskazał ręką dookoła. - Wilgoć i zimno. Czy było ci kiedyś tak zimno, że wydawało ci się, że język przykleja się do podniebienia, że nie masz już rąk ani nóg? Co? - Przysunął twarz do twarzy Franciszka, patrzył na niego groźnie.

- Nie - odpowiedział chłopak, odważnie patrząc mu w oczy.

- W takim razie jesteś szczęściarzem. - Poklepał chłopca po ramieniu. - W naszej jaskini nie brakuje miejsc, w których

czujesz, jak zimno przenika cię na wskroś. Po dobie, tfu, co ja mówię, po kilku godzinach spędzonych w takim pomieszczeniu największym pragnieniem staje się ciepło w każdej postaci, byleby jak najwięcej.

- Po co mi to mówisz, mistrzu? - Franciszek udawał zdziwienie, chociaż doskonale wiedział, do czego rozmówca zmierza.

- Czy wykonujesz polecenie, do którego zostałeś wytypowany?

- Oczywiście.

- Tak jest, mistrzu - poprawił go.

- Tak jest, mistrzu.

- I czego się dowiedziałeś?

- Wiem, w którym namiocie mieszkają i jak wyglądają. -
Oraz - dodał w myślach - jak fascynujące oczy koloru topazu ma jedna z nich.

Mistrz wstał, zaczął przemierzać salę.

- To niewiele. Co ty właściwie tam robisz? Chyba się nie uczysz?

Franciszek wzruszył ramionami.

- Przecież jestem tam dopiero od kilku dni. Czego mistrz się spodziewał?

Mistrz odwrócił się gwałtownie w jego stronę

- Że będziesz węszył dniem i nocą, twoje oczy i uszy nie mają prawa zasnąć, rozumiano? Inaczej w zupełnie inny sposób wytłumaczę ci, czym naprawdę jest zimno. Mówią, że doświadczenie czegoś na własnej skórze to najlepsza lekcja. Chcesz spróbować? - mówił spokojnie, jakby właśnie

wspominał o rzeczach nadzwyczaj błahych. – A teraz słuchaj mnie uważnie: bliźniaczki w najbliższym czasie, być może nawet już jutro, będą chciały wymknąć się niepostrzeżenie z obozu na poszukiwania ojca. Masz za zadanie nakłonić je, żeby pozwoliły ci się przyłączyć. Nie wiem, jak to zrobisz, masz dokonać cudu, rozumiesz? Inaczej... – zbliżył się do Franciszka i złapał go lekko za szyję, jego ręce były lodowate, chłopak mimowolnie się wzdrygnął – ...poznasz prawdziwe zimno.

W tym momencie wszedł Artur z Pauliną. Kobieta zatrzymała się w progu, jej wzrok padł na Franciszka. Gdzieś już chyba go widziała... Tylko gdzie? I w jakich okolicznościach?

Twarz mistrza momentalnie przybrała wyraz zachwytu. Podszedł bliżej Pauliny, ręką o długich, chudych palcach musnął jej policzek.

– Witaj, najdroższa, w moich komnatach. Czy dobrze cię traktują? Nie jest ci tam zimno? – Roześmiał się nieprzyjemnie.

Paulina nie patrzyła na niego, twarz miała kamienną. *Nie daj się sprowokować, nie daj się sprowokować* – powtarzała w myślach. Krew w niej wrzała, czuła, że jeszcze trochę, a wybuchnie.

– Czemu milczysz? – Mistrz opuścił dłoń, ale nadal patrzył na Paulinę z uwagą. – Powinnaś się cieszyć. Znalazłem dla twoich dziewczynek dobrego opiekuna. Ale, ale... No tak! – Złapał się za głowę. – Gdzież moja kultura? Przecież cię jeszcze nie przedstawiłem. Franciszku – zwrócił

się do chłopaka - podejdź tu, proszę. Paulino, oto Franciszek, przyszły opiekun twoich wnuczek. Wspaniały chłopak, prawda?

Paulina z Franciszkiem przypatrywali się sobie w milczeniu. Kobieta wiedziała, że skądś zna tę twarz: delikatnie garbaty nos, usta pełne i stanowcze, uniesioną lewą brew, jakby cały czas zadziwioną, oczy łagodne i kojące... Coś bliskiego było w tym wszystkim... Tak bardzo bliskiego... Paulina wiedziała jednak, że pierwszy raz widzi na oczy tego chłopca. A więc skąd ta myśl? *Najważniejsze przykazanie szukających się kłania* - pomyślała z uśmiechem - *ufaj pierwszym myślom. Tylko one rzadko są mylne, ponieważ przybywają do nas z głębi podświadomości.* Paulina wiedziała, że prędzej czy później rozwiązanie zagadki przyjdzie do niej samo.

- Wspaniały - przytaknęła z powagą, kierowana impulsem.

- Dlaczego jej to mówisz?! - wybuchnął nagle Artur. - Przecież ona może się kontaktować z dziewczynkami, kiedy tylko zechce! Czy to tak trudno opisać im, jak on wygląda, a nawet jak ma na imię? Przecież...

Nie dokończył zdania, ponieważ mistrz błyskawicznie znalazł się tuż przy nim.

- Patrz mi w oczy! - krzyknął. Artur nie posłuchał. - No patrz! - ryknął jeszcze głośniejsze. - A teraz słuchaj. Czy masz mnie za idiotę? Myślisz, że nie wiem, co robię? Po drugie, tylko niektórym ludziom pozwalam mówić do siebie po imieniu. Ty do nich nie należysz. Zrozumiano? - mówił

powoli, podkreślając każde słowo. Artur szybko pokiwał głową.

- Tak, mistrzu - odpowiedział.

- Zejdź mi z oczu!

Artur wybiegł. Mistrz zwrócił się do Pauliny. Oczy mu błyszczały, głos stał się jakby głębszy.

- Pokaż mi moje dzieci. Niech tańczą przede mną! Chcę wiedzieć, gdzie się podziewają, czy już odnalazły dom...

- Przecież wiesz, że dopóki mnie tu więzisz, żadna część akurat tej układanki nie wróci do domu, chyba że komuś uda się to zrobić na własną rękę. Odbierasz ludziom szczęście, Zygmuncie. - Patrzyła na niego twardo, czuła, jak jej wzrok pali, niemal zabija. Tylko kogo bardziej?

- Cha, cha, i to właśnie chciałem usłyszeć! - krzyknął wesoło. - A teraz uruchom ją.

- Od słowa „proszę” nikt jeszcze nie umarł - odpowiedziała spokojnie.

- Tylko że - podszedł tak blisko Pauliny, że czuła jego oddech na twarzy - to nie jest prośba.

- Tak? - Roześmiała się hardo, choć tylko ona wiedziała, ile wysiłku ją to kosztuje. - I tak nie miałam zamiaru tego zrobić! - krzyknęła. W akcie desperacji zaczęła uciekać.

Wtedy usłyszała muzykę. Poczowała, jak przenika do jej świadomości, wędrując coraz głębiej i głębiej. Potem usłyszała jego głos. Brzmiał spokojnie i pewnie, Paulina wiedziała, że nie jest w stanie mu się oprzeć. *A więc w taki sposób to robisz!* - pomyślała ostatkiem wolnej świadomości.

Zygmunt wziął ją na ręce i zaniósł do jej łóżka, delikatnie

na nim ułożył, a potem niemal pieszczotliwym gestem zgarnął jej kosmyk z czoła.

- A teraz otworzysz oczy - powiedział. Otworzyła oczy. - Zadam ci parę pytań, a ty na nie odpowiesz, dobrze? - spytał łagodnie. Paulina skinęła głową. - Pierwsze pytanie: tęsknisz czasami za mną?

Paulina kilka razy otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć. Milczała jednak przez dłuższy czas.

- Paulino, spójrz na mnie - szepnął znowu mistrz. Posłusznie uniosła wzrok. - Powtarzam pytanie: czy tęsknisz za mną?

- Tęsknię za człowiekiem, który dawno w tobie umarł - odpowiedziała, nie przestając na niego patrzeć.

- Skup się teraz, zadam ci bardzo ważne pytanie: czy istnieje jakiś sposób na to, żebym mógł bez twojej pomocy uruchamiać układankę?

- Istnieją kody, które znają tylko strażnicy układanki. One nie są zbywalne, nie można ich też przenieść.

- Co to oznacza dla mnie?

- Nie jesteś w stanie samodzielnie uruchamiać układanki.

- Nie ma żadnego sposobu?

- Żadnego.

- Paulino, twoja odpowiedź mnie nie zadowala... - Mistrz nie zmieniał tonacji głosu. - Postaraj się bardziej.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Co by się stało, gdybym użył twojego kodu?

- Każdy kod jest dopasowany do głosu i odwrotnie.

System wykryje najmniejsze nawet fałszerstwo, a przyłapanego na nim człowieka czeka kara. Zwykle zostaje odcięty od reszty świata w miejscu à la więzienie. Posiada tam wszystkie rzeczy niezbędne do życia, ale nie może wrócić do siebie ani do rodziny. Żyje z innymi wygnańcami. Oczywiście nie trwa to wiecznie - od paru miesięcy do kilkunastu lat, w zależności od przewinienia. Nie radzę próbować.

- W takim razie, Paulino, musisz wypocząć. Dziś wieczorem będę bardzo potrzebować twojego kodu i twojego głosu. I jeszcze coś: nigdy nie spotkałaś Franciszka, zrozumiałaś? Teraz zaśniesz, a kiedy się obudzisz, nie będziesz pamiętała tego seansu. Na „trzy” zasypiasz. Raz, dwa, trzy.

Sprawdzał kilka razy. Zamknięte oczy, głęboki oddech. Policzki Pauliny delikatnie zaróżowiły się od snu. Pierwszy raz spojrział na nią naprawdę, tak jak za dawnych lat. Zdumiało go, jak mało się zmieniła, upływ czasu tylko wygładził jej rysy, bardzo delikatnie wyznaczył kilka zmarszczek. Patrzył na nią i patrzył, tak jakby to ona teraz go zahipnotyzowała. *Ocknij się, ty durniu!* - beształ sam siebie.

Wtedy przypomniał sobie pewną historię. Opowiadała o człowieku, którym kiedyś był. Wracał codziennie z pracy

tak zmęczony, że marzył tylko o śnie. Nie miał czasu spojrzeć żonie w oczy, pobawić się z dziećmi. W końcu powiedział sobie: dość, tak dłużej być nie może. Wcale nie stracił pracy – on ją po prostu rzucił. A potem... było coraz gorzej. Kiedy minęła euforia wolności, nie wiedział, co począć z czasem, nie mógł znaleźć nowej pracy. Pęczniała w nim frustracja, która w końcu musiała znaleźć ujście.

Tego dnia chodził po mieście zupełnie bez celu. Zainteresował go dopiero tłum ludzi na ryneczku. Podszedł bliżej, zobaczył człowieka w czarnej masce zakrywającej mu oczy. Mówił coś, a tłum jak zahipnotyzowany słuchał. Wysłuchawszy się bardziej, Zygmunt ze zdumieniem stwierdził, że tak naprawdę człowiek w masce nie opowiada niczego ciekawego. Można by nawet powiedzieć, że obraża tłum. Mówił bowiem o ludzkiej głupocie, o tym, że ludzie zadowolają się życiem poniżej przeciętnej, że nie umieją wziąć spraw w swoje ręce. Zygmunt w zdumieniu przyglądał się twarzom zasłuchanych osób. Wiele z nich znał, w końcu to było małe miasteczko. Byli tam nauczyciele, biznesmeni, duchowni. Wszyscy bez wyjątku w skupieniu przytakiwali. Zygmunt nigdy wcześniej nie widział takiej koncentracji na ludzkich twarzach. *O co w tym wszystkim chodzi?* – myślał w zdumieniu.

Gdy wykład się skończył, podszedł do zamaskowanego człowieka.

– Muszę poznać pańską tajemnicę – powiedział wprost. Tamten spojrzał na niego z uwagą, Zygmunt do dziś dokładnie pamięta ten wyraz zdumienia czy podziwu w jego

oczach.

- Jaką tajemnicę? - spytał nieznajomy.

- W jaki sposób pan tak porywa tłum, głosząc obraźliwe wręcz treści?

- Oni wszyscy byli przekonani, że opowiadam niewiarygodną historię - odpowiedział w zamyśleniu człowiek. - To był rodzaj eksperymentu, zdarza mi się czasami takie popełniać.

- Niewiarygodne! Zdumiewające! - krzyczał Zygmunt rozentuzjasmowany.

- Nie - zaprzeczył nieznajomy. - Pan jest dużo bardziej zdumiewający od tej taniej sztuczki. Z takim darem może pan osiągnąć niemal wszystko.

- Nie rozumiem?

- W czasie mojej wieloletniej praktyki nie spotkałem człowieka, którego nie udało mi się zahipnotyzować. Pan jest pierwszy. Szukam pana od lat.

Zygmunt pamięta jak przez mgłę pierwsze parę miesięcy z tym człowiekiem. Kazał mu nosić białą maskę, bo mówił, że to kolor nowicjatu. Tłumaczył też, że on, Zygmunt, jest jego pierwszym i ostatnim uczniem, ponieważ tylko osoby niepodatne na manipulację mogą się nią posługiwać. Zygmunt z dnia na dzień czuł coraz większą siłę, pewność siebie. Przez wiele miesięcy nie był w domu. Podróżował z arcy mistrzem Witoldem z miejsca na miejsce i uczestniczył w pokazach. Widział, jak ludzie dobrowolnie oddają im swoje

pieniądze, obdarowują ich najlepszym jedzeniem, słuchają ślepo każdej prośby. Zygmunt miał nareszcie pieniądze, czuł się kimś. Pamięta ten dzień, kiedy po rocznej nieobecności wrócił do domu. Paulina popatrzyła na niego i od razu kazała wynosić się z domu. Krzyczała za nim, co zrobił z jej mężem, gdzie go zostawił. Zygmunt odszedł wtedy bez słowa. Czuł się nadczłowiekiem, nie miał wcale ochoty dalej żyć z „motłochem”, jak sam to określił. „Prawdziwy mistrz nie ma rodziny” – powtarzał ciągle Witold. A Zygmunt, człowiek niepodatny na manipulację, uwierzył mu do tego stopnia, że na wiele lat prawie całkowicie zapomniał o swojej rodzinie.

Zakłuło go coś w sercu tak boleśnie, że miał wrażenie, jakby nie mógł złapać tchu.

- To był najlepszy wybór w moim życiu - powiedział głośno, ze złością. Potem zerwał się z miejsca i wybiegł, szybko zamykając za sobą drzwi.



- Wiecie, czego się dowiedziałam? - Ania weszła do namiotu, niosąc w ręku reklamówkę całą obładowaną czekoladami.

- Zamierzasz się tuczyć czy co? - zaśmiała się Gosia.

- Nie, wszystkie są specjalnie dla ciebie. Nie powinnaś być chudsza ode mnie - odcięła się Ania.

- No, czego się dowiedziałas? - spytała Ewelina.

- Że dzisiaj cały dzień uczymy się świetlnej układanki!

- Łał! Super! - ucieszyła się Gosia. - Ale to znaczy, że...

- Powinniśmy przełożyć naszą podróż co najmniej o dzień - dokończyła za nią Ania.

- No właśnie, bo to przecież musimy wiedzieć!

Rozległ się gwizdek, który sprawił, że cały namiot zawrzał od śmiechu.

- Czuję, że jak wrócę do domu, będę za tym tęsknić. - Westchnęła Gosia. - Chyba musimy się zbierać.

- Chyba tak - jęknęła Ewelina.

- A gdzie się podziała Agnieszka? - spytała Gosia.

- Robi nam śniadanko! - krzyknęła Ania, skacząc w górę ze śmiechem. - Chodźmy!

Prawie wszystkie dzieci były już na placu. Niektóre ziewały przeciągle i tęsknie patrzyły w stronę namiotów. Inne szły nieśpiesznie w kierunku placu. Pani Magda znów zagwizdała, tym razem jednak dłużej i boleśniej dla uszu.

- Dzień dobry wszystkim. Mam nadzieję, że się wypaliście. Kto na ochotnika opowie nam dziś swój sen?

- A można na bieżąco streszczać? - spytał chłopak o bujnych kręconych włosach. Miał zamknięte oczy.

- Można, ale dostać porządne lanie! - zdenerwowała się pani Magda. - Niech się zgłaszają tylko ci, którzy mają coś ważnego do powiedzenia!

- Ja mogę opowiedzieć - zgłosił się Franciszek.

- A, to ty! - wyraźnie ucieszyła się pani Magda. - Mów, proszę. Jakby ktoś za mocno hałasował, będę cię wspierać moim gwizdkiem.

- Dziękuję pani. - Franciszek skłonił się.

Gosia na ten widok parsknęła śmiechem.

- Ale lalusz! - szepnęła Ani do ucha.

Siostra również zachichotała.

- Babcia nazwałaby go dupowłazem - odpowiedziała. Dziewczynki śmiały się i nie mogły przestać, jedna uspokajała drugą. Franciszek jednak wcale nie zwracał na nie uwagi. Stał obok pani Magdy, dziwnie poważny, niemal uroczysty.

- Przed snem zadałem podświadomości pytanie dotyczące mojego ojca, a dokładnie tego, czy żyje. Zniknął

dawno temu, a ja nie mam pojęcia, co się z nim stało. Przyśniło mi się coś dziwnego, jakaś klatka, w środku której byli ludzie. Chodzili jak lunatycy, nie patrząc na siebie, nie rozmawiając. Wielu mężczyzn miało długie brody i włosy, tak jakby klatka więziła ich od bardzo dawna. Wydaje mi się, że w jednym z tych mężczyzn rozpoznałem swojego ojca. Tylko dalej nie mam pojęcia, jak go szukać.

- Sami widzicie - w głosie pani Magdy słychać było satysfakcję - że to działa. Myślę, że coś takiego przydarzyło się każdemu z was. Ktoś jeszcze chce się z nami podzielić swoim snem?

Nikt więcej nie wyraził takiej ochoty. Pani Magda dokładnie przyjrzała się czterdziestu twarzom, po czym stwierdziła:

- Dla odmiany damy głos dziewczynie. - Podeszła do blondynki o krótkich, postrzępionych włosach i kocich oczach. - Może ty nam coś opowiesz? - spytała łagodnie.

Dziewczynka spuściła oczy.

- Mnie w nowych miejscach nigdy się nic nie śni - powiedziała szybko.

Po placu przeszedł szmer śmiechu i komentarzy.

- W takim razie - pani Magda się roześmiała - zapytam cię jutro. Jutro to nie będzie już nowe miejsce, prawda?

- Tak, pani profesor - odpowiedziała dziewczynka.

- Dobrze, w takim razie dzisiaj wam daruję. Ale jutro, kiedy każdy już oswoi się z tym nowym miejscem i zacznie normalnie śnić, normalnie mówić oraz normalnie oddychać, nie przepuszczę nikomu, zrozumiano?

- Tak! - krzyknęli uczniowie.

- Co mamy teraz robić? Jakie pytania zadawać? - zapytał Franciszek.

- Nie wiem - odpowiedziała pani Magda. - Twoja intuicja najlepiej ci odpowie na to pytanie, zwłaszcza że, o ile pamiętam, nieźle ci z nią szło.

Pod koniec śniadania od nauczycielskiego stołu wstała drobniutka starsza kobieta. Zadzwoiła łyżeczką o szklankę.

- Słuchajcie wszyscy! - powiedziała. Jej głos brzmiał jak szept, ale jednocześnie był tak przenikliwy, że docierał do wszystkich. - Od razu po śniadaniu udajemy się do ciemni, która znajduje się zaraz naprzeciwko, w tym brzydkim niebieskim baraku. Pokażę wam coś, co na zawsze odmieni wasze życie.

- Ona jest niesamowita - szepnęła Ania do Eweliny. - Popatrz na jej włosy, całe białe! A słyszałaś ten głos?

- To ty nie wiesz, kim ona jest? - zdziwiła się Ewelina. - Naprawdę nie wiesz?

- Nie! A co w tym strasznego?

- Nic oprócz tego, że to ona założyła szkołę dla szukających, rozwinęła wiedzę na temat funkcjonowania świetlnej układanki. Nazywa się Anna Maria. To drugie to jej nazwisko. To ona wygrywa coroczne konkursy na najbardziej efektywnego szukającego. Moja mama co roku zastanawia się, kiedy wreszcie Anna Maria przestanie brać w nich udział i da szansę innym.

- Ej, dziewczyny! Może byśmy już poszły? - gorączkowała się Gosia. - Zostałyśmy tylko my trzy.

- A ja? - Nagle jakby znikąd pojawił się Franciszek, jak zwykle uśmiechnięty od ucha do ucha. - To niby co?

- Skąd się tu wzięłeś? - Gosia popatrzyła na niego krzywo.

- Przyszedłem po was. Same byście przecież nie trafiły.

- No, na pewno!

- Przestań już, Gośka. - Ania spojrzała na nią krytycznie.

- Może byśmy poszli?

Wzięła Franciszka pod ramię i wyszli, nie oglądając się za siebie.

- Czemu twoja siostra tak mnie nie lubi? - spytał Franciszek, gdy już się trochę oddalili.

- To przekora, już ja ją znam - zaśmiała się Ania. - Zaczynaj spędzać więcej czasu ze mną, a zobaczysz.

- Okay! - Franciszek się roześmiał. - W takim razie zabiorę cię dzisiaj na spacer, chcesz?

Ania rzuciła mu przelotne spojrzenie. Uśmiechnęła się, kiwnęła głową. Nie mogła patrzeć dłużej, bo od razu czuła skrępowanie. Nie wiedziała, co zrobić z ustami, oczami, ze wszystkim. *To chyba nazywa się nieśmiałość* - myślała z rozpaczą. Nie cierpiała w sobie tego uczucia, ale również nie potrafiła się go pozbyć.

- Co wy tak wolno? - krzyknęła Gosia, kiedy właśnie razem z Eweliną ich wymijały.

- To są nasze prywatne sprawy! - odpowiedział Franciszek ze swoim szerokim uśmiechem.

Wszyscy czworo weszli do niebieskiego baraku. W środku był korytarz, skąpe światło z niedomkniętych drzwi pozwalało cokolwiek zobaczyć i nie zderzyć się ze ścianą. Franciszek otworzył dopiero trzecie z kolei drzwi. U góry pokoju, niemalże pod sufitem, wirowała powoli świetlna układanka, znacznie większa od tej, którą bliźniaczki widziały u babci. Uczniowie siedzieli na podłodze, nowo przybyli przycupnęli zaraz przy wyjściu.

Puzzle miały różne kolory, od białych po bordowe. Fruwały powoli w różne strony, nigdy się ze sobą nie zderzając.

- Zwróćcie uwagę - mówiła nauczycielka swoim przenikliwym szeptem - że ludzie mają różne kolory. Nigdy nie mówię o nich „puzzle”, bo tak mogłabym mówić tylko o rzeczach. A to... - Zaczęła kiwać wskazującym palcem, robiła to bardzo powoli, w skupieniu. Ania zauważyła, że jeden z elementów układanki zaczął się powoli przybliżać do dłoni kobiety. W końcu zatrzymał się tuż nad jej ręką. - A to są indywidualne jednostki. Ten na przykład to syn aptekarza z pewnego podlaskiego miasteczka. Jest już bardzo blisko celu. Spójrzcie, że kolor jego aury, bo tak naprawdę to, co otacza te puzzle, to właśnie aura, jest czerwony.

- To jak zabawa w ciepło-zimno, tak? - zabrzmiał dziewczęcy głos ze środka sali.

- Rzeczywiście - odpowiedziała Anna Maria z namysłem.
- Trochę tak jest. Im są bliżej, tym cieplejszy kolor mają.

- Skąd pani wie, że to syn aptekarza? Też z aury? - spytał chłopak z drugiego końca sali.

- To proste, pomagałam mu. Jak myślicie, na czym polega zadanie szukających? Nie wyobrażacie chyba sobie, że siedzą w ciemnym pokoju i wodzą palcem po układance, prawda? My musimy poznać tego człowieka, dowiedzieć się, co lubi, a czego nie. Nie jest wcale tak łatwo skłonić ludzi do całkowitej zmiany ich dotychczasowego życia. Trzeba do tego podejść bardzo łagodnie, znać psychologiczne podstawy ludzkich zachowań. Oczywiście takie radykalne zmiany nie zdarzają się bardzo często, ale mimo wszystko się zdarzają. Ma to miejsce wtedy, kiedy któraś z bratnich dusz mieszka w nieprzeznaczonym jej świecie. Wtedy trzeba najpierw przeprowadzić ją do tego właściwego. Na szczęście zazwyczaj nasze bratnie dusze mieszkają tuż obok nas.

- No dobrze - odezwała się Ewelina. - Ale skąd mamy wiedzieć, kto jest tą bratnią duszą?

- I to jest bardzo dobre pytanie - odpowiedziała nauczycielka z uśmiechem. - Widzicie, bratnie dusze są jak magnetyz, przyciągają się wzajemnie. Może nie da się tego odczuć w codziennym życiu, ale doskonale to widać na układance. Jak myślicie, kto jest bratnią duszą syna aptekarza? Przyjrzyjcie się dokładnie wszystkim postaciom. Kolorom, które je współtworzą, kierunkom, w które podążają. No, szybciotko, bo nie ma czasu! Musimy dzisiaj zrobić jak najwięcej materiału!

Uczniowie ścisnęli się wokół układanki. Kilku najsilniejszych chłopaków wepchnęło się oczywiście na sam przód. Ania była pewna, że jednym z nich jest Adam Rawski.

- Doskonale - szepnęła Anna Maria. Dwoma rękami

zaczęła wykonywać ruchy przywołujące, takie same, jakie robiła wcześniej małym palcem. Cała układanka zaczęła przemieszczać się w jej kierunku, bliżej końca kręgu uczniów. Kiedy znalazła się za uczniami, nauczycielka kazała jej się zatrzymać. - To nauczka dla wszystkich, którzy wszędzie chcą być pierwszymi - powiedziała z uśmiechem. A teraz bierzcie się do roboty!

Żaden z uczniów nie śmiał zaprotestować. Szept nauczycielki był stanowczy, sprawiał, że nie można było się mu sprzeciwić. Tak jakby budował niewidzialną barierę.

Gosia wpatrywała się z uwagą w układankę. Czerwonych „postaci” podobnych do syna aptekarza było całe mnóstwo i na pierwszy rzut oka niczym właściwie się nie różniły oprócz tego, że podążały najczęściej w różnych kierunkach. *To jakby czytać ze światła - pomyślała. - Ale co? Subtelne różnice kolorów? To niemożliwe... Za trudne... Chcę zobaczyć, dokąd podążacie, no pomóżcie mi, proszę* - szeptała w myślach. Nagle poczuła, że koniecznie musi zamknąć oczy. Zamknąć, odczekać chwilę i znów otworzyć. Kiedy to zrobiła, wydała krzyk zdumienia. Zamiast układanki miała przed sobą mapę. Czerwone postacie pulsowały ciepłym światłem. Teraz jednak Gosia widziała dokładnie, kto do kogo zdąża. Wszystko było oznaczone strzałkami, jak w grze planszowej.

- Jak to możliwe? - wyrwało jej się na głos.

Anna Maria za chwilę była już przy niej.

- Co widzisz? - spytała.

- Coś jakby mapę - odpowiedziała Gosia. - I strzałki od

postaci do postaci tak misternie ułożone, że nie można się pomylić. Syn aptekarza jest już blisko, nawet bardzo. Jednak kim jest osoba, z którą ma się spotkać, nadal nie mam pojęcia.

- Dowiesz się niedługo i tego - odpowiedziała kobieta. - Jak masz na imię? - spytała, potem jednak przyjrzała jej się uważnie i stwierdziła: - Zresztą nie muszę pytać, wiem przecież doskonale. Jesteś bardzo podobna do babci. A gdzie twoja siostra?

- Tutaj! - Ania podniosła rękę.

- Siostra nie odkryła tego samego? - zdziwiła się. - Ty nie jesteś tak podobna do babci - dodała z namysłem. - Bardziej do niego... Niezwykłe! Dwie bliźniacze siostry, tak do siebie podobne, a jednak...

- Do kogo jestem podobna? - wyrwało się Ani.

Anna Maria przemilczała jej pytanie. Zwróciła się już do wszystkich uczniów:

- Czy ktoś jeszcze odkrył mapę?

Uczniowie z rezygnacją kręcili głowami.

- Gosiu, czy domyślasz się, co sprawiło, że ją zobaczyłaś?

- Zamknięcie i otwarcie oczu?

Nauczycielka parsknęła śmiechem. Wraz z nią roześmiało się kilku uczniów.

- Nie. Pomyśl dobrze. To coś znacznie bardziej wyrafinowanego. Sama to zresztą wymyśliłam, bo doszłam do wniosku, że włamywacze raczej nie będą się silić na chociażby odrobinę kultury...

- Wiem! - krzyknęła Gosia z przejęciem. - To tak jak

w tej grze, gdzie trzeba długopisem narysować słoneczko i je opisać. Prowadzący stwierdza, czy jest ładne, czy brzydkie. Ładne jest tylko wtedy, kiedy podając długopis kolejnej osobie, mówimy „proszę”!

- Nawet nie znałam tej gry. - Nauczycielka się uśmiechnęła.

- To znaczy, że wystarczy powiedzieć „proszę”? - Jeden z tych „dużych” chłopaków na końcu się roześmiał. - Przecież to idiotyczne!

- Idiotyczne jest to, co mówisz! - krzyknęła Ania. Potem zatkała sobie buzię ręką ze strachu, że coś jeszcze palnie. *Zawsze muszę się wpakować w tarapaty* - pomyślała. Instynktownie bowiem czuła, że tej grupce lepiej się nie narażać.

- O co ci chodzi? Czy coś ci zrobiłem? - Chłopak się skrzywił.

W migotliwym świetle układanki Ania mogła tylko dostrzec łagodne rysy jego twarzy i długą grzywkę opadającą na czoło.

- Nic... Po prostu nie rozumiem takich komentarzy - odpowiedziała niepewnie.

- Ja tylko wyrażam swoje zdanie. Co w tym złego? - pytał chłopak.

- To odpowiedz mi na pytanie, co idiotycznego jest w słowie „proszę”.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Bo to mi jakoś nie pasuje do tego fantastycznego świata, w który wkraczamy. Powinna tu być tajemnica, pasja,

a nie zwykła uprzejmość!

Ania spojrzała w stronę chłopaka z większą niż dotychczas sympatią. *Ma trochę racji* - pomyślała. Nic jednak nie odpowiedziała.

- Skończyliście już? - szepnęła Anna Maria. - W takim tempie będziecie tu siedzieć do północy. Wszelkie komentarze zostawcie sobie na potem. Wcale mnie nie interesują wasze przemyślenia dotyczące lekcji ani układanki. To wszystko po zajęciach, po zajęciach - szeptała szybko, niemal syczała. Słychać było, że jest zdenerwowana. Zamilkła na chwilę, a potem mówiła dalej: - Podsumowując: jeśli chcecie zobaczyć mapę układanki, czyli wejść na kolejny poziom, wystarczy poprosić. Wasze intencje muszą być dobre, a prośba szczerą. Inaczej nic się nie wydarzy. Jeśli zostaniecie zaakceptowani, poczujecie konieczność zamknięcia na chwilę oczu, potem je otworzycie i... mapa odsłoni się przed wami. Rozumiem, że wszystko jasne, zatem przechodzimy do następnego etapu. Dzielimy się na dwuosobowe grupy: chłopczyk, dziewczynka, chłopczyk, dziewczynka. No już! Raz-dwa! Co tak stoicie?

Rzeczywiście nikt się nie ruszył z miejsca, jakby zgodnie stwierdzono, że to żart.

- W takim razie - ochryple szepnęła Anna Maria - wyznaczę pierwszych ochotników. Poproszę tu do mnie jedną z bliźniaczek oraz tego chłopaka, z którym tak chętnie się kłóci.

Oboje podeszli do niej powoli ze spuszczoneymi głowami.

- Doskonale! - Klasnęła w dłonie. - Teraz proszę się

ładnie przedstawić publiczności.

- Jestem Ania - powiedziała bliźniaczka z wyraźną niechęcią w głosie.

- Brawa dla Ani - szepnęła Anna Maria, bijąc brawo. Uczniowie poszli za jej przykładem. - Twoja kolej - zwróciła się do chłopaka. - Chcę usłyszeć w twoim głosie choć odrobinę entuzjazmu.

- Jestem Wiktor - powiedział przygaszonym głosem.

Rozległy się gwizdy jego kumpli z bandy nieznacznie przytłumione brawami reszty uczniów.

- Ech... - westchnęła nauczycielka. - Widzę, że dzisiejsza młodzież zupełnie nie ma w sobie życia. A przynajmniej nie wtedy, kiedy trzeba. Ale zostawmy już to. Powiem wam teraz, co macie robić. Każda para ma za zadanie wybrać jedną z postaci układanki, zapoznać się z nią: jaka jest, czym się zajmuje, jak bardzo jest wyobcowana. Rozumiem, że każdy z was wie, jakie są oznaki zagubienia? - Rozejrzała się uważnie dookoła. - Jak zwykle wyrywni... - stwierdziła. - Na wszelki wypadek przypominam główne cechy rozpoznawcze takich ludzi: wyobcowanie, lęk, przesadna nieśmiałość, piękne sny, apatia, senność. Zapamiętaliście? Doskonale. Teraz patrzcie uważnie. Aniu, kiwaj palcem. Tak jak ja to robiłam na początku. No, pięknie!

- Niesamowite! - krzyknęła Ania. - To się porusza! Leci do mnie! Ale czemu akurat ten... ta... postać?

- I to jest wielka zagadka - odpowiedziała kobieta niemal z rozrzewnieniem. - Od wielu lat usiłuję to wytłumaczyć. Przeprowadzam przeróżne badania. I dalej nie wiem. Jeśli

każdy z was zacznie kiwać palcem, przywoła zupełnie inną postać.

- Jest już! - krzyknęła Ania z przejęciem. Nad jej ręką unosiła się jasnoczerwona „postać”.

- Doskonale - szepnęła nauczycielka. - Teraz przygotujcie się na najlepsze. - Pstryknęła palcem dwa razy. Chwilę później zaraz obok Ani pojawiło się coś w rodzaju półokrągłej bramy zbudowanej z takiego samego światła, co układanka, tylko że wyłącznie w odcieniach bieli.

- O matko, a co to? - krzyknęła dziewczyna stojąca najbliżej Ani. Bliźniaczka spojrzała na nią zdziwiona.

- Czy to był okrzyk przerażenia, czy zachwytu? - spytała, patrząc z dezaprobatą w stronę dziewczyny. Zobaczyła burzę loków i szeroko otwarte ze zdumienia oczy.

- Anka, a ty znowu... - szepnęła do niej siostra.

- No co? - równie cicho odpowiedziała Ania.

- Ja... Jestem przerażona - zdecydowała się odpowiedzieć dziewczyna. - Strasznie się boję takich... przejść. Od małego śni mi się jedno... Wchodzę tam i znikam, i mam wrażenie, jakbym już potem nie istniała lub była tylko maleńką częścią świadomości.

- Czy możemy już zacząć? - zniecierpliwił się Wiktor. - Czy naprawdę chcecie tu gnić do nocy?

- Okay! Okay! - powiedziała ze złością Ania.

- Nie, nie, nie przerywajcie sobie - szepnęła Anna Maria. Potem już syczała: - Najwyżej będziecie gnić do rana w układance! Bądźcie więc wreszcie łaskawi zamilknąć i wysłuchać mnie do końca! - Powiodła wokół groźnym

wzrokiem. – No! – Uspokoila się widocznie. Kontynuowała już zupełnie spokojnie: – Jak pewnie się zorientowaliście, to jest tunel czasoprzestrzenny. Pomaga on poruszać się po tym świecie. Jeśli chodzi o drugi, alternatywny, istnieje do niego tylko jeden tunel, który ma po kilka filii w każdym kraju.

– Drzewo... – szepnęła Ania. Nagle wszystko stało się jasne. *Tatusz jest w innym świecie, do którego można się dostać jedynie za pośrednictwem drzewa...* – pomyślała. Ale dlaczego babcia im tego nie powiedziała?

Anna Maria obrzuciła ją zabójczym spojrzeniem.

– Drzewo – kontynuowała. – W Polsce w każdym województwie rośnie jedno drzewo, które jest tunelem. Nie zawsze jest to dąb, ale wiek tych drzew jest przybliżony: wszystkie mają co najmniej sto lat. No dobrze, wskakujcie. No już! Raz-dwa!

Ania z Wiktorem spojrzeli na siebie speszeni.

– Ja z nim? Mam tam wskoczyć? A jeśli coś się skomplikuje i będziemy na siebie skazani? Przecież ja tego nie przeżyję!

– Nie mazgaj się, ty – burknął do niej Wiktor. – Niby co mogłoby ci się stać?

Ania przemilczała tę jawną zaczepkę. Zwróciła się do nauczycielki:

– Czego mamy tam szukać? Jak go poznamy? I co powinniśmy z nim dalej zrobić? Przecież mieliśmy mieć zajęcia z psychologii, a nie tak na żywca...

– Lekcje, których uczy samo życie, to najwartościowsze zajęcia ze wszystkich – odszepnęła Anna Maria. – Nie martw

się, ścieżka was zaprowadzi prosto do niego. I zapewniam was, że doskonale będziecie wiedzieli, co dalej robić. Każdy szukający po prostu wie.

- Trudno, zaryzykuję - szepnęła Ania i zniknęła w bramie. W ślad za nią poszedł Wiktor, a potem wejście do tunelu powoli gasło, aż przepadło całkiem.



- Czy pan się zgubił?

Marek spojrział w górę. Siedział właśnie na ławce w parku będącym kopią tego w Irysie. Naprzeciwko niego młoda kobieta w okrągłych okularach poruszała niebieskim dwuosobowym wózekiem, takim, jakim jeżdżą tylko bliźnięta. Marek patrzył na nią i snuł niemiłe rozmyślenia, kiedy wreszcie będzie mu dane wrócić do domu, przytulić się do żony, popsocić z dziewczynkami.

Wtedy właśnie pojawił się ten chłopak. Musiał mieć około czternastu lat, był niezwykle wysoki i chudy. Jego twarz okalała burza płowych włosów, nadając rysom miękkość i dziewczęcą wręcz niewinność. Marek patrzył na niego przez chwilę, zupełnie nie rozumiejąc, czego ten chłopak od niego chce.

- Co proszę? - spytał w końcu.

- Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale wygląda pan na człowieka, który się zagubił.

- Słucham? - dopytywał się Marek. - Jak to zagubił? - Spojrział na chłopca w zamyśleniu. Nagle zrozumiał. Pokiwał

głową z powagą. - Aaa - szepnął - ty zapewne jesteś jednym z tych czarusiów, znaczy się szukających, tak?

- Tak jest, proszę pana. - Chłopak obdarzył go szerokim uśmiechem. - Mam na imię Mikołaj i jestem tu po to, żeby panu pomóc.

Marek spojrzał z uwagą na chłopca.

- Skąd ten pomysł, że potrzebuję pomocy? Mam to wypisane na twarzy czy co?

- Gorzej - mówił Mikołaj z tym samym uśmiechem. - Widać to na pana aurze, a odpowiednio wyszkoleni ludzie już z daleka odczytują sygnały produkowane przez energię, którą pan wytwarza. Dlatego tu jestem. I nie odejdę, dopóki nie zgodzi się pan na pomoc.

- Proszę bardzo. - Marek ochoczo wstał z krzesła. - Jestem do twojej dyspozycji. Mów, co mam robić.

Mikołaj przyglądał się mu ze zdumieniem.

- Tak po prostu? - spytał. Usiadł na ławce, a Marek przysiadł obok niego. - Zwykle ludzie w takiej sytuacji - kontynuował - próbują wmówić, że mają wszystko pod kontrolą: doskonale wiedzą, co im potrzeba do szczęścia, a jeśli chodzą po mieście bez celu (ponieważ czują, że muszą czegoś szukać, tylko zwykle nie potrafią określić czego), udają, że ten cel mają. Pan jest inny.

Marek spojrzał chłopcu w oczy.

- Ponieważ ja wiem, czego szukam - powiedział łagodnie. - Tylko nie mam pojęcia, jak ona wygląda i gdzie jest.

Mikołajowi rozbłyły oczy.

- Za to ja wiem! - krzyknął z zapałem.

Marek widocznie się ożywił.

- Jak to? - spytał. - A skąd miałbyś to wiedzieć?

- Myślałem, że miał pan już do czynienia z szukającymi.

- Moja teściowa się tym zajmuje, ale mnie nigdy dotąd nie interesowało, na czym to polega. Dopiero ostatnio przytrafiają mi się różne dziwne rzeczy. Chcąc nie chcąc, muszę zacząć wierzyć - dodał po chwili z uśmiechem.

Mikołaj zerwał się z ławki.

- Pewnie słyszał pan o świetlnej układance?

Marek pokiwał głową.

- Ale myślę - kontynuował Mikołaj, żywo gestykułując przy tym rękami - że nikt panu nie zdradził sekretu mapy, która objawia się szukającym, gdy już wiedzą, czego mają szukać? Przede mną się pojawiła. Jest ona tak barwna i tak, tak... niesamowita, że teraz za każdym razem, kiedy zamknę oczy, widzę ją jak żywą! A potem pojawia się brama czasoprzestrzenna. Właśnie ona zaprowadziła mnie prosto do pana!

Marek nagle przypomniał sobie dzień, kiedy pierwszy raz zobaczył góry. Wznosiły się dumnie ponad nim, ponad wszelkimi wytworami rąk człowieka. Wydawały mu się takie niezależne, wolne, że nagle zapragnął być jedną z nich. A kiedy wspiął się na szczyt, to pomimo drżących mięśni i ogólnego zmęczenia poczuł tę wolność w sobie. Pamiętał, z jakim entuzjazmem opowiadał potem kolegom o swoich doświadczeniach. O trzech tęczach, które objawiły przed nim

inną stronę piękna. O tym, że się wcale nie bał, kiedy na środku szlaku zaskoczyła go burza. Nie wspomniał tylko, że obok miał ojca, który dodawał mu otuchy.

Ten sam entuzjizm widział teraz u Mikołaja. Wiedział, że to musi być pierwsza misja chłopca. Zapierające dech w piersiach doświadczenie nowego. *Nie zepsuj tego, Mareczku* – mówił w myślach do siebie. – *Od ciebie będzie zależało, czy chłopak zachowa entuzjizm, czy się zniechęci.*

– W takim razie – powiedział Marek z uśmiechem – mam pewność, że jestem w dobrych rękach. – Wstał z ławki. – Nie ma sensu tracić więcej czasu!

– To kawał drogi stąd – odpowiedział chłopak. – Nie ma pan samochodu? – spytał z nadzieją.

Marek się roześmiał.

– No niestety – odpowiedział. – Ja jestem z tego drugiego świata. Ciężko by było tachać stamtąd samochód.

Chłopak spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Naprawdę jest pan stamtąd? A jak pan się tutaj dostał? Przecież tylko wtajemniczeni to wiedzą!

– Ktoś mnie widocznie wtajemniczył wbrew mojej woli. A tak na poważnie, to wydaje mi się, że sprowadziła mnie tutaj ta kobieta, bratnia dusza czy jak to nazywacie.

– Niesamowite! – odpowiedział chłopak. – Miałem zajęcia z historii układanki, opowiadali tam różne rzeczy, ale czegoś takiego nigdy nie słyszałem! Nie wiem, jak to możliwe! Muszę się koniecznie dopytać pani Danusi. To moja

nauczycielka z warsztatów z układanki.

Przeszli cały park. Marek z zadziwieniem odkrywał minimalne różnice między Irysem a tym miasteczkiem. Ławki miały tu kolor niebieski, w jego mieście były czerwone. W ogóle wszystko tu było w odcieniach nieba, w jego rodzinnej miejscowości natomiast w brązach i czerwieniach. *To tak, jakby - przeszło mu przez myśl - rodzice chcieli odróżnić parę bliźniąt poprzez ubieranie ich w różne kolory. Ania - niebieska, Gosia - czerwona - przypomniał sobie z rozrzewnieniem. Zawsze go bawiły zapędy żony, aby od początku podkreślać indywidualność bliźniaczek. Potem one same kontynuowały tę tradycję, nie cierpiały wyglądać tak samo.*

Szli teraz przez stare miasto.

- O, widzę, że tutaj zdążyli odrestaurować wszystkie kamienice! - wyrwało się Markowi na głos. - U nas zrobili dopiero część. To miasto - zaczął tłumaczyć chłopakowi - jest bardzo podobne do mojego rodzinnego Irysa. Rozumiesz, jak para niemal identycznych bliźniąt.

- Łał! - krzyknął chłopak. - I jeszcze to! Chociaż nie... O tym akurat nas uczyli. Bo tak właśnie zwykle jest. Dwie bratnie dusze - dwa niemal identyczne miasteczka. Wszystko tu ma do siebie pasować, jak w układance.

- Piękne miasto - stwierdził Marek z zadumą w głosie. - Popatrz na to: ulice wznoszą się i opadają, wznoszą i opadają, jakby się dobrze bawiły.

Mikołaj popatrzył z uwagą na Marka.

- Widzę, że bardzo pan tęskni za domem.

- Cholernie tęsknię - odpowiedział. Potem dodał: - Przepraszam za słownictwo, ale właśnie tak się czuję.

Mikołaj się roześmiał.

- W porządku - odpowiedział. - Czuję to samo co pan. Też - żeby nie powtórzyć za panem - straszliwie tęsknię za moją krainą jezior. Jestem wodnym człowiekiem. Aż czasami się dziwię, że nie mam błon między palcami...

- Fajny z ciebie chłopak - stwierdził Marek. - Opowiedz mi jedną z historii, którą usłyszałeś na zajęciach.

- Często są one bardzo podobne. Zanim ludzie trafią do układanki, przeważnie sami z siebie muszą poczuć, że czegoś im brakuje. Zaczynają chodzić na długie spacery, nawet zazwyczaj nie wiedzą, że szukają. Moja koleżanka ostatnio miała właśnie taką sytuację. Jej zadaniem było doprowadzenie Sławka do jego bratniej duszy, Marcina. Tylko że ta koleżanka się wycwaniła. Tak to wszystko sprytnie zaplanowała, że spotkali się oni przez przypadek w parku. Z tego, co kojarzę, to chyba użyła tunelu czasoprzestrzennego. Bo wie pan, że każdy może to robić.

- Tak - odpowiedział Marek z uśmiechem. - Wiem doskonale. O! Widzę, że tutaj macie stawik po prawej stronie, u nas jest po lewej. To jest wspaniałe! Przepraszam, przerwałem ci. Mów dalej.

- Ci chłopcy mieszkali w dwóch sąsiednich miastach, a ona zakręciła ich tak, że spotkali się w parku i od razu zaczęli gadać! Z bratnią duszą jest ponoć tak, że chociaż spotykasz ją pierwszy raz, wiesz, że znasz ją od zawsze. To musi być niesamowite uczucie!

- A ty - spytał Marek - spotkałeś już taką osobę?

- Jeszcze nie - odpowiedział Mikołaj ze smutkiem. - Jako szukający powinienem mieć łatwiej, prawda? Ale niestety, sam sobie nie umiem pomóc. Muszę kogoś prosić. I zrobię to niedługo! Czy u was też znikają dzieci? - zmienił nagle temat. - Bo u nas tak. To jest wielka zagadka nawet dla szukających.

- Nie wiem, jak jest u nas. Wiem natomiast, jak u was. Sam należę do tych dzieci, które zniknęły. Dowiedziałem się całkiem niedawno. I nadal nie mogę w to uwierzyć.

- Niesamowite! Niesamowite! - krzyczał chłopak. Potem wyraźnie speszony dodał: - Przepraszam, że ja tak ciągle krzyczę, że coś jest niesamowite, ale inaczej nie umiem tego wyrazić. Tyle jest ekscytujących rzeczy, to jest moja pierwsza misja, a tu proszę, spotykam pana z taką niesamowitą (ups! znowu!) historią, że w głowie się nie mieści.

- Spójrz na mnie - zaśmiał się Marek. - Oto jestem. We własnej osobie. Ja, chodząca historia!

- Pana to bawi - powiedział chłopak rozgoryczony.

- Nie. Jest mi po prostu wesoło. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna. Tak mi się przynajmniej wydaje, że jestem tu od wieków, a minął pewnie dopiero tydzień.

- To chyba już to osiedle! - krzyknął chłopak. - Tak, na pewno! Tylko który to dom...? - Przystanął, zamknął oczy. - To będzie równoległa ulica do tej! - Zaczął iść szybko, prawie biec.

Marek szedł za nim, dużo wolniej, zbierając myśli. Czuł, że wbrew sobie trochę się denerwuje przed tym spotkaniem.

Kiedy dotarł do równoległej ulicy, która, jak zdążył zauważyć, nazywała się Słoneczna, zobaczył, że Mikołaj czeka na niego przed dużym pomarańczowym domem.

- To chyba tutaj - szepnął chłopak. - Co teraz? Wchodzimy?

Marek chwycił go za ramię.

- Czekaj - powiedział. - Zanim tam pójdziemy, chciałbym, żebyś mi odpowiedział na jeszcze jedno pytanie, bo kto wie, może zaraz znikniesz bez pożegnania... Powiedz mi więc teraz, czy mówili wam w szkole, dokąd odchodzą...

W tej samej chwili z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe. Pojawiła się w nich brunetka w średnim wieku. W ręku trzymała półroczne dziecko. Marek spojrzał na nią i od razu wiedział, że jest właśnie tą, której szuka. Czuł, że zna ją od wieków, chociaż nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. I wiedział również, że kobieta jest przerażona. Wyglądała jak opętana, włosy miała potargane, wzrok błędził niespokojnie w różne strony, ani razu na dłużej nie zatrzymał się na Marku. Dziecko ścisnęła tak rozpaczliwie mocno, jakby się bała, że zaraz może zniknąć. Przede wszystkim jednak Marek wyczuwał obezwładniający strach tej kobiety, miał wrażenie, jakby stworzyła się między nimi niewidzialna nić, którą niektórzy zapewne nazwaliby telepatią. Nic nie wskazywało na to, że kobieta czuje to samo. Co prawda na pewno na nich spojrzała, ale ich nie zarejestrowała. Patrzyła, nie patrząc. Marek wiedział, co to oznacza - kobieta kompletnie nie wiedziała, co robić, szukała w myślach najlepszego rozwiązania. *Mikołaj odczytał to pewnie jako*

objaw totalnego zagubienia - pomyślał Marek. Podszedł do kobiety. Najdelikatniej jak umiał dotknął jej ramienia. Wtedy dopiero jej wzrok na dłużej zatrzymał się na jego twarzy. Marek wiedział, że tym razem ona naprawdę go widzi.

- To ty - powiedziała spokojnie. Marek mógł przysiąc, że w tonie tego głosu kryją się tysiące przepłakanych nocy. Bez emocji, bez tonacji, bez znaczenia.

- Długo cię szukałem - powiedział tonem usprawiedliwienia.

- Za długo - odrzekła tym samym beznamiętnym głosem.

- To twoje dziecko? - Marek popatrzył na śpiącego malca, szczelnie opatulonego polarowym kocem. Zdecydowanie zbyt szczelnie. Kobieta kiwnęła głową. - Mogę go potrzymać? - dopytywał się Marek.

- Nie! - krzyknęła z rozpaczą. Było to tak niespodziewane, że Marek aż odskoczył. Kiedy spojrzał na nią znowu, ta wyciągała ręce z dzieckiem w jego stronę. Delikatnie wziął od niej dziecko. Nie obudziło się. Kiedy już maleństwo bezpiecznie leżało w jego ramionach, Marek zobaczył, jak dziewczyna bezwładnie osuwa się na ziemię. Nie zdążył zareagować. W tej samej chwili obok niego pojawił się Mikołaj.

- Jesteś tu jeszcze - z wyraźną ulgą stwierdził Marek.

- No jasne - odpowiedział chłopak, pochylając się nad dziewczyną. - To moje pierwsze zadanie. Muszę mieć pewność, że dobrze się skończy. Całe szczęście, że tylko zemdląca - szepnął.

- Chyba bym czuł, gdyby umarła... - ni to zapytał, ni to

stwierdził Marek. - Dobra, zaniosę dziecko do domu, a później wspólnie przeniesiemy dziewczynę. Nie może leżeć na tym betonie. A na razie unieś jej nogi do góry. Może się ocknie.

W domu panował mrok. Wszystkie żaluzje były pozastłaniane, jakby kobieta planowała wyjechać na dłużej. *Dziwne, bardzo dziwne* - myślał Marek. Dziewczyna nie miała przecież ze sobą żadnych bagaży. Co w takim razie zamierzała zrobić? Markowi przyszło do głowy jedno jedyne rozwiązanie, ale odrzucił je szybko jako coś zupełnie niedorzecznego.

Na szczęście we wszystkich pokojach kontakty były przy drzwiach. Marek szybko więc rozświetlił cały dom. Mieszkanie okazało się bardzo przestronne, urządzone ze smakiem, a jednocześnie na wskroś nowoczesne. Pokój dziecka znajdował się zaraz za kuchnią. Był niebiesciutki, a sufit i ściany zostały pomalowane w wesołe gwiazdki. Widać było, że w urządzenie tego pokoju ktoś włożył dużo serca.

- Jesteś szczęściarzem, malutki - szepnął Marek, delikatnie kładąc dziecko do łóżeczka. Potem po cichu wyszedł, zostawiając zapalone światło. - I co, obudziła się? - spytał Mikołaja pochylającego się nad leżącą dziewczyną.

- Tak, na chwilę. Ale teraz znów wygląda, jakby zemdlała - odpowiedział chłopak.

Marek zbliżył ucho do jej ust.

- Oddycha - szepnął. - Może zasnęła? Mógłbyś ją przekręcić na bok i przytrzymać?

Mikołaj zrobił to, o co go poprosił Marek. Mężczyzna położył wtedy dwie ręce na ziemi i kiedy chłopak delikatnie ułożył dziewczynę na tych rękach, Marek z niemałym wysiłkiem podniósł ją. Umieścił ją na kanapie w dużym pokoju. Głowę nisko, nogi wysoko. Potem otworzył okno na oścież. Do wnętrza wpłynęła fala świeżego powietrza.

- Mógłbyś pójść do dziecka? - spytał Mikołaja.

- Ale... - zawahał się Mikołaj - ja nie wiem, co z takim małym robić...

Marek zaśmiał się cicho.

- Nic, po prostu być przy nim - odpowiedział.

- Co się stało? - Dziewczyna usiłowała podnieść się z kanapy, ale nie dała rady. - Kręci mi się w głowie - szepnęła usprawiedliwiająco.

- Zemdląłeś - odpowiedział Marek z troską. - Musisz trochę poleżeć.

- Dziękuję - odpowiedziała, patrząc mu w oczy. - Jestem Klaudia.

- Marek. - Dotknął jej dłoni. Była zimna jak lód. - Gdzie masz jakiś koc? - spytał.

- U Grzesia w pokoju - szepnęła. - Gdzie on jest? - jęknęła.

Marek znów zobaczył u niej to przerażone spojrzenie.

- Spokojnie. Jest u siebie w pokoju. Mikołaj go pilnuje.

- Kim jest Mikołaj? - spytała, powoli przełykając ślinę.

- To szukający. Pomógł mi cię znaleźć. Jak chcesz, mogę przynieść dziecko tutaj.

Pokręciła głową.

- Zaraz wracam - powiedział Marek.

W błękitnym pokoiku dziecko nadal spokojnie spało. Obok łóżeczka siedział na krześle Mikołaj. Głowę miał opartą na poręczy łóżka. Delikatnie chrapał. Marek uśmiechnął się z rozczuleniem na ten widok. Przypomniały mu się wieczory, kiedy czytając dzieciom bajkę, usypiał jako pierwszy. Dziewczynki wtedy łaskotały go do momentu, aż się rozbudził i był w stanie kontynuować lekturę. Kiedy podrosły, same przejmowały inicjatywę i po zaśnięciu taty czytały na głos po fragmencie bajki. Nigdy go, cwaniary, nie obudziły. Sam wstawał w środku nocy i kładł się do swojego łóżka. Bywało i tak, że spał u dziewczynek w pokoju aż do rana.

Dopiero teraz zobaczył, że obok dzieciennego łóżeczka znajduje się również wersalka. Wziął leżący na niej gruby wełniany koc. *Ona musi tu spać* - pomyślał w drodze do salonu. - *Ciekawe, co się dzieje z jej mężem...*

Kiedy przykrywał ją kocem, znów chyba spała. Zwinęła się w kłębek, a twarz zakryła poduszką. Marek po cichu wyszedł do kuchni. Najwidoczniej on jedyny z całego towarzystwa nie był zmęczony. Postanowił wykorzystać ten czas i zrobić wreszcie jakiś ludzki obiad. Pod warunkiem że jest z czego. Kuchnia była cała obłożona kafelkami. Sprawiała przez to wrażenie zimnej i surowej. Urządzono ją bardzo funkcjonalnie, Marek od razu wiedział, co gdzie się znajduje. Stał tam stół zdolny pomieścić kilkunastoosobową rodzinę oraz - co wzbudziło w Marku lawinę wspomnień - czynny piecyk kaflowy! Z kuchni wychodziły drzwi na taras,

a z tarasu do przestronnego, ukwieconego ogrodu. *Kiedy ona ma na to wszystko czas?* - pomyślał z podziwem. - *Zakładając oczywiście, że sama wychowuje dziecko.*

Zajrzał do lodówki. Było w niej dużo warzyw i nabiału. Marek skrzywił się. Uwielbiał mięso, każdy posiłek bez niego uważał za stracony. Chociaż nie... Ostatnio polubił pesto, o właśnie, a może... Zajrzał do szafki obok lodówki. U nich w domu właśnie tam przechowywało się słoiki. No i rzeczywiście! Marek ze zdumieniem odkrył, że Klaudia posiada pesto zielone, czerwone oraz czarne, którego nie odkrył jeszcze w żadnym sklepie. Zatarł ręce z radości i pomyślał: *Będzie jedzonko!* Wrzucił makaron spaghetti do wrzącej wody i czekając aż się ugotuje, startł ser. Umył pomidory, sprawnie pokroił je w talarki, ułożył na talerzu, posolił i popieprzył. Kiedy makaron się ugotował, odcedził go, wrzucił do tego samego garnka pół słoika czerwonego pesto (jego ulubione) i wymieszał z makaronem. Obiad był gotowy. Szybki i smaczny. Lubił go robić w domu, bo dziewczynki uwielbiały to danie. Przypomniał sobie, że miał wszystkie swoje dziewczyny w najbliższe wakacje zabrać do Włoch. *Muszę mieć nadzieję* - pomyślał ze smutkiem. - *A nuż się uda...*

Kiedy wszystko stało na stole gotowe do nałożenia na talerz, w kuchni pojawiła się Klaudia.

- Cóż za wyczucie czasu! - Marek się uśmiechnął, gestem zapraszając ją do stołu.

- Dzięki, ale nie dam rady nic przełknąć - odpowiedziała. Była nadal bardzo blada, z widoczną ulgą usiadła na krześle.

- Ale możesz mi zrobić herbatę.

- Co się dzieje? - spytał Marek. - Czego się boisz? Bo wiesz, moglibyśmy tak sobie rozmawiać o wszystkim i o niczym i wreszcie nie poruszyć najistotniejszego. Prosiłaś mnie o pomoc, prawda?

Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu swoimi dużymi szarymi oczami.

- Dlaczego znów patrzysz tak, jakbyś błagała o pomoc? Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć?

- Mogę - odezwała się wreszcie. - I powiem.

- Dlaczego nikt mnie nie obudził? - Do pokoju wszedł Mikołaj. - A tu takie dobre jedzenie...

- Właśnie - stwierdziła Klaudia. - Najedzcie się. Za chwilę pogadamy. - Wstała powoli z krzesła i wyszła.

- O co tu chodzi? - Mikołaj patrzył za kobietą ze zdziwieniem. Jak tylko zniknęła mu z oczu, usiadł przy stole i naładował sobie cały talerz makaronu z pesto. - Smacznego, dziękuję - powiedział szybko i zabrał się do jedzenia.

- Właśnie nie wiem - odpowiedział Marek, skubiąc powoli z talerza. - Najpierw jest śmiertelnie przerażona, chce uciekać, później nawet się specjalnie nie wypytuje o dziecko i nie mówi już nic o ucieczce... A poza tym jestem pewien, że to ona mnie wezwała. Napisała list, w którym wręcz błagała o pomoc... Nic nie rozumiem...

- Spytaj - odpowiedział Mikołaj z ustami pełnymi jedzenia.

- Nikt cię nie uczył - Marek się roześmiał - że nie mówi

się z pełnymi ustami?

Mikołaj również się zaśmiał.

- Wiele razy. Zabraniali mi również wielu innych rzeczy, które sami za moimi plecami robili. Co za obłuda.

- Rodzice zawsze chcą, aby ich dzieci były lepsze od nich. Przerzucają na nie swoje niespełnione ambicje. Pewnie nie wszyscy, ale duża część. Ja na przykład zawsze chciałem malować. Byłem jednak na to zbyt leniwy i szybko zaprzestałem... Teraz jedna z moich córek, Gosia, z samozaparciem, którego mi zawsze brakowało, oddaje się temu hobby. Naprawdę, kiedy patrzę, ile czasu na to poświęca, zaczynam wierzyć, że czegoś w życiu dokona... - Zamyślił się. - Miała narysować mój portret... - powiedział ze smutkiem.

- Ma pan jeszcze mnóstwo czasu, żeby wrócić do malowania - odpowiedział chłopak. - Iść za marzeniem i znów iść za marzeniem. I tak bez końca...

- Cytujesz klasyków - powiedział Marek z uznaniem. - Swoją drogą, to niesamowite, że nasze światy aż tak się nawzajem przenikają, że nawet pisarzy znamy tych samych...

- O, widzę, że pan również używa tego słowa! - Mikołaj się roześmiał.

Marek uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zrobisz herbatę? - spytał.

- No jasne! - Chłopak wstał z miejsca i zebrał talerze. - Ile ma pan dzieci? - spytał, krzątając się po kuchni.

- Trzy córeczki - odpowiedział Marek. - W tym dwie to bliźniaczki. Ania i Gosia. Pierwsza będzie pisarką, a druga

malarką. Najmłodsza, Pyza, to urodzony przywódca. Ma charakterek, oj ma. Często się zastanawiam po kim. Na razie kazała kupić sobie gitarę i ćwiczy, aż mnie uszy bołą.

- Bliźniaczki - powiedział Mikołaj, stawiając parujące kubki z herbatą na stole. - Szczęściary - dodał. Nagle wyraźnie się ożywił. - A wie pan, że u nas, w środowisku szukających (nie tylko zresztą, bo słyszałem o tym znacznie wcześniej, kiedy nie wiedziałem jeszcze, że zostanę jednym z nich), istnieje przepowiednia o siostrach bliźniaczkach z innego świata, które zapobiegną wielkiemu niebezpieczeństwu grożącemu naszej ziemi? I - nagle zamilkł, spojrzał z uwagą na Marka - coś jeszcze.

- Co? - zainteresował się Marek.

- Nie mogę powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie będą to moje córki - stwierdził Marek, patrząc z uwagą na Mikołaja. - Bohaterstwo własnych dzieci to za duże wyzwanie dla mnie jako rodzica. Czuję, że bym tego nie zniósł.

- Łał - wyrwało się Mikołajowi. - A wie pan, że w życiu nie pomyślałbym, że rodzice mogą w taki sposób do tego podchodzić?

- Chyba żartujesz - oburzył się Marek. - Dla rodziców najważniejsze jest bezpieczeństwo dzieci. Sam byłbym gotów uratować świat, gdybym wiedział, że to uchroni moje dziewczynki.

- Na pewno jest pan spoko ojcem - stwierdził Mikołaj.

- Spoko ojcem - powtórzył za nim Marek i roześmiał się cicho.

Za oknem powoli nastawał mrok. Jakby przemocą wydzierał z przedmiotów i ludzkich postaci resztki światła. Klaudia, wchodząc do kuchni z dzieckiem na rękach, pstryknęła włącznik światła.

- Tak znacznie lepiej - uśmiechnęła się blado. Dziecko wyrywało jej się z rąk, postawiła je więc na podłogę. Marek z zadziwieniem patrzył, jak powoli i niepewnie stawia kroki.

- A ja myślałem - powiedział - że to dziecko ma dopiero z pół roku.

- Jest trochę małe jak na swój wiek - usprawiedliwiła je Klaudia. - A poza tym wyjątkowo wcześnie zaczął chodzić. Grzesiu, nie idź tam! - krzyknęła, widząc, że dziecko właśnie opuszcza kuchnię. Chłopczyk jej nie posłuchał, więc pobiegła za nim. Za chwilę wróciła, trzymając go na rękach. - Zaopiekujesz się nim? - spytała Mikołaja, podając mu dziecko. - Muszę go nakarmić, a zauważyłam, że Grześ bardzo cię polubił.

Mikołaj niewyraźnie mruknął w odpowiedzi. Dziecko wylądowało na jego kolanach. Kiedy mama karmiła je zupą, pluło na wszystkie strony, śmiejąc się przy tym. Marek obserwował miny Mikołaja po każdym takim wybryku i w duchu pękał ze śmiechu. Żałował, że nie ma pod ręką kamery albo przynajmniej aparatu fotograficznego.

- Przydałby się temu dziecku tran - mruknął naburmuszony Mikołaj.

- Widzę, że już go lubisz - zauważył Marek ze śmiechem.

Klaudia karmiła małego w wielkim skupieniu, prawie nic

nie mówiąc. Dopiero kiedy Grześ zjadł satysfakcjonująco dużo, odetchnęła z ulgą.

- Jest strasznym niejadkiem - usprawiedliwiła się. - Chyba muszę cię, Mikołaj, zatrudnić jako opiekunkę - zażartowała.

Chłopak roześmiał się w odpowiedzi.

- Pójdę się z nim pobawić - stwierdził. Zdjął Grzesiowi śliniaczek, a mama wytarła mu buzię i rączki chustką. - No, mały - Mikołaj wstał z Grzesiem na rękach - czas na... no, na co? Zobaczmy w twoim pokoju, dobrze?

Grześ śmiał się wesoło. Kiedy zniknęli w pokoju, Klaudia westchnęła.

- Co się dzieje? - spytał Marek.

- Boję się o niego... Cały czas... Ktoś chce mi go odebrać... Czuję to. - Jej oczy napełniły się łzami. - To coś jest coraz bliżej, dzisiaj byłam gotowa... - zamilkła na chwilę. - Sama nie wiem, jakbym działała mechanicznie. Zupełnie nie pamiętam, gdzie zamierzałam uciekać, co robić... Pojawiliście się w samą porę.

- Uspokój się. - Marek podszedł do niej i objął ją ramieniem. - Masz ku temu jakieś racjonalne powody? Nie wiem... Widziałaś, jak ktoś cię śledzi?

Klaudia potrząsnęła głową.

- Widzę, że mi nie ufasz - stwierdziła. - Nawet nie wiesz, ilu przykrym rzeczom mogłam zapobiec, gdybym wcześniej zaufała swojej intuicji. Na przykład nie wyszłabym za mąż za mojego eks. Teraz jestem w stu procentach przekonana, że coś nam zagraża. Dziś albo jutro... I błagam cię - potrząsnęła

Markiem - musisz mi pomóc chronić Grzesia... To mój jedyny skarb... Ja bez niego... - Rozpłakała się. - Przepraszam za to - szeptała. - I za to, że nie mogę cię ugościć tak, jak na to zasługujesz. Od tylu lat chciałam zacząć cię szukać. Wiedziałam, że gdzieś tam jesteś, i wiedziałam, że mogę się zgłosić do nich - wskazała twarzą w stronę dziecięcego pokoju - ale miałam tyle kłopotów, że nie mogłam... A teraz, kiedy jako tako stanęłam na nogi, próbują mi odebrać mój jedyny skarb...

Marek gładził ją po włosach. W końcu przestała mówić, tylko płakała. Coraz ciszej i ciszej, aż w końcu zupełnie umilkła.

- To znaczy - odważył się w końcu powiedzieć - że to nie ty wysłałaś mi list.

- Jaki list? - Spojrzała na niego zapuchniętymi oczami.

- Ten, od którego się to wszystko zaczęło.

Klaudia patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Kiedyś do mojego domu przyszedł list zaadresowany do mnie. Okazało się, że jest od kobiety, która nawet nie raczyła się podpisać. W sumie tak naprawdę to nie wiem, czy to była kobieta, zasugerowałam się jedynie wyglądem papeterii oraz przepięknym charakterem pisma. Prosiła mnie o spotkanie, pisała, że to sprawa życia i śmierci. Przyszedłem więc, wolałem nie mieć nikogo na sumieniu. Nie spotkałem jej w wyznaczonym miejscu, ale za to zostałem przeniesiony tutaj. Byłem pewien, że to ty byłaś autorką całego zamieszania, ale jeśli nie ty, to...

- Na pewno przyjaciel - dokończyła za niego. - Ktoś, kto

wiedział o niebezpieczeństwie dużo wcześniej niż ja.

- Kto to mógł być? - zdumiał się Marek. Po chwili dodał:
- Przychodzi mi do głowy jedna osoba... - Zamyślił się. - Czy to możliwe? - dodał sam do siebie.

- Ostatnio kilka razy zdarzyło mi się coś dziwnego - powiedziała Klaudia. - Wydawało mi się, że ktoś do mnie mówi. O twoim przyjściu, a nawet... Tak, kiedyś miałam wrażenie, że wychodzę z drzewa, okrążam je i wracam przez nie jak przez tunel...

- To wtedy, wtedy mogłem cię widzieć! - krzyknął zdumiony Marek. - Czary czy co...?

Klaudia pogasiła wszystkie światła. Siedzieli w pokoju Grzesia prawie w zupełnej ciszy i czekali, aż coś się wydarzy... Ta noc była jednak spokojna, zresztą tak jak kolejne. Dziewczyna powoli zaczęła wierzyć, że ta cała intuicja to wymysł jej zbyt rozgrzanej smutnymi historiami wyobraźni. Marek pomagał jej w zmianie przekonania, zwłaszcza że wesoła Klaudia była zdecydowanie przyjemniejsza od tej smutnej. Miała mnóstwo zwariowanych pomysłów i mówiła prawie bez przerwy. Razem z Mikołajem i Grzesiem tworzyli trio wesołych urwisów. Czasami dołączał do nich Marek, tylko że...

Tylko że prawda była taka, że kiedy Klaudia weselała, on smutniał. Teraz dla kontrastu to jego ogarniały czarne myśli i złe przeczucia. Sam nie miał pojęcia dlaczego. Poza tym ciągle myślał o tej kobiecie, która go tu sprowadziła. Czy to

na pewno była Maria? A jeśli tak, to co nią kierowało? Marek czuł, że nie powiedziała mu wszystkiego, a nawet przemilczała większość z tego, co wiedziała. A na dodatek umiała czarować... Bo jak wyjaśnić jego przeniesienie, to, że widział Klaudię w tym samym czasie, gdy ona śniła, że okrąża drzewo. To wszystko było tak nierzeczywiste, że chyba musiało się zdarzyć...

Grześ spał teraz w pokoju tylko z mamą. Marek z Mikołajem zajęli gościnny zaraz obok dziecięcego. Marek miał nadzieję, że w razie czego usłyszy szelesty czy odgłosy walki przez ścianę. Nie wiedział, czego ma się spodziewać, jak może wyglądać takie porwanie. Zdecydowanie jednak oczekiwał czegoś zupełnie innego od tego, co wydarzyło się naprawdę. A było niezwykle, przerażająco wręcz cicho. I tyle. Niczego więcej nie dało się odgadnąć.



Kolejnej nocy również nic się nie wydarzyło. Grażyna odkryła jednak wspaniałą kryjówkę, z której widziała wszystko, sama nie będąc widoczną. Drażniło ją jedynie to, że musiała cały czas tkwić tam w pozycji siedzącej lub leżącej, ponieważ żywopłot, za którym się schowała, był jeszcze dość niski. Za pomocą nożyc zrobiła w nim dwie nieduże dziurki, przez które mogła widzieć wszystko, nie podnosząc się ze swojego legowiska składającego się z karimaty, śpiwora oraz poduszki. Poślanie miała więc w miarę wygodne. Wiadomo jednak, że jeśli czegoś nie wolno, tym bardziej się tego pragnie: Grażyna przez pół nocy walczyła z pokusą, żeby wstać. Pod koniec nocnego czuwania była więc z siebie bardzo dumna, ponieważ udało jej się wytrwać na stanowisku. Zwłaszcza że w pewnym momencie zobaczyła dziwną rzecz: dwóch chłopców i dziewczyna zatrzymało się przed drzewem. Grażyna przez chwilę była prawie pewna, że jest wśród nich jedna z jej bliźniaczek. Szybko jednak wytłumaczyła sobie, że przecież to

niemożliwe, bo dziewczynki są bardzo, bardzo daleko. Nagle zobaczyła, jak wszyscy troje znikają w drzewie. Po prostu: weszli tam i przepadli! Teraz już była pewna, że sen, który miała poprzedniej nocy, wcale nie był zwykłym snem... Prawie chciała znów usnąć, by doświadczyć tego, co poprzednio. Tym razem jednak, nawet gdy udało jej się przez chwilę zakosztować snu, każdy najmniejszy szmer sprawiał, że budziła się przerażona. Żeby jakoś sobie poprawić humor, próbowała zgadnąć, gdzie się ukrył Tomek. Była pewna, że jest gdzieś niedaleko, chociaż on sam nie chciał jej niczego zdradzić.

Kolejne noce również nie przyniosły nic ciekawego. Podczas czwartego czy piątego czuwania Grażyna poczuła nagle, że zmienia się wiatr. Wiał teraz od południa, a to oznacza, że...

Była wtedy mała. Drobniutka, delikatna, wszyscy nazywali ją Kruszyneką. Ona osobiście uważała, że już jest duża. Miała w końcu całe dziesięć lat. Mogła już jeździć z przodu samochodu, obok kierowcy. A to było dla niej nie lada wydarzenie. Zawsze wydawało jej się, że kiedy wreszcie będzie mogła usiąść obok taty w ich starym polonezie, będzie już prawie dorosła. Zwłaszcza że tata, kiedy tylko skończyła te dziesięć lat, posadził ją sobie na kolanach w samochodzie i dał jej pokierować. Tak, doskonale pamiętała ten dzień, ale nie tylko z powodu zabawy w kierowcę.

Rano jadła śniadanie razem z mamą, jak zwykle zresztą.

Tata jakoś nigdy z nimi nie jadał, bo albo go już nie było o tej porze, albo jeszcze spał. W pewnym momencie przez otwarte okno wbił się podmuch wiatru, który sprawił, że firanki zaczęły tańczyć. Grażyna patrzyła z zachwytem na ten taneczny popis, mama jednak ze złością wstała od stołu i zamknęła okno.

- Wiatr się zmienia. Niedobrze - mruknęła sama do siebie.

Grażyna jednak usłyszała, zaczęła dopytywać. Była ciekawskim dzieckiem, jeśli coś ją zainteresowało, musiała wiedzieć wszystko. Mama jednak powiedziała jej bardzo niewiele.

- Południowy wiatr oznacza zmiany, dla mnie zwykle niedobre - odpowiedziała. - Jak tylko się pojawia, zaczynam mieć złe przeczucia.

- Nie martw się, mamusiu. - Grażyna przytuliła ją wtedy mocno. - Ja cię obronię. Zaraz pomodłę się do Bozi, Ona zatrzyma wiatr - powiedziała z wiarą.

Mama się uśmiechnęła i pogładziła ją do głowy.

- Zmian się nie da zatrzymać, są częścią naszego życia - powiedziała. - Z doświadczenia wiem, że nawet ze smutnej zmiany z czasem wykluwa się coś dobrego.

Mama miała rację. Tego dnia tata oszedł. Wiele się zmieniło - na gorsze. Z biegiem czasu jednak szczęście zaczęło wykluwać się na nowo. Najpierw nieśmiało, jakby badało grunt. Potem zagościło na dłużej. Kiedy Grażyna patrzyła na rozpromienioną mamę, zawsze na nowo powracały do niej te jej słowa sprzed lat. Nie przeszkadzało

jej to jednak nienawidzić południowego wiatru...

...coś się zmieniło. Przede wszystkim była pełnia. Księżyc świecił tak jasno, że przez całą noc panował półmrok. Psy czuły niepokój, ujadły długo i rozpaczliwie. Grażyna zaczęła żałować, że nie kupiła sobie jeszcze iPod'a. Słuchałaby teraz odprężającej muzyki i patrzyła na drzewo, które w poświacie księżycy wyglądało pięknie i jeszcze bardziej zagadkowo niż zwykle. A tak musiała się zadowolić tylko podziwianiem rosnącego dębu. Ujadanie psów przyprawiało ją o dreszcze, za każdym razem, gdy je słyszała, wydawało jej się, że za chwilę coś się wydarzy... Około drugiej w nocy zobaczyła mężczyznę w ciemnym płaszczu. Szedł powoli w stronę drzewa. Nie rozglądał się na boki, patrzył w ziemię. W końcu usiadł po turecku na trawie nieopodal dębu. Grażyna poczuła nagle coś jakby senność, miała wrażenie, że powoli odpływa w inny wymiar. Wykorzystała całą siłę woli do tego, żeby wrócić do równowagi. Wiedziała, że jeśli coś ma się stać, to dzieje się właśnie teraz, na jej oczach, i ona nie może tego przegapić. Rzeczywiście wszyscy, którzy dotąd przebywali w parku: grupka chichoczącej młodzieży, mężczyzna z psem czy siedząca na ławce zakochana para, dosłownie w jednym momencie zaczęli opuszczać park. Szli ze spuszczonej głowami, nie rozglądając się na boki. Grażyna zobaczyła w tej grupie również Tomka. Mało brakowało, żeby do niego krzyknęła, ale się powstrzymała. Nie po to przesiadła tu tyle nocy, żeby w jednym momencie zdradzić się krzykiem.

Tomek odszedł. Grażyna dopiero teraz odczuła, jak bardzo świadomość jego obecności gdzieś tu blisko dodawała jej otuchy...



Kiedy następnym razem spojrzała w miejsce, gdzie przed chwilą siedział tajemniczy mężczyzna, już go nie było. Zaklęła pod nosem. Gdzie mógł pójść? Przecież dosłownie przed sekundą widziała go tam. Nikt nie potrafi tak szybko się przemieszczać. Chyba że... Spojrzała z uwagą na drzewo. *Może on też przeszedł na drugą stronę?* Zerwała się

z miejsca i zaczęła iść w kierunku drzewa. Musi się wreszcie dowiedzieć, jaką tajemnicę skrywa ten dąb. Mniej więcej w połowie drogi stanęła jak wryta: obok drzewa znów był ten mężczyzna, tylko że nie sam. Przy nim ze spuszczoną głową dreptało małe dziecko. Grażyna instynktownie schowała się za najbliższym krzakiem. Była prawie pewna, że jest właśnie świadkiem porwania, jednego z tych, o których trąbią teraz w telewizji. Żeby uważać na dzieci, nie zostawiać ich nigdy samych na noc... *No cóż - pomyślała - w tym przypadku chyba ktoś zostawił. I jutro się bardzo nieprzyjemnie zdziwi.*

Grażyna nagle podjęła decyzję: musi za nimi iść, musi odkryć, dokąd ten mężczyzna zabiera dzieci. Od razu skonstruowała plan działania, jeśli w ogóle można to tak nazwać. W sumie wiedziała tylko, że nie powinna się chować za żywopłotem, bo może ją zdradzić nawet najmniejszy szeleś. Z drugiej strony zupełny brak kryjówki to również szaleństwo. Grażyna założyła jednak, że mężczyzna raczej nie będzie się oglądać za siebie. Wynikało to poniekąd z jej wcześniejszych obserwacji. Ten facet był zbyt pewny siebie, tego, że wszystkich ludzi wypłoszył z parku swoimi czarami. *To się zdziwi!* - Grażyna zaśmiała się w duchu. - *Mam jeszcze trochę czasu* - myślała, patrząc za oddalającym się mężczyzną z dzieckiem. Szli bardzo wolno, jakby wybrali się na relaksacyjny spacer. Grażyna zadzwoniła do Tomka.

- Idę za facetem z dzieckiem - szepnęła. - To chyba ten porywacz. Kieruje się w stronę ulicy Wschodniej, czekaj przy wejściu do parku, schowany. Nie wymyślaj mi tu, tylko się

pośpiesz!

Kiedy dotarła do tej ulicy, Tomek już na nią czekał. Był taki zziębnięty, że przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu.

- Poszli... w tę... stronę - wydyszał i wskazał w lewo.

Grażyna spojrzała w tamtym kierunku. Śledzeni byli już daleko, szykowali się właśnie do przejścia przez ulicę.

- Szybko, nie ma czasu - syknęła do Tomka. - Tylko bądź cicho!

Mężczyzna skinął głową.

Szli bardzo długo i powoli. Grażyna zauważyła, że dziecko samo doskonale wie, dokąd iść. *Zdumiewające* - myślała, patrząc, jak duży człowiek jak cień podąża za małym. Nie wiedziała, co tu jest grane, ale była pewna, że nie dzieje się nic dobrego. Zwłaszcza że Tomek również zachowywał się bardzo dziwnie - znów szedł ze spuszczoną głową, wcale nie patrząc na drogę ani na Grażynę.

Dziecko zatrzymało się przed jednym z białych murowanych domków, jakich mnóstwo było w tej dzielnicy. Grażyna szybko spisała ulicę i numer, wiedziała, że inaczej nigdy w życiu nie znajdzie tego domu. Zbyt był podobny do innych. Po chwili drzwi otworzyła młoda kobieta i wpuściła maleństwo do środka. Wyglądało na to, że na nie czekała! Z domu wyszedł ubrany na sportowo mężczyzna. Rozmawiał chwilę z przybyszem, potem wręczył mu kopertę, uścisnęli sobie ręce i mężczyzna zniknął z powrotem w domu.

Grażyna wiedziała, że trzeba iść dalej za człowiekiem w płaszczu, to on był kluczem do tajemnicy. Spojrzała na miejsce, gdzie powinien stać Tomek. Chciała dać mu znak do

drogi. Z przerażeniem odkryła, że stoi on w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się śledzony mężczyzna. Grażyna nie miała pojęcia, jakim cudem udało im się nie spotkać. Podeszła do Tomka i z całej siły nim potrząsnęła. Sprawiał wrażenie, jakby drzemał na stojąco. Spojrzał na nią półprzytomnymi oczami. Grażyna ze złością potrząsnęła nim jeszcze raz.

- Idioto! - szeptała. - Mógł cię zobaczyć! A poza tym nie po to cię wzięłam, żeby teraz niańczyć!

Tomek oprzytomniał tak naprawdę dopiero wtedy, kiedy człowiek w płaszczu zniknął im z oczu.

- Gdzie ja jestem? - Spojrzał z nieudawanym zdziwieniem na Grażynę.

Ona aż zaklęła ze złości.

- Nie ma teraz czasu na żarty. Przez ciebie już i tak nie mam pojęcia, gdzie poszedł ten facet! Szybko! No pośpiesz się! - Pognała do przodu, a za nią Tomek.

Zobaczyli go dość szybko. Skręcił w prawo na najbliższym skrzyżowaniu. Wyglądało na to, że wracał do parku. Stamtąd skierował się nie w stronę miasta, lecz polany, w którą płynnie przechodziła południowa część parku. Grażyna poczuła, że oblewa ją zimny pot. Będą z dala od ludzi, z dala od pomocy. Tomek próbował ją powstrzymać od dalszego marszu. Grażyna czuła jednak, że to jej jedyna szansa na odkrycie... Właśnie... czego?

Szła dalej z uporem, a Tomek, chcąc nie chcąc, podążał za nią. Kiedy jednak śledzony mężczyzna zniknął w czymś, co nawet w ciemnościach wyglądało jak jaskinia, Tomek chwycił

Grażynę za rękę, zmuszając ją tym samym do zatrzymania się.

- Może chociaż wezwiemy policję? - szepnął.

- No i co im powiemy? Że śledzimy porywacza, który właśnie odstawił dziecko do domu? Chcesz, żeby uznali nas za wariatów?

- To co robimy?

- Wchodzimy.

- Co?? - prawie krzyknął Tomek. - Zwariowałaś? Wydaje ci się, że jesteś Jamesem Bondem czy co?

- To ulubiony agent mojego męża - szepnęła Grażyna ze smutkiem. Odważnie weszła do jaskini.

- Zaczekaj! - krzyknął za nią Tomek z rozpaczą. - Chcę iść przodem, w końcu jestem facetem!

- Cicho! - szepnęła Grażyna. Tomek posłusznie zamilkł.

Szli w prawie zupełnych ciemnościach. Musieli podpierać się ściany, żeby poznać kierunek drogi. W końcu weszli do sali oświetlonej skąpym światłem lampy naftowej. Nie było tam żywego ducha. Grażyna poczuła, że ogarnia ją strach. *Coś tu jest nie w porządku* - myślała. - *Za cicho...*

W tym właśnie momencie zatrzasnęły się ciężkie mosiężne drzwi, jedyna droga odwrotu. Jednocześnie Grażyna z Tomkiem usłyszeli głośny śmiech. Jak na komendę odwrócili się w stronę tego dźwięku i...

Grażyna nie poznała go od razu. Ciemny kaptur skrywał większość jego twarzy. Kobieta czuła, że trzęsie się cała od nadmiaru emocji. Czyli jednak to była pułapka... Musiał widzieć Tomka... A ona naiwnie wierzyła, że jakimś cudem

udało im się tu dostać niezauważenie. No cóż...

- Witam, witam - zagrzmiął głos mężczyzny. - Cóż za nieoczekiwana wizyta. Czemu ją zawdzięczam?

- Byliśmy sobie na spacerze - kłamał z uporem Tomek, starając się powstrzymać drżenie głosu - i nagle natknęliśmy się na tę jaskinię. Postanowiliśmy zobaczyć, co jest w środku.

Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Do pańskiej wiadomości - powiedział - tej jaskini nie może zobaczyć człowiek niewtajemniczony. Trzeba być członkiem stowarzyszenia albo szpiegiem. A ponieważ nie widniejecie państwo na mojej liście, oznacza to, że znaleźliście się tu całkowicie nielegalnie! Odkąd mnie śledzicie? - Przez dłuższą chwilę patrzył na Grażynę, później na Tomka. Oboje milczeli. - Nie chcecie mówić po dobroci? Pomożemy sobie w inny sposób.

Tym razem nie użył muzyki. Czarował słowami. Mówił spokojnie i pewnie, bardzo, bardzo monotonicznie. Grażyna po chwili zauważyła, że Tomek znów ma spuszczoną głowę. Jej przypuszczenia więc były słuszne. Ten człowiek zahipnotyzował ludzi w parku... Ale w jaki sposób? Tak bez słów?

Nagle sobie przypomniała - przecież tam grała muzyka. Bardzo dziwna muzyka! Coś na kształt przeplatających się, nakładających się na siebie dźwięków. Tylko dlaczego ona - Grażyna - nie zwróciła na to uwagi? Istniało jedno wytłumaczenie: te dźwięki zbyt przypominały rzeczywistość: słysząc było w nich szum drzew, wycie psów, kroki... Niesamowite...

Grażyna na wszelki wypadek poszła w ślady Tomka i spuściła głowę.

- Doskonale - szepnął mistrz, gdy to zobaczył. - A teraz otworzycie oczy i - wskazał palcem wpierw Grażynę, potem Tomka - pan powie mi, odkąd mnie śledzi.

Tomek opisał dosłownie wszystko. Doskonale pamiętał nawet momenty, kiedy pozostawał pod wpływem hipnozy. Grażyna tylko kręciła głową w geście dezaprobaty. Co prawda - bardziej w myślach niż w rzeczywistości. Bała się, że mężczyzna to zobaczy.

- A pani - zwrócił się do niej - odpowie mi teraz szczerze, co was tu sprowadza.

- Spacer - odpowiedziała.

- Nieprawda! - ryknął mistrz.

- Prawda! - Odważnie podniosła na niego oczy. Chciała pokazać temu draniowi, że nie na każdego działają jego czary. Żeby na przyszłość nie czuł się taki pewny siebie. Zobaczyła w jego oczach zdziwienie, wydawało jej się, że przez dłuższą chwilę nie dał rady wykrztusić z siebie ani słowa. Chyba nigdy do tej pory nie czuła tak wielkiej satysfakcji, jak w tym momencie.

- To niemożliwe... - wydyszał wreszcie mistrz. Z przejęcia spadł mu z głowy kaptur, odsłaniając nareszcie całą twarz...

W tym momencie Grażyna jęknęła. Na nic więcej nie była w stanie się zdobyć. Przed nią stał jej ojciec, ten, który dawno, dawno temu porzucił małą, bezgranicznie mu oddaną istotę. Bez słowa zniknął z jej życia. W Grażynie walczyła

chęć rzucenia mu się na szyję z ochotą wymierzenia siarczystego policzka. Nie zrobiła nic, stała w miejscu i patrzyła na niego w milczeniu, ze smutkiem.

- Dlaczego nie działa na ciebie moja hipnoza? - Mistrz był tak przejęty tym zjawiskiem, że nawet nie zauważył zmiany, która zaszła w Grażynie. - Dotąd tylko ja jeden umiałem się temu oprzeć...

Najgorsze w tym wszystkim było to, że ten człowiek praktycznie nic się nie zmienił. Wprost przeciwnie, czas wręcz podziałął na jego korzyść. Chociaż w sumie... Co ona może pamiętać? Miała przecież wtedy jedynie dziesięć lat... *Powiedzieć mu czy nie powiedzieć?* - zastanawiała się Grażyna, gdy pierwszy szok minął. Tym sposobem mogła się wkraść w jego łaski i dowiedzieć czegoś więcej o chłopcu. I o mamie...

Mistrz w tym czasie podszedł do Tomka.

- Teraz pójdiesz do domu i obudzisz się dopiero rano we własnym łóżku. Zapomnisz o wszystkich wydarzeniach minionej nocy.

Tomek posłusznie wyszedł. Mistrz zwrócił się do Grażyny:

- Nie był nam do niczego potrzebny. Tylko by nas rozpraszał, prawda? - Złapał Grażynę boleśnie za podbródek i podciągnął do swojej twarzy. - Zdumiewasz mnie - powiedział z powagą. - Zupełnie nie wiem, co z tym dalej zrobić.

Grażynę aż zamurowało. Ten człowiek właśnie przyznał się do porażki. To dość niespotykane u ludzi, którzy, jeśli

tylko zechcą, mogą sprawić, że cały świat będzie im posłuszny.

- Nie poznajesz mnie? - spytała spokojnie. Już się zupełnie opanowała.

- Co? - wykrzyknął mistrz.

- Opowiedzieć ci pewną smutną historię? - Grażyna odsunęła się od niego, usiadła przy stole. Mistrz stał w miejscu i z uwagą na nią patrzył.

- Była sobie mała dziesięcioletnia dziewczynka. Miała cudownych rodziców, bajkowe dzieciństwo. Mamusia uczyła ją różnych ślicznych piosenek i wierszy, tatuś - jazdy na rowerze i samochodem... Pewnego razu...

- Jesteś moją córką... - przerwał jej mistrz. - To dlatego nie działa na ciebie moja hipnoza! - Zaśmiał się jakby z ulgą.

Grażyna czuła, że wzbierają w niej łzy. Po tylu latach... Wcale go nie obeszło ich spotkanie... Tylko ta głupia hipnoza powtarzana bez przerwy... jak jakaś mantra...

- Nawet mnie nie poznałeś! - wybuchnęła. Wiedziała, że musi się uspokoić, że nie może okazać przy tym człowieku słabości. Zaczęła głęboko oddychać. Dopiero po dłuższym momencie mówiła dalej: - Nie poznałeś, chociaż jestem do ciebie bardzo podobna.

Mistrz usiadł obok niej.

- Dorosłaś - powiedział jakby z odrobiną czułości. - Jesteś piękną kobietą, a ja... Jestem już stary, mam siwe włosy, zmarszczki.

Grażyna spojrzała na niego z uwagą. W co ten człowiek gra?

- Ja już nie mam ojca od dawna - powiedziała twardo - więc nie ma o czym mówić. Naprawdę. Co zrobiłeś z moją mamą?

- Czy ty wiesz, jak wielki dar posiadasz? - odpowiedział.
- Jest nas teraz troje... Tak, tylko troje. Możesz sprawić, że ludzie będą cię słuchać. Wiesz, jaka to przyjemność?

- Ranić najbliższych i porywać ludzi? - prychnęła Grażyna. - Rzeczywiście czysta przyjemność!

- Widzę, że się nie rozumiemy - odpowiedział mistrz. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego. - Cóż, jestem do tego przyzwyczajony. Wielkich ludzi często się lekceważy. Do czasu. A teraz, moja droga, porozmawiamy inaczej, zobaczysz, że od razu zmienisz zdanie. Artur! - krzyknął. W drzwiach pojawił się wzywany mężczyzna.

- Słucham... mistrzu - powiedział z wahaniem.

- Zaprowadź panią do najlepszego z naszych pokoiów - roześmiał się. Zbliżył się do Artura i szepnął mu do ucha: - Mam nadzieję, że pamiętasz: najlepszy oznacza najzimniejszy.

- Tak jest, mistrzu... - odpowiedział Artur. - Zapraszam za mną - zwrócił się do Grażyny.

Szła za nim, bo cóż innego miała zrobić? Jeśli chciała odzyskać mamę i rozwiązać zagadkę, nie miała wyjścia. Postanowiła zagadnąć Artura, może niechcący coś jej zdradzi? Zwłaszcza że wyglądał na człowieka niezbyt inteligentnego. Prowadził ją długim żłobionym korytarzem. Co rusz mijali zamknięte drzwi. Grażyna naliczyła ich co najmniej cztery. *Gdzieś tam* - myślała - *na pewno jest moja*

mama. Tylko gdzie? Oprócz ich własnych kroków nie słyszała żadnego innego dźwięku. Artur otworzył ciężkie, grubo ciosane drzwi znajdujące się na końcu korytarza.

- Co taki miły, przystojny mężczyzna robi w tej... jaskini?
- spytała Grażyna. - Przecież w mieście mógłby pan zdobyć wszystko, co zechce, zarabiać dużo kasy, mieć rodzinę...

- Mam rodzinę - obruszył się.

Oo - pomyślała Grażyna - trafiłam w jego czuły punkt. Niedobrze.

- To co pan tu jeszcze robi?

Milczał. Po jego zaciętej minie Grażyna poznała, że nie zamierza kontynuować tej rozmowy.

- Szkoda - powiedziała - myślałam, że się zaprzyjaźnimy. Wspomniał może panu mistrz, że jestem jego córką?

Zobaczyła zdziwienie na jego twarzy.

- Najpierw żona, teraz córka... - wyrwało mu się. Kiedy się zreflektował, co powiedział, zasłonił sobie usta w przerażeniu.

- Żona? - Grażyna udała zainteresowanie. - Jest tutaj?

- Kto? - spytał z udawanym zdziwieniem. - Przecież mówiłem, że jest pani jedynym gościem. - Otworzył jej drzwi do ascetycznie umeblowanego pokoju. Zapalił światło. - Śniadanie o dziewiątej - oznajmił, zamykając za sobą drzwi.

Niewiele się dowiedziałam - pomyślała Grażyna, siadając na twardym materacu. Powietrze przesycone było wilgocią i przenikliwym zimnem. Kobieta odczuła to bardzo szybko. Wyjęła z plecaka śpiwór i opatulila się nim. Instynktownie wiedziała, że mistrzowi lepiej go nie pokazywać. Domyślała

się, że postanowił przekonać ją do swoich racji, przetrzymując w tym okropnym pomieszczeniu. *No cóż* – pomyślała, kładąc się na łóżku – *może przynajmniej nareszcie się troszkę prześpię*. Przykryła się wszystkim, co miała: śpiworem oraz prześcieradłem, które miłosierny mistrz pozostawił dla swoich gości. Grażyna cieszyła się, że przynajmniej poduszka jest porządna. Jeszcze tylko nastawić budzik na ósmą czterdzieści pięć i można spać całe sześć godzin, jeśli oczywiście nikt jej w tym nie przeszkodzi.



Stało się coś bardzo dziwnego. Brama zaprowadziła ich prosto do parku, w którym stał dąb... Ania przywołała mapę, żeby się jej dokładnie przyjrzeć. Ze zdumieniem odkryła, że prowadzi ich do drzewa, a potem przechodzi jakby przez nie.

- Świetnie - powiedziała ze złością. - Wiedziałam, że zostaniemy wpakowani w coś takiego. I czuję, że czeka nas wiele wspaniałych dni razem. Jeśli się nie pozabijamy, to będzie sukces!

- Przypominam ci - odpowiedział Wiktor - że to ty sprowokowałaś tę sytuację, więc teraz przynajmniej bądź cicho!

- Chciałbyś - odpowiedziała, wchodząc bez wahania do dziury w drzewie.

Wiktor wyprzedził ją już w środku.

- Pozwól - powiedział gniewnie - że ja będę prowadzić. Jeszcze wpakujesz nas w jakieś tarapaty.

Ania nie odpowiedziała. Tupnęła tylko nogą ze złością i poszła za nim. Sama przed sobą nie chciała się przyznać, że

wcale nie chciała iść pierwsza, że się bała. Zwłaszcza że w środku było straszliwie ciemno. Przynajmniej do czasu, aż Wiktor zapalił latarkę.

- Skąd to masz? - zdumiała się Ania.

- Przecież jesteśmy na obozie - odpowiedział. - Dziwię się, że ty nie masz.

- Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby wziąć na poranne zajęcia - odpowiedziała. W tym momencie potknęła się o coś i runęła jak długa. Wiktor podbiegł do niej szybko.

- Co ty wyprawiasz? - spytał, oświetlając miejsce, gdzie upadła. Podał jej rękę.

- Dzięki, nie trzeba - odpowiedziała, wstając o własnych siłach.

Wiktor w tym czasie oglądał miejsce, w którym się potknęła.

- Nic tu nie ma - szepnął ze zdumieniem. - Co ty, potykasz się o własne nogi czy jak? - Roześmiał się.

- Patrz, bo ty się niechcący kopniesz - odpowiedziała ze złością Ania. Syknęła z bólu. Musiała sobie nieźle rozwalić kolano, bo piekło niemiłosiernie. - Czy możemy iść dalej? - spytała. - Ten tunel nie jest zbyt przyjemny.

- A czy ty wiesz, że właśnie przenosimy się w przestrzeni? - spytał Wiktor.

- Wiem i jestem bardzo rozczarowana. Myślałam, że to będzie coś wyjątkowego, a to po prostu zwykły ciemny tunel. Żadnych zawirowań, niczego.

- Moim zdaniem właśnie to jest w tym wyjątkowe i świadczy o powiązaniu dwóch światów.

- Nie rozumiem...

- Naprawdę? - zdziwił się Wiktor. - Popatrz, teraz tak jakby naturalnie przenosisz się w przestrzeni. Tak naprawdę każdy może to zrobić, jeśli tylko zna sekret. Nie potrzeba żadnych widowiskowych wehikułów czasu czy różdżek. To jest takie naturalne, że aż prawdziwe. Łatwiej może się stać częścią naszego życia.

Ania pokiwała głową z uznaniem.

- Już drugi raz mnie zaskakujesz. Pozytywnie, żeby nie było!

- To ekstra! - krzyknął Wiktor z drwiącym uśmiechem. - Wiesz co? Widzę światło! - Pobiegnął w tamtym kierunku. Ania biegła za nim.

Kiedy wyszli, ze zdumieniem odkryli, że nadal znajdują się w Irysie. Byli w identycznym parku, tylko że... tylko że... coś tu było nie tak.

- Niesamowite! - krzyknęła Ania, rozglądając się ze zdumieniem. - Na pierwszy rzut oka uderzające podobieństwo! Ale czuję się tu zupełnie inaczej... Jak, jak... hmmm... w obcym świecie. Czuję, że to nie jest mój dom.

- A ja wprost przeciwnie - odpowiedział Wiktor, patrząc na nią z powagą.

- Wiesz co? Odpalę mapę. Zobaczymy, gdzie dalej iść. A tak swoją drogą, dlaczego od razu przeszliśmy na drugą stronę? Czy przypadkiem nie powinniśmy odnaleźć kogoś w naszym świecie, żeby go teraz przeprowadzić do bratniej duszy? Czy to nie dziwne...? - Ania zamyśliła się. Zamknęła oczy i poprosiła mapę, żeby do niej przyszła. Kiedy już się

przy niej pojawiła, Ania zaczęła szukać dwóch, a właściwie trzech punktów. Odnalezienie pierwszego - gdzie się znajdują - było dziecinnie proste. Wystarczyło wypatrzeć wielkie drzewo, zaraz obok świecił się zielony punkcik. O krok od niego Ania odkryła ze zdumieniem drugi taki sam, tylko że w kolorze czerwonym. Spojrzała na Wiktora i już wszystko wiedziała. Czuł się tutaj jak w domu, ponieważ był w domu.

- Już wiem, dla kogo szukamy bratniej duszy - powiedziała.

- Dla kogo? - spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Dla ciebie - odpowiedziała.

- Szanowna pani, czy mogę być pani partnerem? - Obok Gosi wyrósł nagle Franciszek.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie.

- Jeśli zdejmiesz z twarzy ten idiotyczny uśmiešek i przestaniesz się zachowywać jak pseudorycerz, to się zastanowię - odpowiedziała z wyższością.

Franciszek spochmurniał.

- A ty mogłabyś wreszcie przestać zgrywać obrażalską księżniczkę - odpowiedział. - To co? Wóz albo przewóz!

- No dobra - odpowiedziała. - Przywołuj.

Franciszek kiwał palcem i kiwał, ale nic nie nadchodziło.

- Zostaw to - zniecierpliwiła się Gosia. - Ja spróbuję. - Tylko zaczęła przywoływać, od razu wyrosła przy niej istota o czerwonej aurze. - Niesamowite - szepnęła dziewczynka. -

To naprawdę... lepsze niż... jakikolwiek sen... niż cokolwiek, co do tej pory widziałam...

Puzzle - istoty - wędrowały w różne strony do punktu przeznaczenia. Wyglądało to trochę jak powolny lot komety, która zmierza wolno, ale z uporem w określone miejsce. W sali panowały cisza i skupienie. Skończyły się głupie żarty i docinki. Zdecydowanie każdy przejął się nową funkcją powiernika świetlnej układanki. Anna Maria patrzyła na to i uśmiechała się pod nosem. Już od tylu lat ta metoda jej nie zawiodła. Najlepiej jest uczyć się na własnych błędach - to wiedziała od zawsze. Wiedziała również, że każdy, kto choć raz doświadczy cudu zaufania, poruszania się w przestrzeni, magii, która na każdym kroku otacza świetlną układankę, nie będzie mógł ot tak wrócić do normalnego życia. Obraz układanki zostaje, staje się promieniem słońca w trakcie snu i po przebudzeniu, towarzyszy przez cały dzień jak uśmiech dziecka. Anna Maria powoli kierowała się w stronę wyjścia. Wiedziała, że nie jest tu już do niczego potrzebna. Czas pozwolić działać układance.

Gosia z Franciszkiem od razu po wyjściu z bramy natknęli się na tę dziewczynkę. Miała chyba z osiem lat, dwa śliczne kucyki zaplecione kolorowymi gumkami na głowie i szczerbaty uśmiech. Siedziała na trzepaku przy jednym z czterech bloków w Irysie i patrzyła w zamyśleniu w dal.

- Cześć, jak masz na imię? - zagadnęła ją Gosia.

Dziewczynka obdarzyła ją uważnym spojrzeniem brązowych oczu.

- Nie mogę rozmawiać z obcymi - powiedziała. Patrzyła jednak na przybyszów z dużym zaciekawieniem.

- Ja jestem Gosia, a to jest Franciszek. - Gosia nie dawała za wygraną. - Widzisz, już nie jesteśmy obcy, znasz nasze imiona.

- Nieprawda - odpowiedziała dziewczynka. - Mogliście mnie oszukać. Ja na przykład mogłabym powiedzieć, że mam na imię Kasia, i wcale byście nie wpadli na to, że tak naprawdę jestem Zuzia - szczebiotała, nie schodząc z trzepaka.

- W takim razie spójrz na to. - Gosia wyciągnęła swoją szkolną legitymację i podała jej.

Dziewczynka zrobiła na trzepaku fikołka do tyłu i chwilę później była już przy Gosi. Niemal wyrwała jej z rąk legitymację.

- Rzeczywiście się zgadza - powiedziała z powagą. Zamyśliła się przez chwilę. - W sumie to jesteś niewiele starsza od mojej siostry. Co prawda niezbyt jej ufam, bo zabiera mi wszystkie długopisy i zagląda do mojego pamiętnika, ale... ty wyglądasz na mniej wredną. - Wyciągnęła do Gosi rękę. - Jestem gotowa ci zaufać. Aha! Tak naprawdę mam na imię Martyna.

Gosia uścisnęła jej rękę i uśmiechnęła się szeroko. *Niezła aparatka z tej dziewczynki* - pomyślała. Bardzo jej przypominała Pyzę. Miała ochotę ją połaskotać, tak jak robiła

to zawsze swojej młodszej siostrze. A może... może to do niej mieli ją zaprowadzić?

- Słyszałaś kiedyś o szukających? - Franciszek dołączył do rozmowy.

Zamaszyście pokręciła głową.

- Nie, a czego oni szukają?

- Przyjaciół dla tych, którzy tak bardzo ich potrzebują, że nie wiedzą już, co mają ze sobą zrobić. Tworzą sobie świat iluzji, w którym żyją, zaprzyjaźniają się ze swoim pamiętnikiem, z książkami lub telewizją.

Dziewczynka spojrzała na niego i łzy zaszklily się w jej dużych, bystrych oczkach.

- A czy - pytała z powagą - czy oni tworzą sobie wymyślonych przyjaciół, żeby mieć z kim rozmawiać? Bawią się z nimi, rozmawiają, śmieją się, tak jak z prawdziwymi? A któregoś dnia odkrywają, że to w żaden sposób nie zastąpi normalnego przyjaciela? Bo kiedy było mi bardzo smutno i nie miałam ochoty, żeby sobie cokolwiek wyobrazić, nikt do mnie nie przychodził, żeby mnie pocieszyć.

- Jak to? - zdziwiła się Gosia - A rodzice, a siostra?

- Oni nie mają czasu. - Martyna pociągnęła nosem. - Moja siora tylko się ze mnie śmieje, że jestem beksa, i tyle. Rodzice ciągle pracują. A ja czuję się bardzo, ale to bardzo zagubiona...

Gosia patrzyła na nią ze zdumieniem. Tyle powagi w tak młodym wieku. Skąd to się wzięło? Czy tylko z powodu braku

przyjaciół? A może była inna przyczyna? Brak wsparcia ze strony najbliższych i zbyt poważne książki robią swoje. Chwila, chwila... Przecież ona sama w wieku ośmiu lat miała różne dziwne myśli. Na przykład zastanawiała się nad granicami swojego umysłu: jak by to było być sobą, a jednocześnie kimś innym. Czuła z przerażeniem, że nigdy się tego nie dowie, a bardzo by chciała. Po raz pierwszy również doświadczyła uczucia przebudzenia. Nie wiedziała, dlaczego do tej pory śniła, lecz widziała wyraźną różnicę między pierwszym rodzajem życia a drugim. To tak, jakby wyjść poza siebie i stać się całym światem, prosto i naturalnie doświadczać, przenikać, wąchać, dotykać i przede wszystkim widzieć. Tak, to było wspaniałe uczucie. Od tamtej chwili ani razu nie doświadczyła czegoś podobnego.

- Ufasz mi? - spytała dziewczynkę.
- Słucham? - Martyna spojrzała na nią ze zdumieniem.
- No, czy mi ufasz?
- Chyba tak - odpowiedziała z wahaniem.
- Mamy radę na twoje smutki - mówiła Gosia. Wiedziała, że musi uważać na każde słowo, żeby nie przerazić dziewczynki. Dziecko patrzyło na nią z napięciem. Gosia odetchnęła głęboko. *A teraz chwila prawdy* - pomyślała i powiedziała: - Wiemy, gdzie znaleźć dla ciebie przyjaciółkę, taką prawdziwą.
- Jak to? A skąd? - zdumiała się dziewczynka.

- Oglądałaś kiedyś *Władcę Pierścieni*? - spytał Franciszek.

- No coś ty, tam jest za dużo przemocy! - Martynka podeszła bliżej Franciszka. - Ale w tajemnicy przeczytałam książkę!

Franciszek wybałuszył na nią oczy ze zdumienia. Przymierzał się do tej książki chyba ze trzy razy, ponieważ przerażała go jej objętość, a ta mała... skubana! A na dodatek to dość trudna lektura, zwłaszcza dla dziecka, które nie tak dawno nauczyło się czytać!

- No to pewnie wiesz - podjął Franciszek - czym była Drużyna Pierścienia.

Dziewczynka skinęła głową.

- No jasne, znam na pamięć imiona wszystkich jej członków. Mogę wymienić.

- Nie, dzięki - odpowiedział Franciszek. - Na pewno doskonale pamiętasz, że drużyna się podzieliła, a każda część miała swoją misję do wykonania. W każdym razie zmierzam do tego, że ja z Gosią tworzymy taką drużynę, tylko że szukających. Naprawdę jest nas dużo więcej, ale dzielimy się na grupy, żeby każda z nich mogła wykonać swoje zadanie.

- Mógłbyś wreszcie powiedzieć, o co wam chodzi - zniecierpliwiła się dziewczynka.

- Ja powiem - odpowiedziała Gosia. - Jesteśmy szukającymi. Naszym głównym zadaniem jest odnajdywanie bratnich dusz. To znaczy, jeśli ktoś czuje się bardzo zagubiony, samotny, wyobcowany, ruszamy mu z pomocą.

- Ach! - krzyknęła dziewczyna z entuzjazmem. - Jesteście detektywami, tak?

Gosia się roześmiała.

- No, coś w tym rodzaju. Tylko że nam pomagają magiczne przedmioty: na przykład wielkie świecące puzzle czy mapa, która się przed nami pojawia, kiedykolwiek zechcemy.

- Phi - wyrwało się dziewczynce. - A mój tata to mówi, że z GPS-em zajdziesz gdziekolwiek zechcesz.

- Ale żaden GPS nie wskaże ci, dokąd powinieneś się udać - odpowiedział Franciszek. - To jak, Martynka, chcesz odnaleźć z nami swoją bratnią duszę?

Dziewczynka spojrzała wpierw na Gosię, potem na Franciszka. W końcu stwierdziła:

- A obiecujecie, że wrócę do domu przed zmrokiem? Mama strasznie nie lubi, kiedy na dłużej znikam jej z oczu.

- Pamiętam - odpowiedziała Gosia - że gdy byłam w twoim wieku, wybrałyśmy się z siostrą do koleżanki, bo nas zaprosiła. Głupio było odmawiać, co nie? A że to było na spontana, nie przyszło nam do głowy, żeby zawiadamić rodziców. Po dwóch godzinach wracamy do domu, pukamy do drzwi i pukamy. Cisza. W końcu odzywa się głos tatusia. Pyta: „Kto tam?” My odpowiadamy: „Córeczki.” On na to: „Moje dzieci już od dawna grzecznie siedzą w domku!” Przetrzyzymał nas tak dobre dziesięć minut. I to nie była jedyna taka sytuacja! - Zaśmiała się, potem nagle spoważniała. - Strasznie za nim tęsknię. A najgorsze jest to, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie on teraz jest.

Franciszek położył rękę na jej ramieniu.

- Wróci - powiedział, wkładając w to tyle pewności, na ile było go stać. - Doskonale wiem, co przeżywasz - dodał. Twarz mu nagle stężała. - Mój ojciec też zniknął całe wieki temu. Dobra, koniec z tym! - krzyknął gniewnie. - Mamy zadanie do spełnienia!

- Właśnie! - krzyknęła Martyna, skacząc do góry. Potem spojrzała na klatkę schodową. - O nie! - W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

Z bloku wychodziła właśnie młoda dziewczyna.

- To twoja siostra? - spytał chłopak. Martyny jednak nie było już obok nich. Franciszek spojrzał w osłupieniu na Gosię. Ta tylko przyłożyła palec do ust. W ich kierunku zmierzała właśnie siostra Martyny. Była bardzo do niej podobna. Brakowało jej tylko szczerbatego uśmiechu i kucyków.

- Nie widzieliście tu może takiej małej dziewczynki? - spytała, patrząc z uśmiechem na Franciszka.

Gosia już chciała zaprzeczyć, ale Franciszek ją uprzedził.

- Tak, całkiem niedawno próbowaliśmy z nią rozmawiać, ale odpowiedziała, że nie rozmawia z obcymi. I było po rozmowie. - Franciszek zrobił oczy kota i obdarzył dziewczynę uśmiechem numer jeden, który według niego znaczył: „Jestem szczerzy do bólu i czysty jak łąza”. Na siostrę Martyny takie triki najwidoczniej nie działały, bo odpowiedziała, krzywiąc się znacząco:

- Wcale jej się nie dziwię. A widzieliście, dokąd poszła? - Patrzyła teraz na Gosię, jawnie lekceważąc obecność

Franciszka.

- Myśleliśmy, że wraca do domu - odpowiedziała dziewczyna.

- Mała jędrza! - jęknęła siostra. - Czemu zawsze muszę przez nią obrywać?

Gosia w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Dziewczyna, nie widząc wsparcia z jej strony, odeszła.

Kiedy zniknęła im z oczu, Franciszek z Gosią zaczęli wypatrywać Martyny, ale za nic nie mogli jej namierzyć. W końcu po kilku minutach wytężonej obserwacji Gosia krzyknęła:

- Ty, patrz! Dobiegła już aż tam! - Roześmiała się i wskazała ręką w lewo. - Dobra jest!

Franciszek spojrział w tamtą stronę. Przez dłuższą chwilę szukał jej wzrokiem, aż wreszcie ją dojrzał. Dziewczynka kulila się pod samochodem jakieś dwieście metrów od nich. Co jakiś czas wychylała się, żeby zbadać teren, i jeśli było czysto, biegła dalej. Aż wreszcie schowała się za srebrną toyotą.

Gosia z Franciszkiem bez słowa poszli w jej kierunku.

- Czy ty wiesz - pytał chłopak po drodze - jak daleko mieszka jej nowa koleżanka?

Gosia, nie przestając iść, szepnęła „proszę”. Zamknęła na chwilę oczy, potem otworzyła. Mapa była bardzo krótka i prowadziła w tę stronę, w którą właśnie szła Martyna.

- Ona mieszka w następnym bloku. Dwa bloki od Martyny. Tyle lat... Jak to możliwe, że się jeszcze nie spotkały?

Franciszek wzruszył ramionami i stwierdził:

- Nie mam pojęcia. Ale myślę, że niedługo się dowiemy. Chodź, może trochę podbiegniemy, bo w życiu jej nie dogonimy.

- Wiesz co? - wydyszała Gosia, starając się dotrzymać Franciszkowi kroku. - Ona właśnie... skręca do tego bloku! Jak to możliwe?!

- Samorodny talent - stwierdził Franciszek kpiąco. - Czy ty uważasz w ogóle na zajęciach? Czy chodzisz, bo musisz? - Popatrzył na Gosię z dezaprobatą. - Przecież bratnie dusze przyciągają się jak magnes. Prędzej czy później, zwłaszcza jeśli mieszkają tak blisko, muszą się odnaleźć.

- Ale idziemy za nią, prawda? - spytała Gosia niemal błagalnie.

- No jasne. Mogę się zresztą założyć, że zatrzyma się pod klatką, bo będzie się bała wejść dalej.

Rzeczywiście, znaleźli Martynę siedzącą na schodach prowadzących do drugiej klatki. Popatrzyła na nich i w jej oczach pojawiło się coś jakby ulga.

- Dobrze, że przyszliście - powiedziała i niespodziewanie się rozplakała.

Gosia usiadła obok niej i przytuliła ją bez słowa. Siedzieli tak we trójkę w milczeniu do momentu, aż kobieta o bujnych czerwonych włosach nie przywróciła ich rzeczywistości. Prawdopodobnie wracała z pracy, a na domiar złego cała była obładowana zakupami. Franciszek szybko ją zauważył i prawie natychmiast wstał, żeby pomóc jej nieść siatki.

- A coś ty za jeden? - syknęła kobieta. - Nigdy cię tu

wcześniej nie widziałam!

Franciszek zaniemówił. Dopiero po chwili odpowiedział:

- Przecież... ja tylko chciałem pomóc pani nieść zakupy!

- A bo to wiadomo, czy nie jesteś złodziejem? Mało tu ich mamy? Ostatnio sąsiadkę chcieli okraść. Nie, nie dowierzam takim, co to się pojawiają nie wiadomo skąd!

Martyna podeszła do kobiety i delikatnie wyjęła z jej rąk siatkę.

- Ja pani pomogę - powiedziała.

Kobieta przez moment stała niepewnie.

- No dobrze, proszę cię bardzo - odpowiedziała w końcu, otworzyła drzwi do klatki i weszła do środka. Za nią powoli szła Martyna, po niej, w pewnej odległości - Franciszek i Gosia.

- Masz jakiś plan? - szepnęła Gosia.

- Jak zwykle... nie. - Franciszek się roześmiał.

- Ty, a może my wcale nie jesteśmy im potrzebni? - spytała dziewczyna w momencie, kiedy czerwonowłosa kobieta zamykała im przed nosem drzwi.

- No nie no - stęknął chłopak. - Co my teraz zrobimy? Ja na pewno pukać nie będę. Ta wredna baba mnie zje.

Gosia spojrzała na niego z namysłem.

- Mam świetny pomysł - stwierdziła.

- Jaki? - Franciszek popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Pójdziemy na huśtawkę. - Twarz dziewczyny rozpromienił szeroki uśmiech.

- Jak to tak? Chcesz opuścić posterunek w trakcie misji? Zabraniam! - powiedział poważnie.

Kiedy to mówił, Gosia zbiegała już po schodach.

- Pośpiesz się, sztywniaku! - krzyknęła. Franciszek pobiegł za nią, ale dogonił ją dopiero w momencie, gdy siadała na huśtawce. Przystanął obok niej i pomógł się rozhuścić.

- Lubisz mnie? - spytała Gosia, uśmiechając się niewinnie.

- Nie powiem, że tak, bo zaraz będziesz czegoś chciała - odpowiedział Franciszek z przebiegłym uśmiechem.

- Skąd wiedziałeś? - Była już wysoko, niemal krzyczała do niego.

- Ha! Mam trzy siostry, które starały się urobić mnie na różne sposoby. Już ja znam wasze babskie sztuczki!

- Szkoda - stwierdziła Gosia. - Chciałam zacząć być dla ciebie miła, ale to się chyba nie uda...

Franciszek roześmiał się głośno.

- Czemu się śmiejesz? - spytała Gosia.

- Bo jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Myślę, że Martyna może tam spędzić nawet kilka godzin - zmieniła temat Gosia.

- Jeśli ta wredna kobieta jest matką jej bratniej duszy, to nic, tylko współczuć - stwierdził Franciszek z przekąsem.

- Dlaczego myślisz, że ona jest taka zła? Może miała kiepski dzień, bolały ją ręce od zakupów, a na dodatek była zmęczona? Nie każdy ma takie wspaniałe życie jak ty! - Gosia zatkała nagle usta ręką. - Ups! Przepraszam! Za dużo mi się powiedziało. - Unikała wzroku Franciszka. - Wiem, że...

- Nic więcej nie mów! - przerwał jej Franciszek ostro. -
A z tą kobietą... pewnie masz rację...

Gosia zatrzymała się nagle, spojrzała na chłopca i uniosła do góry jedną brew. Doskonale wiedziała, jak zrobić wrażenie na chłopakach. Uniesiona brew zazwyczaj działała, no chyba że któryś był po prostu ślepy lub zbyt zapatrzony w samego siebie. Podobne wrażenie robiło wykręcanie języka na bok w rurkę. Tylko że to było traktowane bardziej jako ciekawostka niż droga do osiągnięcia celu. Gosia przypomniała sobie zawody, które często robili z rodzicami. Każdy po kolei pokazywał, czego potrafi dokonać ze swoim językiem. Większość umiała klasyczną rurkę, tylko Ania i Pyza - boczną. No właśnie - aż dwie osoby w rodzinie, a podnosić brew na zawołanie umiała tylko Gosia. A teraz okazuje się, że również Franciszek. Patrzył właśnie na nią z uniesioną prawą brwią i triumfującym uśmiechem.

- Też tak umiem - pochwalił się.

- No dobrze. - Gosia na nowo zaczęła się rozhuśtywać. -
Poddaję się. A miałam zamiar poprosić cię tylko o kupienie prażonych pestek.

- To trzeba było tak od razu! - odpowiedział Franciszek.
- Tylko się stąd nie ruszaj! - krzyknął i pobiegł przez plac zabaw.

- Żartowałam - powiedziała Gosia cicho, już do siebie.

Stało się to, czego się już od dawna obawiał. Tego dnia jednak stracił czujność. Wydawało mu się, że jeśli będzie

daleko od obozu, mistrz go nie znajdzie. Widział już, jak bardzo się pomylił. Mistrz stał właśnie przed nim, z tym swoim nieprzeniknionym wyrazem twarzy, którego Franciszek tak nienawidził.

- Witaj - powiedział mistrz.

- Dzień dobry - odpowiedział Franciszek. Za nic w świecie nie chciało mu przejść przez gardło słowo „mistrzu”.

Mistrz odszedł delikatnie na bok i dał znak Franciszkowi, żeby do niego podszedł. Chłopak z ociąganiem wysłuchał polecenia. Stali przy samym sklepie, wszędzie kręcili się kupujący. *Przynajmniej jestem bezpieczny* - pomyślał i odważnie spojrzał mistrzowi w oczy. Ten przez cały czas milczał. Gdyby Franciszek go nie znał, pomyślałby, że szuka właściwych słów. Mistrz nigdy się nie zastanawiał, jakby od razu wiedział, co powiedzieć. Stali tak dobre pięć minut, Franciszek w końcu stracił cierpliwość.

- To ja może... pójde do sklepu - powiedział z wahaniem.

- Nigdzie nie pójdziesz! - zagrział mistrz. - Brakuje ci cierpliwości, więc jak chcesz doprowadzić misję do końca?

Ach, więc to test - pomyślał Franciszek - *mogłem się tego domyślić. Muszę być dla niego obrzydliwie miły, inaczej się nie odczepi.*

- Czego mistrz ode mnie oczekuje? - spytał.

- Dobrze wiesz czego - odpowiedział mistrz.

- Nic nowego nie odkryłem - skłamał chłopak płynnie.

Mistrz roześmiał się na tyle głośno, żeby wzbudzić zainteresowanie kilku przechodniów.

- Czy ty naprawdę masz mnie za idiotę? - spytał w końcu. - Jak myślisz, skąd wiedziałem, gdzie jesteś? Doskonale wiem również, kto tu z tobą przyszedł. Niestety nie ma z wami drugiej siostry. Gdzie ona jest? Mam nadzieję, że masz rozsądną wymówkę, bo inaczej... Pamiętaj... Ja też potrafię nie dotrzymywać słowa...

- Ale ja... - zająknął się Franciszek, przestraszony już nie na żarty - Ja... nie mam pojęcia, no bo skąd? Przecież jesteśmy na zajęciach.

Mistrz zbliżył się do niego na odległość napaństwa. Przytknął palec do przepony Franciszka i mocno przycisnął. Chłopak stęknął z bólu.

- Powiem ci, co masz teraz zrobić. Słuchaj uważnie, bo nie zamierzam powtarzać! Pójdiesz do twojej ukochanej dziewczyny, jakby nigdy nic, i tak pokierujesz rozmową, żeby ją nakłonić do odnalezienia siostry. Nie obchodzi mnie, jak tego dokonasz. Interesują mnie efekty. Macie znaleźć ojca dziewczynek, rozumiano?

- A właściwie - spytał Franciszek z wahaniem - dlaczego mistrzowi tak bardzo na nim zależy? Przecież... chyba misja została wykonana pomyślnie...

- To ja tutaj zadaję pytania - odpowiedział mistrz, patrząc z wyższością na Franciszka. - I to ja dyktuję reguły gry. A teraz zniknij mi z oczu, no już!

Franciszek wszedł do sklepu, a w miejscu, gdzie przed chwilą stał, pojawił się nagle mężczyzna z długą siwą brodą i w czarnym płaszczu.

- Doskonale - powiedział. - Mamy go w garści. Tak jak

całą resztę. Teraz tylko wystarczy tak nimi pokierować, aby dobrowolnie trafili do pułapki.

- Myślę - odpowiedział mistrz - że wcale nie będziemy im do tego potrzebni. Powinniśmy się zająć naszą sprawą. Jest jeszcze coś... - zaczął i zamilkł. - Moja córka. Ona...

- Za tydzień o tej samej porze - przerwał mu mężczyzna.
- Wiesz gdzie. Tylko zaufani ludzie. - Zniknął akurat w chwili, kiedy ze sklepu wyszedł Franciszek. Chłopak szedł szybko, patrząc w ziemię.

O czym ja, do cholery, myślałem? - przemknęło mistrzowi przez myśl. - *Czemu nie mogłem mu po prostu o niej powiedzieć?*



Marka obudziło chrapanie. Otworzył oczy i popatrzył z uśmiechem na Mikołaja. Wczesne słońce wpadało przez okno, rozświetlając cały pokój. Marek wyskoczył z łóżka. Już dawno nie czuł się tak młodo i rześko, miał wrażenie, że dziś może wszystko. Pogwizdując poszedł do kuchni. Zaparzył herbatę w dzbanku, pokroił chleb, wędlinę, ser i warzywa ułożył na talerzykach. Kiedy zobaczył, że nikt oprócz niego nie jest skory do wstania, poszedł do ogrodu. Powietrze stało się chłodniejsze, nieubłaganie zbliżała się jesień. Kwiaty jeszcze tego nie czuły, nadal wabiły bogactwem koloru. Klaudia miała w ogrodzie również mnóstwo zagonków warzywnych. Było tam wszystko, czego potrzebowała w kuchni, po troszeczkę co prawda, ale dla dwóch osób wystarczyło. Marek bez problemu odróżniał wszystkie gatunki kwiatów oraz warzyw. U nich w domu to on się zajmował ogrodem, Grażyna nie przepadała za tym. Z dziewczynek jedynie Gosia wykazywała jako takie zainteresowanie ogrodnictwem, najbardziej zaś ziołami.

Miała swój własny zagajnik ziołowy, którym obdzielała hojnie wszystkich członków rodziny, zwłaszcza gdy ktoś był szczególnie potrzebujący.

Kiedy Marek wrócił z ogrodu, w domu nadal panowała cisza. *Co jak co* - pomyślał - *ale mały to powinien się już dawno obudzić*. Po cichu podszedł do pokoju dziecięcego i prawie bezszelestnie otworzył drzwi. Najpierw zobaczył Klaudię. Spała spokojnie z twarzą zwróconą w stronę łóżeczka, w którym... nie było Grzesia! Marek kierowany impulsem zaczął szarpać Klaudię tak mocno, że aż syknęła z bólu. Nie zdążyła nawet spytać, co się stało, od razu zobaczyła.

- Jak to zrobili? Kiedy? Czy ktoś coś słyszał? - przekrzykiwali się w pytaniach bez odpowiedzi. Wreszcie Marek, który pierwszy odzyskał spokój, spytał:

- O której zasnąłaś?

- Prawdę mówiąc, nie wiem - zmieszała się. - Grześ usnął szybko, byłam bardzo szczęśliwa z tego powodu... Czytałam książkę. A potem... ciemność. Usiadła na fotelu i skryła twarz w dłoniach - Tyle czasu spodziewałam się tego, a teraz, kiedy przyszło, nie mam nawet siły, żeby płakać... Nie mam siły na nic...

- A ja miałem was ochronić - odpowiedział Marek z żalem - i zawiodłem na całej linii. Nic nie słyszałem. Nic a nic. Jakby Grześ się zdematerializował. Najciekawsze jest jednak to, że aż do dzisiaj nie mieliśmy zwyczaju tak długo spać. Ja się obudziłem po dziesiątej, właśnie dochodzi dwunasta... Jakby ktoś dał nam po olbrzymiej dawce środków

nasennych.

Klaudia nagle wstała.

- Pójdę - powiedziała. - Może sąsiedzi coś widzieli.

- Zostań. - Marek podszedł do niej. - Ja pójdę.

Klaudia delikatnie odepchnęła go.

- Nie - powiedziała stanowczym głosem. - Oni cię nie znają. Tutaj ludzie są nieufni.

Marek patrzył za nią z podziwem. Jeszcze przed chwilą ledwie stała na nogach, a teraz jej krok stał się pewny i dynamiczny. *Ta kobieta potrzebuje działania - pomyślał - inaczej zwariuje. Skąd ja to znam?*

Późną wiosną dwa lata temu Ania miała wypadek na rowerze. Wpadła pod samochód, gdy przejeżdżała przez pasy. Marek z najdrobniejszymi szczegółami zapamiętał chwilę, gdy w drzwiach stanęła Gosia i grobowym głosem poinformowała o wypadku siostry. I co wtedy zrobił Marek? Nie czekał na rozwój wypadków, nie rozplakał się, nie opadł z sił. Po prostu zaczął działać. Można to było nazwać impulsem, intuicją lub po prostu samoobroną. Działał, żeby nie zwariować, żeby nie myśleć. Od razu pojechał do szpitala i dopiero kiedy zobaczył Anię - trochę skołowaną i bladą, ale żywą i w jednym kawałku - z nagłą mocą wróciły do niego wszystkie ukryte emocje i się rozplakał. Aż musiał schować się w łazience, bo było mu wstyd.

Stał i patrzył na dziecięce łóżeczko. Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że obok niego stoi Mikołaj i z tępym zdziwieniem spogląda na puste posłanie.

- Zabrali go - powiedział Marek. - Nie wiem jak, nie wiem kiedy, nic nie wiem. - Rozłożył ręce w geście bezradności.

Mikołaj z tym samym tępym wyrazem twarzy odpowiedział tak, jakby recytował z pamięci lekcję:

- Oni działają po cichu. Nie wiadomo jak, nie wiadomo kiedy. Przypuszczalnie hipnotyzują wszystkich potencjalnych świadków zdarzenia tak, że zasypiają. Ich sen jest bardzo spokojny i trwa tyle czasu, ile nakazano mu trwać.

- Wszystko jasne - burknął Marek. - Tylko dlaczego nie powiedziałaś o tym wcześniej?

Mikołaj wzruszył ramionami.

- Nauczycielka mówiła o tym à propos innych tajemniczych zniknięć. Zdarza się bowiem, że znikają dorośli, zazwyczaj filozofowie, naukowcy, politycy. Przepadają w równie tajemniczych okolicznościach, co dzieci, tylko że... - przerwał.

- Tylko że...? - powtórzył z naciskiem Marek.

Mikołaj spojrzał na niego roztargnionym wzrokiem.

- Tylko że - kontynuował - nigdy nie wiązano tych dwóch spraw ze sobą, ponieważ... ponieważ... - zamilkł, a potem dopowiedział jednym tchem - ponieważ zazwyczaj uważano, że zniknięcia dorosłych są spowodowane ich ucieczką lub sprawami rodzinnymi.

Marek oniemiał. Przeszło mu przez myśl, że przecież

o nim też mogli tak pomyśleć. *Marek G., ojciec trójki dzieci zaginął zeszłej nocy. Świadkowie zeznają, że widzieli go z pewną kobietą...* Gwałtownie pokręcił głową, aby przerwać tok irracjonalnych myśli.

- Nonsens - szepnął ni to do siebie, ni to do Mikołaja.

Do pokoju wkroczyła Klaudia.

- Oni nic nie widzieli, dosłownie nic! - krzyczała, chodząc z kąta w kąt i zamasyście wymachując rękami.

- Spytaj Mikołaja. On ci wszystko wyjaśni - powiedział Marek złośliwie. Nie mógł mu do końca darować, że wcześniej niż on odgadł związek między tymi zniknięciami. Przecież to logiczne.

- Sądzę, że zostaliśmy zahipnotyzowani. Nakazano nam obudzić się dopiero po kilku godzinach, myślę, że po dziesięciu - powiedział Mikołaj, nie patrząc Klaudii w oczy.

- Brzmi idiotycznie, prawda? - powiedział Marek. - Ale właśnie dlatego mógłbym założyć się z każdym, że tak było.

W tym momencie cała energia Klaudii zniknęła. Położyła się na łóżku, szepnęła:

- Chyba zaraz umrę. - I zamknęła oczy. Marek patrzył na nią, ale żadne słowa pociechy nie przychodziły mu na myśl. Prawdę mówiąc, miał w głowie totalną pustkę. Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Mikołaj pobiegł otworzyć. Po kilku minutach wrócił, niosąc w ręku list. Podał go Markowi.

- Do ciebie. Ładnie pachnie. Różami.

Marek spojrzał na niego zdumiony, potem niecierpliwie rozerwał kopertę i wyjął jej zawartość. Elegancka papeteria, zapach róż, zamaszysty charakter pisma. Tym razem był

nawet podpis. Tak, wszystko się zgadzało. Maria pisała, że wie o wydarzeniach minionej nocy i że jeszcze dzisiaj u nich będzie.

- Skąd ona to wszystko wie? - szepnął Marek. - Zadziwiające... Nawet moja teściowa wie o wiele mniej. - Zaśmiał się z własnych słów. - Ciekawe, po co przyjeżdża.

- Kto? - spytał Mikołaj.

- Kobieta, przez którą tu jestem. Chodź do kuchni coś zjeść. I tak na niewiele się tu zdamy - powiedział, patrząc znacząco na Klaudię.

Maria przyjechała około dwudziestej pierwszej. Ku zdumieniu Marka przywiozła ze sobą biało-czarnego kota. Na zdziwione spojrzenia odpowiedziała, że ma zamiar zagościć tu na dłużej.

- Nie mogłam przecież pozwolić mu, żeby panoszył się w moim domu. On tylko wygląda tak potulnie, ale stać go na wiele. Prawda, Alfonsiku? - Pogłaskała kota, a ten w odpowiedzi zaczął głośno mruczeć.

- Co to za imię dla kota? - Mikołaj się roześmiał.

Maria posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Cóż to za niewychowany młodzieniec? - zwróciła się do Marka.

- To Mikołaj, szukający - odpowiedział Marek. Potem dodał, jakby usprawiedliwiając Mikołaja: - Ale to naprawdę dziwne imię dla kota.

- Domyślasz się, dlaczego tu jestem? - zmieniła temat

Maria. Marek zaprowadził ją do kuchni i od razu nastawił czajnik. Pamiętał, jak bardzo lubiła herbatę.

- W związku ze zniknięciem dziecka? - spytał. - Jest pani głodna? - Nie czekając na odpowiedź, zaczął wyciągać jedzenie z lodówki. Całe szczęście wszystko zostało przyszykowane na śniadanie, teraz wystarczyło tylko wyjąć.

- Twój kwiat, Marku, zaczął więdnąć. Myślę, że dzisiejszej nocy tylko cud uratował cię od niebezpieczeństwa.

Marek popatrzył na nią z uwagą.

- Jak to? Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić? - Przez zaciśniętego gardło ledwie wykrztusił te pytania.

- Podejź tu, proszę - powiedziała Maria łagodnie. Siedziała przy kuchennym stole od strony tarasu. Marek stał naprzeciwko. Powoli przeszedł dzielącą ich odległość, zatrzymał się pół kroku od Marii. - Może domyślasz się prawdy? - spytała przenikliwie. Położyła rękę na jego dłoni. Marek gwałtownie, jakby pod wpływem impulsu, wyrwał swoją rękę.

- Przecież ja wiem mniej niż wcześniej! - krzyknął. - To pani mnie przeraża! Skąd pani to wszystko wie? O dziecku, o Klaudii, o mnie? Po co mnie pani tu sprowadziła? Po co pani przyjechała? Tyle jest niejasności w tym wszystkim... - Dopiero teraz odważył się na nią spojrzeć. - Nie wiem, czy mogę pani ufać...

- Nie spytałeś mnie nigdy, skąd przyszedł list. Sam sobie dośpiewałeś. A mnie przecież o to chodziło. Może trochę przemilczałam. Cóż w tym złego? Mogę prosić wreszcie o tę herbatę?

- Ależ oczywiście... - Marek jakby obudził się z letargu.
- Ja zrobię. - W kuchni pojawił się Mikołaj.
- Dobrze. - Marek przyjął tę propozycję z wyraźną ulgą. -
Skąd pani wiedziała? Proszę powiedzieć chociaż tyle.

- Nie tylko oni mają swoich szpiegów. - Mrugnęła do niego prawym okiem. Zrozumiał, że nie zamierzała kontynuować tematu. - Dziękuję. - Spojrzała z wdzięcznością na Mikołaja, który postawił przed nią parujący kubek z herbatą. - Domyślam się, że jeszcze nie jedliście kolacji, proszę - gestem zaprosiła ich do stołu - dotrzymajcie mi towarzystwa.

Klaudia nie będzie zadowolona - pomyślał Marek. - *Ta kobieta... zachowuje się, jakby była tu panią.* Usiadł jednak posłusznie przy stole i skubnął z talerza trochę sera i warzyw. Mikołaj natomiast pałaszował z takim apetytem, jakby głodzono go przez tydzień.

Po kolacji Maria zarządziła zebranie w salonie. Wskazała Markowi, Klaudii i Mikołajowi miejsce na kanapie, sama zaś usiadła na masywnym skórzanym fotelu.

- Popatrz na mnie, Klaudio - poprosiła władczo. Kiedy ta po dłuższej chwili podniosła głowę, Maria kontynuowała. - Twój syn jest cały i zdrowy. Oni nie mają zwyczaju krzywdzić tych dzieci, tylko... sprzedają je rodzinom spragnionym potomka... którym... niestety nie jest dane... mieć własnego... Takie są fakty - powiedziała rzeczowo.

- Skąd pani to wie? - spytał Marek sceptycznie. - Jeszcze

nie tak dawno zarzekła się pani, że zagadka nie została rozszyfrowana, że... jestem pierwszym, który wrócił... kluczem do rozwiązania ...

Maria popatrzyła na niego z czułością.

- Czy gdybym przysłała do ciebie list, opisując dokładnie twoją przeszłość oraz poniekąd przyszłość, przybyłbyś w takim pośpiechu do mnie? Już widzę ciebie lecącego jak wariat na spotkanie z pokręconą starszą panią!

- Przyszedłbym na pewno - odpowiedział Marek z lekkim wahaniem.

- Wątpię. - Maria pokręciła głową. - Nie mogłam ryzykować. Wiedziałam, że uratować mój pomysł może tylko fortel. Naprawdę jesteś moim kluczem... Pierwszym, na którego trop wpadłam... I naprawdę dzięki tobie wiem już bardzo dużo...

- Gdzie jest moje dziecko? - wybuchnęła nagle milcząca dotąd Klaudia. - Czy jest mu ciepło? Ma co jeść? - pytała z niepokojem.

- Jeśli ktoś najbardziej w świecie pragnie mieć dziecko, to jak myślisz, kiedy wreszcie spełniają się jego marzenia i pojawia się ta wyczekiwana istota, czy głodzi ją i poniewiera? - spytała łagodnie Maria. - Bo ja myślę, że daje jej najlepsze jedzenie i nie puszcza z rąk, dopóki nie zaśnie, śpiewa jej piosenki i szepcze czułe słówka. Klaudio, twoje dziecko jest pod dobrą opieką. Jak chcesz, spytaj Marka, on wie coś na ten temat.

Mężczyzna rzucił jej piorunujące spojrzenie. Milczał.

- Marek... - usłyszał proszący szept Klaudii.

- Moi rodzice są wspaniali - powiedział wreszcie. - Do momentu, kiedy poznałem prawdę, ani przez chwilę nie podejrzewałem, że tak naprawdę jestem podrzutkiem... Zadowolona? - spytał, patrząc z wyrzutem na Marię. - Proszę nam wreszcie powiedzieć, jaki ma pani plan. - Jego głos stał się twardy, niemal surowy.

- Proponuję podzielić obowiązki. Szukaniem dziecka zajmą się szukający z tamtego świata. To zadanie dla ciebie, Mikołaju. Musisz nawiązać kontakt ze swoimi, a przez nich z tymi drugimi. O ile wiem, mają teraz obóz szkoleniowy. To powinno więc być całkiem proste. Klaudia zostanie tutaj na wypadek, gdyby dziecko wróciło. Marek - spojrzała na niego przenikliwie - z tobą pogadam później, na osobności.

- A pani? - zapytał Mikołaj.

- Ja? - Maria popatrzyła na niego niewidzącymi oczyma.
- Ja... zostanę z Klaudią. Jak nikt inny potrzebuje mojego wsparcia.

Zaprowadziła go na taras. Markowi wydawało się, że nawet nie spojrzała na ogród. *Pewnie wie* - pomyślał złośliwie - *że nie ma tam kwiatu wanilii. Burżujka jedna.*

- Siejesz panikę - powiedziała, siadając na wiklinowym krześle. Taras był obrośnięty winoroślą, odsłonięta pozostała jedynie część usytuowana bokiem do domu.

Marek, niezdecydowany, stanął obok Marii.

- Dlaczego? - spytał bez przekonania.

- Krytykujesz mnie, osądzasz, nie ufasz. Wystarczy?

- Oszukała mnie pani.

Popatrzyła na niego groźnie.

- Głupiemu i kilka razy powtórzyć to za mało.

- Obraża mnie pani... - ni to stwierdził, ni to zapytał Marek.

- Ośli upór to nie jest dobra cecha. Bardzo utrudnia życie.

- Proszę mnie przekonać.

- Już próbowałam. Nic więcej nie dodam.

- W takim razie - Markowi zadrżał głos - nie będę pani słuchał.

- Jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Chciałam tylko ci podpowiedzieć, jak odnaleźć rodziców.

- Skąd pani to może wiedzieć? - spytał ze złością.

- Pamiętaj, jestem szpiegiem. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Czy teraz mnie wysłuchasz?

Marek precyzyjnie przesunął się do najdalszego krzesła na tarasie, całkowicie w głąbi. Stał się niemal częścią winorośli.

- Od bardzo dawna - zaczęła mówić niezrażona milczeniem Marka - wiem o drzewie. Odkąd zaczęłam cię szukać, czyli już mija blisko trzydzieści siedem lat. To nie jest żadna tajemnica, tak naprawdę każdy może skorzystać z tego przejścia. O wiele trudniej jest znaleźć dziecko, które przepadło bez wieści. Uprzedzając twoje pytania, mówiłam prawdę o twoim urodzeniu, rodzicach i... sąsiadach, czyli między innymi o mnie. Cała reszta jest zmyślona. Nie miałam pojęcia o istnieniu Klaudii oraz o jej dziecku, dopóki... Dopóki tu nie dotarłam. Pisząc, że wiem o minionej nocy,

miałam na myśli ciebie. Myślałam, że stało ci się coś złego, naprawdę.

- Skąd adres...? - spytał Marek cicho.

Kobieta najwyraźniej się zmieszała.

- Mówiłam ci kiedyś - zaczęła niepewnie - że miewam wizje... różnych miejsc... Czasami, kiedy przykładam rękę do kwiatu wanilii, widzę wyraźnie... Tym razem zobaczyłam to miejsce... I bardzo zapragnęłam tu być... tak bardzo... że... No proszę! - mówiła z zakłopotaniem, nie patrząc na Marka.

- Czemu wstydzisz się swojej mocy? - Mężczyzna nieświadomie przeszedł z kobietą na ty. - Niektórzy wszystko by poświęcili za takie dary. A ty... się wstydzisz?

- Spotkało mnie wiele przykrości z tego powodu - odpowiedziała cicho.

- Ale dlaczego, mając dar, tak późno mnie znalazłaś?

- Sama nie wiem - odpowiedziała równie cicho. Już nie była tą samą ironiczną Marią. Jakby zapadła się w sobie i zmizerniała. - Ktoś skutecznie mi to utrudniał, mylił ślady. Czułam się, jakbym błądziła po omacku... Ale kiedyś ten człowiek popełnił błąd. Pewnie stwierdził, że minęło wystarczająco dużo czasu, że dorosłego Marka nigdy w życiu nie znajdę. Nie przewidział jednak pewnej rzeczy: aura człowieka się nie zmienia, jest mu przypisana jak zapach do kwiatu.

- Jaka jest... hmm... moja aura? - spytał Marek z powątpiewaniem.

- To są subtelne różnice - odpowiedziała wymijająco.

- Czyli?

- Nie męcz mnie, człowieku! - westchnęła. Potem dodała, jakby dając za wygraną: - Ile znasz odcieni białego?

- Hmm - odpowiedział Marek, uśmiechając się do niej z zakłopotaniem.

- Widzisz, jest tego wiele, nieskończenie wiele. Na przykład istnieje biel niebieskawa, różowawa, żółtawa, szarawa. Nieprzyzwyczajone oko nawet tego nie dostrzeże. Trzeba mieć oczy znawcy. I dar. - Uśmiechała się do niego jakby przeprasząco. - Twoja biel jest bliska błękitom.

- No dobrze... - poddał się wreszcie Marek. - Gdzie są moi rodzice? - Niemalże machinalnie przeniósł się na krzesło znajdujące się najbliżej Marii.

Spojrzała na niego. Oczy miała zmrużone, jakby się głęboko nad czymś zastanawiała. Marek w tej chwili zdał sobie sprawę, że zna tę kobietę od bardzo dawna. Zobaczył siebie wspinającego się z wysiłkiem na jej kolana. Zabrzmiało mu w uszach podwójny śmiech: jego dziecinny, głośny i dominujący, i jej, znacznie cichszy i dźwięczny. Tak... Jak mógł o tym zapomnieć? Czyżby twarz Marii zmieniła się w jednej chwili? Marek widział teraz młodą twarz kobiety szczęśliwej i spełnionej. Zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, wszystko wróciło do normy. Maria była nadal piękna, ale była to uroda dojrzała, jakby głębsza i pełniejsza. Mężczyzna musiał mieć nieciekawą minę, bo Maria spytała z troską, czy dobrze się czuje.

- Chyba miałem... wizję - wykrztusił Marek. - Przypomniałem sobie czasy, których nie powinienem pamiętać... Panią trzymającą mnie na kolanach.

- Każdy z nas ma jakiś dar - odpowiedziała Maria ze spokojem. - Tylko niektórzy odkrywają go bardzo późno.

- Nie dziwi to pani?! - krzyknął Marek

- Nie - odpowiedziała. - Według mnie wszystko mamy zakodowane w podświadomości, tylko rzadko kiedy udaje nam się to wydobyć na wierzch. Tobie się właśnie udało. Gratuluję. - Skinęła głową w jego stronę. Marek wzruszył ramionami niepokieszony.

Chciał usłyszeć jedno słowo: wyjątkowy. Odkrywasz magiczne zdolności i twoje życie się zmienia. Staje się ciekawsze, pełniejsze. Tak myślą dzieci, każde za wszelką cenę domaga się uznania. Marek do tej pory myślał, że to dojmujące pragnienie z czasem blaknie. Właśnie w tej chwili zobaczył, jak bardzo się pomylił, chciał być bohaterem. Dla swej żony, dzieci, dla całego świata. Przez chwilę zobaczył siebie jako wielkiego wizjonera. A Maria potraktowała jego wizję niczym nic nieznaczący incydent. Jak łatwo można zniszczyć marzenia, kilka prostych słów, a z superbohatera na nowo stajesz się zwyczajnym Markiem.

- Gdzie są moi rodzice? - spytał ostro.

- Posłuchaj - powiedziała Maria, patrząc z rozbawieniem na jego zaciętą minę. - Od kilku miesięcy dochodzą do mnie bardzo niepokojące wieści. Zaczęli ginąć profesorowie, artyści, informatycy, czołowi naukowcy naszej epoki. Słyszałeś o głośnym zaginięciu Bergiejewa jakieś dwa tygodnie temu?

- Dwa tygodnie?! To było tylko dwa tygodnie temu? - Ponura mina Marka nie zniknęła. - Przecież oglądałem to

w domu, w wiadomościach, a następnego dnia...

- W każdym razie - przerwała mu Maria - jestem pewna, że to sprawka tych samych ludzi. I jeszcze coś, obawiam się najgorszego. Najgroźniejszy gracz powrócił do gry. Zmierza ku nam coś bardzo, bardzo złego...

- No dobrze - Marek zdawał się wcale nie przejmować jej słowami - a jaki z tym związek mają moi rodzice?

- Pamiętasz, jak mi powiedziałeś o kartce, którą dostałeś od nich z Mirowa?

Marek przytaknął.

- Dało mi to wiele do myślenia - kontynuowała. - Zaczęłam szperać w Internecie - pochyliła się ku Markowi i zaczęła mocno gestykulować - i natknęłam się na bardzo niepokojące wypowiedzi na różnych forach. Mam tu je nawet wydrukowane. - Zaczęła grzebać w torebce i po chwili wyciągnęła z niej stos zadrukowanych kartek. Z tego, co Marek zdążył zauważyć, były to wypowiedzi różnych ludzi. Marginesy zostały zapisane zamasztysem Marii, najwyraźniej w trakcie czytania robiła notatki. - Spójrz na przykład tu. - Wskazała na podkreśloną grubą krechą uwagę forumowicza o nicku Hades:

„Mój ojciec wrócił stamtąd. Oni tam hipnotyzują ludzi i pamięć o tym strasznym miejscu przenoszą w głąb ludzkiej podświadomości. Dlatego w ogóle niektórych stamtąd wypuszczają. Myślą, że są bezpieczni, że ci, co wrócili z tej próżni, czymkolwiek ona jest, zapomną, ale tak do końca, że nic nie przywróci pamięci. Guzik prawda. Mojemu ojcu pomógł hipnotyzer. Ojciec nadal nic nie pamiętał, ale my

usłyszeliśmy wszystko. Całą prawdę”.

Niżej widniała seria niecenzuralnych słów dotyczących chaotyczności wypowiedzi Hadesa, a potem znów podkreślona na grubo dalsza część jego opowieści:

„To słowa ojca były chaotyczne. Z fragmentów wypowiedzi, które sobie później z wielkim trudem poskładałem, wynika, że przez dwadzieścia lat żył w próżni. Czasami nazywał to miejsce mikroświatem. To jakby wydzielony kawałek ziemi zawieszony między dwoma światami. Próżnia. Miejsce, w którym zapomina się o całym dotychczasowym życiu, kim się było, skąd się pochodzi. Człowiek przybywa tam z czystą kartą, niemal tak niewinny jak małe dziecko. Nie mam pojęcia, jak tam trafić. Niektórzy piszą o punkcie centralnym. To by się zgadzało. Ojciec zaginął gdzieś w okolicach Mirowa (słowo to było tak zakreślone, że niemal nieczytelne) ponad dwadzieścia lat temu. Mam nadzieję, że to komuś pomoże w odnalezieniu bliskiej osoby”.

- Okolice Mirowa! - wykrzyknął zdumiony Marek.

- Właśnie. - Maria kiwnęła głową.

- Jadę tam natychmiast! - gorączkował się.

- Zrozum. Tego miejsca nie widać. Wiesz, co to znaczy?

- Będę czekał, aż coś się wydarzy - odpowiedział twardo Marek. - Sama mówiłaś, że znika wielu. Czyli w końcu coś zobaczę. Na pewno. Zawsze miałem szczęście.

- W każdym razie - odpowiedziała Maria - poczekaj z tym do jutra. Wszyscy poczekamy do jutra.



Grażyna spędziła kilka dni, jedynie leżąc. Mistrz zachodził do niej kilka razy dziennie, ale widząc jej zaciętą minę, niemal z miejsca zawracał. Pewnego dnia Grażyna usłyszała ciche pukanie w ścianę. Potem jeszcze raz i jeszcze. Zrobiła to samo - odpukała. Nie musiała długo czekać na oddźwięk.

- Mamo, to ty? - krzyknęła podekscytowana. - Odpowiedziało jej znów tylko pukanie. Te odgłosy były nierównomierne. Krótka przerwa i znowu. I tak ciągle. Grażyna zaczęła się zastanawiać, jakiego kodu użyłaby, nie znając alfabetu Morse'a... Czegoś banalnie prostego, co pierwsze przychodzi na myśl... Może: A - to jeden, B - dwa i tak dalej? Zaczęła nasłuchiwać. Uderzenie. Krótka przerwa. I znowu. Grażyna zapisała wyniki. Według jej obliczeń powinno być: 4-7-1-22-23-14-1. G-R-A-X-Y-N-A. Aż zabrakło jej tchu z wrażenia. Mama wiedziała, że ona tu jest! Tak szybko, jak tylko dała radę, odstukała: M-A-M-A. Potem długo czekała. Odpowiedź jednak nie nadeszła ani tego dnia, ani następnego. Grażyna zaczęła się niepokoić. Co się mogło

stać? Dlaczego mama najpierw wzbudziła jej nadzieje, a teraz milczy?! To zupełnie do niej nie pasowało.

Kiedy więc mistrz jak zwykle zapukał do niej, a raczej wtargnął nieproszony, Grażyna pierwsza przerwała milczenie.

- Jeśli pozwolisz mi zobaczyć mamę, przyłączę się do ciebie - powiedziała, patrząc mu dumnie w oczy.

Kącki ust mistrza zadrgały w imitacji uśmiechu.

- Ona nie ma przede mną żadnych tajemnic - odpowiedział. - Jest dla mnie jak otwarta księga.

- Czy to ostrzeżenie?

Zawahał się przez chwilę.

- Tak - odpowiedział w końcu - i nie. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że wszystko, o czym będziecie rozmawiać, zostanie mi przekazane. Radziłbym więc dokładnie ważyć każde słowo. Dosłownie każde.

Grażyna spojrzała na niego zdumiona. Po co to mówił? Przecież znajomość planów dwóch więźniarek mogłaby mu pomóc odkryć tajemnice nieprzeznaczone dla jego uszu. Czy to znowu jakaś psychologiczna gra?

- Nie przeszkadza ci zimno? - spytał mistrz z udawaną troską. - Przecież w tym pomieszczeniu nie da się wytrzymać.

- Widocznie mam silną wolę - odpowiedziała Grażyna, po czym dodała kpiąco: - Po tatusiu.

- Umowa - powiedział mistrz rozkazującym tonem. Wyciągnął do Grażyny rękę. Kobieta spojrzała na wyciągniętą dłoń, potem na twarz mistrza. Nie drgał na niej

żaden miesiąc.

Grażyna, odkąd pamiętała, podziwiała ludzi, którzy umieją trzymać na wodzy swoje uczucia. Sama nie potrafiła ukryć niczego. Pierwszą rzeczą, którą robił Marek po powrocie z pracy, było spojrzenie na żonę. Jeśli widział zaciśniętą szczękę i oczy niemal rzucające błyskawice, wiedział, że nie warto podchodzić. Żaden całus na przywitanie nie wchodził w grę. Równie dobrze można by stanąć w ogniu krzyżowym podczas walki. Z czasem i dzieci nauczyły się schodzić mamie z drogi. Wystarczyło jedno spojrzenie.

Jeżeli była szczęśliwa, jej twarz promieniała. Gdy dopadał ją smutek, chodziła z ustami w podkówkę, nawet tłum satyryków nie byłby w stanie jej rozśmieszyć. A mistrz jako ojciec zawsze był powściągliwy. Czy córka nabroiła, czy przyniosła dobre oceny – karał i nagradzał, zupełnie jakby wyznaczał zadania. Grażyna nigdy nie mogła go rozgryźć i to ją fascynowało.

- Nauczysz mnie zachowywać kamienną twarz -
odpowiedziała wreszcie po dłuższym milczeniu.

Mistrz się zaśmiał.

- To tak jak nauczyć kamień uśmiechu - odpowiedział. -
Poza tym szczerłość jest pożądana, szczególnie tutaj.

- To jak mamy dojść do porozumienia?! - wybuchnęła
Grażyna.

- Po prostu. Nie masz wyboru.

- Nieprawda - odpowiedziała hardo. Wiedziała jednak, że mistrz ma rację. Mogła pójść z nim na ugodę albo powoli zamarzać w tym kamiennym pokoju bez okien, bez kolorów, które chociaż w minimalnym stopniu mogłyby poprawić jej humor.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Grażyna czuła, jak mistrz lustruje jej twarz, zapewne w poszukiwaniu decyzji. *Sądziś, że taki jesteś cwany - pomyślała - że wyczytasz odpowiedź, zanim ją usłyszysz? Nic z tego, draniu!* Zacisnęła zęby jak w chwilach największej złości. Wiedziała, co musi zrobić - opanować sztukę kamuflażu, najlepiej teraz, natychmiast.

- Dobrze - powiedziała wreszcie. - Zgadzam się. Ale chcę się natychmiast zobaczyć z mamą.

Tak jak myślała, nie spostrzegła na twarzy mistrza wyrazu triumfu. Nie było na niej nic, jak zwykle. *Czy naprawdę chcę być kamieniem? - przeszło jej przez myśl. - Takim jak on?*

Spotkanie nastąpiło zaraz po obiedzie o trzeciej. Mistrz zaprowadził Grażynę do sali „konferencyjnej”, tej samej, w której zobaczyli się po raz pierwszy. Przy stole siedziała przygarbiona postać. Kiedy Grażyna podeszła bliżej, przeraziła się: zazwyczaj piękne, zadbane włosy mamy wyglądały teraz jak kołtun, a poza tym wszystko wskazywało na to, że kobieta śpi z głową podpartą na stole. Grażyna zrozumiała niemal od razu.

- Zahipnotyzowałaś ją! Ty, ty nędzna imitacja człowieka!
- Jak zwykle miała problem z wynalezieniem dosadnego epitetu.

- No cóż - odpowiedział mistrz, również podchodząc do stołu. - Najwidoczniej zapomniałaś przedyskutować warunki umowy.

- I co? To tyle? W takim razie co dalej? - krzyczała Grażyna.

- Teraz będzie pierwsza lekcja - odpowiedział mistrz, krzyżując ręce na piersiach. - Jak wybudzić z hipnozy? Siadaj - podsunął jej krzesło - i obserwuj. - Stał obok śpiącej, lekko poruszył jej ramieniem. - Paulino, słyszysz mnie?

- Tak - odpowiedział głos jak z zaświatów.

- Otwórz oczy i popatrz na mnie.

Zrobiła, co jej kazał.

- Opowiedz mi teraz, co robiłaś wczoraj po południu.

Grażyna poczuła, że ją też zaczyna uwodzić jego głos. Był stanowczy, a zarazem delikatny, niemal troskliwy. Mogłaby pójść za nim wszędzie, gdyby tylko ją o to poprosił... Szybko jednak przywołała się do porządku. *Skup się, kobieto! Przecież o to mu chodzi. Chce cię omotać swoim głosem, zniewolić tak jak matkę.* Wtedy zaczęła słuchać. Głos mamy brzmiał staro. Mówiła o zupełnych bzdetach: co czytała, jak ścieliła łóżko, nawet o czym myślała, a także, oczywiście, jak odkryła obecność Grażyny i skomunikowała się z nią przez ścianę. Mówiła, że w nowym pokoju wilgoć spływa ze ścian, że zimno przenika ją już od wewnątrz, nie daje spać ani myśleć. Zaczęła prosić płaczkliwym głosem o cieplejsze

pomieszczenie, bo w tym umrze.

- Dobrze, Paulino, już wystarczy - przerwał wreszcie mistrz. - Dziękuję. Byłaś naprawdę wspaniała. Kiedy policzę do trzech, zaśniesz, a gdy się obudzisz, nie będziesz nic pamiętać. - Zwrócił się do Grażyny: - Patrz. Ten etap jest bardzo ważny. Jeśli źle go wykonasz, człowiek może się nigdy nie obudzić. Trzeba dobrze oszacować czas wypowiedzenia tych trzech słów. Nie może być za szybko, bo zahipnotyzowana osoba dozna szoku. Nie może być również za wolno, bo wtedy przekraczasz magiczny próg, fachowo nazywany progiem beta. Ja zazwyczaj mówię, wykonując jednocześnie taki ruch ręką, jakbym grał na skrzypcach. Spójrz: r-a-z (poruszył ręką z góry do dołu), d-w-a (znowu, tylko w drugą stronę), t-rz-y (powtórzył pierwszy ruch). Rozległ się trzask. Grażyna spojrzała z niepokojem na mamę. Musiała chyba zasnąć, uderzając z impetem głową w stół.

- No właśnie... - Mistrz pokręcił głową. - To jest szok spowodowany za szybkim przebudzeniem. Chyba miałem za krótki smyczek. - Roześmiał się.

Grażyna wysłała mu jedno ze swoich morderczych spojrzeń.

- Idiota! - syknęła, wkładając w to tyle pogardy, ile była w stanie. - Zobaczysz, kiedyś i ty znajdziesz się w jej położeniu. Ciekawe, czy wtedy też będziesz się śmiał. - Nie czekając na jego reakcję, podbiegła do mamy.

- Mamo! - zawołała, dotykając lekko jej ramienia. - Obudź się, proszę!

Paulina otworzyła oczy dopiero po dobrych kilku

minutach.

- Córeczko - szepnęła, widząc pochyloną nad nią Grażynę. Mocno ścisnęła jej rękę.

- Tak się o ciebie martwiłam - odpowiedziała Grażyna, przytulając się do niej.

- Jak miło... - zabrzmiał ponad nimi głos mistrza. - Po tylu latach nareszcie rodzinka prawie w komplecie.

- Rodzinka byłaby w większym komplecie, jakbyś zniknął - odpowiedziała Paulina swoim zwyczajnym, trochę opryskliwym głosem.

Mistrz, ku ich zdziwieniu, wyszedł.

Paulina spojrzała na córkę.

- Poznałaś go, prawda? - spytała.

- Niestety prawie od razu - przytaknęła Grażyna. - Zresztą wiesz, że nie tak dawno chciał kupić ode mnie dziecko.

Paulina niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

- Czy... ty sobie wyobrażasz - mówiła między kolejnymi napadami śmiechu - że ten człowiek mieszkał z nami pod jednym dachem, jadał z nami posiłki, a co niedziela chodził do kościoła? Teraz, gdyby wrócił do domu, trzeba by się do niego zwracać „mistrzu”, bo jakżeby inaczej. Na byle jakim krześle przecież też nie usiądzie. Potrzeba mu tronu.

- Mamo - brutalnie przerwała jej Grażyna - uspokój się. Masz atak hysterii. Nie czas na to. Musimy ustalić plan ucieczki.

- Prawdę mówiąc ja - Paulina mówiła teraz przyciszonym głosem - chciałabym się położyć. Jestem strasznie...

zmęczona.

Grażyna dopiero teraz zobaczyła wypieki na policzkach mamy. Zaniepokojona przyłożyła rękę do jej czoła. Było gorące. *Trzeba uciekać* – pomyślała – *przecież ona w tej lodowatej jaskini umrze. Tylko jak się wydostać?* Rozejrzała się bezradnie wokoło. Gołe skały, tylko jedno wyjście – główne. A po drodze ojciec, ten cały Artur i jeszcze pewnie jakiś strażnik. Gdyby tylko potrafiła hipnotyzować... No właśnie, a może...

- Panie władzo! – krzyknęła. W tej samej chwili pojawił się mistrz, jakby tylko czekał na znak.

- Mam tytuł – odpowiedział twardym głosem, patrząc Grażynie w oczy. – Musisz go używać, inaczej nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Zrozumiałaś?! – spytał, patrząc na nią z taką surowością, że Grażynę przeszedł dreszcz. – To, że jesteś moją córką, nie zwalnia cię z obowiązku, a wręcz przeciwnie, powinnaś świecić przykładem.

- Dla mnie mistrz to nauczyciel. Ktoś, na kim chciałabym się wzorować – odpowiedziała, nie spuszczając wzroku. – Ty nim nie jesteś. Prawdziwy mistrz nigdy nie pozwoliłby nikomu umrzeć z zimna. Wręcz przeciwnie, prędzej sam poświęciłby swoje życie. – Grażyna wiedziała, że igra z ogniem, mimo to brnęła dalej. Dziwiła się tylko, że mistrz jej nie przerywa. Nie potrafiła jeszcze wyczuć, czy to dobry, czy zły znak. – Mama jest bardzo chora. Bardzo. Jeśli nie otrzyma zaraz ciepłego pokoju, dobrej opieki i leków, może nawet umrzeć.

Mistrz milczał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby toczyli walkę.

- Dobrze - odpowiedział wreszcie mężczyzna. - Ale znasz moje warunki. Coś za coś.

- Przyjmuję. - Grażyna powoli wyciągnęła do niego rękę. Kiedy mistrz jej dotknął, przeskokczył między nimi silny prąd.

- Dobry początek - powiedział z niemal życzliwym uśmiechem, tak się przynajmniej Grażynie zdawało.

- Ale nie myśl - powiedziała z mocą - że kiedykolwiek powiem do ciebie „mistrzu”.

- Zobaczymy - odpowiedział. Podszedł do Pauliny i zaczął ją silnie potrząsać.

- Zostaw. - Grażyna brutalnie go odepchnęła. - Ja się nią zajmę. Tylko mów, gdzie iść.

Zygmunt bez słowa czekał, aż Paulina przy pomocy córki wstanie od stołu. Potem w całkowitym milczeniu poprowadził je na główny korytarz, stamtąd skręcił w lewo (o ile Grażyna dobrze pamiętała, jej pokój znajdował się po przeciwnej stronie korytarza) i szedł dalej prosto, aż do drzwi.

Pomieszczenie, do którego je zaprowadził, okazało się duże, porządnie umeblowane i ciepłe. Wyglądało jednak na pokój, do którego się wraca czasami, jak do hotelu. Znajdowało się tam tylko trochę niezbędnych do codziennego funkcjonowania przedmiotów: kosmetyki, lampka nocna, pościel, kilka książek i zeszytów. Grażynie wydawało się, że wśród oprawionych tomów widzi album fotograficzny, nie mogła się doczekać, żeby to sprawdzić. Nie znalazła śladu butów, płaszczy, ubrań. Była jednak pewna, że mistrz oddał im swój własny apartament. Delikatnie posadziła Paulinę na łóżku. Ta od razu położyła się i przykryła kołdrą, zakrywając

się prawie całkiem. Grażyna podeszła do niej, chciała ściągnąć poszewkę, ale mistrz pokręcił głową.

- Ta pościel jest nieużywana - powiedział.

Grażyna spojrzała na niego ze zdumieniem. Właśnie przyznał się do tego, że nie nocuje w jaskini. To znacznie ułatwiało ucieczkę. Gdyby tylko mama miała wystarczająco siły...

- Kiedy zaczniesz ją leczyć? - spytała.

- Spodziewałem się raczej fanfar, wyrazów uznania lub okrzyków wdzięczności, a ty się pytasz o leczenie? Przecież oddałem swój apartament. Nie mogłaś tego nie zauważyć.

- Dziękuję. Jestem za to bardzo wdzięczna - odpowiedziała bez uśmiechu. - Ale niestety wiem, że kij ma dwa końce. Jaki jest ten drugi koniec?

- Kiedy tylko Paulina poczuje się lepiej, zabieram cię stąd.

Tak, teraz już wiedziała, że mają mało czasu. Choroba Pauliny to jedyna szansa na ucieczkę. W tym momencie mama dostała ataku kaszlu. Grażyna spojrzała na nią z troską.

- Ratuj ją, błagam - powiedziała, wciąż patrząc na mamę.

- Dzwonię po lekarza - odpowiedział mistrz i wyszedł.

Grażyna nie wiedziała, co myśleć. Mistrz budził w niej skrajne uczucia. Z jednej strony sprawiał wrażenie bezwzględного i okrutnego, z drugiej oddał swój pokój i mówił otwarcie o swoich zamiarach, nie ukrywał niczego.

Chyba że - myślała Grażyna - to jakaś dziwaczna gra psychologiczna, która ma mnie do niego zbliżyć. Czuła, że zaczyna mu ufać. Od pewnego czasu słyszała niezidentyfikowany męski głos, który ją do siebie wzywał, wymawiał jej imię i - co najgorsze - Grażyna miała wrażenie, że na nią czeka. Była niemal pewna, że mistrz zamierza ją zabrać właśnie do właściciela tego głosu.



Ania była wściekła. Po pierwsze okazało się, że miasto, które miało być Irysem bratniego świata, posiadało jedynie niemal identyczny park, rzekę i okoliczne domki. Domyślała się, że zrobiono to po to, żeby ludzie po wyjściu z drzewa nie doznali szoku. Żeby powoli oswajali się z nową rzeczywistością.

Mieli więc przed sobą kawał drogi, a Wiktor okazał się kiepskim kompanem. Przysiadął co rusz, żeby odpocząć, a na dodatek zrobiły mu się bąble na nogach i bez przerwy jęczał.

- Taki z ciebie mężczyzna? - spytała z wyrzutem. Prawdę mówiąc, była prawie pewna, że chłopak ma świetną kondycję. Wyglądał na takiego. Chudy, wysoki, bez okularów, zdecydowanie nie typ mózgowca. A teraz okazuje się, że typem alpinisty też nie jest. Więc kim?

Wiktor nie odpowiadał na jej zaczepki. Kiedy jednak wyszli z miasta, zatrzymał się na najbliższej osłoniętej drzewami polanie.

- Mam tego dość! - krzyknął, siadając na trawie. - Rób,

co chcesz, ja zostaję tutaj na noc! Widziałaś, jaki kawał jeszcze przed nami?

- No właśnie! - odpowiedziała. - A do zachodu słońca daleko. Wstawaj, no już! - Kopnęła go leciutko. - No weź, no - dodała ze złością. - Wiktor, no!

- Usiądź - odpowiedział. - Zrelaksuj się. Nadymasz się jak bąk. Przecież to o mnie chodzi, nie o ciebie.

- Nie mam czasu! - odburknęła.

Wiktor przemocą posadził ją obok siebie.

- Prawda, że lepiej? - stwierdził z uśmiechem. - Rozejrzyj się dookoła. Spójrz, jak tu pięknie.

Dojrzałe zboże tańczyło w słońcu. Niedaleko, obok ścieżki, stała rodzina brzózek, od najmłodszych po najstarsze. Te młode miały niemal idealnie białą korę, gdzieniegdzie poprzecinaną czarnymi paskami. Ptaki śpiewały tak głośno, jakby chciały się nawzajem zagłuszyć. Obok stawiku, w którym odbijał się cały błękit nieba, wędrował sobie bocian. Dostojnie i powoli, jakby wiedział, że nie należy się nigdzie śpieszyć. *Pięknie tu* - pomyślała Ania, ale nie powiedziała tego na głos. Za nic w życiu!

- Chodź lepiej do brzózek - powiedziała, wstając. - Jak się do nich poprzytulasz, powrócą ci siły.

- Ale ty jesteś uparta! - Wiktor pokręcił głową z podziwem. Wstał jednak i poszedł za nią. Dziewczyna prawie się położyła na młodej przechylonej brzozie i zamknęła oczy. *Oto człowiek staje się jednością z drzewem.*

Jakie to romantyczne! – pomyślała.

Wiktor przytulił się do prostej, nieco starszej brzoźki. Jego sceptycyzm szybko zniknął, w momencie kiedy poczuł uzdrawiającą energię przepływającą do jego ciała. *Skąd? Z tego niepozornego drzewa?* – dziwił się, trwając w bezruchu.

– Wyobraź sobie – tuż obok siebie usłyszał nagle głos Ani – że jesteś bardzo zakochany w pewnej dziewczynie, z wzajemnością. Pewnego dnia zły czarnoksiężnik zamienia cię w brzozę. Dziewczyna jednak nie zapomina, codziennie, do końca życia, przychodzi do ciebie, mówi, śpiewa, czyta na głos, głaszcze cię, a ty rośniesz coraz większy i większy, twoja kora jednak nie ciemnieje, pozostaje tak samo biała jak na początku, liście masz zielone przez cały rok, mimo zimy, zlatują do ciebie ptaki z okolicznych lasów, ani przez chwilę nie czujesz się samotny. Kiedy dziewczyna umiera, chowają ją obok ciebie, ty przykrywasz ją liśćmi, żeby było cieplej, i bez końca, nawet przy bezwietrznej pogodzie, szumisz jej do snu. Czujesz to? – Wiktor poczuł, że Ania jest bardzo, bardzo blisko. – Jesteś drzewem – szepnęła mu do ucha.

Wtedy otworzył oczy. Ania siedziała już na trawie, tuż obok jego brzozy.

– Jeśli myślisz – powiedział – że twoja historia pomogła mi się odprężyć, to głęboko się mylisz.

– Nie chciałbyś – odpowiedziała z uśmiechem – żebyśmy to my byli bohaterami tej historii?

Wiktor się roześmiał.

– Przecież ty mnie nawet nie lubisz!

- Nieprawda. - Ania wzruszyła ramionami. - Już prawie cię lubię.

- No to jeszcze trochę poczekamy - odpowiedział, siadając obok.

Ania wstała.

- Odpocząłeś? - spytała. - Bo czas w drogę.

Wiktor jęknął, ale posłuchał dziewczyny.

- Przyjdzie jeszcze pora, że to ty będziesz za mną gonić. A ja się będę śmiać - mruknął.

- Mam taką nadzieję - odpowiedziała Ania ze śmiechem.

- A na razie daj mi rękę, pociągnę cię trochę. - Kiedy złapała jego dłoń, poczuła coś na kształt uderzenia prądu. Ze strachem cofnęła rękę. - Albo i nie - szepnęła z zakłopotaniem.

- To wszystko przez te brzozy. - Wiktor starał się rozładować sytuację. Bezskutecznie. Ania nagle spochmurniała, stała się niedostępna. Wiktor poczuł to od razu. Nagle zaczęły ich dzielić tysiące kilometrów.

Szli w milczeniu do momentu, aż słońce rozpoczęło swój wieczorny rytuał zachodu, a robiło to w zatrważającym tempie. Wtedy Ania przystanąła.

- Musimy obmyślić nocleg - powiedziała, nie patrząc na Wiktora. - Jakiś pomysł?

Chłopak rozejrzał się dookoła. Wszędzie las, żadnej polanki, leśniczówki. Cisza i drzewa.

- Tak - odpowiedział. - Wracamy albo idziemy dalej.

- Bardzo śmieszne. Coś jeszcze?

- Czy nie tego chciałaś? - zezłościł się Wiktor. -

Brnęliśmy dalej w ten... ten... las, bo ci się bardzo śpieszyło. A tak byśmy spali wśród brzoźek na ślicznej polance.

- I spędzilibyśmy tydzień w drodze - dokończyła za niego Ania.

- Może i tak, ale...

- Przestań! - krzyknęła. - Zachowujesz się gorzej niż... baba! Zero wytrzymałości fizycznej i psychicznej, a o byciu dżentelmenem już w ogóle nie wspomnę!

Wiktor wyraźnie zmienił taktykę. Podszedł do Ani, zgarnął kosmyk włosów z jej lewego oka i położył rękę na jej ramieniu.

- Aniu - szepnął - nie chcę się kłócić. Co ja zrobię, że jestem taki słabeusz... - Uśmiechnął się. - Zawsze wolałem książki od kopania piłki, no i mam za swoje. Jak chcesz, zaraz zrobię jakiś szafas lub prędzej jego marną imitację - znów się roześmiał - tylko się rozchmurz.

- Nie - odpowiedziała, zdecydowanym ruchem zdejmując jego rękę z ramienia. - Żadnych szafasów. To bez sensu. Muszę odpalić mapę. - Usiadła na przydrożnym mchu po dokładnym obejrzeniu, czy nie ma tam mrowiska.

To była jedna z ulubionych opowieści mamy. Kiedyś całą czwórką (znaczy się mama, tata, Ania i Gosia, bo Pyzy jeszcze nie było na świecie) wybrali się do lasu na jagody. Ponieważ dziewczynki miały dopiero po dwa latka i marny z nich był pożytek przy zbieraniu owoców, mama zostawiła je przy dużym pieńku i kazała spokojnie siedzieć. Bliźniaczki

były bardzo grzecznymi dziećmi, więc posłusznie trwały na wskazanym stanowisku. Kiedy już rodzice nazbierali jagód i przyszedli po dzieci, musieli mieć nie za ciekawe miny, bo dziewczynki na ich widok nagle się rozplakały. Ale to, że całe były oblezione przez duże czerwone mrówki, jakoś wcale im nie przeszkadzało! Rodzice szybko zabrali dziewczynki z mrowiska i porządnie je otrzepali z nadmiaru zagrożenia. O dziwo bliźniaczki wyszły z tej przygody bez szwanku, ani mama, ani tata nie znaleźli żadnego śladu po ugryzieniu. Ania wolała jednak nie ryzykować kolejnej takiej przygody – tym razem mogłaby się skończyć gorzej.

- Pokaż mi, proszę, gdzie moglibyśmy przenocować – powiedziała Ania do włączonej już mapy. Obraz zaczął się gwałtownie przeobrażać. W końcu zamiast pulsujących linii i strzałek po kolei zaczęły pojawiać się litery. – Ty! Mapa coś do nas pisze! – krzyknęła Ania z entuzjazmem. Wiktor stanął obok niej. Oboje z przejęciem patrzyli na mapę. – U – czytała Ania – żyj-cie ro-zu-mu. Użyjcie rozumu?! – wściekła się. – Co to ma znaczyć?! Czy to jakieś kpiny?! – Położyła się na trawie i zasłoniła oczy rękami. – Będę spać tutaj i nic mnie więcej nie obchodzi! – Odwróciła się na bok.

- Musi być jakieś rozwiązanie – myślał na głos Wiktor. – Na dodatek na pewno banalnie proste. Przecież mapa nie zrobiła tego specjalnie, nie jest złośliwa, no bo jakim cudem? Jak myślisz?

Ania nie odpowiedziała.

- Aniu? Śpisz? - Wiktor pochylił się nad nią. Dziewczyna miała zamknięte oczy. - Niesamowite! - szepnął. - Naprawdę śpisz! - Patrzył na nią z uśmiechem dłuższą chwilę.

W pewnym momencie dziewczyna gwałtownie usiadła. Wiktor w ostatniej chwili zdążył się odchylić, inaczej uderzyłaby go głową. Ania rozejrzała się wokół, nic nie rozumiejąc. W końcu jej wzrok natrafił na Wiktora i dopiero to tak naprawdę ją obudziło.

- Miałam straszny sen - powiedziała. - Śniło mi się, że szliśmy przez las, aż dotarliśmy do stawu. Miał przepiękny lazurowy kolor, zupełnie jak na rajskich wyspach. Ścieżka się urwała, nie było jak iść dalej, ponieważ woda zajęła wszystko, całą tamtą stronę... Usiedliśmy więc przy brzegu. Siedzieliśmy i siedzieliśmy, nie wiedząc, co dalej robić. Nagle zobaczyłam, że zamieniłeś się w drzewo. W panice szepnęłam „proszę”. Kiedy jednak mapa pojawiła się i objawiła rozwiązanie, ja także byłam już drzewem. Brrr... - Wzdrygnęła się. - Przerazające!

Wiktor bez słowa objął ją ramieniem. Tym razem się nie odsunęła.

- Wiesz, co ja myślę? - szepnął. - Powinniśmy po kolei przeanalizować naszą lekcję o świetlnej układance. Na pewno znajdziemy odpowiedź.

- Robi się coraz ciemniej.

- Więc zróbmy to szybko. Najpierw był pokaz układanki, potem... mapa, a na koniec... No jasne! Ty idioto! - wyrwało mu się. - Jak mogłem sobie tego nie przypomnieć!

- To miło z twojej strony, że tylko siebie wyzywasz od

idiotów, choć mnie pewnie można posądzić o to samo.

- Cały czas chodziło o tunel czasoprzestrzenny! Przecież to najprostsza i najszybsza droga!

- Chyba tylko wtedy, kiedy wiadomo, jak on się pojawia - odpowiedziała Ania z przekąsem. - Wiesz, co ja myślę? Posiedźmy tu do rana. Jest ciepło, przyjemnie, zapalimy ognisko, pogadamy...

- Wszystko pięknie, tylko mam nadzieję, że wiesz, że będziemy musieli spać przytuleni, ponieważ nie mamy śpiworów, a jak człowiek śpi, intensywniej odczuwa zimno...

- Wiktor spojrzał na Anię z uwagą, jakby sprawdzając jej reakcję. Dziewczyna natychmiast się od niego odsunęła.

- Rzeczywiście świetny pomysł z tym tunelem. No to myślmymy! Brr! Zimno mi!

Wiktor się roześmiał.

- Bo ja cię trochę grzałem, a teraz musisz grzać się sama, więc może jednak dasz się znów przytulić?

- Myśl, nie kombinuj! - prychnęła.

- Kiedy byłem mały, wiele razy widziałem, jak tata posługuje się tunelem. Tym bardziej jestem głupi, że na to nie wpadłem. Tunel po prostu się pojawiał. Nie trzeba było żadnych próśb, tylko... Tata mówił cel podróży i już.

- Pamiętasz tę miejscowość z mapy?

- Coś na K. Kaszaniec, Kościnięc?

- Kosaciec! - krzyknęła Ania. - Nie pamiętasz? Pół drogi ci opowiadałam, jakie to fascynujące, że bratnie dusze często zamieszkują miasteczka, których nazwy oznaczają to samo. Czy to nie jest niesamowite?

- Dobrze, już dobrze - odburknął Wiktor. - Pamiętam doskonale.

- Wyobraź sobie to tak, jakbyśmy wracali do domu! Ogromny park ukwiecony różnorodnymi kwiatami, w jego centrum dumny stary dąb. Obok tego drzewa ścieżka, którą tyle razy wracałam do domu. Stamtąd mam tylko pięć minutek!

- Jeśli chcesz wiedzieć, ja wcale nie pochodzę z Irysa - odpowiedział Wiktor, ale Ania nie słuchała. Mówiła dalej:

- A stare miasto nocą wygląda jak obszyte tajemnicą. Zawsze mnie to dziwi, że w takim małym miasteczku w ogóle jest stare miasto i to na dodatek z pięknymi zabytkowymi kamienicami. Co prawda nie ma tego dużo, ale może właśnie dzięki temu już prawie wszystkie historyczne budynki zostały odnowione. Tak bym chciała zobaczyć, czy Kosaciec jest taki sam, czy równie dobrze o niego dbają i w ogóle...

- Spójrz na to! - krzyknął nagle Wiktor.

Ania jednak mówiła dalej:

- ...czy jest taki sam park i drzewo w tym samym miejscu.

- Anka! - krzyknął znów Wiktor. - Tunel! - Nie czekając na reakcję, złapał ją za rękę i pociągnął, zmuszając tym samym do wstania. Niemal w ostatniej chwili wskoczyli do tunelu, już zaczął zanikać...

Tym razem Ania poczuła, że przenosi się w przestrzeni. Brnęła w mlecznej mgłę, która zasłaniała jej nogi do kolan,

jednak nie można było się zgubić. Droga była tylko jedna, ale z racji swojej monotonii mocno się dłużyła.

Tunel Wiktora był zielony. Przypominał polankę z brzoza, tylko bardziej rozmazaną, z mniejszą ilością szczegółów. Chłopak czuł się, jakby wszedł w impresjonistyczny obraz z cudowną grą światła i kolorów. Najdziwniejsze w tym jednak było to, że nie widział Ani, tylko czasem wydawało mu się, że tam, w dali, w tej gęstej mgle, majaczy jej sylwetka. Nie przyszło mu jednak do głowy, żeby ją wołać. Droga była tylko jedna i na pewno prowadziła tam, gdzie trzeba.

Kiedy po piętnastu minutach mgła się roziała, Ania zobaczyła kamienicę. Budynek wyrósł przed nią nagle, jakby w jednej chwili skończył się sen, a zaczęła rzeczywistość, bez momentu przejścia. Dziewczyna rozejrzała się dookoła. Tak, mapa właśnie udzieliła jej odpowiedzi: rynek w Kosańcu był całkowicie odnowiony, każda kamienica! Co prawda w trochę innym stylu niż w Irsy, ale i tak Ania poczuła się prawie jak w domu. Usłyszała koło siebie kroki. Pewna, że to Wiktor, szepnęła:

- Czy ty to widzisz?

Nikt jej jednak nie odpowiedział. Kiedy spojrzała w tamtym kierunku, zobaczyła, że Wiktor właśnie się od niej oddala.

- Wiktor!! - krzyknęła tak głośno, jak była w stanie. - Wiktor!!

Chłopak w żaden sposób nie zareagował. Dziewczynie wydało się nawet, że przyśpieszył kroku. Pobiegnęła więc za

nim.

- Wiktor, no co ty... - wydyszała mu w twarz, nie mogąc złapać tchu. - Nie słyszałeś, że cię wołam?

Szybko stwierdziła, że chłopak patrzy na nią jak na wariatkę. Ewidentnie nic nie rozumiał.

- Chyba... - powiedział po dłuższej chwili - musiałaś mnie z kimś pomylić.

- Jak to możliwe? - przeraziła się dziewczyna. - Wyglądasz zupełnie tak samo, a jednak...

- Sorry - przerwał jej - ale bardzo się śpieszę. - Ruszył szybko naprzód. Już w drodze krzyknął: - Aha! I mam na imię Mikołaj!

- Proszę, proszę, proszę - szeptała Ania gorączkowo. Wreszcie mapa się pojawiła. *Miałam rację* - pomyślała dziewczyna, patrząc na oddalający się czerwony punkcik. - *Ale jak go zatrzymać??*

- Zaczekaj! - krzyczała, biegnąc. Chłopak nawet się nie obejrzał. Musiała zabiec mu drogę, aby się zatrzymał. - Wiem, kim jesteś - wysapała.

- No co ty? Tak się składa, że ja też to wiem. - Mikołaj zwinnie wyminął ją i szedł dalej.

- Czy słyszałeś kiedyś o bratnich duszach? - spytała, zostając na miejscu.

W tym momencie chłopak zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Tak, a co? - odpowiedział.

- Wiem, gdzie jest twoja. Albo przynajmniej wiedziałam jeszcze jeden tunel czasoprzestrzenny temu.

- Dokąd ci się tak śpieszy? - pytała Gosia, biegnąc za Franciszkiem. - Dlaczego nie czekamy na Martynę? Przecież jeszcze niedawno...

- Poradzi sobie! - burknął groźnie Franciszek, urywając tym samym zbędną dyskusję.

Szli w kierunku parku. Gosia ze zdumieniem zauważyła, że zbliża się zachód słońca. *No ładnie!* - pomyślała. - *Przecież my lada chwila powinniśmy być w obozie! Coś tu jest nie tak. Może Franciszek... nie jest tym, za kogo się podaje...?*

Kiedy byli już w parku, Gosia usiadła na pierwszej napotkanej ławce. *Ciekawe, kiedy zauważy moją nieobecność...* - pomyślała ze śmiechem. Niestety prawie od razu się zatrzymał.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął.

- Nie mam zamiaru nigdzie za tobą iść, no chyba że jasno powiesz, dokąd to tak ci śpieszno?

- Rany, ale ty jesteś upierdliwa! - wyrwało mu się.

Gosia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem - odpowiedziała - co dziwnego jest w tym, że chcę wiedzieć?

- Okay, okay - odpowiedział szorstko, siadając obok niej na ławce.

W tym momencie zaczęło lać jak z cebra, świat zniknął za zasłoną deszczu. Już nawet nie było po co szukać schronienia.

- Dobra, to mów - powiedziała Gosia, siedząc spokojnie

na miejscu.

- Zwariowałaś? - Franciszek trząśł się z zimna. Wstał na chwilę, ale zaraz usiadł. - Może wpierw pomyślimy, gdzie się schować przed deszczem?

- Może coś poradzę na to, jeśli mi powiesz o naszych planach... - Gosia uśmiechnęła się szeroko. Uwielbiała deszcz i dzięki temu poczuła, że wreszcie ma przewagę nad Franciszkiem.

Chłopak przez chwilę milczał, jakby szukał właściwych słów. W końcu powiedział:

- Mam... przeczucie, że twoja siostra jest w niebezpieczeństwie. Koniecznie musimy jak najszybciej ją odnaleźć.

Gosia prychnęła.

- Masz przeczucie na temat mojej siostry?! Ciekawostka!! Doprawdy! A jak to się stało?

Deszcz przestał padać tak samo nagle, jak zaczął. Chwilę później znów świeciło słońce. Franciszek niemal od razu zerwał się z ławki.

- Musimy iść - stwierdził i ruszył pędem przez park.

Zaintrygowana Gosia pobiegła za nim.

- Skąd wiesz, gdzie ona jest?

Franciszek popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. Nie odpowiedział.

- Wszystko z tobą w porządku? - zaniepokoiła się dziewczyna. - Jesteś jakiś dziwny... Jakby... - urwała, po czym dodała w myślach: *ktoś cię prowadził*. Kolejny raz przemknęło jej przez myśl, że Franciszek może nie być tym,

za kogo się podaje. A co, jeśli jest szpiegiem?! Ta myśl wydała się tak absurdalna, że aż ją rozbawiła. Stwierdziła, że mimo wszystko nie może go teraz zostawić. *Jeszcze robi sobie, sierota jedna, krzywdę i będzie problem.*

Przed ogromnym dębem Franciszek nagle złapał się za głowę.

- Ale boli! - syknął. Opierając się o drzewo, opadł na trawę. Gosia bez słowa usiadła obok niego.

- Daj, może uda mi się ciebie wyleczyć - powiedziała, patrząc na Franciszka z troską.

- Niby jak?

- Kiedyś jako dzieci bawiłyśmy się w bioenergoterapię. Czasami działało.

- Może... Gdyby to był normalny ból - stwierdził z trudem - ale nie jest...

- A może poćwiczymy jogę? - kontynuowała Gosia. - Ona też ponoć pomaga...

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! - wybuchnął Franciszek. - To nie jest normalny ból!! Mogłabyś mi również wyjaśnić, co robimy w tym parku?! Już dawno powinniśmy być w obozie! Ale to ty będziesz nas usprawiedliwiać.

Gosia patrzyła na Franciszka ze zdumieniem. Teraz już była niemal pewna, że coś nim kierowało. A może... Może rzeczywiście miał wizję i widział Ankę w niebezpieczeństwie?? Z tak rozwiniętą intuicją to możliwe...

- Zdarzało ci się przepowiadać przyszłość? - spytała wreszcie.

- Co? - krzyknął chłopak. - Czy ty mnie słuchasz?! Co do jasnej ciasnej tutaj robimy?! Czemu nic ... - zamilkł, jakby się zawiesił. - Coś mi świta - szepnął po dłuższej chwili. - Rzeczywiście miałem chyba wizję...

Przypomniał sobie wszystko od momentu rozmowy z mistrzem do teraz. *Byłem kierowany - pomyślał. - Ale w jaki sposób? I czemu zapamiętałem to, czego nie powinienem? Mistrz musiał chcieć, żeby tak było. Przecież wiedział, że nic nie powiem, bo musiałbym się zdradzić. Ale teraz... Teraz mam wolny wybór...*

Nie dawała mu spokoju myśl, dlaczego mistrz na ten wybór pozwolił. Jakby wiedział, że Franciszek nie ma wyjścia, że musi tańczyć tak, jak mu mistrz zagra do momentu, kiedy...

Po raz chyba tysięczny wyobraził sobie chwilę, kiedy nareszcie go odnajduje i tak zupełnie bez słów może uścisnąć mu rękę. Nie mówić, tylko patrzeć, tak, tylko patrzeć, bo przez tyle lat chyba wszystko już mu opowiedział. W myślach, co prawda, ale to przecież też się liczy.

Nie mam wyboru - pomyślał, patrząc na Gosię ze smutkiem. - Chciałbym, ale nie mam. Muszę brnąć w to dalej. Szybka decyzja. Spojrzeć na drzewo i od razu wiedzieć. Tak, o to chodzi. Widzisz - reagujesz - działasz. Nie ma nad czym się zastanawiać. Właśnie dlatego mnie wybrał - pomyślał. Zamknął oczy i powiedział:

- Widziałem Anię zagubioną w wielkim mieście. Nie ma

pojęcia, gdzie iść, mapa nie pokazuje jej już nic.

- A Wiktor? - z przejęciem zapytała Gosia.

- Nie, nie, nie - mówił jakby w transie. - Mapa pokazuje jej kierunek, ale mapa nie jest już tym, na co wygląda - zamilkł na chwilę. Potem zaczął krzyczeć: - Nie idź tam, idiotko! Nie słuchaj jej, błagam! - Otworzył oczy i spojrzał na Gosię. - Zło zawładnęło mapą - powiedział.

- To nieważne - powiedziała szybko dziewczyna. - Gdzie jest Ania?

Nie do końca była przekonana, że chce wierzyć Franciszkowi. *Błagam? Cóż to za zwrot?* Jakaś dziwna maniera przebijała przez słowa chłopca. Jakby wychował go teatr, a ludzie byli w tym tylko dodatkiem.

A może Gosia była już po prostu przewrażliwiona. Ze zdziwieniem stwierdziła, że tęskni za twardym łóżkiem polowym, za niemiarowym pochrapywaniem koleżanek z namiotu, za kąśliwymi uwagami siostry... Ale najbardziej za łóżkiem.

- Musimy przejść przez to drzewo - odpowiedział Franciszek. - A potem... Myślę, że mapa nam pomoże.

- Mapa? - krzyknęła Gosia. - Ta, którą zawładnęło zło? Czy ty w ogóle wiesz, co gadasz? Czy paplasz jęzorem, byle paplać?

- Oj, daj mi spokój! - odpowiedział Franciszek ze złością. - Ja tam idę, a ty jak chcesz! - Nie czekając na dziewczynę, wszedł do pęknięcia w pniu drzewa.

Dziewczyna w te pędy pobiegła za nim. Nie lubiła zostawać sama. Bała się, ale przede wszystkim nie była

przyzwyczajona. Odkąd pamiętała, zawsze i wszędzie chodziła z siostrą - do sklepu, szkoły, koleżanek, nawet razem chorowały. Nie wyobrażała sobie, jak można mieć pokój tylko dla siebie i co noc samotnie zasypiać w ciemności, zwłaszcza kiedy wyobraźnia raczej nie jest twoim sprzymierzeńcem... *Kiedys będę musiała się tego nauczyć* - pomyślała Gosia. Szła w ciemności, przed siebie, bojąc się cokolwiek powiedzieć na głos. Było cicho, a jednak nie słyszała ani swoich kroków, ani bicia serca. Tak dziwnego momentu zawieszenia nigdy dotąd nie przeżyła. Wiedziała, że idzie, a jednak miała poczucie stania w miejscu. Jakby tunel przemieszczał się razem z nią. Wreszcie zobaczyła delikatne światło. Nie przyśpieszyła kroku, miała wrażenie, że nic to nie da. Wychodząc z pnia, poczuła z mocą, że tamto życie właśnie nieodwołalnie odeszło. Nie wiedziała, skąd to uczucie, zwłaszcza że właśnie znalazła się w parku identycznym do tego w Irysie.

- Niesamowite! - krzyknęła do stojącego niedaleko naburmuszonego Franciszka. - Uderzające podobieństwo! - nieświadomie powtórzyła to samo co siostra rano. - Mimo wszystko czuję, że to nie jest mój dom. Czy to nie dziwne?

Franciszek nie odpowiedział, spojrzał tylko na Gosię z niemym wyrzutem.

- Hej, dżentelmenie. - Dziewczyna podeszła do niego. - Nie stój tak, tylko kombinuj jakiś nocleg. Robi się ciemno.

- I co z tego? - burknął.

Gosia zmierzwiła mu włosy.

- Pamiętasz przynajmniej, o co się gniewasz? - zapytała

łagodnie. – Bo ja wcale.

Odsunął się od niej.

– Nie lubię tego – powiedział, poprawiając włosy po swojemu. – A co do noclegu, nie mam pojęcia, gdzie go znajdziemy.

Gosia się uśmiechnęła.

– Konflikt zażegnany. Przynajmniej tyle dobrze.

Nagle usłyszała, jak ktoś woła jej imię. Bardzo wyraźnie, jakby tuż obok. Niepewnie rozejrzała się wokół.

– Słyszałeś? – spytała wreszcie Franciszka.

– Co?

– Ktoś mnie wołał. Jakby... Anka. Jejku, przecież już raz ktoś mnie tak wystraszył. Zupełnie tak samo... Czekać na mnie! – zawołała, biegnąc szybko na przeciwległy kraniec dębowej polanki.

– Ania, to ty? – Własny głos wydał jej się podejrzenie piskliwy i obcy.

– Jejku, udało mi się! – usłyszała gdzieś bardzo blisko entuzjastyczny głos siostry.

– No, tak jakby – odpowiedziała Gosia. – Tylko mogłabyś troszkę ciszej się sobą zachwycać.

– Ups! Sorry! – znowu krzyczała Ania. – Musisz mi wybaczyć, ja przecież pierwszy raz...

– Tak, wiem! – odpowiedziała znudzonym głosem Gosia. – Mów lepiej prędzej, gdzie jesteś, czy coś ci grozi?

– O właśnie! Ja przecież w tej sprawie! (Gosia, słysząc to, miała ochotę popukać się w czoło). Chyba się trochę... zgubiłam! Znaczą się... Nie mam pojęcia, gdzie się podział

Wiktor.

- A gdzie jesteś?

- W Kosaćcu na rynku. Na stowę.

- A możesz się stamtąd nie ruszać przez godzinę??

Anka??!!!

Nikt już nie odpowiedział.

Gosia pobiegła szybko do Franciszka.

- Musimy się dostać do Kosaćca. Natychmiast! -
wydyszała.

Franciszek potrząsnął głową, dopiero potem spojrzał na dziewczynę.

- Co mówiłaś? - spytał cicho. Wyglądał, jakby właśnie ocknął się z letargu. Oczy miał zamglone, niespokojnie wodził nimi po twarzy Gosi. *Coś niedobrego się w nim dzieje* - pomyślała dziewczyna. - *Muszę być ostrożna... Ale to wszystko potem...*

- Anka jest w Kosaćcu na rynku. Masz pomysł, jak się tam dostać?

- Kosaciec... - powtórzył Franciszek w zamyśleniu. - Coś mi ta nazwa przypomina... Tylko co??

Tak, zabawkę z dzieciństwa. Śmiesznego kaczorka z rozczapierzonym dziobem. Kiedy się przycisnęło guzik, mówił: „Pozdrowienia z Kosaćca”. Kiedyś Franciszek słuchał tego na okrągło. Kaczor miał taki śmieszny, piskliwy głos. Przypominał... To zabawne, ale przypominał mu ojca. *Czy było coś, co go nie przypominało...?* - myślał ze smutkiem.

Maskotkę przywiozła mu kiedyś ciotka, którą pierwszy i chyba jedyny raz widział wtedy na oczy. Pamiętał, że właśnie leżał w łóżku i nie widząc już żadnych liter, starał się czytać *Przygody Tomka na Czarnym Łądzie*. Drzwi wtedy skrzypnęły i weszła ta wysoka, postawna kobieta. Usiadła na brzegu łóżka i spytała, czy Franciszek ją pamięta. Pokręcił głową. Kolejne pytanie sprawiło, że Franciszek później długo nie mógł zasnąć, tak długo, że o ile dobrze pamiętał, skończył czytać całą książkę. Kobieta spytała go, czy pamięta jeszcze tatę i o kolor jego oczu. Skąd w ogóle pomyśl, że mógł zapomnieć! Wtedy ona wyjęła z torby podróżnej tego kaczora i położyła mu na poduszce. „To od niego – szepnęła – żebyś dalej pamiętał!”

Dopiero teraz, po tych ośmiu latach, przeszło Franciszkowi przez myśl, że może naprawdę to był prezent od ojca. To by oznaczało, że przebywał kiedyś tutaj, w Kosaćcu. A może, może nadal istnieje sklep z kaczorami??

- Na pewno doskonale wiesz, jak się tam dostać - odpowiedział Franciszek po dłuższej chwili. - Przecież to ty wpadasz na właściwe odpowiedzi.

Gosia spojrzała groźnie na chłopaka.

- Nie wkurzaj mnie! - odpowiedziała. - Mnie się udało przypadkiem, ale za to ty zupełnie po omacku potrafisz trafić do określonego miejsca. Więc nie mów, że Kosaciec sprawia ci jakąkolwiek trudność.

- Mój tata - odpowiedział chłopak ze smutkiem - był

mistrzem w znikaniu.

- No i?

- No i mam to po nim. - Pstryknął dwa razy palcami. Od razu w tym miejscu zaczęła wytwarzać się mgła coraz gęstsza, ale skupiona w jednej konkretnej przestrzeni. Kotłowała się i kotłowała do momentu, aż zastygła w kształcie półokrągłej bramy.

Gosia nie zdążyła w żaden sposób zareagować. Franciszek pociągnął ją za sobą do tunelu.

Wędrowali razem, choć Franciszka tunel spowijała ciemność, a Gosi cały był ukwiecony polnymi makami. Kiedy wyszli z niego wprost na starówkę, nadal trzymali się za ręce. Gosia zabrała rękę dopiero w momencie, kiedy poczuła się bezpiecznie.

- Poci ci się łapa - stwierdziła, żeby zagłuszyć zakłopotanie.

- Nawzajem - odburknął Franciszek. - I gdzie ta twoja kopia?

Gosia spojrzała na niego z wyrzutem.

- Myślałam, że tak idiotyczne żarty się ciebie nie trzymają.

Franciszek zaśmiał się pod nosem:

- No to się pomyliłaś.

Ani nie było nigdzie widać. Gosia z Franciszkiem postanowili obejść starówkę, co nie było wcale takie proste, zważywszy na to, że była akurat pora wieczornych spacerów i że całe rzesze młodzieży zmierzały właśnie na imprezę. W takim tłumie łatwo by było przeoczyć nawet olbrzyma.

Gosia patrzyła z zazdrością na barwne grupy jej rówieśników.

- Ty - szepnęła wreszcie do Franciszka - a może byśmy poszli na imprezę?

- Świetny pomysł! - parsknął chłopak. - A twoja siostra z pewnością sama się odnajdzie!

- Nom! - zaśmiała się Gosia. - Wszystkie problemy od razu się rozwiążą. A ty może wreszcie przestaniesz być taki spięty!

Przechodzili właśnie obok dużej, chamsko oświetlonej dyskoteki. W powietrzu unosił się zapach dymu i potu, muzyka hałaśliwie wylewała się z wnętrza.

- To chyba lata osiemdziesiąte! - powiedziała z entuzjazmem Gosia. - Co jak co, ale przy tym nawet lubię tańczyć. - Dostrzegła zde gustowaną minę Franciszka. - Nie martw się. Na twoje szczęście nie lubię dyskotek! Chciałabym - posmutniała nagle - tak po prostu bym chciała choć na chwilę zapomnieć. O tym, o czym nie mogę przestać myśleć. Rozumiesz, prawda? - Spojrzała z przejęciem na Franciszka. - Wiem, że rozumiesz doskonale.

- Chodź, usiadzimy na tym murku. - Chłopak wskazał na duży szeroki mur, z którego rozpościerała się panorama na całe miasto.

- Ale fajnie! Tego u nas nie ma. Trzeba by podrzucić taki pomysł burmistrzowi.

- Myślę, że... - Franciszek wspiął się na murek i podał rękę Gosi. Chwilę później oboje siedzieli zwrócenii w stronę starego miasta. - Myślę, że Ania nas tu znajdzie. Rzucamy się

w oczy.

- Dawno straciłeś ojca?

Franciszek spojrzał na nią chmurnie.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odpowiedział i szybko uciekł wzrokiem w drugą stronę.

- Tak bardzo brakuje mi mojego - powiedziała Gosia. - Często spacerowałam z nim po starówce. Prawie wszystko tutaj mi go przypomina. Zupełnie... zupełnie, jakbym miała go za chwilę zobaczyć.

- Ty, a czy to nie jest przypadkiem Ania z Wiktorem? - spytał nagle Franciszek. Wskazał na ogródek piwny po lewej stronie od murka.

- Jejku! Chyba rzeczywiście! Widzisz: mówiłam, żeby iść na imprezę! - Gosia, nie czekając na Franciszka, podbiegła do ogródka. - To tak się witasz z siostrą? - krzyknęła do pleców Ani. - Sącząc soczek i gawędząc z Wiktorem, którego miało tu nie być!

Ania odwróciła się powoli i spojrzała na siostrę z szerokim uśmiechem.

- No i tutaj niespodzianka. To wcale nie jest Wiktor, tylko Mikołaj!

- Co? - Gosia przeskoczyła murek otaczający parasole i z impetem usiadła na wolnym krześle przy ich stoliku.

- To prawda - chłopak się uśmiechnął. - Mam tylko nadzieję, że jesteśmy mniej podobni do siebie niż wy.

- My wcale nie jesteśmy podobne - gwałtownie zaprzeczyły obie naraz.

- Nareszcie klony w komplecie! - zaśmiał się Franciszek,

podchodząc do stolika.

- Jeszcze raz tak powiesz, a zawiążę ci jęzor w supeł! -
Wkurzyła się Gosia.

- Uprzedzę jakiegokolwiek pytania i wątpliwości -
powiedział Mikołaj, wstając i podając rękę Franciszkowi. -
Nie, nie jestem Wiktorem, lecz Mikołajem. Jak nowo poznana
koleżanka zdążyła mnie poinformować, najprawdopodobniej
mam brata bliźniaka. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale
niech jej będzie.

- Rany, ale bomba! - Franciszek się roześmiał. - Dwie
pary bliźniąt! Wcześniej nie znałem ani jednej, a teraz aż
dwie!

- On się ostatnio dziwnie zachowuje - szepnęła Gosia
siostrze.

- Zamawiacie coś? - Do stolika podeszła młoda kelnerka
w firmowym fartuszk.

- Nie, dziękujemy - odpowiedziała Gosia, po czym
zwróciła się do reszty towarzystwa: - Przeniesiemy się na
murek?

Mikołaj pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc - powiedział - śpieszy mi się trochę.
Ale - zamilkł na chwilę, rozejrzał się po kawiarni, potem
zdecydowanym ruchem wstał na chwilę - rzeczywiście,
chodźmy na murek, muszę wam o czymś powiedzieć.

Starówka powoli się wyludniała. Młodzież pochowała się
po dyskotekach, pubach, klubach, część porzuciła się do
domów. Noc pozwoliła rozbłysnąć latarniom. Ich światło
z jasnego stało się ciepło żółte. Była to pora, która

wydobywała całe piękno ze starych kamienic, z brukowanych ulic, ostrożnie przemykającego kota, ludzkich cieni tak długich, że nikt nie wie, gdzie mają koniec. Stare miasto było częścią nocy.



Całą czwórką niemalże w jednym momencie wskoczyli na murek. Usiedli w kole, blisko siebie, bo chłód nocy dawał się już we znaki.

- Zamierzasz iść tak po ciemku? - spytała Gosia Mikołaja. Przy okazji wreszcie mu się dokładnie przyjrzała. Miał zdecydowanie krótsze włosy od brata i miłszy uśmiech, tak jakoś... bardziej do niego pasował.

- Wy dwoje również jesteście szukającymi, prawda? - zwrócił się do Gosi i Franciszka Mikołaj. - Bo wiecie co? Muszę się dostać do waszego obozu. Koniecznie. Jak najszybciej.

- Dziwne - stwierdziła Gosia. - Nie chcesz najpierw odnaleźć brata? Przecież jesteś tak blisko.

- No właśnie - dołączyła do niej Ania. - Wcale nie jest trudno go znaleźć! Wcześniej spanikowałam, ale... Ale mapa powinna mi dokładnie pokazać, jak daleko jesteście od

siebie! Przecież, do jasnej ciasnej, jestem szukającą, no nie?

- No dobra - zdecydował nagle Mikołaj. - Powiem wam, o co chodzi, okay? Dziś w nocy zaginęło małe dziecko. Niemalże na moich oczach, bo byłem wtedy w tym domu. Mamy... pewne podejrzenia, kto za tym stoi. Najprawdopodobniej dziecko znajduje się obecnie w waszym świecie. Dlatego poproszono mnie, abym poinformował waszych szukających o konieczności natychmiastowego wszczęcia poszukiwań.

- Brawo! - wrzasnął Franciszek, klaszcząc przy tym głośno. Bliźniaczki i Mikołaj spojrzeli na niego ze zdumieniem. - No co? Przecież on wyraża się prawie jak zawodowy śledczy! Czy za to nie należą się brawa?

Gosia pokręciła głową z dezaprobatą.

- Zachowujesz się normalnie jak gówniarz, wiesz? Calutki boży dzień!

Ania stanęła na murku.

- Dobra, dość tego. Mikołaj: wóz albo przewóz. Idziesz do szukających czy zostajesz z nami? Trzeba coś robić, ludzie! Od beczynności jeszcze nic się nie udało.

- Mówisz jak tata! - rzekła Gosia z podziwem.

Franciszek nagle wstał.

- Ponieważ bardzo chcę się zrewanżować za przykrości, których przeze mnie doznała Gosia, proponuję, że ja oto, we własnej osobie, będę służył koledze za przewodnika! - powiedział, patrząc przy tym uważnie na Gosię. - A ponieważ świetnie się znam na tunelach czasoprzestrzennych i tego typu sprawach, maksymalnie jutro po południu powinniśmy

być z powrotem!

- Myślę, że to najlepsze rozwiązanie - odpowiedział Mikołaj po chwili wahania.

- I zostawicie nas tak same, po ciemku? - oburzyła się Gosia. - Świetny pomysł, naprawdę, gratuluję, idzie wam coraz lepiej!

Chłopcy wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

- Masz rację - odpowiedział w końcu Mikołaj. - To albo któraś z was mnie prowadzi, albo... Tak w ogóle to gdzie jest Ania?

- Tutaj! - odezwał się głos z ciemności za murem.

- Znaczy gdzie? - spytał Franciszek. - Nie mamy ultrafioletu w oczach, nie widzimy w takich ciemnościach! Nawet ja nie posiadam jeszcze takich umiejętności!

- Wyostrzył ci się dowcip od wczoraj. - Ania nagle pojawiła się obok niego.

- Ła! - jęknął Franciszek ze strachu. - Nie strasz mnie, kobieto!

- Wiem, gdzie on jest - powiedziała Ania - To niedaleko.

Poprowadziła ich pewnie w dół starego miasta, przez półokrągłą bramę, która jednocześnie stanowiła granicę między zabytkową częścią Kosaćca i współczesną. Ku nowoczesności schodziło się po szerokich, brukowanych schodach, które prowadziły wprost na osiedle bloków. Ania ani przez moment się nie zawahała, jakby wciąż przed oczami widziała mapę.

Czuła się jak w transie. Jak wtedy, z rodzicami, nad morzem. Szli przez gęsty sosnowy las i to ona, Ania, prowadziła. Całą rodzinę. Nie po ścieżkach, lecz na skróty. Pamięta, jacy rodzice byli z niej dumni. „Masz to po ojcu” – powiedziała wtedy mama z uznaniem. Tata poklepał ją po plecach i powiedział tylko: „No, no”. Tatuś był jednak niedoścignionym wzorem, wszędzie umiał się odnaleźć. Kiedy Ania z siostrami i mamą dreptały wokół jednego miejsca, on potrafił obskoczyć cały las. Ania była przekonana, że tata nigdzie nie jest w stanie się zgubić. Aż do teraz. Teraz nie miała już tej pewności. Gdyby znał drogę, już dawno by do nich wrócił.

- Chyba wiem, dokąd nas prowadzisz! – krzyknął Mikołaj w momencie, kiedy weszli w osiedle domków jednorodzinnych. – No tak! To przecież oczywiste! Mój brat chciał mnie znaleźć, a tunel wyczuł moją energię w tym miejscu. Nic dziwnego, tyle się tutaj wydarzyło. Wciąż jeszcze o tym myślę, próbuję poskładać fragmenty układanki. – Mikołaj niepostrzeżenie wyprzedził Anię. – To już bliźniutko!

Właśnie minęli ulicę Słoneczną. Potem równoległą do niej i znów ten stary murowany dom. Teraz wydał się Mikołajowi bardziej surowy, wręcz nieprzystępny. A jeszcze przedwczoraj...

- Jesteśmy na miejscu! – powiedział trochę za głośno.
- Skąd ty to wiesz? – szepnęła Ania.
- Jakbym znała ten dom... – rzekła z namysłem Gosia.

Mikołaj gestem przywołał ich do siebie.

- Właśnie wczoraj z tego domu - mówił szeptem - zniknęło dziecko.

Franciszek, nie czekając na resztę, zapukał do drzwi. Po chwili zazgrzytał otwierany zamek i w drzwiach pojawił się nie kto inny, jak Wiktor.

- Siema - mruknął Franciszek. - Spójrz, kogo ci przyprowadziłem.

Spojrzenia Mikołaja i Wiktora spotkały się niemal od razu. To była ta chwila, w której czas przestaje istnieć, którą pamięta się przez całe życie, choćby nawet była jedynym wspomnieniem, które pozostanie. Czujesz wtedy przez moment, że wszystko nareszcie jest na właściwym miejscu, że ty jesteś na właściwym miejscu. To się chyba nazywa szczęście.

Wymiana spojrzeń tak naprawdę trwała ułamki sekund. Potem Mikołaj powoli, niemal uroczyście podszedł do brata i podał mu dłoń. Wiktor uścisnął ją, a następnie objął brata serdecznie. Wszystko w całkowitym milczeniu.

- Szybko, wchodźcie do środka! - W drzwiach stanęła Maria. - Nie ma na to teraz czasu! No już! Raz-dwa!

Młodzi po kolei wślizgnęli się do domu. Na drugim końcu korytarza, gdzie słabo już docierało światło żyrandola, stała Klaudia. Patrzyła na wchodzących w zupełnym bezruchu.

- To jej dziecko - szepnęła Gosia do Ani na tyle głośno, że raczej wszyscy słyszeli.

- Cii! - ofuknęła ją siostra.

Maria zaprowadziła wszystkich do jadalni, gestem

nakazała, aby usiedli.

Sama oparła się o kuchenny blat.

- Mikołaj - spojrzała na niego groźnie - wydaje mi się, że miałeś być gdzie indziej.

- Ale... - zaczął Mikołaj, jednak Maria gwałtownie mu przerwała.

- Żadnych ale! Bierz Franciszka i znikaj!

Franciszek spojrzał na nią zdumiony.

- Skąd pani wie, jak się nazywam?

- Kochany, ja wiem wszystko - odpowiedziała łagodnie. - Znałam twojego ojca. Dobry człowiek, choć... No cóż... Miał różne słabości...

Franciszek zbladł.

- Ale przecież... On zniknął wiele lat temu... Nie mogła go pani znać.

- Skoro się upierasz... - Uśmiechnęła się z politowaniem.

- Nie będę protestować. Zresztą - spojrzała na chłopca uważnie - do niektórych informacji trzeba dorosnąć. No idźcie już.

- Ja nigdzie się nie wybieram - zaprotestował Franciszek - dopóki się nie dowiem czegoś o ojcu. - Chłopak z nerwów trząsał się cały, patrzył gniewnie na Marię.

- Za dużo w tobie złości - spokojnie odpowiedziała kobieta. - W ten sposób nie osiągniesz niczego, a już na pewno nie zdobędziesz ode mnie informacji. Próżny trud i próżne czekanie. Teraz najważniejsze jest dziecko!

Mikołaj wstał i podszedł do Franciszka.

- Chodźmy! Przecież sam mówiłeś, że to zajmie tylko

chwilę!

Franciszek spojrzał wrogo na nowego kolegę.

- Niech ci będzie! - powiedział w końcu z ociąganiem.

- A ja? - wyrwał się nagle Wiktor. - Co ze mną?

- Ty, mój drogi, przypilnujesz siostrzyczek - odpowiedziała Maria. Potem pstryknęła palcami i po chwili pojawił się niewyraźny, migający tunel. - Wskakujcie! - rzekła, patrząc na Mikołaja. Chłopak popchnął przed sobą Franciszka.

- To nie można było tak od razu? - spytał, znikając w tunelu.

- No, nareszcie! - Klasnęła w dłonie Maria, kiedy tunel zniknął razem z chłopcami. Potem spojrzała z szerokim uśmiechem na bliźniaczki. - Cieszę się, że w końcu mam okazję was poznać! Jesteście szalenie podobne do taty, zwłaszcza... - zerknęła raz na jedną, raz na drugą, wreszcie stwierdziła wskazując na Gosię - ty.

- Gosia - powiedziała dziewczyna z uśmiechem. - Wiele osób tak mówi. Ale skąd pani zna tatę?

- Już mówiłam, że wiem wszystko. - Uśmiechnęła się. - Tak naprawdę jeszcze dziś rano z nim rozmawiałam. Gdybym wiedziała, że tak szybko się pojawicie, pewnie bym go jeszcze przez chwilę wstrzymała.

Ania zerwała się z miejsca.

- Naprawdę widziała go pani? - spytała z przejęciem. - I jak wygląda? Schudł pewnie, prawda? On i tak był bardzo chudy - gorączkowała się. - No i dokąd znów poszedł?

- Wasz tata ma pewną nierozwiązaną sprawę

z przeszłości. Musi poznać prawdę, inaczej nie zazna spokoju. Myślę, że powinnycie wracać do szkoły. Nic tu po was.

- Co?! - krzyknęły dziewczynki.

- Nie jesteście jeszcze gotowe - odpowiedziała Maria.

- Gotowe? - Ania popatrzyła uważnie na Marię. - Ale na co?

Kobietę nagle bardzo zainteresowała filiżanka, którą trzymała w dłoniach. Obejrzała ją dokładnie z każdej strony, potem dopiła ostatni łyk herbaty i odstawiła naczynie na stół. Dopiero wtedy spojrzała na Anię.

- Żeby stanąć oko w oko ze złem - powiedziała twardo. - I pokonać je.

Wiktor się roześmiał.

- To brzmi co najmniej dziwnie! - powiedział głośno. - Jakbyśmy byli jakimiś superbohaterami. A pani to pewnie kobieca wersja Yody.

- Harry Potter też nie był gotowy - wystrzeżiła Gosia, lekceważąc zupełnie wypowiedź Wiktora.

- Harry Potter to postać fikcyjna - odpowiedziała kobieta. - A to, co was czeka, wydarzy się naprawdę i naprawdę będzie bolało.

- Nie rozumiem - odpowiedziała Ania. - Dlaczego ma się wydarzyć coś złego? W co tatuś się wpakował?

- Nie no! - pieklił się Wiktor. - Wy naprawdę rozmawiacie na poważnie?

Maria spojrzała na Anię z pobłażliwym uśmiechem.

- Widzę, że wasza babcia nic wam nie powiedziała. Nie

macie pojęcia, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o waszego ojca, tylko o was, prawda?!

- Co?! - spytały dziewczynki w duecie.

- Ech... - westchnęła Maria. - Jak zwykle... Dlaczego nasi szukający są tacy niedoinformowani?! Wiktorze - zwróciła się do chłopaka, który z nudów zdążył sprzątnąć ze stołu i zmywał właśnie naczynia. Nie zakręcając wody spojrzał na Marię. - Ty też nic nie wiesz, prawda? Zresztą - sądząc po twoich ostatnich reakcjach - to głupie pytanie.

- Nie mam pojęcia. Dla mnie to jakiś kosmos.

- Widzę, że tylko w tym świecie szukający się o was uczą - znów zwróciła się do dziewczynek Maria.

Wiktor wybuchnął śmiechem.

- I bardzo dobrze! Drugich takich ze świecą by szukać!

- Czy to kpina? - spytała Ania z wyrzutem. Poczowała, że jest bliska utraty jakichkolwiek cieplejszych uczuć do Wiktora.

- W życiu - odpowiedział chłopak z przejęciem. - Jaka inna dziewczyna kazałaby mi się przytulać do brzozy? To bezcenne wspomnienie!

- Masz szczęście - powiedziała Ania. - Wybrnąłeś.

Naprawdę tak czuła. Wiktor przy bliższym poznaniu zdecydowanie zapunktował u niej. Gorzej, że miał równie fajnego brata... I odrobinę przystojniejszego... A może nie?

- Dlaczego się o nas uczą? - spytała Gosia.

- A dlatego, że... - mówiła Maria, grzebiąc przy tym w swojej przepastnej pomarańczowej torebce. - No, nareszcie! - westchnęła w końcu, wyjmując niewielką

poniszczoną książeczkę. – To są przepowiednie Noktusa – powiedziała. – Największego jasnowidza XX wieku. On nie tylko spisał wydarzenia, które zobaczył w swoich wizjach, ale również niektóre zilustrował. Spójrzcie na to. – Maria otworzyła książkę mniej więcej w środku i położyła ją na stole. – Poznajecie?

Dziewczyny wraz z Wiktorem pochyliły się nad ilustracją.

– O rety! – krzyknęła Ania z przejęciem.

Gosia milczała z otwartymi ustami, a Wiktor szepnął z podziwem:

– Facet był naprawdę dobrym ilustratorem!



Marek stał na drodze krajowej numer 33 i czekał, aż wreszcie zatrzyma się jakiś samochód. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat łapał stopa i już zdążył pożałować swojej decyzji. Co mu strzeliło do głowy? W czerwonej czapce bejsbolówce i z trzymanym kurczowo kartonem z koślawym napisem „Mirów” czuł się bardziej jak idiota niż poszukiwacz przygód. Mógł przecież przeciwiczyć sztukę podróży tunelem czasoprzestrzennym lub wsiąść w pociąg jak normalny cywilizowany człowiek. Ale nie... A to wszystko przez ten impuls! Chociaż Maria określiłaby to jako znak.

Kiedy Marek szedł rano na stację kolejową, zaczepiła go stara, przygarbiona kobieta.

- Młody człowieku, czy mógłbyś mi pomóc wsiąść do autobusu? - spytała.

Marek bardzo się śpieszył na pociąg, który miał odjechać lada chwila. Mimo to, nauczony, że starszym ludziom się nie odmawia, przytaknął. Dopiero po chwili odezwał się w nim głos rozsądku. Przecież nigdzie nie było widać ani ulicy, ani

tym bardziej przystanku autobusowego!

- A gdzie ten autobus? - zapytał już po tym, jak chwycił rączkę walizki na kółkach, a kobiecina ufnie wzięła go pod ramię. Wtedy okazało się, że pani ma dość duże problemy ze słuchem. Nie odpowiedziała na żadne z jego pytań. Marek nie miał więc specjalnego wyboru i dał się poprowadzić starszej pani. Kobieta szła powolutku, a on wraz z nią, obiecując sobie w duchu, że następnym razem będzie bardziej asertywny. Podprowadzenie do autobusu okazało się bowiem długim, dwukilometrowym spacerem, który zajął im dwie godziny i sprawił, że jedyny pociąg do Mirowa zdążył odjechać.

- Niech ci Bóg błogosławi, dobry człowieku - powiedziała kobieta, gdy Marek wreszcie pomógł jej wsiąść do autobusu. W jej twarzy zobaczył prawdziwe wzruszenie. - Niech ci nigdy nie zabraknie wszelkiego dobra - mówiła z załzawionymi oczami, kurczowo ściskając jego dłoń. Marek się uśmiechnął i odwzajemnił uścisk. Ona już nie potrzebowała słów, usłyszała ich w swym życiu zbyt wiele. Liczył się gest.

Kiedy autobus pojechał, Marek zobaczył właśnie, jak samochód zatrzymuje się przed autostopowiczem. Wtedy pomyślał: *A właściwie dlaczego nie?* Kiedyś robił to często, niemal codziennie - w taki sposób dojeżdżał do szkoły. Warto przypomnieć sobie lata świetności.

No i stoi tak teraz dobre pół godziny. Droga pusta, jakby wszyscy kierowcy naraz postanowili wraz z ekologami zbawić świat od spalin produkowanych przez samochody. Po

godzinie, kiedy już Markowi odechciało się wszystkiego, ze zbawianiem świata i odszukaniem rodziców włącznie, nadszedł samochód. Stara, pordzewiała, rozpadająca się łada. Kierowca zaczął zwalniać niemal od razu, gdy zobaczył autostopowicza.

- Wsiadaj - powiedział, mnąc w ustach zużytego papierosa. Marek spojrzał na kierowcę i od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Stary kowboj: kapelusz z szerokim rondem, zmięty papieros, strój wczorajszy, przenikliwe spojrzenie. Rzeczowy, odważny, błyskotliwy. Tak, Marek wiedział, że nie mógł lepiej trafić. Wygodnie usadowił się na obitym ciemną skórą fotelu, wyciągnął do kierowcy rękę.

- Marek - powiedział. Towarzysz mocno uściśnął podaną dłoń, wypluł za okno skrawek papierosa.

- Stefan - odrzekł, patrząc uważnie na Marka. - Dokąd jedziemy?

- O właśnie! - zaśmiał się Marek. - Po co ci moje imię, przecież wystarczy cel podróży! Widać, że dawno nie jeździłem stopem, wszystko mi się pomieszało! Chciałbym do Mirowa.

- Się robi - odpowiedział Stefan.

- Jak to „się robi”? A dokąd jechałeś?

Mężczyzna się roześmiał.

- Się wie, że do Mirowa. - Wyciągnął z paczki następnego papierosa, ale zamiast go zapalić, włożył tylko do ust. Spojrzał na Marka. - Naprawdę - stwierdził przez zęby.

- To niesamowite - powiedział Marek. - Albo jestem takim szczęściarzem, albo igrasz ze mną.

- Tak naprawdę to już nie mam benzyny - odpowiedział. Tym razem za szeroko otworzył usta, bo wypadł mu papieros. Stefan ze złością podniósł go i wyrzucił przez okno.

Marek spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Więc tylko dlatego się zatrzymałeś?

- A co, miałem sam pchać? - Stefan spojrzał na niego z wyższością. - Nie, dziękuję, wolę pracę zespołową.

Marek otworzył drzwi, żeby wysiąść. Ale wtedy przypomniał sobie wzruszenie na twarzy starszej kobiety i zamknął drzwi z powrotem.

- Jedziemy? - spytał gniewnie.

Stefan odpalił silnik i ruszyli powoli, przykajac.

- Jeszcze z jakieś dziesięć kilosów powinniśmy zrobić. Ale stacja jest za dwadzieścia.

Marek popatrzył na niego, zastanawiając się, czy mógł się aż tak bardzo pomylić w ocenie.

- Nie rozumiem! - powiedział podniesionym głosem. - Skoro wiesz, ile ci zostało, nie mogłeś zatankować? Naprawdę nigdzie po drodze nie było stacji?

- Po pierwsze - powiedział Stefan spokojnie - mieszkam w Kosaćcu. Po drugie - jest tu całkiem blisko stacja, ale ja nie tankuję byle gdzie. Tankuję w jednym jedynym miejscu i ono jest dwadzieścia kilometrów stąd.

- A nie możemy zatankować tylko troszeczkę?

- Nie! Jeśli ci to nie odpowiada, to wysiadaj i daj mi spokój.

Marek zamilkł. Po minie Stefana poznał, że dalsze pytania nie mają sensu. Zajął się obmyśleniem planu

ewakuacji. Jeśli trafił na szaleńca, a wiele wskazywało, że tak właśnie jest, sprawa będzie prosta. Kilka podstawowych ciosów i facet powinien być znokautowany: splot słoneczny, nerki, zawsze jeszcze można kopnąć między nogi, tak dla pewności. Wiedział, że to nie do końca uczciwe, ale nigdy nie był dobry w bójkach. Znał tylko te trzy ciosy, no, może jeszcze wykręcanie paluchów, ale to już zupełnie niemęskie. Marek zaśmiał się ze swoich myśli. *Chyba po powrocie zapiszę się na judo.*

Po przejechaniu około czternastu kilometrów samochód stanął. Stefan wysiadł gwałtownie, trzaskając za sobą drzwiami.

- Kurde! - krzyknął. - Przez ciebie będę musiał naprawdę zapalić to świństwo!

Marek był pewien, że Stefan krzyczy do samochodu, nie do niego. Po jakichś dwóch minutach kierowca wrócił na miejsce.

- Sorry, stary, ale chyba naprawdę będziesz musiał popchać.

- Dobra, w porządku, ale tylko wtedy, gdy powiesz mi prawdę. Dlaczego nie mogliśmy tam zatankować?

Stefan przeklął, popatrzył na Marka, potem na drogę. Powtarzał tę czynność parę razy, aż w końcu powiedział:

- Okay, niech ci będzie. Ale pamiętaj, jak ci powiem, siedzisz w tym tak samo, jak ja.

- Dobra.

- W Kosaćcu zadarłem z niewłaściwymi facetami. Chciałem sprawiedliwości, rozumiesz? Dochodzenie,

informacje w prasie, takie tam tajemnice, których nie powinienem znać. Oj, nieważne. W każdym razie otrzymałem jasną instrukcję: albo wynoszę się z miasta, albo już dziś jestem martwy. Wybór był chyba oczywisty, prawda? - Szukał u Marka potwierdzenia.

- Dobrze zrobiłeś. Żywy jeszcze możesz walczyć, nawet z daleka, martwy już nie.

- Dzięki, stary - powiedział poważnie.

Chyba powinienem być mediatorem albo dobroczyńcą - pomyślał Marek, wysiadając z samochodu i napierając na niego z całej siły, aby ruszył. Po kilometrze była zamiana, po dwóch obaj spoceni i ledwo żywi siedzieli na poboczu i wypatrywali z utęsknieniem jakiegoś samochodu lub czegośkolwiek innego, co mogłoby dać im nadzieję.

- Nie masz tu żadnej rodziny? - spytał Marek. - Takiej, której nie załazłeś za skórę i która mogłaby ci pomóc?

- Kto niby? Była żona? Nie rozmawiam z nią. Kumple? Boją się! Oj, nie ma o czym gadać. Pchajmy dalej tego grata! Jak chcesz, to siadaj za kierownicę.

- Nie. Teraz ja. - Marek zdecydowanie ruszył ku tylnej klapie.

Kolejne kilometry pchało się jakoś łatwiej. Chyba pomogła świadomość, że to już blisko, jedynie trzy kilometry... Kiedy wreszcie dotarli do celu, Marek wiedział, że kupioną tam wodę zapamięta do końca życia jako najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się pić.

- Głodny? - spytał Stefan. Marek przytaknął. - Tutaj jest niezły bar. Ja stawiam.

- No dobra - ochoczo zgodził się Marek.

Bar znajdował się po drugiej stronie stacji benzynowej. Na stołach leżały ceraty w kratę, mniej więcej pośrodku sali brzęczał telewizor, a w powietrzu unosił się zapach taniego alkoholu. Typowy lokal dla miejscowych pijaczków.

- Założę się - powiedział Marek, siadając na drewnianym krześle - że dają tu lurowatą kawę.

- I pysznego schabowego smażonego na wczorajszym tłuszczu - dodał Stefan, przynosząc do stołu menu, bo pani za barem sprawiała wrażenie mało ruchliwej.

- Namówiłeś mnie. - Marek się roześmiał. - To ja bym chciał schabowego, surówkę z czerwonej kapusty i ziemniaki. No i lurowatą kawę.

Stefan zamówił jedzenie przy barze. Po dwudziestu minutach leciwa kelnerka przyniosła upragnione schabowe. Rzeczywiście, pomimo wczorajszego tłuszczu smakowały wybornie. Najedzony Marek poczuł się niemal szczęśliwy.

- Jak mało człowiekowi potrzeba do szczęścia - zwierzył się swojemu towarzyszowi. - Czasami wystarczy dobre jedzenie i już świat wygląda jakby lepiej.

Stefan przytaknął.

- To jakie plany na dziś?

- Dochodzi dziewiętnasta. - Marek zerknął na zegarek. - No cóż. To dobra pora, żeby poszukać taniego motelu i się trochę zdrzemnąć. Powiem ci, że takiego treningu jak dziś już dawno nie zaznałem. Normalnie padam z nóg.

- W takim razie zawiozę cię w jedno takie miejsce. Spodoba ci się, zobaczysz.

- Jak dotąd miałeś rację - stwierdził Marek z uznaniem. - Myślę więc, że zaufam ci i w tej kwestii.

Jechali jeszcze dość długo. Tak się przynajmniej Markowi wydawało w momentach, kiedy budził się nagle ze snu. Znowu go zmorzyło. Niemal każdy środek lokomocji działał na niego usypiająco. To czasami jest zbawienne, lecz najczęściej po prostu męczące. Tym razem Marek zrywał się ze strachem, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje.

- Śpij, śpij - szepnął mu uspokajająco Stefan.

Najgorsze, że w takich momentach Marek nie mógł nie spać. Starał się, ale naprawdę nie potrafił. Ocknął się więc na dobre dopiero wtedy, gdy Stefan próbował wyrzucić go z auta.

- Co ty? No co ty wyprawiasz? - przeraził się Marek, próbując wyzwolić się z rąk zaciśniętych na jego swetrze. Stefan natychmiast go puścił.

- Żeby nie było, na początku próbowałem cię obudzić delikatnie. Jesteśmy na miejscu. A tak w ogóle - spojrzał na Marka z ukosa - zazdrozczę mocnego snu.

- Motel Zacisze? - Marek spojrzał na stojący przed nim niepozorny dwupiętrowy budynek. - Czy jest tam cicho? - zażartował.

- Właścicielem jest mój dobry kumpel - odpowiedział Stefan poważnie. - Ufam mu niemal tak jak sobie.

- To znaczy, że idziesz ze mną?

- Jasne! - odpowiedział Stefan, energicznie wypakowując

manatki z bagażnika.

Wnętrze motelu było nijakie. Za wysokim, sosnowym blatem siedział znudzony recepcjonista. Nawet nie podniósł wzroku, gdy weszli podróżni. Marek od razu usiadł na jednym z dwóch tapczanów ulokowanych naprzeciwko recepcji. Wciąż jeszcze czuł senność.

- Może być jeden pokój? - spytał go Stefan głośnym szeptem. - Dwa łóżka - dodał już normalnie.

Marek wzruszył ramionami.

- Jasne, czemu nie? - odrzekł. Po namyśle dodał: - Nigdy nie nocowałem u żadnego z moich kolegów.

Stefan wziął klucze, grzecznie podziękował sennemu recepcjoniście i poprowadził Marka ciemnym korytarzem. Nie szli zresztą zbyt długo, ich pokój był czwarty z rzędu.

- Naprawdę nigdy, przenigdy nie nocowałeś u kolegi? - spytał Stefan. Próbował właśnie odnaleźć w pokoju włącznik światła.

- Nie.

- Nie oglądałeś z nim bzdurnych filmów, nie rzucałeś się popcornem i nie obmawiałeś każdej dziewczyny z klasy po kolei? Naprawdę?

Stefan po włączeniu światła niemal od razu rozłożył się wygodnie na pierwszym z brzegu łóżku. Biała, świeżo krochmalona pościel była dziurawa w wielu miejscach. Na niej leżał złożony koc w kratę. Markowi od razu przypomniał się szpital. Tylko pachniało znacznie przyjemniej, jakby świeżo pieczonym sernikiem.

Marek wyjął z torby podróżnej piżamę (jedną z niewielu

rzeczy, która pozostała Marii po mężu) oraz przybory toaletowe i poszedł do łazienki. Mała, zagrzybiała, ale najważniejsze, że była w pokoju. Marek nie cierpiał publicznych pryszniców. Zawsze próbował wymknąć się ukradkiem, żeby nikt niepowołany nie zobaczył jego zbyt chudych nóg. Nie wiedział czemu, ale odkąd pamiętał, wstydził się właśnie tych patyczkowatych nóg. Nigdy nie udało mu się wyjść niepostrzeżenie, zazwyczaj ktoś w ostatniej chwili się pojawiał. Najczęściej były to jego córki – wiedząc o zabawnej fobii tatusia, lubiły robić mu psikusy. Jego dziewczynki. Ciekawe, co teraz robią... Z rozmyślań wyrwało go natarczywe pukanie. Szybko dokończył mycie zębów, który to zabieg zwykle zajmował mu ponad trzy minuty, i otworzył drzwi.

- Sikać mi się chce! – jęczał Stefan w progu.

- A co? Nie ma w pobliżu innych toalet? – spytał Marek, ale potem pomyślał o swojej własnej fobii i zrobiło mu się głupio. Na szczęście Stefan nie odpowiedział.

W pokoju Marek ze zdumieniem odkrył na stoliku oddzielającym ich łóżka sześciopak piwa, dwie paczki chipsów i talię kart.

- Może to nie jest popcorn, ale trochę podobne. A co do bzdurnych filmów: ciągle lecą w telewizji – powiedział Stefan po wyjściu z łazienki.

Marek się roześmiał.

- Jesteś naprawdę ... – zawahał się przez chwilę – dobrym kolegą. Jeśli naprawdę tego chcesz, mogę nawet porzucić się z tobą chipsami.

Telewizji nie oglądali, nie rzucali się także chipsami – po prostu je zjedli. Stefan okazał się natomiast świetnym towarzyszem podróży: opowiadał barwne historie, znał mnóstwo dowcipów i nieźle grał w makao. Marek przez moment rzeczywiście poczuł się, jakby znów miał dwanaście lat. Kiedy więc następnego dnia Stefan ni z tego ni z owego oznajmił, że zamierza zawieźć go do Mirowa i nie chce słuchać żadnych negatywnych odpowiedzi, Marek się ucieszył. Miał już powyżej uszu samotnej wędrownki.

- Kogo szukasz? – zapytał nagle Stefan, kiedy siedzieli już w samochodzie.

- Co takiego? – zdziwił się Marek.

- Doskonale znam to miejsce – mówił dalej Stefan. Wyraz jego twarzy zmienił się. Stała się nieprzenikniona, daleka. – Byłem... – zamilkł na chwilę, jakby szukał właściwego słowa – w środku. Dziesięć bardzo długich lat.

- Nie rozumiem... – zaczął mówić Marek, ale Stefan mu gwałtownie przerwał. Zmiana, która w nim nastąpiła w bardzo krótkim czasie była tak ogromna, że aż przerażająca.

- Ależ rozumiesz! – krzyknął. – Na pewno czułeś kiedyś zimną, oślizgłą pustkę, która wtargnęła ukradkiem do twojej duszy i nie chciała jej opuścić. Na pewno! – Przerazenie pojawiło się na jego twarzy. Spojrzał przelotnie na Marka, jakby sprawdzał wrażenie, które na nim zrobił. – To miejsce... Zresztą nawet nie miejsce, ale to, co się dzieje tam

z człowiekiem, jest... jest nie do opisania...

- Czy ty specjalnie tak to wszystko gmatwasz? - zniecierpliwiał się Marek.

- Znasz się trochę na fizyce? Wiesz, czym jest próżnia? Całkowitym brakiem energii, tak? A tamto miejsce? To coś, co tkwi między dwoma światami. Nie należy ani do pierwszego, ani do drugiego. W teorii jest niczym, całkowitym zerem.

- Bzdura! - krzyknął Marek. Twarz mu poczerwieniała ze złości. Potem dodał już spokojnie: - Jestem fizykiem z wykształcenia. Dlatego mogę ci powiedzieć, że się mylisz. Od kilkudziesięciu lat wiadomo już, że w próżni istnieje energia o bardzo niskim natężeniu, ale jednak. Powiem nawet więcej, według niektórych współczesnych fizyków wszystkie istniejące cząstki elementarne zrodziły się z próżni. Jeśli nie wiesz, to właśnie z tych cząstek powstają potem atomy, następnie molekuly i tak dalej, i tak dalej. To prowadzi do wniosku, że cały świat materialny powstał z próżni. Nie chcę cię męczyć zbyt długim wywodem, zwłaszcza że teoria, którą znam i uznaję, jest bardzo obszerna i kontrowersyjna. Dręczy mnie jednak jeszcze co najmniej jedno pytanie... - Skierował spojrzenie na Stefana i patrzył długo. Brzmiały mu w uszach słowa Marii: „Nikt stamtąd nie wychodzi, a jeśli nawet, to nic nie pamięta. Nic nie pamięta...” - Skąd... wiesz? - pytał, jakby gładząc każde słowo - że tam byłeś?

Stefan spuścił głowę.

- Nie mogę ci powiedzieć.

Marek poczuł, że traci cierpliwość.

- To po co mi w ogóle zawracasz głowę?! - krzyknął.

- Wiesz, jak tam się dostać? Jeśli tak, mój przyjazd tutaj był zupełnie niepotrzebny. Podrzucę cię do Mirowa i jadę dalej.

- Nie wiem - odpowiedział Marek spokojnie. - Nie mam zielonego pojęcia. Miałem chyba nadzieję, że to coś mnie po prostu wchłonie, jak zrobiło to z innymi.

Stefan się zaśmiał. Był to śmiech gardłowy, bardzo nieprzyjemny.

- Być może tak będzie - odpowiedział. - Ale ja znam też inny sposób. Trzeba skoczyć. Interesowałeś się kiedyś filozofią? Od fizyki do filozofii krótka droga. Słyszałeś o Kierkegaardzie? Mówił on, że w życiu mamy tylko dwa wybory: poddać się sceptycyzmowi albo skoczyć w absurd, czyli uwierzyć w Boga, nie mając nawet dowodów na Jego istnienie. Właśnie dlatego, że nie możemy pojąć Boga obiektywnie, musimy w Niego uwierzyć. Widzisz, on podaje rozwiązanie na tacy. Skok. Z niższego poziomu na wyższy, z jednej rzeczywistości do drugiej, ze świata w próżnię. Skok i wiara. To wystarczy.

Marek pokręcił głową.

- To wszystko brzmi bardzo pięknie - stwierdził. - Tylko że u Kierkegarda większość dzieje się w głowie, a my musimy tego dokonać naprawdę.

- Tak myślisz? - Stefan spojrzał na niego z politowaniem.

- Myślę - odpowiedział Marek - że ten skok musi się odbyć w konkretnym miejscu, a nie gdziekolwiek.

W tym momencie zauważył, że samochód stoi na leśnej ścieżce.

- Stoimy tu już od dłuższego czasu - stwierdził Stefan. Patrzył na wprost, przez przednią szybę. - Jesteśmy na miejscu. Spójrz tam. - Wskazał ręką przed siebie. - Czuję dziwny niepokój. Może to przez nich? Wyglądają, jakby byli we śnie. Potykają się o korzenie. Wstają i idą dalej. Tam przecież nic nie ma, tylko las i... - zamilkł. - O psia mordą! - wyrwało mu się.

Marek popatrzył na niego z uśmiechem. Poczuł, że Stefan w chwili realnego zagrożenia znów staje się sobą. Dopiero potem spojrział przed siebie i przestało mu być do śmiechu. Przez las szli mężczyźni i kobiety. Mężczyźni w długich jesiennych płaszczach i cylindrach, kobiety w garsonkach i delikatnych apaszkach. Wszyscy osobno, ale w jednym kierunku - na przełaj, przez las. Nie to było jednak najgorsze. Marek był niemalże pewien, że w jednym z tych elegancko ubranych mężczyzn rozpoznaje wybitnego fizyka i swojego ukochanego nauczyciela, Witolda Talarkiewicza. Niewiele myśląc, wysiadł z samochodu i pobiegł za nim. Zdawało mu się tylko, że Stefan krzyczy coś jakby „stop!”, „nie rób tego”, „to pułapka!”, ale równie dobrze to świszczący w uszach wiatr mógł powodować różne omamy. Kiedy Marek niemal dotknął ramienia swojego nauczyciela, ten jakby zapadł się pod ziemię. Chwilę później on także poczuł, że jego nogi tracą oparcie. Po chwili znalazł się w totalnej szarości, tak gęstej, że nie widział nic wokół siebie. Nie czuł, że spada, tylko że ta gęsta materia pcha go

gdzieś w nieznanym kierunku i jednocześnie wypełnia od środka zimnym uczuciem, podobnym do obojętności. *Jak to dobrze, że mam doskonałą pamięć* – pomyślał, czując, że traci świadomość. Wiedział, że musi się ucześcić jednej myśli, jednej jedynej, takiej, która wystarczy, żeby pociągnąć za sobą cały ciąg wspomnień. Wybrał zdjęcie sprzed kilku lat, jego ulubione, które w chwilach największego smutku przywoływał w pamięci. To było zdjęcie z urodzin bliźniaczek. Rodzina klaunów. On w pstrokatym kombinezonie i różowej peruce. Grażyna zużyła pół pomadki, żeby zamalować całej gromadce nosy na czerwono. Na policzki pasta do zębów – drażniła skórę niemiłosiernie, ale doskonale spełniła swoje zadanie. Oczy Marka były dziełem twórczej współpracy córek. Najgorzej było, kiedy hektolitry tuszu do rzęs zaczęły drażnić śluzówki. Łzy spływały potem po białych policzkach, tworząc niemal symetryczne czarne strumienie po dwóch stronach twarzy. Kiedy Marek nie mógł już wytrzymać pieczenia, roztarł resztę tuszu rękami. Wyglądał potem jak dalmatyńczyk z dwiema czarnymi łatkami na oczach, no i z czerwonym nochalem.

Dziewczynki były jeszcze bardziej bezwzględne wobec siebie nawzajem. Cienie do powiek nałożyły nie tylko na powieki, ale również na skronie oraz pół czoła. Tuszu naładowały tyle, że każda rzęsa miała grubość około milimetra. Na koniec małe kobietki dorwały się do eyelinera. Obrysowały sobie nawzajem oczy, jeśli do oczu zaliczyć można również pół powieki górnej i pół dolnej. Mimo że wyglądały bardziej jak papugi niż klauniątka, Markowi

bardzo się ich przebranie podobało.

Tak, cudowne zdjęcie. Schylony wpół Marek wyciąga prosząco łapy do przodu i uśmiecha się rozbrajająco wprost do aparatu. Uśmiechnięte od ucha do ucha dziewczynki opierają się na jego plecach. Widać przede wszystkim czerń, czerwień i błyskające bielą zęby. A Grażynka woli mieć kontrolę nad wszystkim. Wybrała rolę mentora: „Proszę Państwa, pragnę Państwu przedstawić rodzinę klaunozwierzaków”..

Z tą myślą, z zastygłym uśmiechem na twarzy Marek zapomina.



Paulina miała ciężkie zapalenie płuc. Od czterech dni Grażyna nie widziała się z nią. Lekarz mówił, że to nie ma sensu, bo i tak pacjentka większość czasu śpi lub majaczy w gorączce. Dla zabicia czasu Grażyna zaczęła wyjeżdżać z mistrzem na wykłady. Zdziwiła się, jakim jest autorytetem w swojej branży: udzielał lekcji hipnozy wielu medialnym postaciom, m.in. politykom, prawnikom, lekarzom, dziennikarzom.

Zawsze zaczynał od tego samego. Włączał muzykę. To nie był jakiś tam szum fal, powiew wiatru czy śpiew słowików. Nie, mistrz wykorzystywał technologię hemi-sync, używał drgań dźwiękowych, które pozwalały na synchronizację półkul mózgowych. Dzięki temu mógł, nie mówiąc dosłownie nic, wprowadzać ludzi w stan hipnozy. Szybko i bez wysiłku. Synchronizacja półkul, jak tłumaczył Grażynie mistrz, powoduje, że ludzki mózg nareszcie potrafi wykorzystać drzemiący w nim potencjał.

- Zazwyczaj wykorzystujemy tylko lewą półkulę -

tłumaczył Zygmunt. - Nawet jeśli prawa zadziała, lewa natychmiast to przechwytyje i interpretuje po swojemu. Wszystkie niewerbalne przekazy, intuicję, sny, marzenia, uczucia. Dwa przeciwstawne wymiary, z których jeden ma zdecydowaną, nieodwołalną władzę. Człowiek wtajemniczony w technologię hemi-sync może pobudzać dowolne rejony ludzkiego mózgu. Ma władzę. Podczas takiego seansu może czerpać siły bezpośrednio ze Źródła Wszelkiej Energii. Może poznawać inne wymiary. Wykorzystuje cały potencjał swojego mózgu, a to oznacza, że wie i czuje o wiele więcej.

Grażyna, kiedy pierwszy raz uczestniczyła w takim seansie, poczuła się oszukana. Jedyną zmianą, jaką wtedy w sobie zauważyła, było głębokie odprężenie - jak po masażu - i przyjemne mrowienie w okolicy kręgosłupa. W sumie niczego więcej się nie spodziewała. Nie wierzyła w te bzdury. Mimo wszystko musiała przyznać sama przed sobą, że po takiej sesji czuje u siebie niezmiernie pokłady energii.

Po wprowadzeniu uczestników seansu w stan relaksu mistrz zaczynał przedstawienie. Włączał ogromną wytwornicę dymu. Mgła rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Wtedy do sali wchodziło pięciu mężczyzn w szarych habitach. Spiczaste kaptury przesłaniały ich oczy. Zupełnie niepotrzebnie. I tak większość szczegółów zakrywała mgła. Mnisi nieśli ze sobą lampiony, które stawiali na długim dębowym stole.

Pogrążeni w głębokim relaksie uczestnicy wykładu siedzieli na potężnych dębowych krzesłach po dwóch stronach tego stołu. Mieli na sobie długie białe szaty.

Pozostawione na poziomie głowy lampiony rozpraszały mgłę, wydobywając szczegóły z twarzy zahipnotyzowanych postaci. Mnisi odchodzili potem w półcień, w najdalszy zakamarek sali, stając się niewidzialnymi świadkami rytuału. Potem do światła zbliżał się mistrz. Sam miał na sobie czarny habit. Zdejmował z oczu mroczny cień kaptura. Potem po kolei zaglądał w twarze śpiących uczestników seansu. Zazwyczaj z zadowoleniem odkrywał, że wszyscy są gotowi. Wtedy następował etap pytań. Zdradzali mu wszystko. Nieopatentowane pomysły na wynalazki, tajemnice wagi państwowej, słodko-gorzkie tajniki życia po drugiej stronie kamery. Mistrz chłonał wszystko, ale na wszelki wypadek również nagrywał. Potem wybudzał wszystkich naraz powolnym, melodyjnym głosem nieznoszącym sprzeciwu. Dopiero wtedy rozpoczynała się lekcja. Uczył ich tradycyjnych metod hipnozy. Ćwiczyli w parach, z miernym zazwyczaj skutkiem. Grażyna również została dopuszczona do tych lekcji.

- Nie będziesz używać tej metody - powiedział jej mistrz bez ogródek przed pierwszą taką sesją. - Jest wyczerpująca i niedoskonała. Ale musisz się jej nauczyć na blachę jak pacierza. Pamiętasz?

Tak, pamiętała doskonale. Miała wtedy sześć lat. Ojciec wręczył jej katechizm i kazał nauczyć się *Ojciec nasz*. Powiedział, że taka jest tradycja w jego rodzinie. Zawsze ojcowie uczyli swoje dzieci, jak się powinny modlić.

- Czytaj mi, tato - poprosiła wtedy Grażyna. - Tak będzie mi łatwiej zapamiętać.

I rzeczywiście przeczytał. Czytał jej codziennie przed snem, aż razem z nim mogła powtarzać słowa modlitwy. Potem w taki sam sposób nauczył ją całego pacierza. Uwielbiała te chwile. Kiedy ojciec zniknął, modliła się zapalczywie po kilka razy dziennie. W ten sposób czuła się nie tylko bliżej Boga, ale też ojca. Powtarzając słowa modlitwy, słyszała w głowie jego głos. A teraz? Miała ochotę spytać, w co on teraz wierzy. Co zostało po tej wierze, którą w tak piękny sposób zaszczepił w jej dziecięcym serduszku? Mgła, mnisie szaty, świece? Rytuały łudzaco podobne do kościelnych misterii? Wiara w pseudomisję?

Grażyna poczuła, jak bardzo tęskni za tamtymi chwilami. Miała ochotę krzyknąć, żeby ojciec w taki sam sposób nauczył ją swojej nowej religii. Nieważne, jaka jest - słuszna czy nie - byleby znowu poczuć to samo: ufność, więź, szczęście. Zamknęła oczy i mimowolnie zaczęła szeptać *Ojcze nasz*. Dalej słyszała ten głos.

Wtedy, pod wpływem nagłego impulsu, powiedziała:

- Mów mi, tato. Mów, aż zapamiętam.

Dopiero po tych słowach się opamiętała. Spojrzała w twarz mistrza, starając się wyczytać reakcję. Pojawił się na niej nieodgadniony uśmiech, nic więcej.

Doskonała synchronizacja półkul - pomyślała Grażyna. Znowu poczuła to głupie klucie w sercu.

- Dobrze, córko - odpowiedział mistrz. Jego obecny głos był zimny i nieobecny, tak bardzo odmienny od tamtego.

Grażyna wiedziała, że nie chce go pamiętać. Dlaczego ojciec nie mógł mówić do niej tak jak do tych wszystkich ludzi podczas wykładów? Rozumiała, że to tylko narzędzie do osiągnięcia celu, ale... Przecież ją też chciał w pewien sposób zahipnotyzować, chciał, żeby przeszła na jego stronę. Gdyby używał tego głosu, byłby znacznie bliżej celu. Z drugiej strony może nie chciał jej okłamywać, że jest inny niż w rzeczywistości? Pragnął, żeby polubiła jego nowy wizerunek i podczas wyboru drogi kierowała się prawdą. Czy to możliwe, żeby ten zimny, okrutny człowiek miał w sobie tyle szlachetności?

- Oto najważniejsze punkty dobrze przeprowadzonej hipnozy: bierność, spokój, pewność siebie, relaks. Jeśli nie macie w sobie charyzmy, odpuście sobie te wykłady. Jeżeli w realnym życiu w żaden sposób nie potraficie wpłynąć na działania innych, naprawdę szkoda waszego czasu. Musicie zacząć od czegoś innego, od pracy nad sobą. Tak, wszystko da się wypracować, powiem nawet więcej - dobry hipnotyzer potrafi dokonać zmian w charakterze człowieka. Mógłbym tutaj z powodzeniem w jeden wieczór uczynić z was liderów, ale nie takie jest moje zadanie i zamierzam się skupić tylko i wyłącznie na jednym: hipnozie w teorii i praktyce.

On miał charyzmę na pewno. W trakcie wykładów ludzie milczeli, jakby cały czas w oczekiwaniu na słowa mistrza. Na samym początku zajęć Zygmunt wymieniał zasady, które bezdyskusyjnie obowiązują na jego zajęciach: cisza,

natychmiastowe wykonywanie poleceń, maksymalna koncentracja. Uczestnicy wykładów trzymali się tych zasad bez zastrzeżeń. Grażyna wątpiła, żeby jakikolwiek inny wykładowca na świecie mógł pochwalić się tak wiernym i posłusznym audytorium.

Mimo zachęty ze strony mistrza nikt nigdy nie opuścił jego zajęć. Grażyna była pewna, że po prostu ludzie bali się wykonać jakikolwiek ruch. Nawet ona się bała, choć wielokrotnie korciło ją, żeby przerwać tę świętą ciszę pytaniami, które przychodziły jej do głowy podczas wykładów.

- Czym jest bierność? - kontynuował mistrz. - To czysta obserwacja pozbawiona jakiegokolwiek zaangażowania w to, co słyszycie. Wsłuchiwanie się w słowa hipnotyzera oraz w uczucia, które rodzą się w was pod ich wpływem. Na wątpliwości, uwagi przyjdzie czas po seansie, na początku konieczna jest stuprocentowa akceptacja. Taka jest teoria. Bzdury. Majaczenie laika, który myśli, że jest wielkim autorytetem w dziedzinie hipnozy. W porządku, może trochę przesadzam, dziewięćdziesiąt osiem procent hipnotyzerów w tym kraju nie przebija się przez barierę podświadomości. Dzieje się tak dlatego, że nie mają oni charyzmy ani posłuchu u ludzi. - Mistrz rozejrzał się uważnie po słuchaczach. Łyknął wody ze szklanki, która stała na jego biurku. W ciągu jednego dwugodzinnego wykładu był w stanie wypić całą półtoralitrową butelkę wody mineralnej. Skinął na mnichów-ochroniarzy, wspólnie podeszli do długiego stołu, przy którym siedzieli uczestnicy wykładów. Następnie mistrz,

używając rąk mnichów jako dźwigni, wspiął się na stół. – Najważniejsze to mieć kontrolę nad ludzkimi umysłami – kontynuował mocnym, nieznanym sprzeciwu głosem – a żeby to osiągnąć, trzeba wiedzieć, jak ludzki mózg działa. Oto przykład: dajesz nieznanemu osobie prezent. Zupełnie bezinteresownie, nie pragnąc nic w zamian. I co się dzieje potem? Być może istnieją ludzie, którzy przechodzą nad tym do porządku dziennego i szybko zapominają. Osobiście nie znam takich. Najczęściej taki gest wzbudza w nich pragnienie odwzajemnienia się. Może bym przesadził, mówiąc, że nie daje im to spać po nocach, ale na pewno przeszkadza normalnie funkcjonować. Tracą czujność. I w tym właśnie momencie wkraczacie wy. Od wdzięczności jest blisko do zaufania. Mniej więcej w taki sposób działa wiele sekt. Ja jednak nie zamierzam się mocniej zagłębiać w ten temat. Jeśli jesteście zainteresowani, poczytajcie o NLP czy innych technikach sterowania umysłem. Jednego jestem pewien, nikt z was nie osiągnie tego, co ja. Potrafię zahipnotyzować każdego, no może z wyjątkiem dwóch osób, w ciągu trzydziestu sekund.

Tak, ten głos przemawiał nie tylko do Grażyny. Widziała to w twarzach wszystkich uczestników wykładu. Mogli go słuchać bez końca, niezależnie od tego, co mówił. *Czy mnie też tak będą słuchać?* – przemknęło przez myśl Grażynie. Kto nie marzy o tym, żeby elektryzować publiczność. A jeśli ona ma możliwość...? Nagle doskonale zrozumiała postępek ojca

sprzed lat. Tam nic mu nie wychodziło. Był, co tu dużo mówić, nieudacznikiem. A teraz, tutaj? To najbardziej elektryzujący człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała. Tysiące ludzi czekają na jego słowa, niemal spijają mu je z warg. Niesamowite.

- Jak wprowadzić klienta w stan relaksu? - kontynuował mistrz. - Istnieje wiele sposobów. Ja zawsze używałem tylko głosu. Wielu hipnotyzerów używa jednak do tego celu palca wskazującego. Mówią, że tak jest najprościej, więc myślę, że na dobry początek właśnie tę metodę zastosujemy. - Zeskoczył na ziemię i dotknął ramienia grubszego mężczyzny w okrągłych okularach siedzącego z brzegu stołu. - Zapraszam pana - powiedział do niego i wykonał zapraszający gest ręką. Zatrzymali się mniej więcej pośrodku sali, tak żeby wszyscy widzieli.

- Przedstaw się, proszę.

- Dawid Wysocki, pisarz.

Grażyna spojrzała na mężczyznę z zainteresowaniem. No tak, to rzeczywiście on. Widziała kiedyś jego zdjęcie w „Polityce”, był najbardziej obiecującym pisarzem młodego pokolenia. W ostatnim roku został nominowany do Paszportu „Polityki” za powieść obyczajową, która się nazywała bodajże *Fabryka śmiechu* czy jakoś tak. Grażyna obiecała sobie, że kiedy się to wszystko skończy, zamówi tę książkę w księgarni internetowej.

- Teraz proszę cię, abys złączył nogi. Doskonale. - Mistrz

podniósł rękę z wyciągniętym palcem wskazującym na wysokość czoła rozmówcy. - Teraz skupiasz całą swoją uwagę na tym palcu. - Głos mistrza zmienił się. Stał się łagodny, niemal dotykalnie miękki, a jednocześnie stanowczy. - Czujesz, jak twoje oczy stają się coraz cięższe i cięższe, opadają coraz niżej i niżej. Mój palec powoli zbliża się do twojego czoła, a kiedy go dotknie, zamkniesz oczy, a twoje ciało będzie całkowicie zrelaksowane. - Mistrz powoli zbliżał palec. - Twoje powieki są coraz cięższe i cięższe, zamykasz oczy, jesteś całkowicie rozluźniony. Teraz wyobraź sobie, że znajdujesz się w swoim ulubionym miejscu rozluźnienia. Może jest nim bujany fotel, a może łóżko. Usadów się tam wygodnie, ponieważ za chwilę zacznę odliczać w dół od dziesięciu do jednego. Z każdą kolejną cyfrą pozwalaj, by twoje fizyczne i umysłowe rozluźnienie stawało się coraz głębsze. Kiedy doliczę do jednego, będziesz całkowicie rozluźniony i szczęśliwy. Dziesięć... razy mocniej wchodzisz w trans, który pogłębia się z każdą malejącą cyfrą, dziewięć, osiem, siedem, sześć... jeden. Wspaniale. Teraz całkowicie zrelaksowałeś swoje ciało i umysł... Pozostań przez chwilę w tym stanie, ponieważ kiedy doliczę do trzech, otworzysz oczy i poczujesz się tak dobrze, jak nigdy w życiu. Będzie cię przepęłniało szczęście, energia, miłość i moc twórcza. Będziesz się czuł lekki i w pełni zrelaksowany. Jeden. Powoli się przebudzasz, a z każdym oddechem napływa do twojego ciała pozytywna energia. Dwa. Radość coraz bardziej wypełnia twoje ciało. Kiedy usłyszysz ostatnią cyfrę, otworzysz oczy i poczujesz pasję tworzenia

i bezgraniczne szczęście. Trzy. Otwórz oczy, poczuj się szczęśliwy i przepelniony mocą twórczą! Właśnie dziś zaczniesz pisać swoje najlepsze dzieło!

Kiedy Dawid otworzył oczy, wyraz jego twarzy wystarczył za wszystkie słowa. Widniało na niej takie błogie zadowolenie, wręcz rozanielenie, że Grażyna nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Zakodowała sobie jednak kolejną cenną uwagę: hipnoza może przynosić radość i wiele dobrego.

Mistrz zaczął udzielać córce lekcji również poza wykładami. Siedzieli w jaskini, w półmroku dużej sali, z boomboksa sączyła się muzyka relaksacyjna lub hemi-sync. Grażyna uczyła się panować nad własnym ciałem i umysłem. Mistrz cierpliwie tłumaczył jej, jak powinna intonować głos i w jakim odstępie wybudzać z hipnozy. Gdy już została wstępnie przeszkolona, Zygmunt zaprosił do zabawy Artura.

- Wyciągnij z niego, ile się da. - Mrugnął do Grażyny.

Z wprowadzeniem w stan hipnozy nie było żadnego problemu. Najbardziej zaskoczyło Grażynę, że potrafi używać głosu. Nie poznawała samej siebie podczas seansu. Doskonale wiedziała, co ma robić, w jakiej kolejności. Wszystko się zmieniło, kiedy zaczęła zadawać pytania.

- Co robisz dla mojego ojca?

- Wszystko. Gotuję, sprzątam, ochraniam.

- Dlaczego to robisz? Płaci ci za to?

- Taak - zawahał się Artur. - Ale ja nie dlatego to robię.

- A dlaczego?
- On mnie uratował.
- W jaki sposób? Mógłbyś udzielać bardziej szczegółowych odpowiedzi?
- Wyciągnął mnie z próżni.
- Co takiego? Czy to jakiś żart? - zdenerwowała się Grażyna. I w tym momencie czar prysł. Czowała, że już się nie może skupić. *Koniec przesłuchania* - pomyślała. Bo rzeczywiście cała ta zabawa w hipnozę była jak niekończące się przesłuchanie, nawet jeśli stanowiła rodzaj terapii. *Grażyna, weź się w garść. To jeszcze nie koniec.* Wzięła kilka głębokich oddechów. - Kiedy policzę do trzech, otworzysz oczy i poczujesz przepełniającą cię radość. Będziesz miał wielką ochotę ugotować nam przepyszny obiad. - *A co tam, nie szkodzi spróbować...* - Jeden. Powoli się przebudzasz, z każdym oddechem napływa do twojego ciała pozytywna energia. Dwa. Odczuwasz coraz większą radość. Trzy. Przebudzasz się całkowicie szczęśliwy i pełen energii. I idziesz gotować obiad.

Artur otworzył oczy i nie patrząc na nikogo, skierował się w stronę korytarza.

- Dokąd idziesz? - spytała Grażyna. - Jeszcze musimy omówić parę rzeczy.

- A obiad?

Zdumiona Grażyna spojrzała na mistrza.

- Tylko tyle wystarczy? Jedno zdanie i masz obiad? To straszne! Ludzki umysł jest taki słaby? Tak łatwo da się kierować?

Mistrz się roześmiał.

- Nie do końca. Artur chyba chce ci się przypodobać. Jakby nie chciał, sugestia by nie zadziałała. Dlatego ja używam czegoś więcej. Muzyki. Teoretycznie hemi-sync działa, kiedy masz na uszach słuchawki. W praktyce można stworzyć iluzję posiadania. Bardzo proste, prawda?

- No tak, wmawiasz hipnotyzowanej osobie, że ma na uszach słuchawki. Tym sposobem niemal sama wprowadza się w głęboki trans, podczas którego mistrz może dowiedzieć się lub poprosić o wszystko, czego zapragnie. Doprawdy, bardzo to etyczne i humanitarne - stwierdziła Grażyna niemal na jednym wydechu.

Mistrz roześmiał się głośno. Potem nagle spowaźniał. Podszedł bardzo blisko Grażyny.

- Rozumiesz więc - powiedział zimno - że cały świat może być nasz. Prawie bez wysiłku. Jesteśmy niepokonani. Ty, ja i arcymistrz. Święty trójkąt. Musisz, po prostu musisz pójść z nami.

Grażyna nagle spochmurniała.

- Niczego nie muszę - powiedziała. - Mój świat tworzy moja rodzina. Dla ciebie nie ma tam miejsca od jakichś dwudziestu lat!

Mistrz się roześmiał.

- Gdzie teraz jest twoja rodzina, no gdzie?! - Okręcił się z rozpostartymi ramionami wokół własnej osi. - Bo tu jej nie ma!

- No właśnie - odpowiedziała Grażyna twardo. - Jeśli tutaj zobaczę moją rodzinę, być może zgodzę się na twoje

warunki.

Arcymistrz go ostrzegał. To będzie trudna walka. Ta mała ma charakterek po matce. Bardziej liczą się dla niej durne społeczne konwenanse niż władza. Tak, Zygmunt doskonale pamiętał, jak przychodzili do niego rodzice innych dzieci dziękować za córkę. A to odstąpiła koledze pracę domową, nad którą męczyła się pół dnia, a to napisała koleżance wypracowanie z polskiego, w trzy minuty co prawda, ale to przecież też się liczy. Mistrz uśmiechnął się do wspomnień, ale była to ledwie zauważalna chwila słabości. Błyskawicznie przywołał się do porządku. *Robisz się sentymentalnym głupcem* - zbeształ sam siebie. - *Czas pokazać, na co naprawdę mnie stać.*

- Przyprawdzą ich do ciebie, jeśli się zgodzisz na spotkanie z arcymistrzem - odpowiedział opanowanym głosem. - Ostrzegam cię jednak, jeśli nie będziesz posłuszna, przestanę być taki miły dla ciebie i twojej rodziny. Od ciebie zależy los twoich bliskich. Dajmy na to, twojego męża... Nawet go poznałem. Całkiem miły, ale za grosz nie ma orientacji w terenie. Jedno moje słowo, a rozleci się w popiół. Zniknie, po prostu zniknie. A bliźniaczki!? Oj tak! Urocze dziewczynki! No właśnie! Przydałoby się, żeby ktoś je delikatnie utemperował. Za bardzo wtykają nos w nie swoje sprawy! Potrzebujesz jeszcze jakiegoś argumentu? Mam w zanadrzu dużo tego.

Grażyna słuchała ojca z niedowierzaniem. Jeszcze chwilę

temu wydawało jej się, że jest w stanie go odzyskać. Naiwna! Myślała intensywnie. Jeśli mu odmówi, najprawdopodobniej skaże na śmierć Marka. Jeśli się zgodzi – być może też, ale istnieje odrobina nadziei, że jednak nie. Wiedziała, że nie ma żadnej gwarancji, że po spotkaniu z jakimś tam pseudoarcymistrzem ojciec sprowadzi jej męża i dzieci. Był zdolny do wszystkiego. Znała takich ludzi oddanych jednej jedynej idei, tak pewnych jej słuszności, że aż ślepych. Tak, ojciec był zaślepiony. Widziała to w jego oczach. Były twarde, pozbawione wyrazu, jak kamień.

- Czuję – powiedziała wreszcie z wahaniem – że chyba nie mam wyjścia. Ale zanim to nastąpi, chcę, żebyś mnie nauczył wszystkiego, co sam umiesz. I powiedział, czym jest próżnia, o której mówił Artur.

- Na pierwsze – odpowiedział mistrz, uśmiechając się zwycięsko – zgadzam się od razu i bez wahania. O tym, czym jest próżnia, dowiesz się w swoim czasie, gdy już będziesz gotowa. Tymczasem żegnam. – Skłonił się sztywno i zniknął w korytarzu.

Grażyna poczuła nagły przyływ euforii. Wiedziała, że chce się uczyć, że za wszelką cenę pragnie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, czym jest próżnia i na czym konkretnie polega idea, która tak bardzo zaślepia. Nie była jednak pewna, czy pragnie tej wiedzy po to, aby odzyskać rodzinę, czy dla idei samej w sobie. Przestraszyła się, odnalazła w sobie cechy, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Czowała, że pociąga ją świat ojca, świat błysku reflektorów, tajemnic, świat władzy. Władza – czym była, że

ludzie gotowi byli dla niej zabijać? Nagle zapragnęła się tego dowiedzieć.

Tego dnia lekarz wpuścił ją do mamy. Paulina wyglądała znacznie lepiej, choć nadal jej oczy zdradzały, że choroba jeszcze nie dała za wygraną. Na widok córki uśmiechnęła się pogodnie.

- Co się stało temu dziadowi, że dał mi taki luksusowy apartament? - spytała na wstępie.

Grażyna usiadła na brzegu łóżka i wzięła mamę za rękę.

- Znacznie lepiej wyglądasz - powiedziała. - Bardzo się cieszę. Ojciec po prostu się stara.

- Tego cholernego drania nazywasz ojcem?

- Ale on naprawdę się stara - usprawiedliwiała go Grażyna. - Uczy mnie - dodała, ale prawie od razu pożałowała swoich słów.

- Uczy cię?! - Paulina aż usiadła z przejęciem. - Brzydzę się przemocą, ale tego drania zabiłabym bez wahania, jakbym mogła. Niestety mam też alergię na krew.

Grażyna roześmiała się wesoło.

- Wiem doskonale. Mam to po tobie. Pamiętasz, jak zemdlałam w poczekalni, kiedy za drzwiami pobierano bliźniaczkom krew?

Paulina uśmiechnęła się niemal niezauważalnie.

- Cuciałam cię wtedy. - Spojrzała czujnie na Grażynę. - Dziecko, czy ty naprawdę wiesz, co robisz? Bo ja już czuję się lepiej... - Zniżyła głos do szeptu. - Mogłybyśmy stąd zniknąć.

Niestety ten drań kontroluje moją część układanki, ale nadal mam potężnych przyjaciół, są w stanie nam pomóc, jakbyś tylko chciała.

Oczy Grażyny zwięzły się.

- Mam inny pomysł - odpowiedziała twardo. - Niestety nie mogę ci powiedzieć, bo ojciec jest w stanie wydusić z ciebie wszystko. Dlaczego musisz mieć taki słaby umysł?! - spytała niemal z pogardą.

Paulina spojrzała na córkę z przerażeniem. - Już cię przekabacił?! - krzyknęła. - Ten drań zabiera mi córkę! Czy ty wiesz, czym on się zajmuje? Szukający od dawna go o to podejrzewali, teraz mamy już pewność. Słyszałaś o zaginionych dzieciach? Przepadają bez śladu, jakby się rozplywały w powietrzu.

- Wiem doskonale - odpowiedziała Grażyna. - A nawet więcej, byłam świadkiem porwania! Jejku! Całkowicie zapomniałam! Byłam świadkiem porwania! Wiem, gdzie zabrali dziecko! - krzyczała z przejęciem. - Mamo! Musisz koniecznie się stąd wydostać i odebrać im dziecko! Ulica Jarzębinowa 47!

- Musisz? - spytała Paulina ze smutkiem. - Naprawdę zamierzasz opuścić swoją matkę na rzecz tego człowieka, który bez skrępowania porzucił nas dawno temu dla jakichś wyświechtanych frazesów i majaków o własnej wielkości?

- Mamo! - Grażyna czule pogłaskała ją po policzku. - Zaufaj mi, proszę. Ja naprawdę wiem, co robię.

Tej nocy Paulina nie mogła zasnąć. Czuła niepokój. Działo się coś bardzo złego. Najgorsze było to, że nie była w stanie zaufać własnej córce. Widziała w jej oczach ten sam błysk, który dawno temu zobaczyła u Zygmunta. Błysk szaleństwa. Jej córka była już jedną nogą po stronie ciemności. *Powinnam była wymóc na niej obietnicę, że ucieknie razem ze mną* – pomyślała już któryś raz z kolei. Zaciśnęła zęby. Obiecała sobie, że za nic w świecie nie pozwoli na to, żeby ten drań odebrał jej dziecko! Teraz jednak nie mogła zrobić nic. I z tej bezsilności pierwszy raz od tej nocy, w którą przepadł Zygmunt, rozplakała się. Zasnęła dopiero nad ranem.

Spotkali się tam, gdzie zazwyczaj: na wieży widokowej. Strażnik przepuszczał ich od razu, wystarczyło kilka słów. Później nic nie pamiętał. Północ, wieża, zapierający dech w piersiach widok na cały Irys oraz wiele pomniejszych miasteczek wyrosłych jak płatki wokół ich najbardziej rozświetlonego miasta. Jeden piękny, ogromny kwiat. A obok niego następne i następne. Nieskończona ilość, świat, którym wkrótce mieli zawładnąć niemal bezboleśnie.

- Jesteśmy blisko - rzekł arcy mistrz z twarzą zwróconą w stronę kwiatów światła. Nagle się roześmiał. - Jacy z nich durnie! Sami zmierzają do samozagłady!

- Tak. My ich tylko delikatnie popychamy w odpowiednim kierunku. Właśnie tak powinien wyglądać każdy zamach stanu. Szybko, bez rozlewu krwi, niemal

niezauważalnie.

- Gdzie twoja córka? Czy nie powinna być tu z tobą?

- Jestem już bliski przekonania jej. Obiecałem jej, że po spotkaniu z tobą zobaczy męża.

- Widziałem go. Patrzyłem mu w oczy. Zapomniał. Ta obietnica była głupia. Jak go zobaczy, przestanie nam ufać.

- I do tego właśnie - mistrz skłonił się z szacunkiem - potrzebny jest dar przekonywania u arcymistrza.

- Och, I see - szepnął arcymistrz z uśmiechem. - Z tych: my także czynimy dobro.

- Dokładnie.

Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na ruch świateł.

- Życie - szepnął arcymistrz. - Z tej wysokości mógłbym niemal zamknąć je w dłoniach.

- Arcymistrzu, nie przyszło ci nigdy na myśl, że ten świat bez ludzi nauki i sztuki nie będzie miał już sensu, zatrzyma się w miejscu, popadnie w kompletną ruinę?

- Już tyle razem pracujemy, a ty wciąż nie rozumiesz przesłania? - spytał arcymistrz podniesionym głosem. - Oni nie znikną. Stworzymy ich na nowo.

- Ależ oni zapominają. Zapominają. Cóż nam po nich potem?

- Ruszże głową, bo już zaczynasz mnie irytować! - zdenerwował się arcymistrz. - Pamięć nie znika ot tak, nagle, jakby miała skrzydła. Może jedynie schować się w głębi podświadomości. Czy już domyślasz się reszty?

- Tak - odpowiedział mistrz, zaciskając mocno dłonie w pięści, żeby nie powiedzieć za dużo. Widział już takich, co

powiedzieli.

- Masz jeszcze jakieś idiotyczne pytania?

- Bliźniaczki...?

- Zapomnij o nich. Bez naszej pomocy zmierzają do samozagłady - w próżnię. Możemy je delikatnie pokierować w tamtą stronę, chociaż ta nadgorliwa kobieta, Maria, na pewno nas w tym wyręczy.

- A przepowiednia...?

- Byłeś kiedyś w próżni? Ludzie tam są bezwolni. Tabula rasa.

- W takim razie - odpowiedział mistrz cicho - jesteśmy prawdziwymi wybrańcami losu. Wszystko, czego pragniemy, wydarza się samo.

- I niech tak pozostanie - odpowiedział arcymistrz.

Potem obydwaj stali w milczeniu z twarzami skierowanymi w stronę Irysa. Mieli zamknięte oczy, a myśli i wizualizacje same kreowały przyszłe wydarzenia.

Pyzza spała niespokojnie, co rusz przewracając się gwałtownie na drugi bok. Obok niej na nocnej szafce stał niemal całkowicie uschnięty kwiat wanilii. Zmarniał zupełnie nagle, w ciągu dwóch godzin. Pyzza nie płakała, o nie. Bo co może wiedzieć jakiś głupi kwiat, skoro jej serce jest całkowicie pewne, że tatuś żyje? Miała ogromną ochotę wyrzucić doniczkę do kosza, ale nie zrobiła tego. Mimo wszystko uschnięty kwiat oznaczał, że zdarzyło się coś niedobrego. Pyzza musiała się dowiedzieć co. Przed snem

postanowiła, że rusza na poszukiwania mamy. Wujek Tomek, u którego nocowała, strasznie się plątał w zeznaniach. Opowiadał coś o jakimś parku, o jaskini, ale jedyne, co zyskała, to nagłe, dość chaotyczne przebłyski pamięci. Żadnej konkretnej wskazówki. Wiedziała, że raczej nie może liczyć na wujka. Miała przeczucie, że będzie błądzić jak w ciemności, być może nawet nie znajdzie ani mamy, ani babci, ani tym bardziej siostrzyczek, ale wiedziała, że musi coś zrobić. Sama.



- „Światem zawładnął zły i potężny arcymistrz Witold” - czytała Ania z przejęciem następnego dnia po śniadaniu.

- Phi - prychnął Wiktor z pogardą. - To jakaś bajka!

- Noktus miał taki styl. - Maria się uśmiechnęła. - Moim zdaniem dzięki temu lepiej się go czyta. No ale o gustach się nie dyskutuje.

- Niesamowite, że każdą przepowiednię zilustrował - stwierdziła Ania.

- Zilustrował, wykaligrafował, ubrał w formę przepięknej baśni - odpowiedziała Maria. - Od małości miałam nadzieję, że chociaż w części będę taka jak on.

Gosia spojrzała bystro na Marię.

- Zaskakuje pani nas wszystkich. To już dużo.

- Chcecie słuchać dalej?! - spytała zniecierpliwiona Ania.

- Będzie lepiej, jak ja wam opowiem w skrócie - wtrąciła Maria. - Otóż tak jak między cegłami w ścianach domu pomiędzy naszymi światami istnieje próżnia. Nie wiadomo, jakim sposobem, ale udało się arcymistrzowi zaadaptować ją

do własnych celów. Faktem jest natomiast, że dokonał tego i teraz próżnia oraz hipnoza to najgroźniejsze jego oręż. Czym jest próżnia? Trudno powiedzieć. Ja osobiście uważam, że powstaje w miejscu najmniejszego nagromadzenia energii. Tam, gdzie właśnie kończy się nasz świat, a wasz bardzo słabo na niego oddziałuje. W próżni ludzie zapominają siebie, poprzez niedosyt energii ich kontakty interpersonalne są bardzo utrudnione, według mnie to nie jest życie, tylko wegetacja. Oczywiście niektóre jednostki opierają się dłużej, ale i tak zawsze wygrywa próżnia.

- To jak pani mogła pozwolić tatusiowi, żeby tam poszedł? - spytała Gosia z wyrzutem. - A co, jeśli o nas zapomni?

- Ten stan nie jest nieodwracalny - odpowiedziała wymijająco Maria. - Tylko że...

- Tylko że co? - podchwyciła Ania.

- Do tej pory prawie nikt stamtąd nie wrócił. Ale... Właśnie w tym momencie przepowiednia mówi o was. Czytałyście już, prawda?

- Tak - odpowiedziały ponuro bliźniaczki.

- Nic z tego nie zrozumiałam - stwierdziła Ania.

- Przyszłość jest płynna. Zmienia się w zależności od naszych teraźniejszych wyborów. Noktus zostawił więc pewien... hmm... margines błędu.

- Ten Noktus to naprawdę fajny gość - wtrącił Wiktor z kpiną w głosie. - Gdyby nie portrety bliźniaczek, przestałbym kołesia szanować.

- Dobra, cicho. - Ania spojrzała na Wiktora

z dezaprobatą. - Potrzebuję teraz usystematyzować wiadomości. Czyli tak: ja z Goską mamy wejść do próżni, wydostać stamtąd wszystkich ludzi, przywrócić im pamięć i wtedy cała historia kończy się happy endem. Jednakowoż alternatywna wersja tej opowieści może brzmieć tak: wchodzimy do próżni i pozostajemy tam do końca naszego żywota, żyjąc bez trosk i bez pamięci. Jest jeszcze opcja, że nie wchodzimy do próżni, wracamy do domku i niech się wszystko rozwiąże samo. Cudownie! Świetlana przyszłość.

- Nie przesadzasz? - obruszyła się Gosia. - Zawsze musisz wszystko gmatwać. Nie słuchałaś pani Marii? Ryzyko błędu w takich przepowiedniach istnieje zawsze, ale tak naprawdę każdy dzień, każda minuta nawet naszego życia jest jakimś tam ryzykiem.

- Tak, tylko że dobrowolnie pakując się w próżnię, zwiększamy to ryzyko o dziewięćdziesiąt dziewięć procent!

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby nie zapomnieć? - zwróciła się do Marii Gosia.

- Trzeba zacząć się dziwić - odpowiedziała kobieta wymijająco.

- Co takiego?! - krzyknął Wiktor, który przez całą rozmowę siedział na blacie stołu i machał niecierpliwie nogami.

Maria spiorunowała go wzrokiem.

- Młody człowieku! Zachowujesz się co najmniej niestosownie! - powiedziała dobitnie.

- Niech pani się nie przejmuję - stwierdziła Ania z uśmiechem. - On już po prostu taki jest. Ale zapewniam, że

zyskuje przy bliższym poznaniu.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Maria chłodno. - Bo jak na razie zaczynam żałować, że nie posłałam Wiktora zamiast Mikołaja. Mikołaj jest grzecznym, ułożonym chłopcem, a ten tutaj...

- Dobrze, już nic nie będę mówić - stwierdził Wiktor z zaciętą miną.

- Widocznie - powiedziała Gosia patrząc znacząco na Anię - on jest tym złym bliźniakiem. Bo nie wie pani, jak to jest... U bliźniąt zawsze jest jedno, które obrywa za wszystko, zazwyczaj obwinia się je za całe zło. U nas na przykład to Anka. Za wszystkie nasze głupie pomysły, pyskowanie, bałagan zawsze obrywała ona, i to najczęściej niesprawiedliwie. Bo niby jest starsza i powinna być bardziej odpowiedzialna.

- No proszę, proszę - powiedział Wiktor, patrząc na Anię z szelmowskim uśmiechem. - Jednak łączy nas więcej, niż ci się wydaje.

- A ty co? - zaatakowała go Ania. - Już się „odbraziłeś”? Nie za szybko? Może byś się zajął czymś pożytecznym?

- Właśnie, właśnie - podchwyciła szybko Maria. - Proszę cię, idź do Klaudii. Przecież to do niczego niepodobne, żeby ona w tym stanie siedziała sama w pokoju i się zamartwiała. Niech przyjdzie do nas, niech się czymś zajmie, bo zwariować można.

Wiktor bez słowa wyszedł z kuchni.

- Mówi pani tak - zaczęła ostrożnie Gosia - jakby sama straciła kogoś bliskiego.

- Dość tych bzdur! - przesadnie, niemal teatralnie uniosła się Maria. - Najważniejsza jest teraz próżnia, chyba że już zrezygnowałyście z tego absurdalnego pomysłu odnalezienia ojca...

Bliźniaczki spojrzały po sobie.

- Nie - powiedziała wreszcie Gosia ostrożnie.

Maria wstała z krzesła.

- Co byście powiedziały na to, żeby zaparzyć herbatkę i przenieść się do salonu?

- To my zrobimy! - Ania szybko wstała z krzesła i podeszła do czajnika. - Niech pani pójdzie usiąść!

- Lepiej spytam Klaudii, czy ma jakieś ciastka na osłodę naszego smutnego żywota.

- Jestem tutaj - zabrzmiał z progu kuchni smutny głos. - Ciastka są w dużym pokoju w barku.

- Idziemy na spacer - zameldował Wiktor, pojawiając się obok Klaudii.

- Doskonale. - Maria się uśmiechnęła, zmierzając powoli w stronę salonu. Salon stanowił z kuchnią jedno ogromne, na oko czterdziestometrowe pomieszczenie. Kącik wypoczynkowy z kanapą, wygodnymi fotelami i wszelkimi mediami znajdował się na drugim jego końcu.

- Kto wymyślił taki ogromny salon! - narzekała po drodze Maria. - Nie dziwota, że wszystkie spotkania odbywają się w kuchni, komu by się chciało tak daleko maszerować, jeśli nie musi.

- Przecież sama pani zaproponowała! - zaśmiała się Gosia.

- Wiem, wiem! - krzyknęła Maria już z kanapy. - Muszę sobie trochę pogadać!

- Jaki śliczny serwis do herbaty! - westchnęła Ania, wyjmując z szafki dzbanuszek ozdobiony wizerunkiem pawiego króla i drobniutkich niebieskich kwiatuszków. Zaraz potem wyciągnęła jeszcze trzy filiżanki.

- Jesteś pewna, że możemy tego użyć?

- A na co tu czekać? Jeżeli czeka nas długi bezmyślny żywot w próżni, wolę, póki stanowi to dla mnie jakąś różnicę, napić się herbaty z porcelany.

- Masz rację - odpowiedziała Gosia, nalewając wrzątku do dzbanka z herbatą.

Ania spojrzała bystro na siostrę.

- A co ci się stało, że się tak łatwo ze mną zgodziłaś?

- No bo zasadniczo masz rację - zaśmiała się Gosia. - Weźmiesz filiżanki?

- Jasne. - Ania zgarnęła z blatu naczynia.

Kiedy już rozsiadły się wygodnie w szerokich fotelach i Gosia rozlała herbatę do trzech filiżanek, Maria z lubością pociągnęła łyk i zaczęła mówić:

- Zacząć się dziwić tak jak małe dziecko, gdy zaczyna odkrywać świat. Wszystko jest nowe, świeże, wszystkiego trzeba dotknąć, a wreszcie - o wszystko spytać. Ludzie w próżni są jak dzieci, które się nie dziwią. Jeśli chcecie tam przeżyć, musicie chcieć zadawać pytania. Rozumiecie?

- Nie do końca - odpowiedziała Gosia, zajadając się czekoladowym ciastkiem.

- Jakiego typu pytania? - spytała Ania.

- Ech... - westchnęła Maria. - Nigdy nie byłam dobrą nauczycielką. Czego was zdążyli nauczyć w letniej szkole?

- Liznęłyśmy kilku zajęć z intuicji, układanki, czytania snów i chyba tyle - wyliczała Ania, kuląc się na fotelu. - Zimno tutaj.

- Pij herbatę - odpowiedziała Maria, podając jej filiżankę.
- W takim razie ominęły was jedno z najważniejszych, moim zdaniem, lekcji: odkrywanie darów.

Ten dzień sprzed ponad czterdziestu lat pamiętała jak dziś. Letnia szkoła, ostatni tydzień nauki. Na wszystkich zajęciach radziła sobie doskonale. Na wszystkich z wyjątkiem jednego: darów. Za nic w świecie nie mogła odkryć w sobie tego największego. Była chorobliwie ambitna, chciała być świetna we wszystkim, a tu nagle coś takiego... Kiedy teraz o tym myśli, chce jej się śmiać. Że też tak błahe problemy potrafiły całkowicie przesłonić słońce! Teraz ma gorsze, a słońce nadal świeci...

Tamtego dnia rozpoczęły się zajęcia z czytania aury. I nagle wszystko stało się jasne. Maria po raz pierwszy w życiu poczuła się tak, jakby ktoś właśnie odsłonił słońce. Wystarczyło, żeby nauczyciel na podstawie zdjęć i filmów zaprezentował zjawisko aury. Już przy pierwszej fotografii Maria zaczęła się śmiać. Autentycznie pomyślała wtedy, że nauczyciel postanowił przypodobać się uczniom i zacząć zajęcia od opowiedzenia, a właściwie pokazania dowcipu. Bo cóż dziwnego było w młodej kobiecie o szczerym uśmiechu

patrzącej na nich ze zdjęcia? Uczniowski mundur? Białe kokardki na warkoczykach? Duża, jasna aura świadcząca o niespożytej energii i radości życia?? Dopiero w tym momencie Maria zrozumiała. Ludzie nie widzą aur, muszą się tego uczyć! To światło bijące od człowieka, od rzeczy, te koła lub inne figury geometryczne pojawiające się w jej polu widzenia, będące nieodłączną częścią postrzegania przez nią świata, to wszystko jest niewidoczne dla innych!

Przez kolejne piętnaście minut zajęć nauczyciel, pan Wąs, pokazywał podstawowe ćwiczenia uczące dostrzegania aury. Marii ulubionym było to ze złączeniem na dziesięć sekund palców wskazujących, a następnie powolnym ich oddalaniem od siebie.

Pan Wąs mówił nosowym, monotonnym głosem:

- W tym momencie powinniście dojrzeć smużkę energii. Jeśli nie zobaczyliście, zacznijcie od początku. Do skutku.

- Panie profesorze, ale mnie nie wychodzi! - skarżyli się co rusz zdesperowani uczniowie. - Palce mnie boją!

Maria miała ochotę zatkać nos palcami i przez chwilę przedrzeźniać kolegów, ale się powstrzymała. Zwłaszcza że została postawiona przez profesora Wąsa w akt oskarżenia. Jak dobrze pamięta te gęste kruczoczarne brwi ściągnięte w wyrazie szczerzego oburzenia!

- Wąsocka! Dlaczego nie ćwiczysz?! Czy masz problemy z rozumieniem moich słów? Może powinienem oddzielnie dla ciebie sy-la-bi-zo-wać każdy wyraz?

- Ależ panie profesorze, ja doskonale widzę każdą aurę! - powiedziała wreszcie Maria, a wręcz krzyknęła, jakby

starając się zagłuszyć nieznośne bicie własnego serca.

- Tak? - zdziwił się profesor, jeszcze mocniej ściągając brwi. - W takim razie zapraszam na środek. - Jednym płynnym ruchem ustawił krzesło przy tablicy. Maria posłusznie usiadła na nim i odważnie spojrzała w oczy nauczycielowi. - No na co czekasz? Zaczynaj od pierwszej ławki od lewej!

Do dziś pamięta te brwi ściągające się coraz bardziej w wyrazie bezmiernego zdumienia. Fantastyczne uczucie!

Dzięki profesorowi nauczyła się rozumieć kolory i kształty, dopasowywać je do ludzkich nastrojów, myśli, stanu zdrowia. Pomogła wielu ludziom odmienić życie poprzez pokazanie, w jaki sposób ich myśli działają na zmianę koloru aury i wpływają na ich życie. Nauczyła się rozpoznawać aurę ludzi zagrożonych chorobą, dzięki czemu mogła ich w porę przestrzec, aby zmienili swoje nawyki. Nawet własnemu mężowi kazała przejść na niskotłuszczową dietę. Ale on, uparty osioł, jej nie posłuchał..

Odkryła swój największy dar. Tak, tego dnia nie zapomni nigdy...

- Tak... - rozmarzyła się Maria. - Odkrycie daru to jak odnalezienie swojego przeznaczenia.

- Ale my... - podjęła Gosia nieśmiało - my już znamy nasze. Przynajmniej tak nam się wydaje. I to od przedszkola!

- Tak! - podchwyciła Ania ze śmiechem. - Jako czterolatki zrobiłyśmy książeczkę. Gośka ilustrowała, ja

opisywałam. Było tam o dzieciach haków i innych przeuroczych stworzeniach. Strasznie zabawne! - Nagle posmutniała. - Mamusia przechowuje tę książkę w nocnej szafce. Ciekawe, co u niej...

- Nie czas na próżną tęsknotę i zgadywanki! - powiedziała twardo Maria, jakby zapomniała, że jeszcze niedawno sama z nostalgią wspominała swoje odkrycie. - Rozumiem, że Gosia ładnie maluje, a Ania z gracją ubiera to w słowa. Hmm...

- Mam pomysł! - krzyknęła Gosia z entuzjazmem. - Jeżeli tam naprawdę się o wszystkim zapomina, trzeba wziąć ze sobą coś, co przypomni, kim jesteśmy i co robimy w próżni.

- Na przykład? - spytała Ania.

- Wydaje mi się, że powinniśmy napisać pamiętnik.

- Doskonały pomysł! - powiedziała Maria, klaszcząc w ręce. - Powiem nawet więcej, powinniście spisać dziennik najważniejszych wydarzeń z waszego życia, zaczynając oczywiście od momentu narodzin. Ania pisze, Gosia ilustruje - i po sprawie. Nie myślałam, że tak łatwo nam pójdzie. Kiedy w próżni przeczytacie dziennik, zaczniecie się dziwić i zadawać pytania. Powoli odgadniecie wszystko. No, to do roboty!

Następny tydzień minął pod znakiem ciężkiej pracy. Bliźniaczki od rana do nocy z wypiekami na twarzach tworzyły dziennik. Gosia zebrała wszystkie kredki, które znalazła w domu, i rysowała po kolei sceny ze wspólnego

trzynastoletniego życia. Starła się bardzo dokładnie przedstawić wszystkich członków rodziny, a przede wszystkim siebie, Ankę i tatusia. Wiedziała, że najważniejsze jest podobieństwo, a następnie zdumienie: co ja robię na tej ilustracji? Tak, trzeba będzie koniecznie zabrać ze sobą lusterko. Ania starała się, żeby jej opisy były dokładne i rzeczowe, bez zbędnego lania wody. Uwielbiała pisać kwieście, używać wielu porównań, odniesień, tu i tam ubarwić tekst myślą, która właśnie przyszła jej do głowy. Tym razem musiała się maksymalnie skoncentrować: przede wszystkim fakty.

Mikołaj z Franciszkiem nie wrócili do tej pory. Klaudia nie mogła usiedzieć w miejscu, często znikła na długie godziny sama albo z Wiktorem lub siadywała w ogródku i próbowała czytać książkę. Wiktor umierał z nudów, przeczytał większość kryminałów z biblioteczki, w końcu Maria kazała mu się zająć wyszukiwaniem w Internecie wszelkich informacji o próżni, hipnozie i różnych dziwnych rzeczach, które potem śniły mu się po nocach. Tym sposobem całkiem niechcący trafił na serial kryminalny *Mentalista*, który tak go wciągnął, że przestał się nudzić. Starł się ukrywać swój nałóg przed Marią, lecz nie zawsze się udawało. W końcu powiedział jej, że główny bohater posługuje się w pracy hipnozą i że obserwując go, prędzej się dowie, o co w tym biega, niż czytając niezrozumiałe regułki. Maria w końcu machnęła na niego ręką. Sama znikła bez słowa na całe dni, często można było zobaczyć, jak szepcze do siebie, czasami miało się wrażenie, że oprócz niej jest tam

ktoś jeszcze...

Piątego sierpnia zawiał wiatr od południa. Gwizdał przeciągle i niedbale, jakby wiedział, że nie musi się starać. I tak nadejdzie to, co ma nadejść. Maria od rana niespokojnie, w zamyśleniu, chodziła po salonie. Na troskliwe pytania domowników, czy wszystko w porządku, kręciła głową i mówiła:

- Dziś jest piąty. Lepiej nie wychodźcie z domu.

Bliźniaczki były tak zajęte tworzeniem dziennika, że nawet przez myśl im nie przeszło złamanie zakazu. Wiktor znacząco, acz dyskretnie, popukał się w głowę i wybiegł na podwórko. Wrócił jednak niemal od razu, bo stwierdził, że wiatr chciał odebrać mu oddech. Wieczorem wzeszedł jaskrawopomarańczowy księżyc. Powoli wdrapywał się na niebo, gubiąc przy tym swój rozmiar i część blasku, jakby podróż była zbyt trudna i wyczerpująca.

- Pójdę już spać - powiedziała Maria z przejęciem i udała się do swojego pokoju.

Bliźniaczki uległy namowom Wiktora, żeby zagrać z nim w Eurobiznes. Zrobili sobie kanapki, herbatę i zasiedli do gry w salonie. Kompletnie stracili poczucie czasu.

- Patrzcie na to! - szepnął w pewnym momencie Wiktor, wskazując na drzwi od tarasu, którymi właśnie wychodziła Klaudia.

- Gdzie ona idzie? - zdziwiła się Ania.

Wiktor wstał.

- Musimy za nią iść. No, wstawajcie szybko!

Dziewczyny z ociąganiem podniosły się z ziemi. Wiktor był już przy wyjściu.

- No, come on! - szepnął, gwałtownie machając do nich ręką.

Po cichu wyszli z domu. Klaudia była już na końcu osiedlowej ulicy.

- Wierzcie mi, trochę z nią ostatnio spędziłem czasu i uważam, że nie myśli racjonalnie - tłumaczył się Wiktor po drodze. - Ciągle jej się wydaje, że słyszy głos synka. Ostatnio mała się nie wpakowała przez to pod samochód.

- Powinniśmy byli obudzić Marię - stwierdziła Gosia.

- Tchórz!

- Wcale nie! A poza tym to, że ty jej nie lubisz, nie znaczy, że my też!

- Cicho bądźcie! - syknęła Ania, patrząc krytycznie na Gosię. - Skupcie się! Chyba idzie w stronę parku.

Klaudia szła powoli, ale nie wahała się ani przez chwilę. Zatrzymała się dopiero niedaleko wielkiego dębu. Pomimo że latarni nie było w tej części parku, księżyc dawał niezwykle jasne światło.

Wiktor i bliźniaczki na wszelki wypadek schowali się za grubą lipą, dziesięć metrów od Klaudii.

- Ciekawe, na co ona czeka - szepnęła Ania.

Wiatr się wzmógł. Wiał teraz tak mocno, że musieli trzymać się drzewa, żeby ustać na nogach. Klaudia natomiast stała mocno, jakby była przyrośnięta do ziemi. Wydawało się, że wiatr ją omija. Potem nagle wszystko ucichło. Chwilę

później zabrzmiała muzyka, najdziwniejsza, jaką do tej pory słyszeli. Morze, śpiew ptaków, las, szumy, szumy, szumy... I właśnie wtedy wiele rzeczy stało się naraz. Ocknęli się w drodze powrotnej do domu. Nie zdążyli pomyśleć, jak to się stało, bo w tym samym momencie ktoś przeraźliwie krzyknął: „Atak!” i z każdej osłoniętej części parku zaczęli wybiegać mężczyźni w słuchawkach na uszach. Ania kątem oka zobaczyła Klaudię trzymającą na rękach małe dziecko. Właśnie podbiegła do niej kobieta. Krzyczała: „Oddawaj!” i próbowała wyrwać maleństwo z jej rąk. Klaudia trzymała je jednak kurczowo do momentu, aż podszedł do niej Wiktor i coś łagodnie tłumaczył. Po chwili oddała dziecko i niemal natychmiast się rozplakała. Wiktor przytulił ją do siebie i pogłaskał po włosach. Ania przyłapała się na myśli, że chciałaby się znaleźć teraz na miejscu Klaudii, niemal czuła rękę Wiktora na swoich włosach. Potrząsnęła głową, żeby wyrzucić z siebie tę idiotyczną myśl.

- Anka, patrz! - krzyknęła siostra, trąc ją w ramię.

Dąb płonął. Wokół niego stali mężczyźni i w milczeniu obserwowali swoje dzieło.

- Ale czemu tak? Jak oni mogli..? - szepnęła Ania w przerażeniu. - Róbmy coś! Dzwonimy po straż!

- To nic nie da. - Obok Ani nagle pojawiła się Maria. - Zostańcie tu! - nakazała i poszła w stronę drzewa.

Tym razem bliźniaczki nie posłuchały.

- Kto tu dowodzi?!

Mężczyźni wzruszyli ramionami.

- Kto był prowodyrem całej akcji!?

- Ja! - Obok Marii stanął postawny mężczyzna z błyszczącymi oczami i kilkutygodniowym zarostem.

- Czy masz pojęcie, co najlepszego narobiliście ty i twoi towarzysze?

- Tak, proszę pani - odpowiedział mężczyzna z mocą. - Uratowaliśmy przed zniknięciem jedno dziecko oraz wszystkie kolejne, które pochłonęłoby to piekielne drzewo!

- A moim zdaniem - powiedziała Maria dobitnie, przekrzykując rozgardiasz, który rozpętał się po jego słowach - przez swoją głupotę nieomal doprowadziliście do zerwania połączenia z drugim światem!

- Co ty bredzisz, kobieto?! - zawołał facet o wyglądzie i chodzie cwaniaka.

- Nie skończyłam! - krzyknęła Maria z taką mocą, że wszyscy wokół natychmiast zamilkli. - To drzewo to połączenie z drugim światem, w którym zawieruszyło się niejedno dziecko z tego miasteczka i okolicznych wsi. Zniszczenie go sprawiłoby, że odzyskanie wszystkich zaginionych byłoby mocno utrudnione. Jeśli chcecie się mścić, zemścijcie się na sprawcy, nie na tunelu czasoprzestrzennym.

- Co za bzdury! - wołali.

- Ta kobieta bredzi!

- Drugi świat? Tunel czasoprzestrzenny? Co to w ogóle ma być?

- Jeśli to drzewo jest takie cenne - odezwał się organizator akcji - to czemu pani go nie ratuje?

- Patrz! - odpowiedziała tylko Maria, kierując wzrok na

dąb.

Ogień już nie piał się, lecz powoli, ledwo zauważalnie zsuwał. Wyglądało to raczej jak łagodne droczenie się dwojga przyjaciół niż zażarty atak wroga. Płomienie delikatnie muskały korę drzewa, nie robiąc jej żadnej krzywdy. Przy ziemi znikały bez śladu.

- Co to ma być?! - wrzasnął mężczyzna w czarnej bejsbolówce. - To drzewo jest przeklęte! Kurna, kto ma piłę?! Zaraz z nim skończę raz na zawsze!

Jak na komendę przy dębie pojawiło się trzech mężczyzn z piłami mechanicznymi.

- Stójcie! - W miejscu, gdzie nie było już ognia, Klaudia w rozpaczliwym geście przywarła do drzewa.

- Odsuń się, kobieto! - krzyknął wąsaty mężczyzna, odpalając piłę.

- Nigdy! - wrzasnęła Klaudia. - Tam jest moje dziecko!

Chwilę później obok niej stanęły bliźniaczki, Maria oraz Wiktor, a w ślad za nimi poszły inne kobiety oraz część mężczyzn.

- Z drogi! - wrzeszczał wąsacz, nie gasząc piły. - Słowo daję, jak nie zejdziecie po dobroci, to was skrzywdzę!

- Daj spokój, Łukasz! - Przywódca akcji położył rękę na jego ramieniu. - Odpuść.

On jednak gwałtownym ruchem całego ciała zrzucił tę rękę. Stał chwilę, mocno ściskając włączoną piłę, patrząc raz na drzewo, raz na swojego przywódcę. Wreszcie podjął decyzję: wyłączył piłę i powoli ukucnął na ziemi. Postawił narzędzie obok siebie, po czym zakrył twarz rękami.

- Mało nie straciłem dziecka! - szepnął. - A nawet nie mogę się zemścić...

- Idź do domu - odpowiedział przywódca. - Przytul żonę, dziecko. Oni teraz bardzo potrzebują wsparcia. Zemstę pozostaw nam.

Wąsacz wstał, wziął piłę z ziemi i powoli odszedł.

- Dziękuję - powiedziała Maria, patrząc na przywódcę.

- Kim wy jesteście? - spytała Ania, podchodząc bliżej mężczyzny.

- Stróżami dębu. Pilnujemy, żeby żadne dziecko więcej nie zostało nam odebrane.

- Jak się bronicie przed tą muzyką? - zadała ważne pytanie Maria.

- Mamy to - pokazał słuchawki, które już jakiś czas temu zsunął na szyję - oraz to - wskazał na uszy, z których wystawały jaskrawe stopery. - Nie słyszę nic.

- Ale skąd wiedziałeś?

- Przez przypadek. - Uśmiechnął się. - Kiedyś siedziałem na ławce w parku i słuchałem głośnej muzyki. W pewnym momencie zobaczyłem, że wszyscy, którzy do tej pory tak jak ja spokojnie sobie siedzieli, wychodzą z parku. Na wszelki wypadek schowałem się, bo wydało mi się to co najmniej dziwne. Musiałem sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyłem dziecko idące w stronę drzewa. Potem straciłem je z oczu. Następnego dnia dowiedziałem się, że mojemu koledze zaginęła córeczka. I tak to się zaczęło. - Wzruszył ramionami. - To jest nasza pierwsza akcja i pierwsze uratowane dziecko.

- Następnym razem idę z wami - powiedziała z mocą Klaudia, podchodząc blisko przywódcy. - A jeśli znajdę... tego drania, co ukradł mi dziecko, to, to... go zabiję!

- Oho! Powoli, droga pani! - powiedział przywódca z uśmiechem. - Proszę się tak nie rozpędzać. Nie będziemy nikogo zabijać!

- Ja tak naprawdę nie zamierzam... Tylko... Brakuje mi już sił na to czekanie... Muszę... Muszę coś zrobić.

- A gdzie pani mąż? Czy to nie on powinien się tym zająć?

- Ja już nie mam męża - odpowiedziała ze smutkiem. - Jeśli nawet pan się nie zgodzi, to i tak przyjdę.

- W takim razie - odpowiedział z szerokim uśmiechem, podając jej dłoń - witam wśród strażników drzewa. Mam na imię Witek i to mnie należy słuchać.

- Klaudia - odpowiedziała, mocno ściskając jego dłoń.

- Chcesz poznać resztę?

Klaudia przytaknęła.

- Dzięki Bogu - westchnęła Maria z uśmiechem, kiedy oboje odeszli wystarczająco daleko. - To co? - zwróciła się do bliźniaczek. - Wracamy do domu?

- Taak - odpowiedziała Gosia, ziewając głośno.

- Powiedziała mu więcej niż nam przez tydzień - stwierdziła z ponurą miną Ania, odprowadzając wzrokiem Klaudię.

- A gdzie Wiktor? - spytała Maria.

- Poszedł za Klaudią i tym Witkiem - odpowiedziała Ania.
- Chyba czuje się za nią odpowiedzialny.

- Zazdrośnica - stwierdziła Maria z uśmiechem.
- Wcale nie - odpowiedziała Ania, pąsowiejąc na twarzy.
- Jak on mógł nie przewidzieć tak banalnych rzeczy jak słuchawki i stopery? - szeptała Maria do siebie. - Przecież to oczywiste...

- A może wcale nie przeoczył? - odpowiedziała nagle Gosia. - Nie do końca wiem, o co chodzi, ale myślę, że takie działanie może mieć na celu odwrócenie uwagi od czegoś ważniejszego...

Maria tylko spojrzała przelotnie na Gosię. Otworzyła drzwi do domu, zapaliła światło i wygoniła dziewczynki spać. Sama usiadła w salonie. Nie słyszała powrotu Wiktora i Klaudii, nie widziała pastelowej pobudki słońca za oknem. Dopiero delikatne poruszanie za ramię i zapach kawy zbudziły ją z transu. A widziała ogień w lesie. Zamiast drzew ognistorude płomienie, które nie zabierają całego lasu, lecz płoną równo jak pochodnie. Widziała ludzi dobrowolnie idących w to piekło, mimo że krzyczała ile sił, żeby zawrócili. Potem zobaczyła siebie odmłodzoną o trzydzieści lat. Tańczyła w ogniu z twarzą i rękami uniesionymi do góry. Nic nie czuła. Ani gorąca, ani zimna, ani radości, ani smutku. Nie wiedziała, dlaczego właściwie tańczy. To nie było ważne. Nic już nie było ważne.



- I co teraz? - szepnął Franciszek, gdy tylko wydostali się z tunelu i zobaczyli pierwsze namioty należące do obozu. - Tu się chodzi spać o dziesiątej.

- No coś ty?! - Mikołaj parsknął śmiechem. - Chyba ty.

- Nie śmieję się! - burknął Franciszek ze złością. - Jak jesteś taki mądry, to wymyśl coś. Ja poczekam.

- Ty, a gdzie są namioty nauczycieli?

- Z drugiej strony. Bo co?

- No jak to? To z nauczycielami musimy pogadać. Reszta gucio wie.

- Okay, guciu. W takim razie idę pierwszy. Lepiej złap mnie za rękę, bo inaczej potkniesz się o jakiegoś śledzia lub wpadniesz w krzaki!

- Spoko! Dam sobie radę - odpowiedział Mikołaj. - No ruszaj!

Franciszek narzucił tempo. Omijał wszystkie zarośla, małe drzewka i inne przeszkody zupełnie bez wysiłku, jakby miał przed oczami wyrysowaną fluorescencyjną ścieżkę.

Mikołaj ledwo dotrzymywał mu kroku, ale nie poskarżył się ani słowem. W żadnym z namiotów nie świeciła latarka, tylko czasem wprawne ucho mogło usłyszeć stłumione chichoty dziewczyn, wyłowić pojedyncze słowa przyniesione przez wiatr.

- Miałeś kiedyś na obozie plecakówę? - spytał zniecierpliwiony Franciszek. Odpowiedziała mu cisza. - Mikołaj? - Spojrzał za siebie. - No nie no! - westchnął i zawrócił. - Gdzieżeś przepadł?

W końcu usłyszał gdzieś niedaleko śpiewny, niemal zawodzący głos kolegi.

- Tu jestem! - Siedział na trawie i masował stopę, klnąc cicho. - Chyba skręciłem kostkę - stwierdził rzeczowo. - Boli, jak nie wiem co.

- A nie mówiłem? - Franciszek podświadomie wyprostował się dumnie.

- A nie mówiłem? - przedrzeźniał go Mikołaj piskliwie. - I wcale kostki nie skręciłem! - dodał, wstając i próbując iść. - Tylko cię w maliny wpuściłem!

- A nikt cię nie uczył, że nie używa się rymów częstochowskich? - spytał Franciszek. - Znaczą się: nie skręciłeś nogi, więc spokojnie za mną nadążysz? To świetnie!

- Spoko - powiedział Mikołaj przeproszająco. - Naprawdę się potknąłem i coś mi w kostce strzyknęło, i mnie zabolęło, ale chyba już jest w porządku.

- Więc możemy kontynuować...?

- Tylko nie goń już tak, please! Będę grzeczny!

Kolejny etap wycieczki dookoła obozu minął bez

przeszkód.

- Długi ten obóz... - stęknął Mikołaj, kiedy wreszcie zatrzymali się przed pierwszym nauczycielskim namiotem.

- Tu mieszka pani Upierdliwy Gwizdek. - Franciszek się zaśmiał cicho. - A w tym fioletowym - wskazał na następny - pan Ziolo, zgadnij od czego.

- Ziololectnictwa?

- Bingo! Tu mamy stołówkę, miejsce pomiaru intuicji oraz salę zabaw przeróżnych w jednym - wskazał na ogromny blaszany budynek - a także darmową saunę. A tu wreszcie jedyną porządną budowlę na tym obozie, czyli salę obrad oraz nauczania świetlnej układanki. Właż pierwszy, to w końcu twoja misja, nie?

Budynek był murowany, z czerwonym dachem pokrytym blachodachówką.

Mikołaj na oko wyliczył, że powierzchnia nie może mieć więcej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Był w tym naprawdę dobry, uwielbiał szkicować z pamięci domy, które zrobiły na nim największe wrażenie, rozrysowywać pomieszczenia, meblować, ustawiać, przestawiać. Potem przenosił to wszystko na komputer. Martwiło go tylko, że jego wizje są piękniejsze niż sama rzeczywistość potem. Widział wiele projektów, które na ekranie wyglądały super, a w rzeczywistości okazywały się totalną klapą.

- No co? Pukasz? - spytał Franciszek zniecierpliwiony bezczynnością kolegi.

- Już! - odpowiedział Mikołaj.

Czekali dłuższą chwilę, aż wreszcie otworzyła im starsza

kobieta o białych włosach i twarzy tak gładkiej, że niejedna młoda dziewczyna by jej pozazdrościła.

- Dzień dobry. - Franciszek z szerokim uśmiechem i przesadnie głębokim pokłonem wyrwał się przed Mikołajem.

- Dobry wieczór, Franciszku - odpowiedziała kobieta niezwykle spokojnym głosem. - Coś bardzo pilnego musi cię sprowadzać tu o porze, w której tak młody człowiek jak ty powinien być pogrążony w regenerującym mięśnie i umysł śnie.

W tym momencie do przodu wystąpił Mikołaj.

- Dobry wieczór. Nazywam się Mikołaj Stawiński i przybywam z drugiego świata. Jesteśmy tu z bardzo ważną misją odnalezienia zaginionego dziecka.

Franciszek spojrział na kolegę z miną znaczącą tyle, co: „Co ty najlepszego wyrabiasz?”. Zza pleców Marii wyłonił się wysoki i niezwykle chudy starszy mężczyzna.

- Wiktor? Franciszek? A co wy tutaj robicie? Zaraz, zaraz, przecież widziałem... Tak, widziałem. To nie do pomyślenia, nie do pomyślenia!

- To facet od czytania znaków - szepnął Franciszek koledze.

- Możemy wejść? - poprosił Mikołaj.

- Oczywiście, oczywiście. - Pan Znak zaprosił gestem do środka.

Korytarz przechodził od razu w około trzydziestometrowy pokój, z którego po lewej stronie odchodziły jeszcze dwie pary drzwi do dodatkowych

pomieszczeń. Jedyne wyposażenie sali stanowiły długi i wąski stół oraz około tuzina szkolnych krzeseł. Połowę z nich, mniej więcej pośrodku ławy, zajmowało czterech mężczyzn i dwie kobiety. Gdy tylko chłopcy weszli, od razu wyczuli na sobie sześć badawczych spojrzeń.

- Dzień dobry. - Ukłonili się grzecznie, obaj lekko speszeni.

- Nazywam się Mikołaj i jestem bratem Wiktora, który był państwa uczniem. Bratem bliźniakiem, oczywiście.

- Konkrety prosimy, konkrety! - krzyknął młody mężczyzna o blond języku, ziewając ostentacyjnie.

- Marcinie! - Anna Maria spojrzała na niego karcąco.

- Przepraszam - odpowiedział z uśmiechem. - Ale chyba miałem rację, prawda?

- Informatyk - szepnął Franciszek koledze.

- Przybyliśmy tutaj prosić o pomoc w ratowaniu dziecka.

- A gdzie to dziecko? - spytała młoda kobieta o rudych włosach splecionych w dwa warkocze i łagodnym, wzbudzającym zaufanie wyrazie twarzy.

- Pani doktor - znów szepnął Franciszek.

- No właśnie nie wiemy - zmieszał się Mikołaj. - Chcielibyśmy je odnaleźć i zabrać do mamy.

- I jakiej pomocy od nas oczekujecie? - spytała Anna Maria.

- No... nie wiem... - zmieszał się Mikołaj.

- Po pierwsze: nie zaczyna się zdania od „no” - odpowiedziała szorstko Anna Maria. - Po drugie: my tym bardziej nie wiemy.

- Myśleliśmy, że - powiedział cicho Mikołaj - otrzymamy tu jakieś informacje, trop, cokolwiek. Dziecko zagięło kilka dni temu. Kiedy to się stało, czuwałem w jego pokoju i nic nie zauważyłem... - stwierdził ze smutkiem.

- To normalne - stwierdziła Anna Maria. - I od razu widać, kto jest głównym sprawcą. Nasz kochany Zygmunt.

- Jak to? - zdumiał się Mikołaj. - Wiadomo, kto to zrobił?

- Siadajcie, chłopcy. - Pan Znak zaprosił ich gestem do stołu.

Mikołaj z Franciszkiem posłusznie usiedli.

- Oczywiście - odpowiedziała Anna Maria. - Wiemy nawet mniej więcej, gdzie się ukrywa. Niestety tylko mniej więcej, bo to miejsce tak naprawdę bardzo trudno znaleźć. Mnie osobiście się wydaje, że trafią tam tylko osoby, które Zygmunt chce widzieć.

- Tak! - powiedział groźnym głosem pan Znak. - Nad tym miejscem krążą czarne kruki. Nie znajdziesz tam ani jednego źdźbła trawy, bo jeśli nawet wejdzie ku słońcu, w ciągu godziny uschnie.

Franciszek westchnął przeciągle i niemal rozpaczliwie.

- Ty, a czemu jesteś taki blady? - spytał z troską Mikołaj.

- Myślę, że nie powinniśmy dzisiaj bardziej chłopców katować - powiedziała żywo pielęgniarka, wstając od stołu. - Jutro przecież też jest dzień.

- Tak. Niech się wyśpią - powiedziała Pani Straszny Gwizdek. - Zwłaszcza że jutro rano są moje zajęcia. Chcę cię na nich widzieć, Franciszku. - Spojrzała na niego groźnym wzrokiem. Franciszek od razu nastawił się, że za chwilę

usłyszy ten przerażający gwizd, który będzie mu potem dudnił w uszach przez całą noc i nie pozwoli porządnie się wyspać.

- Macie rację - powiedziała Anna Maria. - Już późno. Nic dziś nie poradzimy. Na wszystko trzeba czasu. Franciszku, zaprowadź kolegę do namiotu Wiktora. To chyba obok twojego, prawda?

Franciszek przytaknął.

- A co z dzieckiem? - Mikołaj zatrzymał się w drodze do wyjścia.

- Powtarzam - odpowiedziała sucho Anna Maria - wszystko wymaga czasu. Masz całą noc, żeby to przemyśleć. Dobranoc.

- Dobranoc - powiedział Franciszek głośno i ukłonił się lekko przed wyjściem. Mikołaj tylko burknął coś pod nosem.

- Wydaje mi się, że nie traktują nas poważnie - powiedział naburmuszony, kiedy już wyszli.

- Oj tam, oj tam. Myślę, że jednak wiedzą, co robią. Zwłaszcza pani Anna Maria zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Żebyś ty widział, jak załatwiła Wiktora z Anką podczas zajęć! Po prostu mistrzostwo świata!

Franciszek pokierował ich w tym samym kierunku, z którego przyszli - w lewo. Tym razem jednak nie przedzierali się przez krzaki, lecz szli swobodnie środkiem placu. Mniej więcej w połowie wcześniej przebytej trasy Franciszek zatrzymał się przed namiotem.

- To twój! A ten - wskazał na prawo - jest mój. Miłych snów! - rzucił i poszedł do namiotu.

- Super! - stwierdził Mikołaj ze złością. Czekало go niezbyt przyjemne zajęcie zaglądanía do każdego wyrka po kolei w poszukiwaniu tego pustego. Odnalezienie łózka Wiktora okazało się jednak nie takie trudne - znajdowało się przy samym wejściu. Ucieszony Mikołaj szybko wczółgał się pod śpiwór i po dwóch sekundach już spał. Równie szybko obudziło go jednak mocne tarmoszenie za ramię.

- Wiktor! - krzyczał jakiś okularnik. - Spadaj z mojego wyra! No już!

Mikołaj spojrział na chłopaka nieprzytomnym wzrokiem, powoli wygrzebał się ze śpiwora i wstał.

- W takim razie które jest moje? - spytał sennie.

- Już zapomniałeś?! Zresztą nieważne. Obok mnie.

- Ej tam! - krzyknął chłopak ze środka namiotu. - Cicho bądźcie! Niektórzy tu śpią!

Mikołaj zakrył się śpiworem po sam czubek głowy. Przez chwilę wydawało mu się, że nie zaśnie, szybko jednak przestało mu się wydawać cokolwiek. Śnił o dziecku, które wyślizgnęło mu się z rąk.

Minął tydzień, podczas którego tak naprawdę nic szczególnego się nie wydarzyło. Franciszek chodził na zajęcia, Mikołaj zresztą też - dla zabicia czasu. Dzięki temu utrwał sobie wiedzę, którą zdobył niemal równo miesiąc wcześniej. Nie mógł wyjść ze zdumienia, jak dużo zagadnień się powtarza. Niektórzy nauczyciele mówili nawet co do joty to samo co tamci z jego świata. Mikołaj nie wierzył, że to

przypadek. Na pewno uczyli się, żeby nie powiedzieć: wkuwali na blachę, z tej samej książki. Zresztą jak inaczej nauczyć się rozróżniać wszystkie zioła, których na świecie są tysiące? Najlepiej wbić sobie do głowy i jeszcze dodatkowo utrwalić kilka razy. Mikołaj miał więc szansę, że po jednej powtórce zapamięta chociaż jedną dziesiątą tego, co powinien.

Nie rozumiał jedynie, dlaczego tak bardzo się wszystko przeciąga. Jak tylko otwierał usta, żeby zapytać panią Annę Marię o powód zwłoki, ta patrzyła na niego karcącym wzrokiem. *No tak* - stwierdzał w myślach - *przecież na wszystko trzeba czasu. A matka usycha z tęsknoty za dzieckiem.*

Codziennie śniło mu się, że maleństwo wyslizguje mu się z rąk i spada. I na tym sen się kończył, tylko ten jeden epizod powtarzał się bez końca. Replay, replay.

Przełom nastąpił dopiero podczas zajęć pani Straszny Gwizdek. Kontynuowali ćwiczenia z kontrolowanego śnienia. Trzeba było przed snem zadać pytanie podświadomości, a ta miała znaleźć odpowiedź. Mikołaj, kiedy był dzieckiem, często miewał wizje, przez które budził się z płaczem w środku nocy. Raz przyszedł do niego dziadek, pogłaskał po głowie i powiedział, żeby się nie martwił, bo w miejscu, gdzie teraz przebywa, jest mu bardzo dobrze. Rano Mikołaj dowiedział się, że dziadek zmarł tej nocy. Wiele razy śniło mu się, że jest w dwóch osobach. Wydawało mu się, że oznacza to jego złożoną osobowość, w końcu był spod znaku bliźniąt. Nawet do głowy mu nie przyszło, że może mieć

brata.

Z wiekiem proroczych snów było coraz mniej. Jeśli nawet coś mu się przyśniło, rano nic nie pamiętał. A teraz dowiaduje się, że to wszystko można wyćwiczyć. Wystarczająco koncentracja, właściwie zadane pytanie, no i zapewne tygodnie praktyki.

Przyśniło mu się jeszcze tej nocy. Leżało w dziecięcym łóżeczku. Pokój był błękitny, na sosnowych szafkach leżały pluszaki, klocki Lego i dziecięce książeczki. Nad łóżeczkiem stała pochylona kobieta, wyraźne zmarszczki mimiczne i jedna pośrodku czoła świadczyły o niemłodym już wieku. To była twarz kobiety boleśnie doświadczonej przez życie. Śpiewała łagodnym, ciepłym głosem kołysankę *List do Małego Księcia*. Dziecku zamykały się oczy, potem na chwilę otwierały, potem znów zamykały, aż wreszcie zasnęło. Kobieta opatulila je kołderką i wyszła na palcach z pokoju.

Kiedy Mikołaj przebudził się, pod powiekami nadal miał obraz śpiącego dziecka. Wiedział już przynajmniej, że mały Klaudii jest w dobrych rękach. Miał też pewność, że czas tylko upchał gdzieś na dno ostatniej szufladki w podświadomości jego umiejętność tworzenia obrazów, które się właśnie dzieją lub zdarzą w niedługim czasie. Wystarczy zasnąć z jednym jedynym pytaniem powtarzanym w myślach, żeby się obudzić z gotową odpowiedzią. Tak, to jest jego dar, który powinien pielęgnować od samego początku, a nie tak głupio zapomnieć na lata. Przecież w ten sposób może pomagać ludziom...

Większość uczniów nie uwierzyła mu, że nie jest

Wiktorem. Zaczęli się z niego boleśnie nabijać, niektórzy wyzywali go od czubków, inni stwierdzili, że musiał się mocno walnąć w głowę. Najgorsze było to, że Franciszek wcale nie bronił kolegi. No, może troszkę na początku, szybko jednak zrezygnował. Mikołaj stwierdził, że chyba się Franciszkowi znudziło niańczenie go.

Jedyną osobą, która od początku zauważyła różnicę, była Agnieszka. Podeszła do niego na stołówce, zaraz po śniadaniu, w drugim dniu jego pobytu na obozie.

- Hej, jestem Agnieszka - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Mikołaj od razu ją polubił. Z jej twarzy biła szczerość i prostolinijność, a w dodatku jeszcze ten uśmiech... No i zauważyła różnicę...

- Jesteś strasznie podobny do Wiktora, to twój brat?

Uśmiechnął się promiennie, podał jej rękę, przedstawił się.

- Jesteś pierwszą osobą, która zauważyła różnicę - powiedział.

- Naprawdę? Nie żartuj? - Usiadła na krześle naprzeciwko. Byli jedynymi osobami, które zostały na stołówce, reszta uczniów poszła przygotować się na zajęcia.

- Gdzie są moje tfinsy? Strasznie tu bez nich smutno. Ewelina włóczy się ciągle z tym Adamem. Ja rozumiem, że to bratnie dusze, które odnalazły się po latach, muszą się sobą nacieszyć, ale bez przesady, prawda? Trzeba znać jakieś granice... Zwłaszcza że ten Adaś... Ech, szkoda gadać. Prawie cię nie znam i takie rzeczy wygaduję... Ale nie mam

z kim o tym porozmawiać.

- Lubię słuchać. - Mikołaj uśmiechnął się zachęcająco. - Bliźniaczki są z Wiktorem w Kosaćcu, u Klaudii. Długa historia. Raczej nie wrócą tu w te wakacje.

- Szkoda... - westchnęła Agnieszka. - Miały mnie uczyć na szukającą. A tak pozostaje mi tylko praca w kuchni. Bez sensu!

- Ja cię mogę uczyć - zaproponował Mikołaj. - Oczywiście dopóki tu jestem.

- Super! - ucieszyła się Agnieszka. - Wiesz co, tu za stołówką jest niewielki amfiteatr, mała wiata i miejsce na ognisko. Może tam spotkamy się dziś po kolacji?

- Dobra - ucieszył się Mikołaj. Miło było poznać kogoś równie zagubionego jak on sam. We dwoje zawsze różnie. Zwłaszcza że Franciszek zachowywał się naprawdę dziwnie, prawie z nim nie gadał, zresztą chyba z nikim nie rozmawiał. Po zajęciach zniknął gdzieś, a Mikołajowi naprawdę nie chciało się za nim ganiać, tym bardziej że kiedy raz spróbował, dostało mu się, że go śledzi. Jeszcze lepiej! Franciszek zrobił mu cały wykład: że jest wolnym człowiekiem, robi, co chce, a Mikołajowi wara od jego życia. No cóż, zrozumiał aluzję od razu. Wiedział, że przyjdzie dzień, w którym Franciszek sam do niego przyjdzie poprosić o radę. *Jak mawia Anna Maria, na wszystko przychodzi czas* - pomyślał ze złośliwym uśmiechem.

Franciszek miał dosyć wszystkiego, a zwłaszcza swojego

idiotycznego życia. Tego, że mistrz ma go w garści, a on nie potrafi odmówić. Że musi okłamywać Gosię, Mikołaja, samego siebie. Codziennie sobie powtarzał, że nie ma wyjścia, że kiedyś przyjdzie nagroda – odnajdzie ojca i będzie mógł nareszcie powiedzieć mistrzowi, co o nim myśli... Tylko czy na pewno to kiedyś nastąpi? A jeśli mistrz przez cały czas go okłamuje i tak naprawdę nie ma pojęcia, co się stało z tatą?

Chodził godzinami po lesie i zastanawiał się nad najlepszym rozwiązaniem. Raz wybrał się nawet do jaskini mistrza powiedzieć mu, że on już dłużej nie może tego ciągnąć, niech sobie mistrz znajdzie innego frajera, ale zawrócił w połowie drogi. Nie miał pojęcia dlaczego – pewnie ze strachu. Przez kolejny dzień miał doła, myślał, że jest nic niewartym tchórzem. Innym razem chciał biec do Gosi i powiedzieć jej całą prawdę, jednej jedynej osobie, zrzucić wreszcie z siebie ten balast, przeprosić za idiotyczne zachowanie i obiecać, że od teraz naprawdę będzie chronić ją i jej siostrę. Czy te mętne marzenia o ojcu, którego obrazu nawet nie pamięta, nie są pogonią za czymś nierealnym? Czy ma sens przeciwstawianie się samemu sobie dla bezpodstawnej nadziei? A jeśli ojciec już go nie chce, a nawet gorzej... Jeśli w ogóle nie pamięta, że ma syna? Ciągle od nowa rozpamiętywał swoje ostatnie zachowanie wobec Gosi i czuł palący wstyd. Dziwił się, że po tym wszystkim ona nadal chce z nim gadać. Z drugiej strony był zły na siebie, że tak często o niej myśli. Gdyby nie ona, wszystko byłoby znacznie prostsze. W końcu stwierdził, że

zrobi jej i sobie na złość i pójdzie do jaskini lwa, żeby opowiedzieć o planach odbicia dziecka Klaudii. Tylko najpierw musi spławić Mikołaja, żeby nie węszył za nim. Szkoda mu było chłopaka, zwłaszcza że wydawał się znacznie sympatyczniejszy niż Wiktor, ale nie miał wyjścia. Nadspodziewanie szybko udało mu się go spławić, wystarczyło krótkie kazanie o prawie do wolności, no i kilka ostrzejszych słów. Zresztą Mikołaj szybko znalazł sobie pocieszycielkę w postaci Agnieszki. No i dobrze.

Ostatecznie na podróż do mistrza zdecydował się dopiero po tygodniu pobytu na obozie. Decydującym impulsem był sen, który miał zeszłej nocy. Widział w nim ręce ojca wyciągnięte w rozpaczliwym geście pomocy. Franciszek był w lesie, który niemal całkowicie otuliła mleczna mgła. Nie było widać nic oprócz tych rąk wystających spod ziemi, jakby z dna otchłani. Kiedy chłopak je chwycił, zaczęły go ciągnąć w dół. Wyrwał się gwałtownie i zaczął biec przed siebie, byle prędzej. Nagle zrobiło się więcej tych rąk, łapały go za nogawki, musiał używać coraz więcej siły, żeby móc dalej biec. W pewnym momencie myślał, że już nie da rady, potknął się o korzeń i upadł jak długi. Od razu chwyciło go chyba z osiem dłoni, czuł, jak pod ich naporem zapada się pod nim ziemia. Wtedy się obudził, spocony i drżący. Jak dobrze w takim momencie odkryć, że to tylko sen! Od razu po przebudzeniu Franciszek postanowił, że musi za wszelką cenę odnaleźć ojca. Nic nie jest tak ważne, jak to.

Wymknął się z obozu zaraz po obiedzie. Do jaskini szło się około godziny, ale droga była przyjemna, niemal cały czas

ścieżką przez las. Franciszek, będąc na obozie, odbył już kilka takich podróży, więc drogę znał doskonale. Żałował tylko, że nie może użyć tunelu czasoprzestrzennego – mistrz zabezpieczył przed nim jaskinię. Franciszek nie miał pojęcia, jak tego dokonał, ale faktem jest, że już próbował dostać się tam „na skróty” i nie wyszło. Kiedy tworzył obraz docelowego miejsca, pojawiały się tylko zarysy bramy, które za chwilę znikwały.

Las był przejrzysty, ogromne sosnowe drzewa dumnie go strzegły. Franciszek kochał las, zwłaszcza taki – cichy, pachnący nagrzanymi igłami, z szeroką piaszczystą drogą. Wracały odległe wspomnienia miejsca, do którego jeździł z rodzicami, gdy był malutki. Wyjeżdżali gromadnie, całymi rodzinami, na pole namiotowe nad jeziorem. On z kumplami z plaży budował warowne zamki lub pluskał się w wodzie z tatą. Tak przynajmniej Franciszek wyobrażał sobie tamte dni. W rzeczywistości prawie nic nie pamiętał, tylko wodę i las, właśnie taki jak ten, pachnący i cichy. I te ogromne drzewa... Po zniknięciu taty mama już nie chciała z nim tam jeździć. Nie ma co się jej dziwić, sam też by nie chciał.

Po czterdziestominutowym marszu skończył się las. Franciszek przeciął osiedle domków jednorodzinnych, potem park, a na końcu szedł wzdłuż długiej nieruchliwej asfaltowej drogi odgradzającej drugie osiedle domków od kilkuhektarowej dzikiej łąki. *Ciekawe, kiedy powstanie tu supermarket* – myślał za każdym razem, gdy przechodził obok. Potem został już tylko piętnastominutowy spacer po wąskiej polnej dróżce, która w pewnym momencie się

kończyła i trzeba było iść na intuicję. Kolejna zagadka - dlaczego tworzące jaskinię skały widać było dopiero z odległości dziesięciu metrów? Zadziwiające. Franciszka zawsze przesywały dreszcze, kiedy nie widział jeszcze celu, choć wiedział, że jest bardzo blisko. Czuł się, jakby dobrowolnie szedł w pułapkę.

Strażnik spytał o hasło. Franciszek szukał w pamięci odpowiedniego słowa, aż wreszcie sobie przypomniał.

- Mistyfikacja! - powiedział niemal triumfalnie.

Strażnik przepuścił go bez słowa. Niemal od razu przechwycił go Artur, który wychodził właśnie z bocznego korytarza.

- Kogóż ja widzę! - rzekł teatralnie. - Chodź za mną, młody człowieku!

Franciszek skinął tylko głową na przywitanie i ruszył za Arturem, chociaż doskonale wiedział, dokąd go prowadzi. Sala spotkań. Ubogie światło, dębowy stół i krzesła, smród pleśni. Tym razem miła niespodzianka: w wykutym w skale kominku płonął ogień, dzięki czemu wilgoć nie była aż tak przesywająca. Wcześniej po każdej wizycie w jaskini Franciszkowi wydawało się, że nigdy, przenigdy się nie zagrzeje. Opatulał się w ciepłe koce, pił gorącą herbatę, zwijał w kokon i mimo wszystko organizm ogrzewał się dopiero po dwóch godzinach. Ciepło kropelka po kropelce zastępowało chłód.

- Siadaj. - Artur wskazał mu krzesło najbliżej kominka. - Przyniosę ci herbaty.

- Okay - odpowiedział zadziwiony Franciszek. O co tu

chodzi? Herbatka, kominek? Coś musi być na rzeczy.

Czekał dobre dziesięć minut, zanim Artur pojawił się z herbatą.

- Na mistrza trzeba chwilę poczekać - powiedział i wyszedł.

Franciszek przez dobre pół godziny na przemian pił herbatę i grzał ręce przy kominku. Mistrz przyszedł w momencie, gdy chłopak z fascynacją szukał w ogniu różnych kształtów, dopatrywał się właśnie róży z łodygą, liśćmi, a nawet kolcami!

- Witaj - powiedział mistrz, siadając naprzeciwko.

- Witaj, mistrzu. - Chłopak wstał i lekko dygnął.

- Dostrzegam w tobie pewną zmianę - powiedział mistrz swoim zimnym głosem. - Czyżbyś chciał coś mi powiedzieć? Jakieś deklaracje nareszcie?

- Nie... Ja nic takiego... - przestraszył się Franciszek. - Tak tylko przyszedłem. W przerwie.

- Rozczarowujesz mnie. - Mistrz wstał i przechadzał się w tę i z powrotem, wzdłuż kominka. Nie patrzył na Franciszka. - Miałem nadzieję, że nareszcie zmądrzałeś i postanowiłeś wziąć się porządnie do pracy i zasłużyć na to, by zobaczyć ojca. Chyba muszę mu w końcu powiedzieć, że jego syn wcale nie chce go widzieć.

- Nie rozumiem. - Franciszek z niedowierzaniem kręcił głową. - To mistrz się z nim widuje? Więc dlaczego mnie nie wolno?! Przecież się staram...

Mistrz roześmiał się nieprzyjemnie.

- Starasz się? To dlaczego nie przekazałeś mi dotąd ani

jednej przydatnej informacji? Same bzdety, którymi karmią mnie wszyscy wokół na śniadanie, obiad i kolację. Żadnego w tym zaangażowania, żadnego pomysłu! Nawet dla próżni was szkoda.

- A jeśli... - Franciszek z nerwów skubał chusteczkę w kieszeni - jeśli teraz coś mam...? Informację z pierwszej ręki, taką, o której nikt jeszcze nie wie, to... czy będę mógł zobaczyć ojca?!

- Jeśli to naprawdę ważna informacja, to oczywiście - odpowiedział mistrz, patrząc w ogień.

- Szukający planują akcję ratunkową. Chcą odnaleźć dziecko Klaudii i oddać je matce - powiedział jednym tchem, jakby chciał to z siebie jak najszybciej wyrzucić i zapomnieć.

Tym razem mistrz spojrział na Franciszka. W jego wzroku nie było emocji. Franciszek pomyślał, że już jego ulubiony pluszowy miś miał w sobie więcej empatii. Mistrz był taki jak jego jaskinia. Zimny i nieprzystępny.

- Powiem ci coś - odpowiedział mistrz twardo. - Twoje informacje są głównie warte, wręcz śmieszne. Czy naprawdę myślisz, że szukający byliby w stanie cokolwiek działać bez mojego pozwolenia?

- Nie rozumiem. - Franciszek spojrział na mistrza lękliwie.

- Mam oczy wokół głowy. Widzę wszystko. Teraz rozumiesz?

Franciszek wstał z krzesła i oparł się o skałę przy kominku. Trzymaną w ręku chusteczkę odrywał po kawałku i wrzucał do ognia.

- To po co ja byłem potrzebny? - spytał.

- Miałeś je tutaj przyprowadzić, ale zmieniły mi się plany. Już ich nie potrzebuję. Ciebie tym bardziej. - Wstał od stołu i zaczął się kierować w stronę korytarza, jednak w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił do Franciszka. - I jeszcze jedno: nie mam pojęcia, gdzie jest twój ojciec. Od lat go nie widziałem. Jeśli go spotkasz, powiedz mu, że Zygmunt nie zapomina. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Franciszek musiał usiąść, bo poczuł, że jeszcze chwila i zemdleje. To był ten moment w życiu, kiedy czuje się z całą mocą, że nic nie ma sensu, więc nie warto się starać. Franciszek miał nieprzepartą chęć położyć się na ławie i zapaść w sen, który nie miałby końca. W jednej sekundzie legły w gruzach jego marzenia, którymi żył od tygodni. Ożywiona po tylu latach nadzieja zgasła, Franciszek poczuł się jak wtedy, zaraz po zaginięciu ojca. Drugi raz równie mocno przeżywał stratę. A to wszystko przez tego potwora bez uczuć, który nakarmił Franciszka kłamstwami, nie wiadomo po co, chyba dla własnej sadystycznej uciechy. Chłopak czuł, jak kiełkuje w nim nienawiść. Chciał, żeby wrosła głęboko, z siłą, która nie da zapomnieć o sobie do końca życia. Będzie napędem do działania, do samodoskonalenia. Bo jeśli Franciszek naprawdę chce pokonać mistrza, przez następnych kilka lat czeka go ciężka praca. Za każdym razem, kiedy nie będzie miał siły ćwiczyć, przypomni sobie ten moment, ale teraz...

Teraz nie miał pojęcia, co dalej ze sobą zrobić. Nie miał ochoty wracać ani tym bardziej zostać. Siedział więc tak

pogrążony w letargu. Do życia przebudziło go dopiero delikatne chrząknięcie. Podniósł wzrok i zobaczył przy kominku kobietę uderzająco podobną do Gosi, ale też sporo starszą. Patrzyła na niego, a jej oczy były pełne wyrazu. Franciszek wyczytał w nich troskę i narastające zdumienie.

- Dzień dobry - powiedziała życzliwie. - Nazywam się Paulina. A ty? Co robisz w tym okropnym miejscu? Czy spotkaliście się już wcześniej? Bo mam wrażenie, że tak.

Franciszek patrzył na nią nieufnie. W ogóle nie chciało mu się gadać i miał nadzieję, że Paulina za chwilę sobie pójdzie, rozczarowana jego milczeniem. Nic z tych rzeczy. Usiadła naprzeciwko niego i kontynuowała monolog:

- Już wiem. Niezwykle mi kogoś przypominasz. Mojego bardzo, bardzo dobrego przyjaciela... Już tyle lat go nie widziałam. Słyszałam, że jego syn zaginął. Okropna strata... A ja nawet nie zadzwoniłam... Zresztą po co ci to mówię? Widzę, że masz swoje zmartwienia, a ja ci tylko przeszkadzam. Przepraszam, już sobie idę. - Wstała.

- Franciszek - powiedział szybko chłopak, a na pytające spojrzenie Pauliny dodał: - Tak mam na imię. I przepraszam - rzucił, nie patrząc na nią. - Proszę zostać.

Paulina usiadła na miejsce.

- Franciszek - powiedziała powoli, jakby się delektowała tym słowem. - Piękne imię.

- Franciszek tak, Franek nie. Co pani tu robi?

- Jestem więźniem. - Roześmiała się ponuro. - Więźniem własnego męża.

- Co takiego?! - przeraził się Franciszek.

- Spokojnie - odpowiedziała. - Odszedł dawno temu. A teraz naprawdę mnie więzi. Tak w ogóle - pochyliła się w stronę Franciszka i zniżyła głos do szeptu - gdzie on teraz jest?

- Nie wiem - odpowiedział Franciszek, a potem dodał bardzo głośno: - ale nie boję się go.

- Po której jesteś stronie?

Franciszek pokręcił głową ze smutkiem:

- Na pewno nie można mi ufać. Bez skrupułów zdradzam przyjaciół. Naprawdę.

Paulina zaśmiała się cicho.

- Szkoda - powiedziała - bo właśnie zamierzałam wyjawić ci mój plan. I opowiedzieć trochę o twoim dziadku, bo teraz jestem pewna, że jesteś jego wnukiem. Tak samo marszczył brwi, gdy był zły. Jednak najbardziej niepodważalny dowód to ta dziura, którą masz w podbródku. Musiałeś ją otrzymać w genach, innej rady nie ma.

- Tatuś też taką miał - powiedział Franciszek, walcząc dzielnie ze łzami. - Ja jej nie cierpię. Jest paskudna.

- Twój dziadek też tak mówił. - Paulina się uśmiechnęła.
- Powiedział ci, gdzie jest ojciec?

Franciszek spojrzał na nią zdumiony.

- Skąd pani wie?!

- To nie była trudna zagadka - odpowiedziała.

- Nie.

- Według mnie istnieją dwie możliwości. O tym, gdzie jest twój tata, wie albo mistrz, albo twój dziadek. Pierwsza opcja oznacza, że Zygmunt zamknął go w próżni. Zawsze to

robi z ludźmi, którzy mu przeszkadzają. Druga możliwość – twój ojciec ukrył się gdzieś i dla bezpieczeństwa rodziny powiedział o tym jednej jedynej osobie, najprawdopodobniej twojemu dziadkowi. Jeżeli nie mam racji, to marny ze mnie Sherlock.

- Myślę, że on nie wie – odpowiedział Franciszek, wskazując głową na korytarz, w którym nie tak dawno zniknął mistrz. - Prosił, żebym przekazał coś ojcu, jak go znajdę. Więc chyba nie wie.

- Co takiego miałeś przekazać?

- Że mistrz nie zapomina.

- Jestem dobra! – Paulina się zaśmiała. Jej śmiech szybko przemienił się w atak kaszlu. - Przepraszam – powiedziała z ledwością – ta wilgoć mnie wykańcza. Jestem świeżo po zapaleniu płuc.

- Może powinna się pani położyć? – spytał Franciszek z troską.

Paulina pokręciła głową.

- Powinam jak najszybciej stąd uciec – powiedziała chrapliwie. - To podejrzane, że mistrz jeszcze tu nie przyszedł przerwać naszej rozmowy – zamilkła na chwilę, żeby złapać oddech. Dała znak Franciszkowi, żeby się ku niej pochylił. - Jeśli dobrze rozumię – szeptała chłopcu do ucha – mamy właśnie niepowtarzalną szansę, żeby stąd uciec.

Mistrz zabrał Grażynę do sali kamer. Było to półokrągłe pomieszczenie z dziesięcioma małymi monitorami. Grażyna

z zainteresowaniem spojrzała na ekrany. Potem pewnie skierowała się w lewo, ku pierwszemu monitorowi. Szła po tym półokręgu, przypatrując się przez chwilę każdej scenie na ekranie. Czarno-biały obraz był naprawdę kiepskiej jakości. Dało się jednak rozpoznać, którą salę przedstawia. Pierwsza od lewej na pewno należała do Artura. Grażyna mogła podpatrzeć, jak siedzi na brzegu łóżka i w zamyśleniu skubie brodę. Kolejne pokoje czekały jeszcze na swoich więźniów, trzy monitory przedstawiały tylko skąpe umeblowanie. Grażyna szybko przeskoczyła więc do środkowego, największego ekranu. Mistrz, który podążał parę kroków za nią, stanął teraz obok.

- Spójrz. - Wskazał palcem dwie postacie widoczne na ekranie. - Poznajesz?

- Mamę tak - odpowiedziała. - A kim jest ten chłopak?

- Nieważne - odpowiedział. - Natomiast doskonale wiem, o czym rozmawiają. Niepokoi ich to, że nie nadchodzę, by ich rozdzielić. Twoja kochana mamuśka zaczyna namawiać chłopczyka na ucieczkę. On się jednak waha, bo co się stanie, gdy mistrz wpadnie w gniew... Tak, chłopczyk słusznie boi się zimna. Jednak Paulinka jest uparta, widzisz, szepcze mu coś na ucho. I chyba ma zdolność przekonywania, bo twarz chłopca się rozpogadza. Spójrz, co za tupet! Wstają i po prostu idą w stronę wyjścia! Tylko moja szanowna małżonka jest w stanie wykręcić taki numer - powiedział niemal z podziwem. - Przejdźmy szybko do kolejnego ekranu!

Grażyna jednak została w miejscu. Patrzyła tępo

w monitor.

- Pewnie strażnik zatrzyma ich przy wejściu? - spytała powoli, jakby była w szoku.

- Spójrz - odpowiedział mistrz. - Patrz! - dorzucił rozkazująco, gdy zobaczył, że Grażyna nadal stoi w miejscu. Podeszła do ostatniego ekranu, który przedstawiał wyjście z jaskini. Patrzyła, jak Paulina z Franciszkiem wychodzą spokojnie na zewnątrz. Potem wpatrywała się w bezruch na ekranie, jakby cały czas miała nadzieję, że jednak wrócą potulni i przepełnieni poczuciem winy. Dopiero gdy to nie nastąpiło, spojrzała na mistrza.

- Dlaczego? - spytała. Nie było w jej głosie radości.

- Zrobiłem to dla ciebie - odpowiedział mistrz, kładąc rękę na jej ramieniu. - Jesteś dla mnie bardzo ważna i wiedziałem, że martwisz się o matkę. Uwolniłem ją. Zrobię jeszcze więcej: pozwolę, by odnaleźli dziecko i zaprowadzili je do matki. Pamiętaj, jeśli będziesz ze mną, wspólnie jesteśmy w stanie uczynić wiele dobrego.

Grażyna uwierzyła mu. Był przekonujący. Pierwszy raz od lat poczuła, że znów może mieć ojca, że mogą wspólnie spędzać czas, jak kiedyś... Pomyślała też, że ludzie źle go oceniają, że tak naprawdę mistrz ma w sobie wiele dobra. A kto może znać ojca lepiej niż córka? Wstydziła się tylko tego, że tak naprawdę nie cieszyła się z ucieczki mamy. Świadomość jej obecności dużo dawała, Grażyna czuła się bezpieczniej. Przede wszystkim jednak była zła na matkę, że nie zaproponowała jej ucieczki drugi raz, a nawet więcej - nie powiedziała, że naprawdę zamierza to zrobić. Grażyna

przez cały czas myślała, że to czcze groźby. Kiedy zobaczyła ucieczkę na monitorze, poczuła się zdradzona i porzucona. Najwidoczniej mama bardziej ufała jakiemuś małolátowi niż własnej córce.

- Chodźmy stąd - powiedziała twardo. - Szkoda czasu. Mógłbyś mnie dzisiaj zabrać ze sobą tam, gdzie się wybierasz? Wydaje mi się, że już czas na kolejny etap wtajemniczenia.

Mistrz spojrział na nią w zamyśleniu.

- Coś ci pokażę - powiedział wreszcie.

Zaprowadził ją przez dobrze znany korytarz do swojego apartamentu. Paulina zostawiła po sobie zmiętoloną pościel na łózk. Grażyna na ten widok uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. *Cała mama, nigdy nie nauczyła się porządku. Może to i dobrze, oszczędziła sobie dzięki temu wielu nerwów. Za to Tomek denerwował się za całą rodzinę, chodził tylko i zbierał ciuchy porozrzucone po fotelach, łózkach, podłodze. Tak, on zdecydowanie był typem pedanta, na nieszczęście dla samego siebie. Przynajmniej żona miała teraz z nim dobrze - to przede wszystkim on dbał o porządek w domu.*

Grażyna kątem oka wypatrywała jakiegoś liściku, niczego takiego jednak nie znalazła.

- Ten apartament należy teraz do ciebie - powiedział mistrz. - Przecież jesteś moją córeczką.

Już dawno minął czas, kiedy Grażyna musiała się ukrywać ze swoim śpiworem. Kiedy tylko zaczęła pobierać lekcji hipnozy, Artur przyniósł do jej pokoju ciepłutką

pierzynę i farelkę.

- A gdzie ty śpisz, skoro ciągle odstępujesz swój apartament? - odważyła się spytać.

- To tak naprawdę nie jest mój pokój. A jaskinia ma jeszcze mnóstwo pomieszczeń, w których nie umieściłem kamer. Jak na przykład to. - Podszedł do wgłębienia w ścianie, które znajdowało się po tej stronie co łóżko, tylko dwa metry dalej, na styku dwóch ścian. Nacisnął przycisk, który wyglądał jak mały, doskonale okrągły kamień. *Niewygodne rozwiązanie* - pomyślała Grażyna. Chwilę później ściana z przyprawiającym o dreszcze zgrzytem zaczęła podnosić się do góry.

- Po czymś takim nic już mnie nie zdziwi - stwierdziła z podziwem.

- Zapraszam do garderoby - powiedział mistrz z nieprzeniknionym uśmiechem i gestem zaprosił Grażynę do środka.

- Ale zdumieć może - skwitowała, gdy mistrz zapalił światło. Garderoba była wielkości jej salonu, czyli około czterdziestu metrów kwadratowych. Po lewej stronie zostały umocowane drążki, na których wisiały sukienki, spódnice, spodnie, kurtki. Po prawej, w małych otwartych szafkach, leżały podzielone kolorystycznie bluzki z krótkim i długim rękawem oraz swetry. Na samym końcu Grażyna wypatrzyła buty. Tylu par nie miała chyba przez całe życie. Wszystko pachniało nowością. - Czyje to? - spytała, gdy troszeczkę ochłoneła.

- Twoje - odpowiedział. - Widzisz, uwielbiam sprawiać ci

radość. Pomyślałem więc, że coś takiego ci się przyda.

- Ale kto to wszystko kupował? Kto znał mój rozmiar?

- Nie martw się. Podoba ci się?

- Tak.

Mistrz podszedł do części z sukienkami i wyciągnął stamtąd długą białą szatę.

- Chciałbym, żebyś zjadła dziś ze mną kolację - powiedział, podchodząc do Grażyny. - Ze mną i z kimś jeszcze... Teraz cię tu zostawię. Na pewno nie możesz się doczekać, żeby poprzymierzać ubrania. Kolacja o dwudziestej. Chcę cię widzieć w tej szacie. - Podał jej ubranie i wyszedł.

Grażyna nie należała do tych kobiet, które poprawiają sobie humor, kupując ciuszki lub buty. Wprost przeciwnie - męczyło ją to, a co za tym idzie, złościło. Zwłaszcza kiedy bezskutecznie przeszukała mnóstwo sklepów. Była wybredną klientką i niezwykle rzadko coś jej się podobało. Tym bardziej nie mogła się nadziwić kolekcji, która znajdowała się w garderobie. Wszystko niezwykle gustowne, a co najważniejsze - odpowiadające jej stylowi. Szczególnie podobały jej się sukienki we wszystkich możliwych kolorach, od bieli po czerń, na ramiączkach i z rękawkami. Znalazła tam nawet tę wymarzoną, którą od dawna planowała kupić, ale pożałowała pieniędzy. Prosty fason, na grubych ramiączkach, do kolan, tylko dół wykończony delikatną falbanką. Materiał w pawie pióra, śliczne nasycone kolory - od zieleni po żółć - aż się oczy śmiały, gdy się na to patrzyło. Grażyna bez zastanowienia włożyła na siebie tę sukienkę, po

czym podreptała dobrać buty. Nie musiała długo wybierać, dobra wróżka postarała się i sprowadziła buciki na delikatnym obcasie, w tym samym odcieniu zieleni co sukienka. Nałożyła je i stanęła przed ogromnym lustrem, które znajdowało się naprzeciwko wejścia. Spojrzała na siebie krytycznie i poczuła się pozytywnie zaskoczona. Wyglądała dobrze, nie rewelacyjnie, po prostu dobrze. Świeżo i całkiem młodo. Zieleń doskonale podkreślała brązowy kolor jej oczu i włosów. Marek zawsze żartował, że już na rozpoczęciu roku pierwszych klas zakochał się w jej włosach. Nadal były długie, kręcone i gęste, nadal je uwielbiał... Przypomniała sobie bal maturalny, pierwszy jej prawdziwy bal. Od niego zaczął się jej związek z Markiem. Do tej pory pamiętała to uczucie, kiedy pierwszy raz zetknęły się ich dłonie i coś, jakby iskra, przeskoczyło między nimi. Parę lat później ślub, bliźniaczki, dom na przedmieściach, no i Pyza. Stabilne, ułożone życie. Grażyna odkryła ze zdziwieniem, że wcale za tą stabilizacją nie tęskni.

Tęskniła za to za rodziną. Wydarzenia ostatnich dni, te całe wykłady, nauka hipnozy, odzyskanie ojca, sprawiły, że nie miała czasu myśleć o dzieciach i mężu. Dopiero teraz poczuła, że za chwilę się rozklei, a przecież musi być silna, bo mistrz tego od niej oczekuje, bo ona tego chce. Zdecydowanym ruchem rozpięła sukienkę i odwróciła się od lustra. Powiesiła ją w szafie, zakrywając innymi sukniami. *Dość tego* – pomyślała ze złością. – *Muszę się skupić na terażniejszości. Hipnoza i ojciec, a cała reszta w swoim czasie.* Nałożyła długą białą szatę i przykryła głowę

kapturem. Poczula się jak mnich, brakowało tylko pokutnego sznura. Kiedy wyszła z garderoby, Artur już czekał na nią w pokoju i kręcąc głową z dezaprobatą, wskazywał na zegarek.

- Już jest? - spytała Grażyna.

Artur przytaknął.

- Rozmowny jesteś - stwierdziła. Czula, że trzęsie się cała z nerwów, jakby szła na egzamin albo, co gorsza, na przesłuchanie. Jakby od tego, co się teraz wydarzy, zależała cała jej przyszłość.

Na sali panował nastrój biesiady. W kominku palił się ogień, a w powietrzu unosił się zapach świeżo pieczonego kurczaka. Dwaj mężczyźni w czarnych szatach siedzieli naprzeciwko siebie. Ten, którego Grażyna miała właśnie poznać, był zwrócony do niej tyłem. Kiedy weszła, mistrz wstał, podszedł do niej i podprowadził do swojego nauczyciela.

- To jest właśnie moja córka Grażyna - powiedział.

Arcymistrz podniósł się delikatnie z krzesła i prawie na nią nie spojrzawszy, powiedział:

- Witaj.

- Dobry wieczór - wydukała Grażyna. Zdecydowanie nie podobał jej się ten człowiek. Wyglądał jak terrorysta: długa czarna broda, ciemne świdrujące oczy. I to przywitanie, jakby Grażyna była jedynie kolejnym elementem kolacyjnej zastawy. Odetchnęła z ulgą dopiero w momencie, gdy mistrz wskazał jej krzesło obok siebie. Wysunął je, a gdy usiadła, nalał jej czerwonego wina.

- Arturze, możesz podawać - powiedziała.

Milczący Artur zniknął, by pięć minut później pojawić się z wazą pełną podpieczonego na złoto, cudownie pachnącego kurczaka, następnie z blaszką pieczonych ziemniaków z czosnkiem i na koniec z dwoma rodzajami surówek: z kapusty pekińskiej z jabłkiem oraz z białej rzepy. Grażyna już nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała tyle jedzenia na stole. Chyba w urodziny bliźniaczek, bo potem... potem wszystko się pozmieniało. Nie miała już chęci na gotowanie obiadów, a co dopiero mówić o organizowaniu przyjęć! Miała wrażenie, jakby od tego czasu minęły nie trzy miesiące, a co najmniej trzy lata. Jedli w milczeniu. Grażyna podpatrzyła, że jej ojciec je kurczaka rękami, zupełnie tak jak ona. Marka za nic w świecie nie mogła do tego przekonać, uważał, że tak jadał człowiek z epoki jaskiniowej, który na oczy nie widział sztucców, więc musiał sobie jakoś radzić bez nich. Najgorsze, że za pomocą widelca Marek potrafił pięknie obskubać z mięsa całego kurczaka, a Grażyna zaledwie w połowie obgryzione kosteczki oddawała psu. No cóż, przynajmniej Trzpiotek miał wyżerkę.

Kiedy mistrz dał znać Arturowi, że może zabrać talerze, arcymistrz zwrócił się do Grażyny:

- Może ci się wydawać, że nie zwracam na ciebie uwagi, ale tak naprawdę bacznie cię obserwuję. Dużo w tobie złości, to dobrze. Jesteś uparta, drugie dobrze. Ale czy jesteś gotowa...? - Pytanie skierował już do mistrza.

- Moja córka jest bardzo pojętną uczennicą... - zaczął mistrz.

- Nie wątpię - przerwał mu nauczyciel. - Ale czy jest gotowa do naszej misji? Do tego, byśmy mogli powierzać jej zadania?

- Myślę, że czas, aby przeszła do kolejnego etapu wtajemniczenia.

Arcymistrz nie odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili zwrócił się do Grażyny:

- Podejdź tu.

Stała przed nim ze spuszczoną głową. Nie miała pojęcia, dlaczego, ale onieśmiał ją do tego stopnia, że nie dała rady patrzeć mu w oczy.

Arcymistrz niespodziewanie wziął jej dłoń i zaczął przyglądać się liniom papilarnym.

- Jesteś stworzona do rządzenia ludźmi - powiedział. - Pójdą za tobą w ogień. Zygmuncie, szykuj ceremonię. Jutro wieczorem w sali wykładowej. Niech twoja córka teraz odpocznie, a ty chodź za mną.

Arcymistrz skinął do Grażyny głową i zniknął w korytarzu. Mistrz podszedł do córki.

- Dobra robota - szepnął, głaszcząc ją po karku. Potem podążył w ślad za nauczycielem.

Grażyna poszła do swojego nowego pokoju, położyła się na szerokim łóżu i zamknęła oczy. Nie myślała o niczym, po prostu leżała, a obrazy same pojawiały się w jej głowie. Bohaterami tych scen byli wszyscy, którzy stanowili ważną część jej życia. Widziała wykrzywione z wysiłku twarze bliźniaczek, kamienną Marka, siebie w białej szacie stojącą na szczycie ogromnej wieży, a po bokach ubranych w czerń

swoich nauczycieli. Świat wokół okrywały czarne chmury, wiał wiatr tak silny, że przeszkadzał oddychać. I to właśnie sprawiło, że się obudziła, poczuła, że się dusi.

- Dlaczego pozwoliłeś im odejść? - spytał arcymistrz Zygmunta. Stali niedaleko jaskini, między skałami.

- Dobrze wiesz. Zresztą są niegroźni.

- Według mnie nie doceniasz ich, a zwłaszcza swojej żony. Kobiety pragnące zemsty są groźne, wierz mi.

- Czyżbyś tak bardzo był niepewny własnej mocy?

- Jestem niepewny siebie. - Arcymistrz spojrział na Zygmunta przenikliwie. - Prezenciki, kolacyjki, apartament, wypuszczenie na wolność cennego więźnia. Czyżby spóźniony ojcowski instynkt? A może wyrzuty sumienia? - spytał, uśmiechając się przy tym ironicznie.

- Robię to tylko i wyłącznie dla sprawy. - Zygmunt zachował pokerową twarz. - Zresztą pozwolenie na ucieczkę było zamysłem taktycznym, dzięki temu Grażyna czuje się zdradzona przez własną matkę, a we mnie widzi tego dobrego.

- Rób, jak chcesz, tylko pamiętaj, że mnie nic nigdy nie umyka.

- Widziałeś kiedyś, jak ćmy garną się do światła? Parzy, a jednak mimo bólu krążą wokół żarówki. Tak samo jest z nimi. Wiedzą doskonale, co czeka ich w próżni, ale zapewniam cię, że jeszcze parę tygodni i wszyscy tam trafią. Sami z siebie. W imię miłości. Miłość jest dla nich tym

światłem, który sprawia ból, a jednak nie mogą się bez niego obejść. Idioci.

- Obyś miał rację.

- Kiedy atak?

- Zarządę zebranie na pojutrze. Każ stawić się wszystkim obowiązkowo. Czas wykorzystać chaos, który spowodowaliśmy.



Szarość, która go otaczała, była nie do ogarnięcia. Powietrze stało w miejscu, a jedynymi ruchami były wypuszczany ze świstem oddech lub kroki spacerujących z tępych wyrazem twarzy ludzi.

Jak na swoisty rodzaj więzienia próżnia nie była złym miejscem. Nikt nie pilnował więźniów, bo nie było takiej potrzeby. Jedzenia było w bród, codziennie dosłownie spadała z nieba nowa dostawa. Ludzie to potem zbierali i zanosili do wielkich lodówek umieszczonych w białych halach o podejrzanym konstrukcji. Tego się przecież nie zapomina: jedzenia, mowy, podstawowych potrzeb. Zapomina się jednak to, co najważniejsze, wszystko, czym się żyło przed. Najgorsze jest jednak to, że cały czas ma się wrażenie, że przeoczyło się coś naprawdę ważnego. Tak jakbyś miał w ciele drzazgę, która dokucza, ale nie sposób jej wyjąć, ponieważ jest niewidzialna. I tak, chcąc nie chcąc, każdy w próżni zaczyna od początku.

Marek przez pierwszych kilka dni przyzwyczajał oczy do

szarości, widział tylko na odległość jednego metra i to niewyraźnie. Dla jego oczu wszystko było jedną nijaką masą, ludzi rozróżniał po konturach. I bał się, bo był głodny, samotny i nie miał siły. Kiedy więc w tej szarości dostrzegł wreszcie inny samotny ludzki kontur, postanowił za nim iść. Powoli, odpoczywając co kilka kroków, doszli do bramy z budką strażniczą. Marek czuł się tak wyczerpany tą krótką wycieczką, że miał ochotę położyć się gdziekolwiek i zasnąć. Ledwo trzymając się na nogach, podszedł jednak za swoim towarzyszem do strażnika. Ten poprosił ich, żeby podali numer domu, w którym mieszkają. Wtedy dopiero obcy, za którym Marek wędrował, spostrzegł go. Marek zobaczył wyraźnie jego oczy, miały kolor zielony. Ucieszył się jak małe dziecko. Powiedzieli strażnikowi, że chyba raczej nie mają domu i że są bardzo głodni.

- W takim razie - stwierdził strażnik bardzo cichym głosem - potrzebujecie przydziału. Zapraszam do domku numer jeden, tu, zaraz po prawej stronie.

Wpuścił ich przez bramę. Nie zaszli jednak daleko, bo okazało się, że jest długa kolejka po przydział. Stanęli grzecznie w ogonku. Wszyscy czekali w milczeniu, Marek też nie miał pomysłu, o czym mógłby rozmawiać z sąsiadem. Czuł się jak otumaniony, jakby ktoś opróżnił z jego głowy wszystko, co w niej było, i pozostawił pustkę. Nie wiedział, co robi w tym miejscu ani gdzie znajdował się wcześniej. Na dodatek czuł senność i słabość. Gdyby ktoś go poprosił w tym momencie o przebiegnięcie kilku metrów, nawet nie miałby siły się roześmiać. Szybko też zrozumiał, dlaczego

jest taka długa kolejka: ludzie mieli problem z wchodzeniem po schodach. Tracili przy tym mnóstwo czasu. Zauważył też, że większość czekających drzemała na stojąco.

Do każdego domku przydzielano po pięć osób. Odbywało się to na zasadzie odliczania: jednorazowo do miejsca przydziału musiało wejść pięciu mężczyzn lub pięć kobiet po kolei, bez możliwości wyboru. W taki właśnie przypadkowy sposób Marek otrzymał nową rodzinę. Był wśród nich znajomy mężczyzna o zielonych oczach, dwóch starszych siwowłosych panów oraz jeden bardzo młody chłopak ze skąpym zarostem. Poszli w milczeniu na poszukiwania domku numer dwanaście. Marek kilka razy próbował coś powiedzieć, otwierał nawet usta, ale szybko milknął. Jak ma zacząć rozmowę, skoro nawet nie zna swojego imienia? A poza tym czuł taką słabość całego ciała, że myśl o wypowiedzeniu choć jednego krótkiego słowa przyprawiała go o ból głowy.

Ludzie, którzy mieli swój udział w zagospodarowywaniu przestrzeni próżni, zdecydowanie byli zwolennikami ładu i symetrii. Domki ustawiono wokół ogromnego, pustego placu. Wszystkie zresztą były identyczne: z wielkiej białej płyty, wyglądały raczej jak magazyny, a nie pomieszczenia nadające się do zamieszkania przez człowieka. Wnętrze jednak było przyzwoite, choć składało się tylko z jednego dużego pokoju, w którym po jednej stronie stały rzędem schludne drewniane łóżka z materacami, z drugiej zaś grubo ciosany dębowy stół z pięcioma masywnymi krzesłami. Latryna oraz prowizoryczny prysznic znajdowały się

w oddzielnej przybudówce.

Marek wybrał łóżko przy ścianie, po stronie okien. Położył na nim swoje rzeczy i stwierdził, że czas rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Czuł się już bardzo osłabiony, bał się, że upadnie gdzieś po drodze.

- Idę poszukać czegoś do jedzenia, przyłączycie się? - uprzedził Marka zielonooki, przerywając tym samym przekłętą ciszę.

- Ja też się wybieram - odpowiedział Marek. Złapał się na tym, że mówi tak samo cicho i powoli jak strażnik. I jak zielonooki.

Reszta towarzyszy spojrzała tylko na nich spode łba.

Kiedy wyszli, Marek z radością spostrzegł, że zaczyna zauważać szczegóły: plac nie był już tylko zwartą szarą masą, okazało się, że rośnie na nim trawa poprzecinana gęstą siecią wydeptanych ścieżek. Szarość jakby się rozmyła i świat próżni okazał się w przeważającej swej części biało-zielony.

- Idę do hali - stwierdził nowy kolega.

- Może być.

Nie była to długa droga, ponieważ ich dom znajdował się zaraz za halą. Kiedy weszli do środka, pierwszą rzeczą, która zadziwiła Marka, był chłód. Rozejrzał się po magazynie i stwierdził, że nie ma pojęcia, co jest źródłem zimna. Jedzenie leżało na długich stołach. Z tego, co Marek zdołał pobieżnie wychwycić, znajdowały się tam chleb, konserwy, owoce, warzywa, nawet jakieś słodczyce. Tak szybko, jak tylko był w stanie, chwycił pajdę chleba, jego towarzysz otworzył

konserwę. Oparli się o stół i jedli w milczeniu. Marek obserwował kątem oka snujących się po sali ludzi. Niektórzy siedzieli na ławce przy wyjściu i leniwie pili coś gorącego w kubkach, inni jedli oparci o stół, tak jak oni, jeszcze inni stali niezdecydowani na samym środku pomieszczenia i rozglądali się lęklonie wokół lub drzemali. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety w średnim wieku, młodzież oraz ludzie bardzo starzy, naznaczeni przez czas.

- Jesteście tu nowi? - Obok Marka stanął młody mężczyzna w sutannie.

Marek spojrzał na niego ponuro i wzruszył ramionami. Dopiero po dłuższej chwili wreszcie ośmielił się spytać:

- Dlaczego nic nie pamiętam?

Zielonooki aprobował jego pytanie, kiwając głową.

Mężczyzna chwilę patrzył na Marka przenikliwie.

- Prawda jest taka, że jest tylko to miejsce, jesteśmy my i nic więcej. Od zawsze. Możecie tego nie pamiętać, ale tak jest. Zresztą co za różnica.

Marek nagle poczuł, że rzeczywiście nie ma żadnej różnicy i że nie ma siły ani chęci tego roztrząsać.

- Prawda jest taka, że gówno wiesz! - próbował krzyknąć starszy, obdarty człowiek, jeden z tych opierających się o stół. Wyszło tak cicho, że Marek ledwie usłyszał.

- Rób swoje i nie podsłuchuj!

- Jesteśmy w więzieniu! - ryczał staruch. - Bezwolni jak marionetki!

- Chodźcie stąd - syknął mężczyzna w sutannie, patrząc ze złością na starucha. - Pokażę wam, gdzie możecie sobie

coś ugotować i troszkę lepiej - spojrzał znacząco na konserwy - zjeść.

Marek z zielonookim bez słowa dali się wyprowadzić za halę. Znajdował się tam drugi plac, o połowę mniejszy od głównego. Płonęły na nim duże ogniska, nad którymi wisały ogromne parujące kotły.

- Tutaj odbywa się wspólne gotowanie - powiedział ich przewodnik. - Każdy, kto chce, może dołączyć. Do gotowania oczywiście, jeśli zamierzacie to potem jeść. Dziś chyba mają gulasz. Chcecie trochę? Potraktujcie to jako przywitalny prezent. Wszyscy widzą, że jesteście świeżakami.

- Świeżakami? - prychnął zielonooki. - Co to w ogóle za określenie?!

- Cóż. Nie mamy tutaj za wiele rozrywek. Największa jest wtedy, kiedy przybywają nowi. Mamy o czym dyskutować, co komentować. Robimy zakłady, kto pierwszy przerwie milczenie.

Marek z zielonookim spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Ich przewodnik zauważył to i się uśmiechnął.

- Wiecie, jaki jest najbardziej charakterystyczny syndrom świeżaka? Nazywamy to znową milczenia. No, idźcie poprosić o gulasz.

- A co mi tam! - stwierdził Marek i poszedł do mężczyzny mieszającego w kotle. Ten bez słowa nałożył mu całą miche parującego gulaszu. - Dobrze - powiedział z uznaniem, gdy wrócił do swoich towarzyszy.

- Usiądźmy. - Przewodnik wskazał ławkę znajdującą się pięć metrów od ognia, jedyną pustą.

- Jestem taki śpiący - mruknął zielonooki, gdy już usiadł na ławce.

- Ja też - odpowiedział Marek. - Cały czas.

- Lepszym określeniem na to jest bezsilność lub stałe osłabienie organizmu. - odpowiedział ich przewodnik. - Spójrzcie na innych. Większość tutaj walczy z sennością. Co ja mówię - wszyscy! Ale mamy na to sposób. Działa krótko, ale jednak. Niedługo się przekonacie.

- Ludzie tutaj nie wyglądają... - mówił Marek powoli. Ostatkiem sił walczył z sennością, która nie chciała ustąpić - na szczęśliwych... - Głowa opadła mu bezwładnie do przodu.

- Po prostu czują to, co wy - odpowiedział przewodnik, nie zważając na to, że Marek w tym momencie raczej go nie słyszy - że przeoczyli coś naprawdę ważnego. Wszyscy tu mamy w głowie jeden obraz, czasami kilka, który nie pozwala przespać całej nocy, a co dopiero cieszyć się życiem. Ale spotkasz również ludzi szczęśliwych. To ci, którzy żyją tu najdłużej. Oni chyba już zapomnieli nawet o tym, że powinni pamiętać. A może dali sobie z tym spokój...

- No i co, co mieli w kieszeniach? - Podeszła do nich kobieta o ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach, w spódnicy tak wzorzystej, jak orientalne stragany. Brzęczała bransoletkami, których miała na rękę nieskończoną ilość. - No co? Czy mi się wydaje, czy tatuś się zarumienił?

- Kim jest ta kobieta? - Oczy zielonookiego pociemniały z gniewu. - I o co jej chodzi?

- Nie powiedziałem wam wszystkiego - odpowiedział

przewodnik, patrząc na nich przeprasza jąco. - Czekamy na nowych również z tego powodu, że każdy przynosi ze sobą jakiś ciekawy przedmiot. Dzięki temu czasami wiemy, z kim mamy do czynienia. Przyniosłaś? - zwrócił się do cyganki.

- To jest niedorzeczne! - zezłościł się zielonooki. - Nikt nie ma prawa mnie przeszukiwać, chyba że sam na to pozwolę!

- Nie radzę - odpowiedziała cyganka, podając mu metalowy termos. - Chyba że chcesz mieć przeciwko sobie cały świat.

- Natana, przestań ich straszyć! - zbeształ ją przewodnik. - Ona żartuje - dodał, patrząc z uśmiechem na towarzyszy. - Pij. - Skinął do zielonookiego.

- Co to takiego? - Zielonooki nieufnie odkręcił pokrywkę i powąchał zawartość. - Śmierdzi. - Skrzywił się.

- Ale pomaga, zaufaj mi - powiedział przewodnik.

Zielonooki wziął najpierw mały łyżeczek, posmakował. Stwierdził, że nie jest najgorsze, i niemal jednym haustem wypił prawie połowę zawartości termosu. - Proszę. - Podał resztę Markowi. Ten bez zbędnych ceregieli wypił ją.

- Chyba rzeczywiście pomaga - ucieszył się. - Co to jest?

- Siara - odpowiedziała cyganka z uśmiechem, a potem dodała: - Tak się nazywał jej twórca.

- Tak - przytaknął przewodnik. - To chyba jedyna dobra historia wiążąca się z tym miejscem, niestety tylko do połowy. Kiedyś mieszkał tu pewien facet, który całe dni spędzał na zbieraniu miejscowych ziół. Robił z tego różne mieszanki, większość była równie niedobra jak ta i na

dodatek na spirytusie. W pewnym momencie ludzie zauważyli, że tylko Siara mówi tak głośno, że słycać go było na drugim końcu placu, że tylko on ma siłę biegać, a nawet tańczyć. Zaczęli do niego przychodzić, a on zamiast dzielić się gotowym trunkiem, każdemu cierpliwie tłumaczył, jakiej mieszanki ziół ma używać, żeby móc samodzielnie przygotowywać wywar. To jest ta dobra część historii. Niestety Siara swoją chęć dzielenia się przepisem z innymi przypłacił życiem. W ogrodzie przed jego domem, gdzie posadził wszystkie potrzebne zioła, ludzie bili się o każdy maleńki listek, wyrywali sobie zdobycze z rąk. Siara próbował ich rozdzielić i wtedy właśnie zginął, nie do końca wiadomo, w jakich okolicznościach. Od tego momentu tylko młode dziewczęta i dzieci mogą wytwarzać siarę. I jak dotąd panuje zgoda.

- Czasami lepiej jest nie mieć siły - stwierdziła cyganka ze smutkiem. - Przynajmniej niektórzy nie powinni.

- Daj spokój, Natana. - Przewodnik podszedł do kobiety i położył rękę na jej ramieniu.

- Czy ty mówisz do niej po imieniu? - spytał Marek.

- A co? Mam do wszystkich mówić „koleżanko” lub „kolego”? To głupie. Każdy z nas ma imię, jakie chce. A przedmioty, które ze sobą macie, czasami pomagają was określić. Zwłaszcza że niektórzy mają ze sobą swoje dokumenty. Zazdroszczę im.

Marek nagle wstał i zaczął grzebać w kieszeniach.

- Puste - stwierdził ze smutkiem.

- A ja mam to - powiedział zielonooki z uśmiechem,

wyciągając scyzoryk z jednej, a portfel z drugiej kieszeni. Scyzoryk podał Natanie, a sam otworzył portfel. – Wygląda na to – powiedział, lustrując dokładnie prawo jazdy – że nazywam się Łukasz Wysocki i mam trzydzieści siedem lat.

– Szczęściarz – westchnął Marek, grzebiąc w swoich pustych kieszeniach z nadzieją, że może jednak znajdzie cokolwiek.

– No to jednego mamy z głowy – stwierdził ze śmiechem ksiądz. – A ty – zwrócił się do Marka – miałeś ze sobą jakikolwiek bagaż?

Marek pokręcił głową ze smutkiem.

– Nic.

– Natana, jak go nazwiemy?

– Chwilunia, chwilunia... – Cyganka zbliżyła się do Marka i zaczęła go dokładnie, z każdej strony, oglądać. – Chudy jak szczapa. Koniecznie trzeba go trochę podtuczyć. Grzeczna fryzura z grzywką na boku. Duże przekrwione oczy. Zdecydowanie typ naukowca. Tylko ten ubiór wcale nie pasuje do reszty. Żółta koszulka i wytarte jeansy? Musiał być w długiej podróży. Jeszcze na dodatek ten przedwczorajszy zarost! Twardy orzech do zgryzienia!

– Pomyśl przez chwilę – zwrócił się do Marka przewodnik. – Na jaką literkę chciałbyś mieć imię? – zaczął wymieniać wszystkie literki alfabetu. Musiał powtórzyć ze cztery razy, zanim Marek się wreszcie zdecydował.

– Myślę, że M, ale nie jestem pewien. A może jednak W? Hmm... Nie wiem! Co za różnica, mogę się nazywać Łukasz tak jak on, albo... no... albo Natan!

- Albo Marek - odpowiedziała Natana.

- Albo Marek. - Na twarzy Marka zakwitł delikatny uśmiech.

- Ja tam zawsze wierzę w pierwszy wybór. - Natana puściła do niego oko.

- Marek brzmi nieźle - odpowiedział. - A ty - zwrócił się do przewodnika - jak masz na imię?

- Jerzy - odpowiedział. - Po moim stroju i tym, co znalazłem w podróźnej teczce, sądzę nawet, że ksiądz Jerzy. Ale mówcie do mnie po imieniu.

- Jerzy, co teraz? Kiedy już jesteśmy najedzeni i znamy swoje imiona? Jak zapełnić ten czas, który zapewne dłuży się tutaj bez końca? Jak zapełnić pustkę?

- No no... - Jerzy się uśmiechnął. - Jesteś tu jeden dzień i już czujesz pustkę i znudzenie? Nieźły wynik. Przeskoczyłeś od razu do piątego punktu naszej Listy Syndromów - zniechęcenia. Jeśli jesteś zainteresowany, cała lista jest spisana na tablicy przed halą. Fascynująca lektura! - stwierdził z przekąsem. - A co najgorsze, prawdziwa. Jeśli chodzi o rozrywki, mamy tu całkiem obszerną bibliotekę, kilka ulicznych teatrów, klub sportowy. Moim zdaniem jest naprawdę nieźle. Wieczorami bywają imprezy taneczne z muzyką na żywo. Natana nie opuściła jeszcze chyba żadnej, prawda? - zwrócił się do kobiety z uśmiechem. Przytaknęła żywo. - Problem tkwi jedynie w ludziach - kontynuował Jerzy. - Oni nie bardzo chcą w tym uczestniczyć. Wielu zamyka się w sobie, w swojej samotności. Stąd moja rada: nie pozwólcie myślom sobą zawładnąć. Róbcie coś,

uczestniczcie w życiu tego miejsca, choćby poprzez to głupie wspólne gotowanie, dobra? – Poklepał Marka po ramieniu. – A teraz przepraszam was, ale obowiązki wzywają. – Podał rękę każdemu po kolei, pocałował Nataną w policzek i odszedł.

– Co zamierzacie teraz robić? – spytała Natana.

Marek spojrzał na nią uważnie.

– Ja pozwiedzam okolicę.

– A ja – odpowiedział Łukasz powoli, z namysłem – chyba wrócę do domu uporządkować myśli.

– Szkoda – stwierdziła Natana. – Miałam nadzieję, że dacie się namówić na dzisiejszą imprezę, tak jakby powitalną. No wiecie, przybywają nowi, nie wiedzą, co ze sobą począć, więc zwołujemy ich wszystkich do jednej sali i próbujemy pokazać, że mogą się tu świetnie bawić. Tak naprawdę to jest bez sensu. Śmieję się, żartuję, tańczę, ale nic nie tłumi tego idiotycznego wrażenia, że coś przeoczyłam, coś naprawdę ważnego, jeśli nie najważniejszego. To siedzi w głowie przez cały czas. Najgorsze są noce. Zresztą sami zobaczycie, nie chcę was straszyć. Już kilka osób po takiej nocy popełniło samobójstwo. Niektórych uratowaliśmy, no ale... Nie da się uratować całego świata, prawda? – Spojrzała na nich uważnie. – Proszę was, postarajcie się znaleźć sobie jakieś mocno absorbujące zajęcia, dobrze?

Obaj przytaknęli bez przekonania. W tej chwili pragnęli tylko jednego – żeby wreszcie przestała mówić. Chcieli odejść stąd w miejsce, gdzie nie ma ludzi, by móc wreszcie

przemyśleć wszystko. Kiedy więc Natana w końcu poszła, Marek i Łukasz bez słowa odeszli w dwie różne strony.

Następne dni były już tylko gorsze. Marek przeleżał większość czasu, wstawał tylko na posiłki. Gdy zamykał oczy, z ciemności wyłaniał się zniekształcony obraz: rozciągnięte twarze trzech dziewczynek z czerwonymi nosami i oczami, z których lał się czarny wodospad łez. Był tam ktoś jeszcze, chyba on, uśmiechał się. Właśnie ten uśmiech przerażał Marka najbardziej.

Pierwszego dnia Jerzy nie powiedział jednej rzeczy: po pewnym czasie masz tak dość leżenia, że jesteś w stanie zrobić wszystko, nawet pójść na tańce, byleby już nie oglądać własnego łóżka. I Marek właśnie tak zrobił, zaczął jednak nie od tańców, lecz od wspólnego gotowania. Halowego jedzenia miał tak samo dosyć jak leżenia. Kiedy wyszedł z domu, przeraził się, bo ziemię znów spowijała gęsta, niemal namacalna szarość. Ona nigdy tak naprawdę nie odeszła, ale była jak cienka warstwa kurzu, przez który bez problemu da się rozróżnić kolory.

- Co się dzieje? - spytał stojącego przy kotle wąsatego mężczyznę.

- Idą nowi - odpowiedział tamten obojętnym głosem. - Gotuje pan dziś z nami? Bo jak nie, to proszę nie przeszkadzać.

- Mam na imię Marek - odpowiedział. - I tak, chcę pomóc.

- Wszystko jedno. Kartofle są w worku. - Mężczyzna wskazał głową na zabezpieczony daszkiem ogromny dół po jego lewej stronie. - Dziś gotujemy tylko dla czterech osób. Chyba że ktoś się jeszcze przypałała.

- A co pan gotuje? - Marek zbliżył się do kotła i zajrzał do środka. Szybko się jednak odsunął. Twarz miał całą mokrą od pary. - Ale gorące!

- Po prostu idź pan obierać te cholerne ziemniaki - mruknął mężczyzna pod nosem.

Marek znalazł w dole wiadro, które do połowy zapełnił ziemniakami. Z ciekawości sprawdził, co jeszcze znajduje się wśród zapasów. Były tam kasze, makarony, ryż, mąka, a nawet przeróżne sosy w słoikach. *Zdecydowanie trzeba tu przychodzić częściej* - pomyślał. Jakies pięć kroków dalej dwie panie z zapamiętaniem kroili białą kapustę i marchewkę na surówkę. Marek poczuł nieznośne ssanie w żołądku. Już się przyzwyczał, doświadczał tego codziennie, kiedy tak bardzo nie chciało mu się wstawać, że starał się przespać rozpaczliwe wołanie swojego organizmu o paliwo do życia. W końcu jednak pokonany podnosił się i szedł na halę. To już stało się rytuałem.

Ze zdziwieniem zauważył, że obieranie ziemniaków idzie mu nadzwyczaj sprawnie. W piętnaście minut zdążył rozprawić się z większą zawartością wiadra. Dopiero wtedy dołączyła do niego kobieta, na oko siedemdziesięcioletnia.

- Witaj, jestem Wanda - przedstawiła się, podając mu z uśmiechem rękę.

- Marek. - Uścisnął podaną dłoń. Zobaczył w twarzy

kobiety coś, czego próżno szukać u mieszkających tu ludzi – spokój i radość. Domyślił się, że jego rozmówczyni należy do pokolenia, które już zapomniało, że nie może zapomnieć. Pozazdrościł jej tego, ponieważ ona już mogła czerpać radość z tego, co przynosił jej dzień: porannej pobudki, powolnego spaceru, pogawędki ze spotkanymi ludźmi, co – spojrzał w zamyśleniu na wąsatego mężczyznę gotującego w kotle – nie zawsze musi być przyjemne. Mogła podziwiać, jak szarość nierównomiernie osiada na roślinach. Mogła zaglądać w twarz każdego człowieka i szukać w niej obrazów. Mogła wszystko. Ale on... On też mógł. Przynajmniej spróbować.

- Spójrz... - z zamyślenia wyrwał go łagodny głos Wandy. Siedziała już obok niego na drewnianym stołku. Marek w zdumieniu obserwował, jak wrzuca jeden obrany ziemniak za drugim. Robiła to tak szybko, że nie nadążał zobaczyć, w jaki sposób manewruje nożem. Jego wzrok podążył za jej ręką, do tyłu. Zobaczył tysiące ludzkich konturów na tle szarości.

- Przybywają codziennie - mówiła Wanda - całymi tysiącami. Już brakuje dla nich miejsc. Musimy rozstawiać namioty.

- Aż tyle przespałem? - spytał Marek cicho. - Za tym placem i domkami jest ogromna przestrzeń. Dlaczego tam nie wybudowano domów?

- Do tej pory nie było takiej potrzeby - odpowiedziała. Spokój zniknął z jej twarzy. Teraz była, jak reszta ludzi, przepełniona niepokojem. Tylko że inni martwili się

o nieznane wczoraj, ona myślała o nieznanym jutrze.



Na ostatniej kartce pamiętnika Gosia narysowała siebie i Anię. Sama wyszła niezwykle podobna, ale Anka, cóż... Oglądając rysunek, stwierdziła, chichocząc, że chyba ktoś jej nadepnął na oba policzki, a na domiar złego w jej piękne falujące włosy strzelił piorun.

- Zrobiłaś to specjalnie. Sama wyglądasz jak księżniczka, a ja jak twoja karykatura.

- W takim razie skąd wiesz, która z nas jest która? - podchwyciła Gosia ze złośliwym uśmiechem.

- Masz rację - odpowiedziała Ania i podpisała portret siostry swoim imieniem. Gosia, żeby się zrewanżować, drugi też podpisała imieniem Ani. Zapisały całą ostatnią stronę swoimi imionami, nie oszczędziły też portretów. W końcu na znak zgody napisały wielkimi literami na samym dole:

„Własność Ani i Gosi Głuszczyk. Znalazca proszony jest o pilne dostarczenie zdobyczy do właścicielek. Ich cechy charakterystyczne (takie jak widać na portretach): fryzura jak spod miotły (czytaj: kręcone włosy), wiek - trzynaście lat,

uderzające siostrzane podobieństwo oraz oczywiście anielska uroda”.



- Oraz anielska cierpliwość - podsumowała Maria, czytając wycieczki dziewczynek. - Miałyście podejść do sprawy poważnie!

- No i podeszłyśmy. Prawie do końca... - odpowiedziała Ania, uśmiechając się przy tym swoim, jej zdaniem najmiłszym, uśmiechem.

- Dopisałam jeszcze: „nagroda gwarantowana”, tak dla zachęty - stwierdziła Gosia, patrząc śmiało na Marię.

- Przede wszystkim macie za nic w świecie nie zgubić tego dziennika. Zrozumiałyście? Mówię teraz bardzo poważnie. Pilnujcie go nawet bardziej niż siebie nawzajem! Od niego zależy, jak skończy się wasza historia.

- Dobra, dobra! - odpowiedziała Gosia. - Przecież wiemy, że to poważna sprawa. Niech się pani nie martwi.

Maria spojrzała na bliźniaczki z ciepłym uśmiechem.

- Będę za wami tęsknić. - Jedną ręką chwyciła dłoń Ani, drugą Gosi. Spojrzała im w oczy i powiedziała: - Nie muszę wam mówić, żebyście się nie poddawały tak łatwo w dążeniu do celu, bo to wiecie. Powiem więc, że czasami warto odpuścić. Musicie mi obiecać, że nie będziecie głupio ryzykowały własnego życia, dobrze?

- Brrr - wzdrygnęła się Ania. - Normalnie ciary mnie przeszły... - zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Ale i tak niczego nie mogę obiecać. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji i nie mam pojęcia, jak się zachowam.

- Moja siostra brzmi rozsądnie, więc popieram ją w stu procentach - odpowiedziała Gosia. - Nie chcę popełniać krzywoprzysięstwa.

Maria uścisnęła dłonie bliźniaczek, po czym je wypuściła.

- Idźcie wygrać tę bitwę. A potem wróćcie tu, żeby wszystko mi opowiedzieć. - W jej oczach pojawiły się łzy.

Ania z Gosią podeszły do Marii i wspólnie ją przytuliły. Wtedy do kuchni wkroczył Wiktor.

- Koniecznie musicie to zobaczyć - powiedział.

Gosia najpierw usłyszała.

- Ty - szepnęła podniecona do Ani - to chyba głos Franciszka.

- Patrzcie na to. - Wiktor wskazał na telewizor w salonie, w którym właśnie leciały wiadomości.

Wcale nie musiał tego mówić. Maria, Gosia i Ania już i tak wpatrywały się w ekran jak w tęczę.

- Jejku, a co ona tu robi?! - krzyknęła Ania, kiedy ze zdumieniem odkryła, że oprócz Mikołaja i Franciszka rozpoznaje jeszcze jedną twarz, Pyzy. Jej wszędobylska siostra zdążyła już zasłonić ekran, pomachać do widzów i ostentacyjnie ziewnąć.

- Cicho! - syknęła Maria. - Słuchajcie!

- Jesteśmy świadkami cudu - mówiła z przejęciem pani redaktor. Była zdecydowanie początkująca, wносиła ze sobą do studia świeżość i młodzieńczy entuzjazm. Podeszła do Pyzy. - Masz na imię Pyza, prawda? - Dziewczynka żywo pomachała głową. - Powiesz nam, w jaki sposób zdołałaś wraz ze swoimi przyjaciółmi wytropić miejsce pobytu dziecka? - Pyza wyrwała jej mikrofon z ręki.

- Uciekłam z domu wujaszka, żeby szukać mamy i wtedy spotkałam Franciszka z babcią. Powiedzieli, że uciekli właśnie z jaskini i że goni ich ogromny zły smok i żebym koniecznie z nimi wracała. Zgodziłam się.

Pani redaktor zabrała jej mikrofon.

- Wszystko pięknie, ale czy mogłabyś powiedzieć

konkretnie, jak znaleźliście dziecko?

Pyza wzruszyła ramionami.

- To proste - odpowiedziała. - Szukający mają różne dary. Troszkę intuicji, szczypta zleconego snu, odrobina pomocy świetlnej układanki, no i dom się pojawił. Wystarczyło tylko przyjść pod wskazany adres i odzyskać maleństwo.

Pani redaktor uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- W porządku - powiedziała. - Tylko że z twojej wypowiedzi wynika, że w odnalezieniu dziecka pomogły wam magiczne moce... - Zaśmiała się cicho, ale kiedy zobaczyła, że nikogo więcej to nie bawi, spoważniała. - Gdzie twoja babcia? Mogłabyś ją do mnie zawołać?

Po chwili na ekranie pojawiła się Paulina.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Witam panią bardzo serdecznie. - Redaktorka z uśmiechem ucisnęła dłoń Pauliny. - Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że w odnalezieniu dziecka pomogły intuicja, sen i układanka. Tak twierdzi pani wnuczka.

- Skoro tak twierdzi, nie mam odwagi się jej przeciwstawić - zaśmiała się Paulina. - Odrobina magii nigdy nikomu nie zaszkodziła, prawda, dzieci? - Puściła oko do kamery. - Najważniejsze, że chłopczyk jest zdrowy i lada chwila wróci do matki.

- Przepraszam, czy mógłbym coś powiedzieć? - Tym razem na ekranie pojawił się Franciszek. Redaktorka podała mu mikrofon.

- Tato, jeśli mnie słyszysz, odezwij się do mnie, proszę

cię. Obiecuję, że już nie zrobię niczego głupiego. Tylko błagam, daj jakiś znak, że w ogóle żyjesz.

Gosia patrzyła w przejętą twarz Franciszka i nagle doznała olśnienia. Takiego jakiego doświadczył chyba każdy z nas przynajmniej raz w życiu. Ten moment pamięta się potem do końca, bo jest jak iluminacja, która trafia bezpośrednio w głąb podświadomości i pobudza ją do życia.

Gosia zrozumiała właśnie wielkie oszustwo, którym karmił ją Franciszek. Nie tylko ją zresztą. Wszystkich. Przez cały czas nie chodziło o szkołę, układankę ani broń Boże o nią, Gosię. Franciszek czepiał się każdego koła ratunkowego, żeby wzbudzić w sobie przynajmniej odrobinę nadziei. Gosia obawiała się, że nadzieja nie przyszła sama, ktoś musiał mu ją dać. Ktoś, kto kazał Franciszkowi robić złe rzeczy, jak na przykład szpiegowanie...

- A ja chciałbym przestrzec - tym razem mikrofon przejął Mikołaj - wszystkich rodziców, aby pilnowali swoich dzieci. Bądźcie bardzo ostrożni, szczególnie piątego dnia każdego miesiąca. Mam również prośbę do tych rodziców, którzy zapłacili pewnej organizacji, żeby odszukała dla nich dziecko. Nie mam pojęcia, co ta organizacja wam powiedziała, że zgodziliście się na jej ofertę. Apeluję do was, abyście zgłosili się do biura szukających, które mieści się na ulicy Paganiniego 7 i przekazali wszelkie dane na temat

posiadanego przez was dziecka. Wiem, że to może być bardzo trudne, ale uwierzcie mi, o wiele trudniej jest prawdziwym rodzicom. Stracić własne maleństwo nagle, w śnie, kiedy nie masz nawet pojęcia, co tak naprawdę się stało. Nie mam własnych dzieci, bo troszkę na to za wcześnie. Widziałem natomiast wyraz twarzy Klaudii, gdy dowiedziała się, że jej chłopiec zaginął. Uwierzcie mi, wyglądała tak, jakby ktoś wyrwał jej serce. Nie życzę tego nikomu.

- Niezły jest - stwierdziła Ania z podziwem. *Chyba ma lepsze serce niż Wiktor* - dodała w myślach. - A tak à propos, gdzie jest Klaudia?

- Ze strażnikami drzewa, jak sądzę - odpowiedział Wiktor. - Ostatnio ciągle tam siedzi.

- Mam nadzieję, że to ogląda.

- Poszedłbym sprawdzić, ale mi się nie chce. - Wiktor wzruszył ramionami.

Ania spojrzała na niego z uwagą.

- Ktoś tu ma chyba kiepski humorek. Czy to przez sukces twojego brata? Jest taki elokwentny, bohaterski, przystojny i... Wiesz co? Myślę, że od dziś stanie się obiektem westchnień wielu dziewcząt. Pewnie uważasz, że to Mikołaj powinien niańczyć trzy dziewczyny, a ty stać dokładnie tam, gdzie on teraz. Tylko że on z równie wielkim zaangażowaniem podjąłby się opieki nad nami. Mylę się?

Wiktor spojrzał na nią spode łba i bez słowa wyszedł.

- Ty to potrafisz dokopać umierającemu. - Gosia pokręciła z irytacją głową.

- No co?! - krzyknęła Ania. - Nie mam racji? Odkąd chłopcy zniknęli w tym tunelu, Wiktor ciągle chodzi poirytowany i bez humoru. Ma taką minę, jakby gryzł go najbardziej obrzydliwy pająk na świecie.

- Anka, ocknij się wreszcie! Czy nie widzisz, że on wywraca za tobą oczami?!

- A nawet jeśli, to co z tego?

- To, że jesteś dla niego okropna! Ciągle mu dogryzasz, nie mówisz mu nic miłego. Czy naprawdę uważasz, że źle się nami opiekował? Spójrz, ile dobrego zrobił dla Klaudii, prawie nie spuszczał z niej oka!

- Masz rację z Klaudią - przyznała niechętnie Ania. - Ale tylko z nią. Bo w stosunku do mnie nie jest ani miły, ani tym bardziej opiekuńczy. Ciągle prawi przesympatyczne złośliwości, a jak o coś go poproszę, mówi, i owszem: „Dla ciebie wszystko”, ale na tym poprzestaje. Jeśli tak wygląda miłość, to ja dziękuję za nią. Wolę czytać książki.

- Pogadamy, dziecko, za rok - stwierdziła Maria, uśmiechając się do swoich wspomnień.

Pamiętała jak dziś pierwsze spotkanie z Romanem. Zagadał do niej na przystanku. Nie bardzo jej się podobał, był trochę przy kości i taki jakiś... kanciasty. Za mało delikatny i banalnie prozaiczny. Okazało się, że pracują w tym samym banku, tylko on piętro wyżej. Najpierw zapytał, o której jada

lunch. Przychodził potem regularnie w tych samych godzinach co ona, a że jej się zdarzało różnie jeść, zaglądał do kuchni kilka razy, by wreszcie trafić na nią. Szalenie ją to bawiło, zwłaszcza że za każdym razem Roman udawał zdziwienie. „O, i znowu się spotykamy” – mawiał zazwyczaj z szerokim uśmiechem. Na początku drażnił ją jego styl bycia, później zaczął bawić, w końcu stwierdziła, że ta jego kanciastość i prozaiczność są całkiem zabawne i rozczulające. Tak, zdobycie jej wymagało od Romana nie lada wysiłku, no ale w końcu po kilku ciężkich miesiącach mu się udało.

- A teraz cicho, pleciugi! Chciałabym posłuchać dalej – dodała zła na siebie, że dała się ponieść wspomnieniom.

Skończyła się relacja na żywo i właśnie szły wiadomości.

- Przez ostatnie trzy dni – informował dziennikarz o męskim, nieco zachrypniętym głosie – gwałtownie wzrosła liczba zaginięć. Jak informuje komendant główny policji pan Wiesław Walas, tylko dzisiaj zgłoszono ich ponad tysiąc. Giną osoby w różnym wieku, zazwyczaj w nocy. Z przykrością informujemy państwa, że są wśród nich ważne postacie świata kultury, nauki i polityki, między innymi Wiesława Zabłocka, wybitna poetka, Zbigniew Zalewski, ceniony na całym świecie kardiolog, Przemek Godecki, wokalista zespołu Power, idol młodzieży...

- Ja nie mogę! – krzyknęła Gosia. – Godecki!

- Naiwna jesteś! – Ania spojrzała na siostrę ze złośliwym

uśmiechem. - Naprawdę myślisz, że zaginął? Bo ja myślę, że upozorował swoje zaginięcie, a tak naprawdę siedzi w ciepłym domku na kanapie i głaszcze kota. To się nazywa chwyt marketingowy, jakbyś nie wiedziała. Ciekawe, komu niby mógłby zaszkodzić tym swoim cienkim głosikiem i banalnymi tekstami... A poza tym od kiedy jesteś jego fanką?

- Spadaj! - skwitowała Gosia.

- Muszę usiąść - powiedziała Maria. Ania szybko chwyciła ją za rękę i podprowadziła do kanapy. Usiadła obok.

- Słabo pani? - spytała z troską.

Maria skinęła głową.

- Przyniosę trochę wody. - Gosia pobiegła do kuchni.

- Dlaczego oni znikają? - Maria w zamyśleniu tarła ręką brodę i patrzyła w telewizor. - Dlaczego tylu naraz? I czemu nikt z naszych nic z tym nie robi?! Powinni już dawno zwołać naradę. Nikt mnie nie powiadamia, może powinnam wziąć sprawy w swoje ręce?

- Proszę. - Gosia podała jej wodę.

- Dziękuję, Gosiu. - Maria wyciągnęła do niej rękę i pogłaskała ją po ramieniu. - Dobre z was dzieci.

- Mówi pani, jakby miała umierać - powiedziała Ania z wyrzutem. - Proszę się na chwilę położyć, odpocząć.

Tylko Ania zeszła z kanapy, Maria rozłożyła się na całej długości.

- Niestety w taki sposób mój organizm reaguje na stres. Dajcie mi dziesięć minut, a będę jak nowo narodzona.

Po chwili słychać było jej miarowy oddech.

- Chyba śpi - szepnęła Gosia. - Co robimy? Idziemy?

- I co, tak ją tutaj zostawimy? Żeby chociaż Wiktor przyszedł...

- Nic jej nie będzie! A jeśli zaraz wrócą chłopcy z babcią i Pyzą, to w ogóle się nie wyrwiemy!

- Chciałabym zobaczyć babcię... - powiedziała Ania ze smutkiem. - Nawet za tą małą rozrabiarą się stęskniłam. A ty nie zobaczysz Franciszka.

- Nie chcę go widzieć - odpowiedziała Gosia, krzyżując ręce na piersiach. - I nie mazgaj mi się tu. Musimy iść. Koniec, kropka.

Ania spojrzała na młodszą siostrą z podziwem.

- Okay - stwierdziła.

Szybko dołożyły do spakowanych już plecaków chleb, cztery świeże ogórki, pasztet i kilka zrobionych wcześniej kanapek. Pamiętnik schowała Gosia do oddzielnej kieszonki. Ania dołożyła jeszcze do swojego plecaka książkę z wierszami Adama Asnyka.

- O, fajnie! - ucieszyła się Gosia. - Będiesz mi czytać do snu, jak mamusia.

- Pod warunkiem że ty mi będziesz śpiewać jak mamusia - odgryzła się Ania.

- Gdzie jesteś, Mały Książę, gdzie... Odszedłeś z mej książeczki kart... - zanuciła Gosia cicho.

Ania zostawiła siostrę i na paluszkach poszła sprawdzić, co u Marii. Uspokoił ją jej spokojny miarowy oddech.

- Możemy iść - powiedziała, gdy wróciła do Gosi. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na korytarz, może Wiktor wynurzy

się ze swojej dziupli złości i przyjdzie się pożegnać? Ania jednak podświadomie wiedziała, że nie ma go w domu. Na pewno poszedł przekazać Klaudii dobrą nowinę.

Na podwórku ciszę można było niemal uchwycić w powietrzu. Drżała ciepłym lata i ledwie słyszalnym brzęczeniem pszczoł zbierających nektar lipy. Dziewczynki dzielnie przemierzały kolejne ulice. Szły po prostu przed siebie, dały się ponieść intuicji.

- „Mirów, miejscowość położona w południowej Polsce, jakieś dwieście kilometrów od Kosaćca” - czytała Gosia karteczkę, którą Maria zapobiegliwie włożyła im do pamiętnika. - Musimy wsiąść do autobusu do Krakowa - stwierdziła po lekturze.

- Świetnie! - wkurzyła się Ania. - To może jednak trzeba było najpierw sprawdzić odjazdy? Obawiam się, że z tej miejsciny odjeżdża maks jeden dziennie.

- Tak. O jedenastej - odpowiedziała spokojnie Gosia.

Ania spojrzała bystro na siostrę.

- Możesz mi powiedzieć, co ty kombinujesz? Czemu zatajasz fakty, no i dokąd nas, do jasnej ciasnej, prowadzisz?!

- Mam przeczucie... - odpowiedziała Gosia.

Już jakiś czas temu zauważyła, że po prostu wie pewne rzeczy. Na przykład wyczuwa osoby. Od razu wiedziała, że Franciszek coś ukrywa. Najczęściej to czuje w chwili, gdy

kogoś poznaje. Wie, czy warto się zaprzyjaźniać. Tak jakby jej węch był wyczulony na dobro i zło.

Pamięta, że gdy miała osiem lat, obudziła się w środku nocy zalana łzami. Mama przybiegła ją przytulić, a ona i tak nie potrafiła powstrzymać płaczu. Nie wiedziała, skąd pochodził, nie pamiętała żadnych koszmarów, po prostu ocknęła się, już siedząc na łóżku i łkając. Domyśliła się dopiero następnego dnia, oglądając wiadomości. Atak terrorystyczny na metro. Setki ludzi. Ech, lepiej o tym nie myśleć.

Albo jak leżała w łóżku z czterdziestostopniową gorączką, a lekarz łamał sobie głowę, dlaczego lek na anginę nie pomaga. Powiedziała mu w końcu, że jej zdaniem źle szukają, że powinni się skupić na głowie. Miała rację, to było zapalenie opon mózgowych.

Zazwyczaj nie myliła się także w takich prozaicznych sprawach jak na przykład wybór odpowiedniego ubezpieczyciela. Rodzice lubili z nią chodzić do ludzi, od których potrzebowali konkretnej usługi... Gosi wystarczyło przez pięć minut poobserwować daną osobę, żeby wiedzieć, czy warto z nią wchodzić w jakąkolwiek relację. Tak, po tych kilku minutach mama zawsze wstawiała i przeproszała obecnych, tłumacząc się na przykład tym, że musi córce pokazać przystanek lub – innym razem – że Gosi jest słabo i trzeba ją wyprowadzić na powietrze. Inwencji twórczej nie było końca. Gdy były już poza zasięgiem wzroku i słuchu, Gosia mówiła mamie „tak” lub „nie”, czasami jeszcze uzasadniała swoją decyzję. W zależności od odpowiedzi

Grażyna z Markiem zostawali i przyjmowali ofertę lub zbywali rozmówcę i szybko wychodzili. Do tej pory Gosia mogła się poszczycić stuprocentową skutecznością.

Teraz, w drodze, wiedziała, że obie z Anią muszą wyruszyć mimo tego, że uciekł im autobus, przez co prawdopodobnie czeka je długi wyczerpujący marsz. Chyba że... uda im się użyć tunelu. *Swoją drogą, ciekawe, co zamierza teraz babcia z Pyzą i chłopakami. Franciszek pewnie będzie dalej szukał ojca. A niech sobie szuka!* - Zezłościła się, gdy odkryła, że w sumie chętnie by go zobaczyła...

- No dobra - podjęła temat Ania. - W takim razie próbujemy z tunelem.

Ania miała zdolność wyczuwania ludzkich nastrojów. Często wystarczyło jedno spojrzenie, wystarczył jeden wydany dźwięk i już wiedziała. Z siostrą miała to opanowane do perfekcji, z zamkniętymi oczami mogła powiedzieć, w jakim nastroju Gośka jest w danej chwili.

Gdy była mała, jej zdolności prowadziły do wielu zabawnych sytuacji. Na przykład jeśli mama była na nią zła, Ania wyczuwała to od razu. Zazwyczaj więc zanim Grażyna jak burza zdążyła wtargnąć do pokoju dziewczynek, Ani nie było już w domu. Obrywali więc Bogu ducha winni członkowie rodziny, najczęściej Marek, bo przecież to on

dzieciom za dużo pozwala.

Jeśli nauczycielka była w złym nastroju, Ania starała się być niewidzialna na lekcji. Nauczyła się też rozładowywać sytuacje. Jej specjalnością stały się absurdalne pytania, na które każdy znał odpowiedź (dlatego były takie śmieszne). Czasami Ania miała wrażenie, że czyta w myślach, ale to były jedynie przebłyski. Jakby na krótką chwilę otworzyły się dwieście czterdzieste drzwi w podświadomości, by zaraz z trzaskiem się zamknąć. Tym razem jednak przeczytała. Doskonale wiedziała, że Gośka myśli o tunelu. A może jednak to była jej myśl?

Koleżanki wymyślały dla bliźniaczek dziwaczne testy. Na przykład Gosia musiała zgadnąć cyfrę, o której pomyślała Ania. Chyba ani razu nie udało im się pozytywnie przejść takiego egzaminu. Wielokrotnie ćwiczyły to potem same i... zazwyczaj się udawało. Najlepiej z zaskoczenia, kiedy nie ma czasu na zastanowienie. Wtedy to działa.

Ech... Ludzie myślą, że bliźnięta są połączone telepatyczną nicią, że nawet jeśli się nigdy nie poznały, ich losy ze sobą współgrają. W tym samym czasie chorują, lubią te same przedmioty, wybierają podobne zawody, w podobnym czasie biorą ślub i rodzą im się dzieci. Właśnie! Trzeba by spytać Wiktora z Mikołajem, czy to prawda z tymi tożsamymi losami. Bo jeśli chodzi o Anię i Gosię, chorowały zazwyczaj razem, no i zainteresowania mają bardzo podobne.

Tak à propos... Ciekawe, czy tak samo sprawa wygląda z bratnimi duszami. Oczywiście jeśli chodzi o wewnętrzne podobieństwo, bo zewnętrznego raczej brak.

Pomyślała wtedy o tacie. Maria mówiła, że Klaudia jest jego bratnią duszą. Czy są podobni wewnątrznie? Ania nie miała pojęcia. Klaudia, przytłoczona ostatnimi wydarzeniami, schowała się w swoją skorupę i bardzo trudno było nawiązać z nią jakikolwiek kontakt. Ale dobrze, że tata wreszcie ją odnalazł... Zawsze, gdy przebywał z córkami, był taki wesoły i rozmowny, ale Ania wiedziała, że to pozory. Za maską uśmiechu krył się nieodłączny stary kompan, smutek. Tatuś tak się z nim zżył, że chyba przestał go dostrzegać. Ania słyszała wiele razy, jak babcia mówiła zięciowi, że jest niepełny. „Życie bez bratniej duszy jest jak w połowie wyschnięte jezioro” – mawiała i dodawała, że jeśli jej nie odnajdzie, to nigdy nie poczuje pełni niezbędnej do szczęścia. Marek tylko prychał pogardliwie lub wzruszał ramionami. Nie dla niego były te głupoty. Paulina w końcu przestała go przekonywać. A stary kompan nie opuszczał go ani na krok.

Tak, Ania czuła ten smutek codziennie i było jej ciężko dźwigać go razem z tatą. Dobrze, że tatuś wreszcie się zdecydował odnaleźć Klaudię. Tylko czemu na tym nie poprzestał? I gdzie on teraz jest? *Gdzie jesteś, tato?!*

Tunel pojawił się jak zwykle niespodziewanie. Gosia bez namysłu ruszyła w jego kierunku. Przed skokiem odwróciła się i spojrzała na Anię.

- Idziesz?

Wskoczyły niemal równocześnie. Ani ścieżka była

zamglona i coś, jakby echo jej własnych kroków, wędrowało razem z nią. Gosi droga była kręta i wyboista, jednak silny wiatr, który tam wiał, niemal zadziornie popychał dziewczynkę w stronę wyjścia.

Wyszły z tunelu w tym samym momencie. Ania zobaczyła przed sobą las - ciemny i zamglony, jak z najgorszych koszmarów. Wydawało jej się, że dostrzega w nim tysiące cieni, które idą i nagle znikają, jakby rozplynęły się w powietrzu. Poczowała lęk i wtedy przypomniała sobie z ulgą, że przecież nie jest sama, bo jest tu jej bratnia dusza.

- Gosiu? - szepnęła, lecz gdy nie usłyszała żadnego odzewu, spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo, na koniec obróciła się wokół własnej osi. Nic. Ani śladu obecności. Przeraziła się, że pewnie Gośka już poszła, nie zaczekała na nią, tak jak kiedyś, w pierwszy dzień szkoły. Z wściekłości i przerażenia zaczęła biec i nawoływać siostrę. Potknęła się o korzeń i upadła, ale to jej nie pomogło ochłonąć. Wstała i krzyknęła z całej siły: - Gośka!!! - Ale nikt jej nie odpowiedział, nawet echo, to, które odpowiada zawsze, gdy nie ma nadziei. Szła dalej, od drzewa do drzewa, jakby czerpała z nich tę odrobinę siły potrzebnej do przejścia kilku kroków. Gdyby nie strach, który całkowicie opętał jej umysł, być może zastanowiłby ją fakt, że ani przez moment po wyjściu z tunelu nie widziała ani nie słyszała siostry, że siostra siostrze czegoś takiego nigdy w życiu by nie zrobiła, nie przepadłaby w próżni z ich wspólnym, jedynym ratunkiem, pamiętnikiem. Gdyby nie strach, Ania być może zdążyłaby jeszcze uciec, nawet w momencie, kiedy poczuła,

że jej nogi tracą oparcie. A potem, kiedy już było za późno, bo szarość i mgła toczyły zwycięską walkę z jej pamięcią, dziewczynka usłyszała nareszcie w głowie głos Gosi.

- Nie idź tam, to pułapka! - krzyczał głos, ale dla Ani to był już tylko głos, obcy i obojętny.

Gosia wyszła z tunelu wprost do dużego pomieszczenia. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że znajduje się w obozie dla szukających, a ta sala to tutejszy pokój nauczycielski. Jeszcze większe zdumienie ją ogarnęło, gdy ujrzała obok siebie Paulinę, Marię, Pyzę, Franciszka i Wiktora, znaczy się Mikołaja. Wszyscy patrzyli na nią i coś mówili, ale Gosia była chyba w szoku, bo za nic nie mogła się połapać w tylu słowach naraz. Nie wiedziała, czy się śmiać z radości, że nareszcie tyle ukochanych osób w jednym miejscu i wszyscy cali i zdrowi, czy płakać, że... No właśnie, przecież jej siostra... A co, jeśli ona trafiła tam? I weszła do próżni bez niej i bez pamiątnika?!

- Muszę... - zaczęła w panice - muszę wracać! Bo Anka, ona tam sama... do próżni!

- Co takiego?! - Paulina podeszła bardzo blisko Gosi, a całej reszcie nakazała milczenie, wygoniła nawet Pyzę, która w euforii objęła siostrę w pasie i nie chciała jej puścić. - Próżnia to pułapka!! Natychmiast zawołaj do niej, żeby tam nie szła!!

Gosi umysł w stresie zadziałał błyskawicznie. Skoncentrowała się na Ani i niemal natychmiast nawiązała

połączenie. Krzyczała, ale miała wrażenie, że jej krzyk trafia w próżnię. Już było za późno.

- To nic. - Paulina próbowała ją pocieszyć. - Odzyskamy ją. Mamy tu właśnie naradę wojenną. Będziemy walczyć.

Gosia spojrzała na babcię ze smutkiem. Zauważyła, że tych kilka tygodni nie podziałało na nią korzystnie. Wyglądała na chorą i zmęczoną, a zmartwienie dodatkowo wyźłobiło na jej czole wyraźną zmarszczkę.

- Ale ja muszę do niej iść! Co, jeśli już nigdy jej nie odnajdę? To miejsce mnie przeraża! Może jej tam zimno? Jest głodna? Dlaczego to ja musiałam mieć ten pamiętnik?!

- Cześć, Gosiu. - Franciszek podszedł do dziewczyny i z nieśmiałym uśmiechem podał jej dłoń.

- Cześć - odpowiedziała zimno, ale uścisk dłoni odwzajemniła.

- Co, gniewasz się na mnie?

- Ano tak - odpowiedziała, patrząc na niego groźnie. Widziała, że Franciszek w jej towarzystwie czuje się niepewnie, jakby się bał jej reakcji. Bardzo jej to pasowało. Już wtedy, kiedy odkryła prawdę, obiecała sobie, że będzie Franciszka ignorować. Niech ma za swoje!

- Gośka! - Paulina szarpnęła dziewczynkę za ramię. - Masz mi obiecać, że nawet nie spróbujesz tam iść, dobrze?! To jest pułapka, rozumiesz?! On chce, żebyście się tam znalazły. To uczyni was nieszkodliwymi, a może nawet sprawi, że przejdziecie na jego stronę.

- Babciu, ja jestem silna, dam sobie radę. - Gosia przytuliła się do Pauliny. - Tam jest moja bratnia dusza. Czy

ty nie pośpieszyłabyś na ratunek swojej?!

Paulina mimowolnie spojrzała na Franciszka, powtarzając w myślach słowa Gosi. W końcu szepnęła:

- Wszystko trzeba robić z głową. A szczególnie podążać na ratunek siostrze do miejsca zapomnienia. Chłopcy! - zwróciła się do Mikołaja i Franciszka. - Powierzam wam bardzo ważną misję! Strzeżcie tej oto panny jak oka w głowie. I meldujcie mi o każdej próbie ucieczki.

Franciszek wyszczerzył do Gosi zęby w triumfalnym uśmiechu.

- Słyszałaś?

Gosia rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że i tak nie zostawi siostry samej. Ale na razie musi poczekać.

Dopiero teraz rozejrzała się po sali i ze zdumieniem odkryła, że jest wypełniona po brzegi ludźmi w przeróżnym wieku i że ci ludzie ostro dyskutują, przekrzykują się, gestykulują, tworząc naprawdę barwną mieszankę wybuchową. Część z nich znała, byli to jej nauczyciele obozowi, zauważyła też sporo przyjaciół babci. Pani Zosia, okrągłutka, wiecznie roześmiana kobieta i - odkąd Gosia sięga pamięcią - zawsze stara. Pan Zygmunt, szarmancki i kulturalny, miał ten obrzydliwy zwyczaj całowania pań w rękę. Gosia za każdym razem starała się wyrwać swoją dłoń przed pocałunkiem, no i zazwyczaj triumfowała. Były tam nawet dwie starsze panie bliźniaczki. Nigdy nie wyszły za mąż, bo całkowicie wystarczało im ich własne towarzystwo. Gosia co rusz słyszała o ich kolejnych

fascynujących podróżach po świecie.

W centralnym punkcie sali Gosia ze zdumieniem zobaczyła świetlną układankę, większą i piękniejszą niż kiedykolwiek wcześniej. Szybko zrozumiała, że wszyscy szukający połączyli swoje siły w jedno świetliste misterium, w którym Gosia bez problemu zobaczyła mapę nie tylko Europy, ale i całego świata. Patrząc na wolno poruszające się punkciki, ale dające tyle światła, że nawet to dzienne nie było w stanie go przytłumić, Gosia poczuła pewność, że wszystko będzie dobrze. Zwycięzą, bo po ich stronie jest światło.

- Dlaczego ona tu jest? - spytała babci, wskazując na układankę.

- Ponieważ napełnia nas mocą potrzebną do walki - odpowiedziała Paulina z tajemniczym uśmiechem. - Ona jest naszą siłą.

- Babcia mówiła też - wtrąciła Pyza - że przypomina szukającym o ich zadaniu, jakim jest odnajdywanie zagubionych po to, by przywrócić światu harmonię, szczęście i porządek.

- Dziękuję ci, wnusiu, za przypomnienie - powiedziała z uśmiechem Paulina, głaszcząc dziewczynkę po głowie. - Rzeczywiście taka jest nasza misja, o czym Gosia, Mikołaj i Franciszek powinni już doskonale wiedzieć.

- Kiedy dostaniemy nasze własne fragmenty układanki? - spytał nagle Franciszek. - Bo ja chciałbym już.

- Nie bądź zbyt niecierpliwy, młody człowieku. Na swój własny kod trzeba zasłużyć ciężką pracą. I nie mam tu na

myśli jedynie nauki, ale w szczególności doskonalenie swojego charakteru. Nie każdy dostąpi tego zaszczytu po dwóch ciężkich miesiącach nauki na obozie. Czasem trzeba poczekać nawet parę lat. Poza tym wy chyba trochę odpuściliście sobie w tym roku szkołę, prawda?

- Co?! Jak to?! - oburzył się Franciszek. - Myśli pani, że ja chciałem...?

- Franciszku! - powiedziała Paulina stanowczym głosem, patrząc uważnie na chłopca. - Czy naprawdę chcesz kontynuować ten temat?!

Franciszek momentalnie zamilkł.

- Ja i tak wiem wszystko. - Gosia nie mogła się oprzeć, żeby nareszcie to powiedzieć. Franciszek jednak nie zareagował.

- No, skoro wszystko mamy już uzgodnione, pozwólcie, że wraz z Marią wrócimy do narady - stwierdziła Paulina, idąc już w stronę ustawionych w kwadracie wokół układanki stołów.

- Jak to, a my? - spytała z wyrzutem Pyza. - Mówiłaś, że będziemy mogli uczestniczyć...

- Powiemy wam wszystko po naradzie, dobrze? - powiedziała Maria. Gosia zauważyła, że Maria jest przygaszona, smutna. *To na pewno przez tę wiadomość o masowym znikaniu ludzi* - pomyślała. Pewnie się boi, że za późno zareagowała.

- Niech się pani nie martwi - powiedziała. - Po naszej stronie jest światło.

- Wiem - odpowiedziała Maria ze smutkiem. - Nie

powinnyście były zniknąć bez mojego pozwolenia albo przynajmniej wiedzy.

- Przepraszam - odpowiedziała Gosia. Nie chciało już jej się tłumaczyć, że po prostu musiała. Zresztą i tak nikt nie zrozumie, bo niby jak, skoro ona sama tego nie pojmuje? Jeszcze nie teraz...



- Oto fakty. - Siedząca dotąd w centralnej części stołu Anna Maria wstała. Miała donośny, nieznający sprzeciwu głos, który sprawił, że od razu umilkły wszelkie rozmowy. - Mężczyzna o imieniu Zygmunt, tak zwany mistrz, oraz mężczyzna o imieniu Witold, tak zwany arcymistrz, mają w rękach potężną broń: hipnozę. Opracowali metodę hipnotyzowania ludzi za pomocą muzyki, dzięki czemu mogą tak naprawdę w ciągu paru sekund zahipnotyzować setki niczego nieświadomych ludzi. Panowie wcześniej działali przede wszystkim w parku, teraz ich ulubionym miejscem stały się centra handlowe. Osobiście bardzo rzadko biorą udział w akcjach, mają od tego swoich wyznawców, którzy ostatnio rozprzestrzeniają się po świecie z prędkością niemalże błyskawicy. Proszę teraz naszego szukającego z Brukseli, pana Arthura Maesa, o zabranie głosu. Liczę, że wszyscy znają angielski.

Z krzesła znajdującego się po prawej stronie Anny Marii wstał jegomość w długim czarnym płaszczu i z kocią bródką.

Rozejrzał się podejrzliwie po sali.

- Przyjaciele - rozpoczął uroczystym głosem - przed nami trudne czasy. Nad światem w zatrważająco szybkim tempie zbierają się ciężkie ołowiane chmury. Nasz premier został uprowadzony zeszłej nocy. Dziś doniesiono mi o kolejnych zaginięciach: filozof i myśliciel, największy autorytet w państwie, Hugo Vandamme, nasza ukochana pisarka Julie Martin, nie mówiąc już o zwykłych szarych obywatelach spacerujących sobie leniwie po centrum handlowym Jutrzenka w samym sercu Brukseli. Tysiące niewinnych ludzi uprowadzonych w taki podstępny sposób! To jest po prostu karygodne!! Polsko, dlaczego wyhodowałaś na swoim łonie takich potworów?!!

- Ja przepraszam, że się wtrączę - zabrała głos Maria. Obie z Pauliną usiadły przy stole znajdującym się naprzeciwko stołu pana Arthura, więc zarazem najbliżej Gosi, Pyzy i chłopców. - O ile wiem, pan Witold, zwany arcymistrzem, szczydzi się tym, że jest obywatelem świata. Miałam tę nieprzyjemność poznać go dziesięć lat temu bodajże w Szwecji. Tam robił dokładnie to samo co tu, tak jak w dziesiątkach innych krajów w jednym i drugim świecie. Zygmunt jest tylko pionkiem w jego rękach, choć nie powiem, niemal równie niebezpiecznym i niestety tak samo utalentowanym.

- Wieści niosą - zabrała głos pani Straszny Gwizdek - że ostatnio dołączył do nich ktoś jeszcze. Większość z was wie, o kim mówię.

- To nieprawda! - Paulina gwałtownie podniosła się

z ławki. - Ona jest tam tylko więźniem! Uczy się hipnozy po to, żeby, gdy nadejdzie czas, pokonać mistrza jego własną bronią.

Pani Straszny Gwizdek popatrzyła na nią z politowaniem.

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

- To jest moja córka, na miłość boską! - odpowiedziała Paulina z przejęciem. - Jak miałabym w nią nie wierzyć?

Gosia nie mogła zobaczyć twarzy Pauliny, ale słyszała w jej głosie napięcie. Z mamą działo się coś złego, coś, co nawet babci, pomimo głośnego sprzeciwu, nie dawało spokoju. Nie mogła pojąć, co byłoby w stanie spowodować, żeby mama przyłączyła się do tego potwora. Chęć odnalezienia Marka za wszelką cenę? A może ten cały mistrz po prostu ją zahipnotyzował?!

Zrobiło się głośno jak w ulu. Rozgorzała gorąca dyskusja dotycząca przede wszystkim Grażyny. Ze słów, które Gosia zdołała wyłapać, wynikało, że sala podzieliła się na dwie grupy: zwolenników teorii pani Straszny Gwizdek oraz zwolenników teorii Pauliny. Trudno było stwierdzić, których jest więcej.

- Cisza! - krzyknęła w końcu Anna Maria. - To nie czas i nie miejsce na takie dywagacje! Dziś ustalamy fakty i szukamy rozwiązań! Zapraszam do zabrania głosu pana Wiktora Sułkowskiego, szukającego pierwszego stopnia, a także wybitnego socjologa władzy.

Z krzesła tuż obok pani Straszny Gwizdek wstał niski łysejący mężczyzna w garniturze.

- Panie Wiktorze - zwróciła się do niego Anna Maria -

jak pan myśli, dlaczego tylu ludzi jest posyłanych do miejsca zapomnienia? Czy możliwe jest, że hipnotyzerzy postanowili odesłać tam całą ludzkość po to, by rządzić pustym światem lub budować go od nowa? Czy są aż tacy niemądrzy, by to zrobić? Po co im pusty świat i ludzie w próżni, których trzeba żywić i wspomagać?

- Czy pani żartuje, czy pyta poważnie? - odpowiedział socjolog. - Bo te pani pytania są, powiedziałbym, takie dość groteskowe. Wywieźć całą ludzkość, by rządzić pustym światem?! Chciałaby tak pani?!

- Panie Wiktorze - oburzyła się Anna Maria - ja tylko chciałam w jakiś sposób wprowadzić wszystkich w temat. Jeśli się panu to nie podoba, to trudno. Proszę postarać się przełknąć mój żart i kontynuować.

- Doskonale - odpowiedział Wiktor. - Moim zdaniem istnieje tylko jedno wyjaśnienie masowego wysyłania ludzi w miejsce zapomnienia. Arcymistrz tworzy armię osób posłusznych jego woli. Dzięki temu, że ludzie zapominają, on ma ogromne pole manewru. Może im obiecać wszystko, a oni mu uwierzą. Nie mają przecież powodu, żeby wątpić. Dla nich arcymistrz staje się wyzwolicielem, ponieważ na nowo wprowadza ich do światów, opowiada im wysrane z palca historie o ich poprzednich życiach, bałamuci, oszukuje, kadzi, roztacza piękne wizje. Poza tym arcymistrz ma w ręku potężną broń w postaci hipnozy. Niestety jestem prawie pewien, że wszyscy ulegną czarowi jego umysłu. Nie chcę być złym wróżbitą, ale moim zdaniem jego zamiarem jest obstawienie wszystkich najważniejszych funkcji

państwowych swoimi ludźmi. Tak właśnie opanuje świat. I jestem pewien, że mu się to uda. Oczywiście tylko wtedy, gdy go nie powstrzymamy.

- A jak pan sądzi, jaka jest najskuteczniejsza metoda walki z tego rodzaju zagrożeniem?

- Trudno w tym wypadku mówić o jednym konkretnym rozwiązaniu. Na pewno najlepiej by było wysłać do próżni człowieka, który nie tylko niczego nie zapomni, ale również będzie w stanie przekonać tysiące nieświadomych ludzi, że są w więzieniu, zbuntować ich i skłonić do walki. Tak, ja wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale chyba każdy z nas słyszał o przepowiedni Noktusa, prawda? Poza tym ważnym elementem walki jest obywatelska wojna prewencyjna. Chodzenie z zatyczkami w uszach - niezbyt wygodna, ale na razie jeszcze dość skuteczna metoda. Kampania reklamowa uświadamiająca ludzi, jak powinni się zachować. Priorytetem jednak jest odnalezienie i uwięzienie głównych prowodyrów wojny. Wojtku - zwrócił się do bladego chłopca, który stał tuż obok z pilotem ręki, jakby tylko czekał na znak - podłączyłeś sprzęt?

Chłopak skinął głową.

- W takim razie działaj.

Dopiero kiedy pojawiło się zdjęcie, Gosia ze zdumieniem zauważyła duży ekran, który cały czas stał tuż obok pana Wiktora. To, że widziała na nim siebie i Ankę, było rzeczą drugorzędną, zdążyła się już napatrzeć na ten rysunek. Wyrazista, bardzo charakterystyczna kreska. Uderzające podobieństwo.

No co za rodzina! – pomyślała, uśmiechając się do siebie.
– *Dziadek przestępca, matka prawie, a córki – przyszłe bohaterki! Trochę tego dużo jak na tak nieliczne rodzinne grono.*

– Dlaczego by – kontynuował pan Wiktor – nie zaufać przepowiedni i nie pozwolić znanym obecnemu gronu bliźniaczkom działać? Jestem pewien, że ich szanowna babcia – tu skłonił się w stronę Pauliny – pochwali ten wybór.

Paulina chrząknęła znacząco.

– Pozwoli pan, że to ja wraz z moimi wnuczkami zadecyduję, co zrobić z tą nieszczęsną przepowiednią. Wiem, że mistrz dąży do tego, aby dziewczynki znalazły się w próżni, ponieważ sądzi, że w ten sposób je unieszkodliwi. Może jednak słowa Noktusa należy interpretować inaczej? Może dziewczynki powinny działać w wojnie prewencyjnej?

Na projektorze pojawił się kolejny slajd. Pan Wiktor zaśmiał się nieprzyjemnie, chrząknął i zaczął czytać:

– „Miejsce zapomnienia napęlnia się ludźmi jak wyschnięte jezioro wodą. Panika jak rdzawy dym przenika oba światy i próżnię. W chwili, gdy blaknie nadzieja, pojawiają się uzdrowicielki. W miejscu zapomnienia są jak powiew egzotyki: one jedyne pamiętają i powoli uzdrawiają pamięć innych. To one przyniosą wybawienie...” Czytać dalej? – zwrócił się bezpośrednio do Pauliny.

– One nie są jeszcze gotowe – jęknęła w odpowiedzi.

– Jesteśmy – odpowiedziała Gosia z mocą. – Babciu, dla ciebie nigdy nie będziemy wystarczająco gotowe do tego, by podjąć tak duże ryzyko. To zrozumiałe, chcesz nas chronić.

Ale ja czuję, co jest właściwe. Przecież wiesz, że zawsze czułam. Dlatego muszę tam iść.

Babcia spojrzała na Gosię ze smutkiem. Nic jednak nie odpowiedziała. Anna Maria próbowała zabrać głos, ale nie była w stanie przekrzyczeć dyskusji, która rozgorzała po wypowiedzi dziewczynki. W końcu dała sobie spokój.

Gosia miała już dość krzyków, dlatego postanowiła wyjść z sali. Nieważne, co ludzie mówili, czy byli za, czy przeciw jej podróży, ona już postanowiła. Zatrzymała się przy wyjściu, odnalazła wzrokiem zamyśloną Paulinę, a potem Marię, która patrzyła wprost na nią, Gosię, jakby wiedziała, jaki będzie jej następny krok. Potem odszukała Pyzę, która właśnie podejmowała próby załaskotania Mikołaja na śmierć, ale ten najwidoczniej był już nieczuły na tego rodzaju zabawy. Na koniec przemierzyła wzrokiem resztę sali, ale nie odnalazła na niej Franciszka.

Zmrok już zawładnął obozem. Na wprost wyjścia z sali Gosia zobaczyła ogromny krwawy księżyc. Wyglądał jak przyklejony do nieba rogal w mało apetycznym kolorze. Gosia przeżegnała się na drogę i odważnie ruszyła naprzód. Nie było na co czekać, każda sekunda mogła być ważna. Gosia nie zauważyła, jak od rogu sali oderwał się cień i wiernie jak pies powtarzał każdy ruch dziewczynki, utrzymując się zarazem w bezpiecznej odległości. Nie usłyszała chaosu, które spowodowało jej zniknięcie. W głowie miała jeden jedyny obraz. Nie pozwoliła tym razem, aby jej pamięcią zawładnęło coś jeszcze. Zanim przybiegli pierwsi ludzie, Gosia już wędrowała tunelem przez gęstą,

niemal namacalną mgłę.



- Już czas. - Mistrz skinął głową w kierunku Grażyny.

Bardziej wyczytała te słowa z jego ust, niż je usłyszała. Wiatr, jak zawsze głośny i niepokorny, wiódł prymat na wieży, nadymając szaty, rozwiewając włosy i zagłuszając każdy dźwięk. Cieszyło to Grażynę, ponieważ przemowa, którą przygotowała na tę uroczystą chwilę, wydawała jej się denna i głupia. Poza tym zżerała ją trema. Pierwszy raz w życiu brała udział w uroczystej ceremonii, na której miała złożyć przysięgę. No może drugi - po ślubie.

Z tej okazji rozesłano listy z zaproszeniem do różnych krajów. Przyjechały delegacje z Chin, Włoch, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i wielu innych miejsc z obydwu światów. Wyżsi stopniem mieli na sobie czarne szaty ze spiczastym kapturem, młodszy - szare, a nowicjusze - białe. Grażyna poczuła się rozczarowana, kiedy zobaczyła, że nie tylko ona tego dnia będzie przechodzić inicjację, ale też pięciu innych przyszłych członków Mistyfikacji. Dwie kobiety i czterech mężczyzn. Myślała, że jest ich tylko troje, a reszta

tak naprawdę nie ma znaczenia. Myliła się. Najważniejsza była Rada Mistyfikacji składająca się z najstarszych stażem oraz najbardziej zasłużonych członków, po jednym z każdego kraju. Wybierana była drogą pseudodemokratycznych wyborów. Tak naprawdę ostateczną decyzję podejmował arcymistrz.

Inicjacja rozpoczęła się symboliczną ceremonią oczyszczenia. W okręgu pośrodku wieży stali najstarsi członkowie Rady. Inicjowani podchodzili po kolei do stojącego w tym kręgu arcymistrza, który obmywał ich czoła i skronie wodą, a następnie nacierał ziołową maścią, szepcząc przy tym łacińskie regułki, z których Grażyna zrozumiała tylko jedno słowo: posłuszeństwo (*oboedientia*). Podczas ceremonii zemdlął jeden, najmłodszy chyba, mężczyzna. Dwie zakapturzone postacie wyniosły go wtedy poza okrąg i tam pozostawiły. Grażyna patrzyła na to ze zdumieniem, które wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zauważyła, że nikt z obecnych nie reaguje. *Kamienni ludzie* – pomyślała, patrząc na stojące w jednej pozycji postacie, których szatami zawładnął wiatr. Tylko ona podeszła do leżącego bez ruchu mężczyzny. Kiedy chciała przykucnąć nad nim, jej drogę zastąpił mistrz i z surowym wyrazem twarzy pokręcił głową. Tyle w nim było stanowczości, że natychmiast ustąpiła. Przypomniała sobie wtedy opowieści pewnego człowieka, który kilka lat żył wśród Indian. Poznała go kiedyś przypadkiem w jednym z nadmorskich moteli. Przez pół nocy opowiadał jej niesamowite historie z życia wśród rdzennych mieszkańców Ameryki. Mówił między

innymi, że aby wspiąć się na wyższy poziom duchowości, Indianie muszą wykonać szereg zadań, z których większość wiąże się z pokonywaniem strachu przed śmiercią. Grażyna zapamiętała szczególnie jedno: uczestnicy stoją w kręgu i podają sobie z ręki do ręki jadowitego węża. Stworzenie wyczuwa strach i kęsa tylko tego, który się boi. Nikt nie ratuje pogryzionego, Indianie wychodzą z założenia, że po to, by przejść na wyższy poziom duchowości, ich brat najwidoczniej musi narodzić się jeszcze raz. Patrzą, jak umiera w mękach, i nie reagują, bo sądzą, że tak trzeba. Panowie mistyfikanci, jak w myślach nazywała Grażyna swoich milczących pobratymców, najwyraźniej też tak uważają.

Podczas ceremonii Grażyna nie poczuła kompletnie nic, chyba tylko pieczenie skroni po maści. Zero wzruszenia, zrozumienia, radości, gniewu. Tylko pustkę. Dopiero kiedy mistrz pokazał jej zapierający dech w piersiach widok na miasto i okolice, ożyła. Zaczął jej opowiadać o świecie, w którym nie ma podziałów na bogatych i ubogich, rządzących i piętnowanych, świecie, w którym wszyscy ludzie są równi i mają równe prawa. Czarował wizją życia bez pieniędzy, w którym wszyscy dzielą się po równi tym, co mają, nie istnieje zazdrość, a co za tym idzie – zbrodnia. Grażyna słuchała jego słów i tak żywo wyobraziła sobie ten świat, aż uwierzyła, że to możliwe. Przecież mają hipnozę, która zaczaruje ludzi, a kiedy się obudzą, zdążą zapomnieć, w jakim świecie żyli przedtem oraz jacy byli.

Po ceremonii oczyszczenia każdy nowicjusz wybierał

swojego nauczyciela. Podchodził do wybranego człowieka z kręgu, stawał na wprost niego i lekko się kłaniał. Odpowiedzenie ukłonem na ukłon oznaczało zgodę. Z tego, co Grażyna zaobserwowała, zgodzili się wszyscy. Tylko ona jedna nie uczestniczyła w wyborze, już przecież wybrała swojego nauczyciela.

Jako pierwsza od początku istnienia organizacji miała dostąpić zaszczytu dwustopniowej inicjacji w jeden wieczór. Tak naprawdę mistrz zdążył ją nauczyć prawie wszystkiego, nie była więc nowicjuszem. Miała przyodziać szarą szatę i stać się pełnoprawnym członkiem Mistyfikacji. Doskonale wiedziała, co robić.

Stanęła na specjalnie przygotowanym podwyższeniu przy barierce. Wiatr zsunął jej kaptur z głowy i rozwiął włosy. Spojrzała na miasto pod sobą i poczuła się silna. *Jestem władcą świata* – pomyślała. Potem zwróciła się w stronę swoich nowych towarzyszy. Stali skupieni na przeciwległym krańcu latarni. Czekali na przedstawienie. Twarze mieli zwrócone ku niej, lecz Grażyna nie widziała, na co patrzą. Cienie kapturów skutecznie przysłoniły ich oczy. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że sama dobrowolnie dąży do tego, aby stać się jednym z tych kamiennych ludzi. Jeszcze raz spojrzała na świat pod sobą, znów poczuła siłę.

- Wasze oczy stają się ciężkie... - jej głos przeciął wiatr z siłą dzwonu, a przecież jednocześnie był kojący - ...i bardzo powoli się zamykają.

Już po wszystkim czuła taką słabość, że musiała oprzeć się o barierkę, aby nie upaść. Potem wielokrotnie wracała

wspomnieniami do początku, był to moment, w którym poczuła w sobie niewyobrażalną moc. Nie pamiętała prawie nic z hipnozy, w jaki sposób udało jej się uspić wszystkich ani jakie polecenia im zadawała. Jakby w tym momencie przestała być sobą, a stała się – no właśnie – czym? Głosem, mocą wszechświata? Mistrz wyjaśnił jej później, że nie sztuką jest zahipnotyzować kogoś. Pierwszy lepszy człowiek wzięty z ulicy zrobi to już po dwóch lekcjach. Prawdziwym darem natomiast jest umiejętność wejścia w trans i użycia głosu. Wszystko to przysługuje tylko największym mistykom.

Właśnie w taki sposób mistrz rozpoznaje prawdziwe nieoszlifowane diamenty. Choć Grażyna jest na razie jedyna. To, co pokazała na wieży, należy już do klasyki. Członkowie Mistyfikacji będą sobie przekazywać z ust do ust opowieści o ogromnym talencie jego córki. A on, mistrz, będzie pękać z dumy za każdym razem, gdy sobie o tym przypomni.

- Ale co ja takiego zrobiłam? – spytała Grażyna już któryś raz z kolei.

- Robili i mówili wszystko, co im nakazałaś. Dokładnie i bez wahania.

Tyle informacji musiało jej wystarczyć. *Jestem diamentem* – pomyślała i mimo zmęczenia poczuła się szczęśliwa. Mistrz wziął ją na ręce jak dziecko i zaniósł do środka kręgu. Tam najstarsi wiekiem członkowie rady rozwiążali sznury, a kiedy biała szata opadła na ziemię, rzucili ją na pożarcie wiatrowi. Potem uroczyście przyodziali Grażynę w szatę szarą. Kobieta trzęsła się z zimna

i osłabienia, ale zagryzła zęby i dzielnie stała. Członkowie rady zaśpiewali podniosłą pieśń, Grażyna zamknęła oczy i starała się skupić na tej pieśni, która łączyła się w jedno z wiatrem, raz się oddalając, raz przybliżając...

Kiedy otworzyła oczy, ze zdumieniem odkryła, że leży w pachnącej wykrochmalonej pościeli. Tylko dzięki szarej szacie, którą wciąż miała na sobie, szybko udało jej się przypomnieć minione wydarzenia. Inicjacja, hipnoza, a potem łagodne zapadanie w ciemność. Czuła się wyspana, choć nadal drżały jej mięśnie, jakby przebiegła maraton. *Jestem diamentem* – pomyślała i uśmiech ożywił jej twarz.

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Artur z tacą pełną pyszności.

- Mistrz prosi, byś zjadła wszystko. Musisz nabrać sił, ponieważ dziś czeka was długa narada.

Grażyna spojrzała na Artura z zaciekawieniem.

- Dziękuję – odpowiedziała. - A ty nigdy nie chciałeś wstąpić w szeregi? – zagadnęła, zabierając od niego tacę i siadając z powrotem na łóżku. Kątem oka zobaczyła jajka na miękko, tosty, masło na małym spodeczku, pomidorki koktajlowe, dżem malinowy oraz kubek parującego kakao. *Czyżby tata wciąż pamiętał?*

- Nie – odpowiedział Artur.

- Dlaczego? – spytała, delektując się smakiem chrupiącego tostu z masłem. Delikatnie obrała jajko ze skorupki i z podziwem zauważyła, że Artur doskonale potrafi wymierzyć czas gotowania jajek. Było w sam raz. - Pyszne – stwierdziła.

Artur się uśmiechnął.

- To nie dla mnie - odpowiedział wymijająco. - Smacznego - dodał i wyszedł.

- Zaczekaj! - krzyknęła za nim Grażyna, lecz nie było odzewu. Miała wrażenie, że Artur coś przed nią ukrywa. A może jej się wydaje... To przecież jego praca. Nie najlepsza, ale też nie najgorsza. Praca jak praca. *Nieważne* - stwierdziła w końcu i z podwójnym zapalem zabrała się do jedzenia. Nie miała najmniejszego problemu z wyczyszczeniem tacy do ostatniego okruszka. Jej pierwsze śniadanie do łóżka. Nie, nie, nie, przecież drugie, jak mogła zapomnieć?

W poweselny ranek, kiedy Grażyna siedziała na fotelu i moczyła obolałe nogi w ciepłej osolonej wodzie, Marek przyniósł jej na tacy śniadanie: jajecznicę, sok pomidorowy, świeże bułeczki i... czerwoną różę w wazonie. Szczerze mówiąc, nie bardzo miała apetyt, żyła jeszcze nocą weselną i perspektywą popołudniowych spotkań z rodziną. A jednak nic jej nigdy nie smakowało tak bardzo, jak ta niedosolona jajecznica. Marek wyjął jej stopy z wody i delikatnie masował. Tak, to był jeden z tych momentów szczęścia, który chce się zatrzymać, by trwał, najlepiej już zawsze...

Odłożyła tacę na nocną szafkę i z lubością się przeciągnęła. Przyjrzała się swojej niemal białej dłoni z siecią delikatnych

żyłek, wyniszczonej przez zbyt długie przebywanie na zimnie. *Ta ręka* - pomyślała - *dzierży losy wszechświata*. Zadrżała z zimna i podniecenia. Już wczoraj podczas ceremonii wiedziała, że dokonała właściwego wyboru. Świat potrzebuje przemiany, zbyt dużo w nim zawiści, gniewu, nierówności. Mistyfikacja ma w sobie moc niemal bezbolesnego przeobrażenia ludzkości. Mistrz obiecał Grażynie, że nikt na tym nie ucierpi. Nie miała powodu, żeby mu nie ufać.

W progu znów pojawił się Artur.

- Już czas - szepnął przeciągle.

- Chciałabym jeszcze się troszkę odświeżyć.

- Nie pora na to! - odpowiedział szorstko.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju zamasyście wtargnął mistrz.

- Witaj, mój nieoszlifowany diamentcie! - Podszedł do łóżka i mocno ścisnął dłoń córki. - Mam nadzieję, że Artur dogodził ci śniadaniem?

- Bardzo - odpowiedziała Grażyna, mimowolnie kładąc rękę na brzuchu.

- Dobrze. Teraz wstań i chodź ze mną. Czekają na nas.

Wstała, wygładziła szatę i przeczesła palcami włosy. Bolesnie odczuwała każdy ruch, ale ten ból był całkiem przyjemny. Przypominał o sukcesie.

Członkowie rady siedzieli w holu z kominkiem. Grażyna nie dostrzegła żadnej białej szaty, były tylko szare i czarne. Mistrz przedstawiał ją każdej osobie po kolei. Trudno było spamiętać, więc Grażyna skupiła się na kobietach, były tylko

dwie: Diana Magnuszewska i Susan Korc. Zaintrygował ją jedynie wiek obydwu pań, nie mogły mieć więcej niż trzydzieści lat. Młodziutkie jak na tak poważną organizację. Zwłaszcza że mężczyźni w radzie wyglądali, jakby średnia ich wieku przekraczała sześćdziesiąt lat. Grażyna zapamiętała z imienia i nazwiska tylko jednego, Jana Grodzkiego. Miał długą gęstą brodę delikatnie przyprószoną siwizną, ale najdziwniejsze były jego oczy. Jedno miało kolor brązowy, drugie niebieski. Gdziekolwiek Grażyna się nie przemieściła, cały czas miała wrażenie, że te oczy podążają za nią.

Wszystkich członków rady było teraz dwanaścioro. Nie milczeli tak jak wczoraj, ale też się nie przekrzykiwali. Grzecznie czekali, aż poprzednik skończy mówić, i dopiero wtedy zabierali głos. *Co za kultura!* – pomyślała Grażyna, przypominając sobie ze wstydem narady u mamy, na których każdemu wydawało się, że jest najmądrzejszy, więc starał się to jak najgłośniej wyrazić. – *Dobrze, że mamie zawsze udawało się utemperować towarzystwo i zmusić do czekania na swoją kolej.*

Najbardziej zadziwił ją arcymistrz. Kiedy podeszła do niego, on wstał, uśmiechnął się i podając jej rękę powiedział:

– Witaj. Grażynko.

Niby nic takiego, ale kobieta zrozumiała, że zaakceptował, a nawet zaaprobował jej obecność w radzie. Mistrz wskazał jej krzesło. Z radością zauważyła, że znów ma miejsce obok ojca. Siedząc już, wyłowiła zawistne spojrzenia obu pań. *No tak* – pomyślała – *nie dość, że pojawiłam się*

znikąd, to od razu zajmuję zaszczytne miejsce obok mistrza. Bardzo mądrze, tatusiu, doskonale wiesz, jak sprawić, bym została z miejsca znienawidzona przez wszystkich członków rady. Była pewna tylko jednego: nikt nie powie tego głośno przy niej. Zresztą niech sobie myślą, co chcą, nic jej to nie obchodzi. Wzięła do ust kieliszek czerwonego wina i dla dodania sobie odwagi wypłała duszkiem całą zawartość. Mistrz z pobłażliwym uśmiechem pogroził jej palcem, a następnie uzupełnił kieliszek.

- Wino jest trunkiem wykwintnym. Smakuj powoli, delektuj się nim i daj zawładnąć spokojnej ociężałości, którą powoduje. Wino uspokaja ciało, otwiera umysł. Proszę. - Wstał i podał Grażynie kryształową misę z zielonymi oliwkami nadziewanymi migdałami. Nałożyła sobie na talerz całą garść. - Moje ulubione - powiedział mistrz. - A tutaj - podał jej okrągłą drewnianą tacę - masz sery: mozzarella, feta, ementaler, parmezan, edam, gouda, mimolette, camembert, brie... O! I mój ulubiony, appenzeller, ser pochodzący ze Szwajcarii. Przed dojrzewaniem marynuje się go w białym winie lub w cydrze z przyprawami. Bardzo szlachetny. Za nim jest samsØ, jeden z najlepszych serów duńskich. Ma cudowny maślano-orzechowy smak. Jestem pewien, że go pokochasz. Dalej pochodzący z Wielkiej Brytanii stilton, półmiękki, doskonały do sałatek. Obok niego francuski Pont l'Évêque, miękki ser produkowany od XII wieku, lekko pikantny, z mocnym posmakiem ziół. Jak widzisz, jest tu mnóstwo rozmaitych serów. Mógłbym opowiadać w nieskończoność. Większość to dary od

członków naszej szanownej rady. Doskonale znają moją słabość do serów i dobrego wina, zawsze przywożą mi coś, co raduje moje podniebienie.

- Zygmuncie, kończ z tymi durnotami - zwrócił mu uwagę arcymistrz. - Mamy tu znacznie ważniejsze sprawy do omówienia.

- Oczywiście. - Mistrz widocznie się zmieszał. Odstawił tacę i usiadł.

Grażyna zdążyła nałożyć sobie na talerz wszystkie rodzaje sera, o których powiedział. Kolejny raz musiała przyznać, że mistrz doskonale zna jej gust, rzeczywiście samsø okazał się najlepszym serem, jaki do tej pory jadła.

Nie uczestniczyła czynnie w radzie, tylko się jej przysłuchiwała. Nie rozumiała jeszcze do końca działania całej maszyny, na której opierała się Mistyfikacja. Powoli, na podstawie bieżącej dyskusji, układała sobie jej obraz. Główne zadanie członków Mistyfikacji polega na zahipnotyzowaniu i zaprowadzeniu ludzi do próżni, aby tam doznali wewnętrznej przemiany. Najpierw dokładnie selekcjonują osoby, tak jak oddziela się dobre owoce od złych. Te bez skazy zostają, te nawet odrobinę popsute wysyła się do kolejnej przeróbki. Ludzie wyjdą z próżni jak nowo narodzeni, a oni, członkowie Mistyfikacji, nauczą ich właściwej moralności. *Tylko którzy ludzie wymagają naprawy, a którzy nie? Granica jest cienka...* Grażyna również i na to pytanie otrzymała odpowiedź. Organizacji najbardziej zależy na ludziach wpływowych, dyktujących trendy, na których potem wzorują się oba światy. To jest

podstawa, która rozszerza się potem na wiele odnóg: pracowników biurowych, naukowców, lekarzy, prawników i tak dalej. Tak naprawdę pozostają tylko trzy grupy społeczne, które nie potrzebują przemiany: robotnicy, rolnicy i dzieci do dwunastego roku życia.

Przerazające.

Arcymistrz dowodził, że nie mają tyle czasu, muszą się skoncentrować na najbardziej zdeprawowanych jednostkach. Najważniejszy jest bowiem element zaskoczenia, muszą działać szybko i zdecydowanie, zanim szukający zdążą podjąć jakiegokolwiek decyzje, co jest dość trudne, gdy spojrzy się na chaos, jaki sami w swoim środowisku tworzą.

Z krzesła wstał zgarbiony staruszek z gęstą siecią wyraźnych zmarszczek.

- Arcymistrzu - skłonił się w jego kierunku - to wszystko brzmi bardzo pięknie, tylko co dalej? Wysłać ludzi do próżni to jedno, ale jak sprawić, by stali się posłuszni? Sama charyzma tu nie wystarczy.

- Karlu, zapomniałeś chyba, że ludzie w próżni nie mają wspomnień z poprzedniego życia. Wszystko to jednak drzemie schowane bardzo głęboko w podświadomości. Tak samo jest po wyjściu stamtąd, znów są jak czysta kartka. Jednak pod wpływem hipnozy ich wspomnienia mogą wrócić. Dokładnie takie, jakie my zechcemy im podarować. Musimy więc wkroczyć do próżni i tam rozpocząć szkolenia. Następnie uwolnimy ich wszystkich i już na powierzchni uchylimy rąbka pamięci. Staniemy się ich oswobodzicielami, nawet z samej wdzięczności zrobią dla nas wszystko.

- Moim zdaniem - zabrała głos Susan - ten plan ma wiele niedociągnięć. Po pierwsze, my również po wejściu do próżni tracimy pamięć. Po drugie, w jaki sposób przywrócimy tak wielu ludziom właściwe wspomnienia w jednym czasie?

- Moja droga Susan - głos arcymistrza drżał od powstrzymanego gniewu - czy zapoznałaś się dokładnie z zasadami funkcjonowania naszej organizacji, że zadajesz tak idiotyczne pytania?! No w jaki sposób sprawiamy, że tak wielu ludzi naraz wykonuje nasze polecenia?!

Susan siedziała ze spuszczoną głową.

- Następnym razem, zanim zechcesz zadać na forum pytanie, bądź łaskawa przemyśleć je tyśiąckrotnie, dobrze? - powiedział już łagodniej. - Pierwsze pytanie Susan jest jednak całkowicie zasadne. W jaki sposób zachowacie w próżni pamięć? Arturze, proszę o prezentację.

Artur do tej pory stał obok kominka i pilnował, żeby nikomu nie zabrakło wina. Na prośbę arcymistrza podszedł do stołu i położył na nim czarną skórzaną teczkę. Otworzył ją i wyjął coś, co wyglądało jak walkie-talkie.

- Oto radiotelefon nowej generacji. Jego niezwykła czułość pozwala na porozumiewanie się mimo olbrzymiej odległości. Robiłem mu tyśiące testów, sprawdza się w każdych warunkach. Wiadomo, że w głębokiej jaskini czy na pięciotysięczniku jego odbiór jest delikatnie zakłócony, ale to nie powinno mieć wpływu na jego skuteczność. Proszę bardzo - wyjął z teczki jeszcze dwanaście identycznych urządzeń i podał wszystkie Janowi, który siedział najbliżej - proszę podawać dalej. Wszyscy już mają? W takim razie

proszę spojrzeć. Są niezwykle małe, prawda? Składają się z niewielkich słuchawek, które montuje się oddzielnie, i małego głośnika z anteną. Aż dziw, że takie maleństwo jest w stanie wytrzymać tak ogromną odległość. Najważniejsze jednak, że jego skuteczność jest sprawdzona. To naprawdę działa!

- Jest piękny - westchnęła Diana - i zmienia kolor w zależności od kąta patrzenia!

- Rzeczywiście - odpowiedział Artur. - Choć to najmniej istotne.

- Czy to ty, Arturze, jesteś twórcą tego małego cacka? - spytała Grażyna. Była pod ogromnym wrażeniem prezentacji. Artur okazał się człowiekiem niezwykle wszechstronnym. Grażyna obiecała sobie, że przestanie go lekceważyć.

- To nieistotne! - odpowiedział dobitnie.

- Przeciwnie - stwierdził mistrz. - Bądź łaskaw odpowiedzieć mojej córce, jeżeli pyta.

- Tak! - rzekł, patrząc na Grażynę.

- Nie rozumiem... - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Myślałam, że ludzie lubią się chwalić swoimi osiągnięciami.

- Arturze?! - zwrócił się do niego mistrz.

- Przecież nie zapytała - odpowiedział wynalazca. - Ja nie lubię. Wystarczy? - Spojrzał na Grażynę. Ta w milczeniu przytaknęła. - A teraz przepraszam, ale muszę zacząć szykować obiad. Nikt za mnie tego nie zrobi - stwierdził z pretensją w głosie.

Grażyna nie miała pojęcia, dlaczego Artur jest dla niej taki niemiły. A może... Może on również był zazdrosny

o mistrza?

Arcymistrz wstał z krzesła.

- Te słuchawki musicie mieć przez cały czas na uszach. Nie zdejmujcie ich pod żadnym pozorem. Zrozumiano? Przez nie przywrócimy wam pamięć w próżni. Jeśli ktoś nie posłucha mojego rozkazu, zapomni. Zygmuncie! - Skinął na mistrza. Ten wstał.

- Zapraszam wszystkich do apartamentu - powiedział. - Potrzebuję ciemności.

Tam, w apartamencie Grażyny, Zygmunt pstryknął palcami. Jego układanka była szara, tak jak mgła spowijająca Las Zapomnienia, ten, który prowadzi do próżni. Ta układanka nie niosła za sobą nadziei, lecz lęk i zimno. Tą Grażyna nie ogrzałaaby sobie rąk, jak to czasem robiła w tajemniczym pokoju, korzystając z nieobecności mamy. Wyciągała ręce i muskała nimi najbliższe jej elementy układanki, lecz jedyne, co czuła przy dotknięciu, to elektryzujące ciepło. Uwielbiała to. Pamięta, jak raz popłakała się ze szczęścia, ponieważ była świadkiem spotkania bratnich dusz. Obserwowała, jak powoli podążają ku sobie, by wreszcie się odnaleźć i zniknąć z jej pola widzenia. Kiedy spojrzała w nieprzystępną układankę ojca, pierwszy raz naszyły ją wątpliwości. Co, jeśli wraz z ich rządami nadejdzie nieskończona zima? Jeśli nowi ludzie będą surowi i zimni, a ciepło ogniska czy drugiego ciała przenigdy ich nie rozgrzeje? Mama zawsze mawiała, że układanka dostosowuje się do charakteru człowieka. Co, jeśli to prawda?

Nagle w tej szarości dojrzała piękno. Niebieskie iskierki, które przypomniały jej mgłę o zmierzchu oświetloną księżycem w pełni. Pomyślała wtedy, że w zimnie i surowości też można odnaleźć piękno. *Piękno diamentu...* - Uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Słuchajcie wszyscy! - powiedział głośno mistrz. - Tę układankę stworzyłem na nasze potrzeby. Kosztowało mnie to wiele wysiłku i zdrowia. Musiałem dogłębnie poznać tajniki tworzenia, ale to nieważne. Najważniejsze, że z dumą mogę wam dziś zaprezentować tę oto surową piękność. Nie znajdziecie na niej przyciągania bratnich dusz ani innych tym podobnych cudów. Tak naprawdę jest ona jedynie obrazem próżni. Będziemy z niej obserwowali wasze postępy. Widzicie teraz, jak szybko się zapełnia? Tutaj - wskazał na centralną południową część układanki - tysiące nowych punkcików czeka na przydział domu. Cały środkowy teren jest niemal regularnie zapełniony już zdomowionymi szarymi istotami, to część mieszkalna. Tu, gdzie szarość ma delikatne zabarwienie czerwieni, płonie ogień, jedyny w próżni. Ale dla was najważniejszy jest ten punkt - wskazał centralnie na północ - drugie wyjście. Nim właśnie wyprowadzicie ludzi wprost do Jeziora Śmierci, zbiornika o powierzchni pięciu kilometrów kwadratowych, z którego w ciągu jednego lata ulotniła się cała woda. Idealne miejsce na hipnozę, nieprawdaż? - Spojrzał prosto na Susan. - Czy są jakieś pytania? Nie?

- Doskonale! - Arcymistrz przejął pałeczkę. - W takim razie dajemy wam jeszcze tydzień na wypełnienie próżni.

Spotykamy się tutaj dokładnie za tydzień o tej samej porze. Tylko pamiętajcie, kto będzie pracowity, ten nie będzie bity! No! A teraz znikajcie, znikajcie!

Grażyna jeszcze długo potem wpatrywała się w świetlną układankę. Miała nadzieję zobaczyć w niej Marka, lecz wszystkie punkciki wydawały się takie same: szare, okrągłe, gdzieś z przebłyskiem niebieskiego. Parę razy miała wrażenie, że widzi delikatną czerwień, oznakę pulsującego życia, lecz było to krótkie i niepewne. Tak naprawdę wiedziała, że pomimo wrażenia ruchu układanka mistrza jest narzędziem prymitywnym. Wiedziała również, że jeśli zdejmie w próżni słuchawki, mistrz nie będzie w stanie jej wysledzić.



Spotkali się pod domem Klaudii. Paulina delikatnie podała jej śpiącego malucha. Smutek momentalnie zniknął z twarzy Klaudii, tak jak szarość rozstępuje się pod wpływem słońca. Grześ, wyczerpany długą podróżą, spał jak suseł.

- Wchodźcie, wchodźcie! Najlepiej od razu do kuchni. Dotarliście w sam raz na obiad. Mam nadzieję, że lubicie gołąbki...

- Uwielbiam! - wyraził entuzjazm Mikołaj.

- Ja bym najchętniej poszedł spać - przyznał Franciszek.

- Trzeba było spać w nocy, a nie urządzać sobie całonocną wyprawę - odpowiedziała Maria.

- To nie pani sprawa! - wybuchnął chłopak.

- Franciszku! - zgromiła go Paulina.

- Przepraszam - burknął - ale naprawdę uważam, że moje życie jest tylko i wyłącznie moją sprawą.

- Dopóki nie jesteś pełnoletni, ja jako opiekun obozu jestem za ciebie odpowiedzialna. I czy ci się to podoba, czy nie, musisz mnie słuchać. Zrozumiałeś?

- Tak - odpowiedział Franciszek, skutecznie unikając jej wzroku.

- Dobrze. W takim razie chodźmy na obiad.

Jedli w milczeniu, tylko Pyzie nie zamykały się usta.

- Ponoć w próżni jest tak zimno, że wydychane powietrze natychmiast zamarza. Dlatego ludzie rozpalili ogromny ogień, którego najwyższy płomień wystaje ponad wierzchołki drzew. Największym zaszczytem w próżni jest nominacja na strażnika ognia. Ciekawe, czy tatuś lub siostrzyczki zostaną strażnikami. Jak myślisz, Mikołajku? - zwróciła się do swojego ulubionego towarzysza podróży. Mikołaj jako jedyny traktował ją poważnie i zawsze słuchał jej trajkotania.

- Dziecko kochane - zwróciła się do niej Paulina - czy nikt cię nie uczył, że nie mówi się z pełnymi ustami? Poza tym kto ci naopowiadał takich głupstw?

- Przeczytałam w Internecie. - Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Zawsze mówiłam, że Internet przynosi więcej szkód niż pożytku - westchnęła Paulina - ale ani Grażynka, ani Marek nie chcieli mnie słuchać.

Do kuchni wbiegł Wiktor razem z przywódcą strażników dębu.

- Drogie panie - powiedział zasapany przywódca. - W imieniu wszystkich członków naszej organizacji pragnę zaoferować pomoc w walce.

Paulina wstała, podeszła do mężczyzny i podała mu rękę.

- Proszę, proszę. Przywódca obrońców drzewa, jak sędzę. Różnie mówią o waszej organizacji. Ponoć uwielbiacie

wywoływać bezsensowne burdy. Więcej szkody z waszej działalności niż pożytku.

- Pani Paulino - próbowała wtrącić Klaudia - ależ to...

- Daj mi skończyć. - Paulina spojrzała na nią surowo. - Doceniam, że przyszedł pan zaoferować pomoc. Bardzo nam się przyda tylu młodych dzielnych mężczyzn. Tylko że nasze metody walki zdecydowanie odbiegają od waszych. Nie chcemy rozlewu krwi, pragniemy zwyciężyć, używając jedynie metod pokojowych. Słyszał pan kiedyś o wojnie prewencyjnej?

Mężczyzna pokręcił głową. Paulina widziała w jego wzroku dzikość człowieka nieprzywykłego do posłuszeństwa. *Tak - pomyślała - tacy jak on sądzą, że wszystko da się załatwić pięścią. I zazwyczaj młodo umierają. Trzeba dać mu bezpieczne zadanie.*

- Ilu was jest?

- Około trzydziestu. Sami mężczyźni. I Klaudia - dodał z uśmiechem. Klaudia właśnie podeszła do niego i go objęła.

- Mój syn już tu jest - szepnęła.

- Naprawdę? - ucieszył się.

- Teraz rozumiem - Paulina pokiwała głową, patrząc na nich. - W takim razie, gołębiczki, proponowałabym, abyście zostali na posterunku tutaj, w Kosaćcu. Nie chciałabym was rozdzielać, a Klaudia na pewno chce przede wszystkim być cały czas przy Grzesiu. Jeśli chodzi o innych członków organizacji, proponuję przydzielać im konkretne zadania. Część musi być zawsze przy dębie. To drzewo jako tunel łączący dwa światy będzie na pewno świadkiem wielu

zaginięć. Pozostali niech pójdą do rozgłośni radiowych, telewizyjnych, niech bombardują lokalne gazety i agencje reklamowe. A przede wszystkim pamiętajcie o Facebooku i naszej stronie internetowej: www.swietlnaukladanka.pl. Wbrew pozorom mnóstwo osób na nią zagląda. Jak najwięcej ludzi musi mieć świadomość, w jaki sposób może się bronić przed hipnozą. O ile wiem, wy jako pierwsi wpadliście na ten prosty, acz skuteczny pomysł ze słuchawkami. Pozostaje mi życzyć jak najwięcej takich pomysłów. Jakieś pytania? – spytała, patrząc na Witka wzrokiem nieznanym sprzeciwu. Jeśli miał zamiar cokolwiek powiedzieć, spojrzenie Pauliny skutecznie go powstrzymało. – W takim razie bierzcie się do pracy.

– A co z Grzesiem? – spytała Klaudia.

– Nie wiem. Musicie sobie jakoś radzić.

– No tak. Głupie pytanie... – Klaudia poczerwieniała ze wstydu.

– Ja się chętnie zajmę małym. – Podszedł do nich Mikołaj, który jak dotąd siedział przy stole i rozmawiał z Franciszkiem.

– Ty przypilnujesz swojego brata. – Paulina zniżyła głos do szeptu. – Z tego, co mówiła Maria, wynika, że jest nieobliczalny.

– Wiktor? – zdumiał się Mikołaj. – Przecież on jest taki jak...

– Jak ty, hę?! – dokończyła Paulina, patrząc na chłopca przenikliwie. – Nie wydaje mi się. Zresztą będziesz miał okazję dobrze go poznać.

Klaudia zabrała Witka do dzieciennego pokoiku. Mikołaj podszedł do Wiktora i podał mu rękę na przywitanie. Przypatrzył się jego twarzy i kolejny raz przez krótką chwilę zobaczył w niej swoje odbicie. *Może to złudzenie* – pomyślał.

- Gratuluję występu – powiedział Wiktor z przekąsem. – Jak to było? Aha, już wiem: „Wyglądała tak, jakby ktoś wyrwał jej serce”. Pokażesz mi, jak się w takiej sytuacji wygląda?

Mikołaj przypatrzył się jeszcze raz twarzy brata i już nie widział w niej siebie. Zobaczył natomiast rozgoryczonego, zazdrosnego, niemal obcego mu człowieka. *Tak, zdecydowanie musimy się lepiej poznać* – pomyślał.

- Dziękuję – odpowiedział tylko.

- Tutaj jesteś! – Pyza przybiegła do niego i od razu złapała jego rękę swoimi drobnymi dziesięcioma paluszkami.

Wiktor na ten widok przewrócił znacząco oczami.

- Słuchajcie wszyscy! – powiedziała Maria swoim doniosłym głosem. – Trzeba coś postanowić. Podzielić się obowiązkami. Jakieś propozycje?

Franciszek, który dotąd siedział przy stole z twarzą podpartą na rękach, podniósł głowę i spojrzał na Marię.

- Ja bym chciał – zaczął nieśmiało – wrócić do obozu. Nie jestem gotowy... na takie... trudne zadania... Czuję się... źle.

Paulina pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Franciszku, przecież jeszcze wczoraj...

- Nie obchodzi mnie, co było wczoraj! – Spojrzał na nią groźnie. – Przemyślałem wszystko – dodał już spokojniej. – Nie czuję się gotowy. – Schował twarz w rękach.

- Jak chcesz. - Paulina wzruszyła ramionami. Rozejrzała się po sali, sprawdzając, czy ktoś jeszcze zamierza zabrać głos. Nikt się jednak nie wyrywał. - Skoro wszyscy milczą, w takim razie ja zacznę. Myślę, że najważniejszym zadaniem dla mnie oraz mojej wnusi będzie próba wybadania Grażyny. Pójdziemy do jaskini i spróbujemy z nią porozmawiać. Skoro Zygmunt już raz mnie wypuścił, zrobi to po raz drugi.

- W porządku - odpowiedziała Maria. - Tylko czy nie pomyślałaś, że Grażyna zechce zatrzymać córkę?

- Nawet jeśli temu szarlatanowi udało się zaczarować moją córkę, myślę, że nie do tego stopnia, aby pozwoliła mu zrobić to samo z Pyzą.

- No nie wiem. Nie wiem, czy nie jesteś zbyt łatwowierna. No ale to twoja córka, ty ją znasz lepiej. A wy, chłopcy? Zamierzacie się zaangażować? Czy to też nie wasza wojna?

- Ja bym chciał... - Wiktor podszedł do siedzącej przy stole, dokładnie naprzeciwko Franciszka, Marii. Jego głos brzmiał teraz niepewnie. Jakby prosił, ale i się obawiał, że zostanie wyśmiany. - Ja bym chciał pójść do próżni. Odnaleźć Anię, no i oczywiście Gosię - dodał pośpiesznie. - Sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku, czy pamiętają. I pomóc im, bo zadanie, które przykazano im wykonać, jest zbyt trudne dla mnie, dla chłopaków, dla pań, a co dopiero dla dwóch młodziutkich dziewczyn! - Tak bardzo się wstydził tego, że nie wyszedł wtedy, kiedy Ania go szukała, żeby się pożegnać. Słyszał wszystko - był w pokoju Grzesia. *Przeklęta дума!* - pomyślał znów, chyba z setny raz. Jakie życie byłoby prostsze

bez niej. Nie powinien był pozwolić wtedy bliźniaczkom wyjść. Trzeba było je zatrzymać za wszelką cenę albo przynajmniej pójść z nimi. Następnego dnia rano chciał się wykraść z domu, ale... spotkał Marię. Od razu zgadła, co zamierza. Powiedziała, że już jest za późno, że trzeba było myśleć wczoraj, że zrobi lepiej, jeśli pójdzie z nią na tajne zebranie. Tam usłyszał, że Ania już zapomniała. Bez Gosi, bez pamiętnika. Bez pamięci. - Ja muszę tam iść - powiedział zdecydowanie.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Maria spojrzała na niego z mocą. - Wybierz to sobie wreszcie z głowy. To, że się tam wpakujesz i stracisz pamięć, nie przywróci dziewczynkom wspomnień. Nie myśl sobie, że jedno twoje spojrzenie sprawi, że Ania nagle wszystko sobie przypomni. To nie romantyczna bajka.

Pyza zachichotała. I od razu dostała reprimendę od babci.

Mikołaj patrzył na brata, na walkę emocji na jego twarzy i uśmiechał się. Teraz zdecydowanie byli bratnimi duszami.

- To co mam robić? - wybuchnął Wiktor. - Nie mogę tak beczynnie siedzieć!

- Przyłączcie się do wojny prewencyjnej - odpowiedziała Maria.

- Ja mam dla nich zadanie specjalne - powiedziała Paulina. - Tylko że potrzebuję z nimi porozmawiać bez świadków. Chłopcy - zwróciła się do bliźniaków - przejdźcie ze mną na chwilę do salonu.

Mikołaj z Wiktorem zajęli całą powierzchnię kanapy,

Paulina usiadła na fotelu. Chłopcy patrzyli na nią w milczącym oczekiwaniu.

- Zastanawiam się - zaczęła i zamilkła na chwilę, jakby szukała najwłaściwszego słowa - nad Franciszkiem. Mam wrażenie, że zamierza na własną rękę szukać ojca. Boję się, że zrobi coś głupiego.

- A co z jego tatą? - spytał Mikołaj.

- Zaginął bez śladu kilka lat temu. Zagadkowa sprawa. Myślę, że istnieją dwa wytłumaczenia tej zagadki. Pierwsze jest takie, że Maciej jest w próżni. Drugie natomiast jest nieco bardziej skomplikowane, ale ja osobiście przychyliam się do niego. Według mnie ojciec Franciszka spreparował swoje zaginięcie. To oznaczałoby, że jedna osoba w rodzinie chłopca najprawdopodobniej mu w tym pomogła, czyli zna prawdę, ale ukrywa ją przed wszystkimi dla ich własnego bezpieczeństwa. Myślę, że Maciej chciał zginąć, żeby wprowadzić Zygmunta w konsternację. Franciszek pewnie nawet nie wie, że jego ojciec należał kiedyś do Mistyfikacji. Tylko proszę, nie mówcie mu tego. Powinien się dowiedzieć od taty.

- To jest strasznie zagmatwane. - Wiktor pokręcił głową.

- Myślę, że Maciej nie czeka bezczynnie, aż go znajdą ludzie Zygmunta. Miał mnóstwo czasu, żeby przemyśleć wszystko, a dzięki wiedzy zdobytej w Mistyfikacji, a potem u szukających, mógł stworzyć potężną broń przeciwko Zygmunтови. Jednym słowem: mam nieodparte wrażenie, że Maciej szykuje się do wojny. Sądzę więc, że należy go odnaleźć i skłonić do współpracy. A Franciszek ma niezwykle

rozwiniętą intuicję.

- To prawda - stwierdził Mikołaj. - Tak naprawdę dzięki niemu tak łatwo poszło z Grzesiem.

- Tak - przytaknęła Paulina. - Dlatego uważam, że nie powinniśmy go powstrzymywać ani płoszyć. Niech działa we własnym tempie. Kiedy wyruszy, a myślę, że nastąpi to niebawem, chciałabym, żebyście poszli za nim.

- Mamy go śledzić?! - krzyknął Wiktor.

- W sumie to tak - przytaknęła Paulina.

- Jeśli dobrze rozumiem, to ja mam pilnować Wiktora i obaj mamy pilnować Franciszka. A kto w takim razie będzie pilnował mnie? - spytał Mikołaj.

Paulina spojrzała na niego, znacząco kręcąc głową.

- Słucham? - Wiktor popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- A dlaczegoż niby on miałby mnie pilnować?

- A dlatego - odpowiedziała Paulina, odważnie patrząc chłopcu w oczy - że masz wieczne pretensje do losu o wszystko. A ponieważ żyję już trochę na tym świecie, wiem z doświadczenia, że tacy jak ty potrafia zrobić głupstwo tylko po to, żeby się wykazać.

- No tak - stwierdził Wiktor z żalem w głosie - mój doskonały braciszek nigdy by nie zrobił niczego głupiego. Zapewne - spojrzał na Mikołaja spod przymrużonych powiek - cała rodzinka cię uwielbia. Cóż to będzie, gdy twój marnotrawny brat wróci do domu?

- Jeśli chcesz wiedzieć - Mikołaj spojrzał na niego z mocą - co roku w dzień moich urodzin mama robi dwa torty. Potem zdmuchuje świeczki przy twoim, liczy, ile to już lat, i płacze.

Czasami wydaje mi się, że nie pamięta, że ma jeszcze jednego syna, na miejscu. Czy teraz jesteś zadowolony? – W jego oczach pojawiły się łzy, które szybko starł rękami.

Wiktor przypomniawszy sobie swoje urodziny w domu, w którym się wychował. Cisza i pustka. Surowy ojciec, który uważał, że dzieci się nie rozpieszczą, dlatego Wiktor przenigdy nie dostał od niego prezentu. Zastraszona mama, która czasami po kryjomu dała mu batonika lub marne pięć złotych. Odkładał te pieniądze skrzętnie do skarbonki, by wreszcie po trzech latach kupić sobie upragniony odtwarzacz mp3. Ojciec, kiedy go zobaczył, wydarł się na matkę, bo myślał, że to jej sprawka. Nic nie dały tłumaczenia Wiktora, że zaoszczędził. Patrzył przez łzy, jak jego skarb znika w ogromnych łapskach ojca. Nie odzywał się do niego przez następny tydzień. Potem zdarzył się cud. Ojciec sam do niego przyszedł, przeprosił i oddał sprzęt. Wiktor nigdy się nie dowiedział, co wpłynęło na zmianę jego decyzji. Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Tego dnia otrzymał najlepszy jak dotąd prezent w życiu.

– Szczerze mówiąc, to tak – odpowiedział. Dopiero dzięki tej rozmowie dotarło do niego, że Mikołaj mieszka z jego prawdziwymi rodzicami, którzy na dodatek przez te wszystkie lata o nim nie zapomnieli. Wyobraził sobie swoje następne urodziny. Uśmiechnięta rodzina patrzy, jak

zdmuchuje wszystkie świece, potem każdy do niego podchodzi i daje mu prezent. - „Byle bez całowania!” - śmieje się Wiktor, nie lubi tego. Wujkowie klepią go poufale po plecach, a ciocie przykładają gorące policzki do jego policzka. A mama płacze, tylko że ze szczęścia.

- Świetnie. - Mikołaj wzruszył ramionami. Czuł, że coraz mniej rozumie brata.

Żadne z trójki nie zauważyło, że Maria już od kilku minut opiera się o fotel Pauliny.

- Słuchajcie - powiedziała - Franciszek gdzieś poszedł. Drzemał sobie na krześle, aż w pewnym momencie wstał i wyszedł bez słowa. Nie mam pojęcia, co mu się stało.

- Chłopcy! - powiedziała Paulina rozkazującym tonem. Mikołaj z Wiktorem bez słowa wstali i każdy poszedł po swój plecak.

- Którędy wyszedł? - spytał Wiktor już z plecakiem.

- Przez taras - odpowiedziała Maria.

- Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś od razu - zwróciła się do niej Paulina z pretensją.

Maria nie odpowiedziała, tylko patrzyła z niepokojem, jak chłopcy otwierają drzwi na werandę i wychodzą.

- Co oni...?

- Poprosiłam ich, żeby pilnowali Franciszka.

- Po co? - Maria pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Już ja wiem po co - odpowiedziała Paulina surowo. Nie zamierzała wtajemniczać Marii we wszystko.

- I puściłaś ich tak bez jedzenia?

- To duże chłopaki. Poradzą sobie. Zresztą myślę, że nie

będą długo szukać. A teraz wybacz, ale na nas również pora. Zygmunt z Witoldem na pewno nie marnują czasu. Pyzuniu!

- W takim razie - stwierdziła Maria, wychodząc z salonu - nic tu po mnie.

Pyza zamknęła z hukiem drzwi od tarasu, zza których niemal histerycznie machała od kilku minut do bliźniaków. Chłopcy już dawno zniknęli z jej pola widzenia, lecz nie przeszkadzało to Pyzie machać dalej. Podeszła do Pauliny, bez słowa usiadła na jej kolanach i przytuliła się do niej. Chwilę później płakała już rzewnymi łzami, które ciekły prosto na babcine ramię. Paulina głaskała ją po główce.

- Nie martw się - szeptała. - Zobaczysz, że na gwiazdkę będziemy znowu wszyscy razem. Zrobię twoje ulubione pierożki i barszczyk. Znów będziesz się ścigała z tatą, kto zje więcej pierogów. A ten, kto wygra, będzie rozdawał prezenty. Jeśli oczywiście da radę wstać po takim obżarstwie.

- Ale to dopiero za cztery miesiące - powiedziała Pyza przez łzy. - Toż to całe życie!

- Już nie pamiętasz, jak to szybko mija? Tylko nie można siedzieć beczynn timer, ale trzeba działać. W wirze pracy cztery miesiące zlecą jak cztery dni. Dlatego otrzyj już łezki, bo czas nam w drogę. Boję się, że jak jeszcze trochę tu posiedzimy, miniemy się z twoją mamą.

Pyza w błyskawicznym tempie otrząsnęła się z łez i ze smutku. Chwilę później stała blada, lecz uśmiechnięta przy fotelu babci.

- Jesteś niemożliwa! - stwierdziła Paulina z podziwem. -

Idź powiedzieć „do widzenia” Klaudii, Witkowi i Marii za nas obie. Ja tu poczekam.

Biedne dziecko! – pomyślała, patrząc jak wychodzi: niska, drobna, z przygarbionymi plecami. – *Powinnam zrobić jej nowy warkocz. Ten już całkiem się rozpadł. Kiedy to się skończy? Ona jest za mała, żeby tak długo znosić rozłąkę. Żeby chociaż Grażyna potraktowała ją, jak należy...*

Nie dawała Paulinie spokoju myśl, że coś może pójść nie tak, że jej córka może zawieść... *I co wtedy? Czy z taką samą łatwością jak dziś Pyzunia się uśmiechnie?* Paulina pokręciła głową, żeby przegonić natrętne myśli. *Najważniejsze jest teraz działanie* – wmawiała sobie. – *Należy się skupić wyłącznie na podróży.* Z nerwów zaczęła sprawdzać, czy niczego nie brakuje w jej podróźnej torbie. Narobiła tylko jeszcze większego bałaganu i mocniej się zdenerwowała. Kiedy więc wróciła Pyza, babcia w milczeniu podała jej plecak i otworzyła drzwi na taras. Zawahała się tylko przez moment. Jedną z niewielu rzeczy, która jej jeszcze pozostała, była wiara w intuicję, a ta wyraźnie mówiła, że trzeba iść.

Kiedy Paulina wyszła z bliźniakami do salonu, w kuchni nastąpiła cisza. Organizm Franciszka wykorzystał tę lukę niemal natychmiast, chłopak pogrążył się w ożywym śnie.

Zobaczył w nim twarz ojca, tak bardzo znajomą, a jednak obcą. Niegdyś łagodne oczy błyszczały teraz stałą, policzki były zapadnięte, a usta, które Franciszek pamiętał w nieustannym uśmiechu, podkreślały teraz stanowczość

wojownika. Była to twarz mężczyzny zaprawionego w walce.

„Franciszku – mówił tata – czemu tak długo zwlekasz? Rozczarowujesz mnie, byłem pewien, że z łatwością mnie znajdziesz. Czas, żebyś zobaczył dzieło ojca. Czekam...!” – Zniknął, a po nim nastąpiła ciemność, w której było słychać tylko głos Franciszka. Krzyczał do ojca, żeby dał mu chociaż niewielką wskazówkę. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega niewyraźne kontury drzew, zarysy domów, że już prawie dotyka sensu... Lecz zbyt szybko kontury nabrały wyraźnego kształtu stołu i szafek kuchennych. Mimo wszystko wydawało się Franciszkowi, że jeśli od razu pójdzie w miejsce, gdzie nic nie zakłóci jego spokoju, jest jeszcze w stanie złapać ten sens i nareszcie rozwiązać zagadkę. Dlatego, niewiele myśląc, zabrał swój plecak i wyszedł do ogrodu. Tam zobaczył zieloną altankę, całą porośniętą wiciokrzewem. *Doskonałe schronienie dla spragnionych cienia i spokoju* – pomyślał, siadając w środku na długiej ławie.

Jeszcze raz na spokojnie przeanalizował słowa taty. *Był pewien, że od razu go znajdę* – myślał. – *Musi więc być w miejscu ważnym dla nas obu, czyli... w domu lub na Suwalszczyźnie. To pierwsze zdecydowanie odpada. A więc Suwalszczyzna... Augustów, Przewięź czy Studzieniczna?* Franciszek poczuł podniecenie. *Dlaczego od razu na to nie wpadłem?* Był niemal całkowicie pewien, że rozwiązał zagadkę, że wystarczy teraz udać się w podróż sentymentalną do miejsc, w których razem z tatą spędził cudowny, beztroski czas wakacji, czas dzieciństwa.

- Tutaj jesteś! - Wiktor z impetem usiadł obok Franciszka. - Wiedziałem, że nie mogłeś zająć za daleko.

Tak naprawdę obaj z Mikołajem zdążyli przebiec pół dzielnicy i przepytać kilka przypadkowych osób, czy nie widziały ciemnowłosego chłopca z plecakiem. Dopiero bezskuteczne poszukiwania sprawiły, że wrócili do punktu wyjścia. I wtedy Mikołaj przypomniał sobie o altance, jedynym miejscu w promieniu pół kilometra, w którym można pozostać niezauważonym.

Franciszek spojrzał na Wiktora nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie przeszkadzać! - syknął.

- Niestety nie możemy - odpowiedział Wiktor. Potem szepnął konspiracyjnie: - Rozkaz z góry.

- Macie mnie pilnować?

- Ja mam pilnować Wiktora, a obaj mamy pilnować ciebie. - Mikołaj się uśmiechnął.

- Co?! - Franciszek potrząsnął głową. Spojrzał jeszcze raz na Mikołaja, potem na Wiktora.

- Też nie wiem, o co kaman z tym pilnowaniem... - Wiktor wzruszył ramionami.

- A w sumie - stwierdził Franciszek po dłuższym namyśle - możecie iść ze mną. Wybieram się do najpiękniejszego miejsca na świecie!

- Czyli? - spytał Wiktor.

- Dowiesz się w swoim czasie. - Franciszek podparł się na plecach kolegi i wstał z ławki. - No - położył Wiktorowi rękę na ramieniu - komu w drogę... - Oczami wyobraźni

widział już swoje spotkanie z ojcem. Nic innego się teraz nie liczyło.

Niemal jednocześnie wyszli na drogę w stronę słońca, pełni nadziei, że oto nastaje czas bohaterów, ich czas.



Mija je codziennie, nie mając pojęcia, jak dobrze się znają. Dwie śliczne dziewczynki z włosami jak tysiące sprężynek. Jedna zawsze ma w ręku zeszyt, który trzyma kurczowo, jakby był jej najdroższym skarbem. Druga ciągle gdzieś biegnie, wpatrzona w jeden punkt, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Stały się jego obsesją, nieustannie się zastanawia, czy one wiedzą, jak bardzo są do siebie podobne. Niestety tylko jedna z nich, ta z zeszytem, bywa czasem przy kociołku. Dlatego Marek wie, że nazwano ją Diana. Ładne imię. Ale jakoś nie pasuje...

Raz ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się do niego, a Marek poczuł wtedy ukłucie smutku, jakby ten uśmiech przypomniawszy mu, że stracił coś niezwykle cennego. Uczucie to przeminęło tak szybko, jak przyszło.

Mijają tygodnie. Do próżni napływa więcej i więcej świeżaków. Już coraz trudniej spotkać ludzi mówiących tym samym językiem co Marek. Brak zrozumienia prowadzi do częstych konfliktów. Powstaje kilkaset nowych kociołków,

z dnia na dzień wyrasta kilkadziesiąt domów, robi się ciasno, brakuje powietrza, a przede wszystkim siary. Pierwszeństwo po przydział napoju mają budowlańcy, najbardziej pożądane osoby w mikroświecie. Spotkanie w tłumie obcych znajomej twarzy graniczy z cudem. Do próżni wkrada się marazm, który jest jak dzuma, rozprzestrzenia się w błyskawicznym tempie, przykuwa ludzi do łóżek i wysysa z nich resztki energii. Ich egzystencja to już nie prawdziwe życie, lecz wegetacja. Dlatego ci, którzy nie chcą się poddać powszechnej chorobie, budują domy. Można więc wśród budowlańców znaleźć osoby różnej płci i wieku.

Marek też się nie poddaje. Dodaje mu sił chęć połączenia dziewczynek. Może jeśli się spotkają, przypomną sobie to, co nie daje spokoju wszystkim nowym mieszkańcom próżni: kim są i skąd pochodzą. Marek codziennie idzie na teren budowy, a od patrzenia na każdą spotkaną twarz bolą go już oczy. Dziewczynek jednak nie ma ani wśród leżących, ani wśród pracujących. Mężczyzna nie daje za wygraną, odwiedza po kolei każdy dom, czasem migną mu przed oczami znajomy profil twarzy, włosy, lecz wystarczy, że zamruga, i wrażenie znika. Ludzie w domach zazwyczaj śpią, na różne sposoby, niektórzy przykrywają twarz kołdrą lub poduszką. Nie da się wybadać każdego, Marek ma w sobie wystarczająco dużo delikatności, żeby nie odkrywać śpiących. Dlatego nie jest rozczarowany, że nie odnalazł dziewczynek, nie, jest tylko zrezygnowany i smutny.

Aż do momentu, kiedy przez przypadek znajduje zeszyt. Niemal wdeptany w ziemię przez tysiące stóp, ale kartki ma

nietknięte, widać każdą literkę napisaną ładnym okrągłym charakterem pisma. Marek zdrapuje z okładki zaschnięty brud, bierze zeszyt pod pachę i idzie do domu. Przeczytanie całego pamiętnika zajmuje mu kilka godzin. Wie już, że ma rację - dziewczynki są bliźniaczymi siostrami. Muszą się odnaleźć, a on powinien oddać im dziennik. Marek wie również, dlaczego nie pasowało mu imię Diana. Małgorzata pasuje znacznie lepiej. A drugiej na imię Ania, też ładnie. Ciekawe, gdzie jest reszta ich rodziny. Wiadomo tylko, że ojciec bliźniaczek, przystojny ciemnowłosy mężczyzna o twarzy bladej jak dojrzały księżyc, najprawdopodobniej znajduje się w próżni. Marek postanawia, że go także ujmie w swoich poszukiwaniach.

Tej nocy pierwszy raz Marek ma przyjemny sen: śni mu się jeden z obrazów z dziennika, tylko ożywiony. Przedstawia portret rodzinny: bliźniaczki, ich młodszą siostrę, babcię, mamę oraz tatę. Starsze dziewczynki są zdecydowanie podobne do mamy, najmłodsza pociecha jest tak samo blada i czarnowłosa jak jej ojciec. Rodzina właśnie ustawia się do zdjęcia, za moment fotograf krzyknie: „marmolada” i wszyscy szeroko się uśmiechną...

Kiedy Marek się budzi, pierwszą jego myślą jest nagła świadomość, że nie ma pojęcia, jak wygląda.



- Pracują jak pszczołki! - śmiał się mistrz, patrząc razem z Witoldem na szybko uwijające się punkciki na północy układanki.

- Tak - przytaknął mu arcymistrz. - Lecz jest ich tylko znikoma garstka. Reszta śpi. Doskonała robota, Zygmuncie. Setki tysięcy ludzi pozbawionych dotychczasowego życia, skazanych na nędzną wegetację. Przyjmą nas jak wybawicieli.

- A później trach... i wpadną w sidła hipnozy - powiedział mistrz z mocą. Potem dodał: - Jest ich trochę mniej, niż zakładałem. Ta przekłeta wojna prewencyjna delikatnie popsuła nam szyki. Całe szczęście udało mi się udoskonalić moją metodę. Teraz fale dźwiękowe są tak natężone, że docierają do ludzkiego mózgu nawet poprzez słuchawki.

- Tak... - odpowiedział arcymistrz, patrząc w zamyśleniu na układankę. Po chwili spojrzał na Zygmunta. - Szykuj ludzi - powiedział. - Czas na decydujący krok.

REDAKCJA: Karolina Pospizil
KOREKTA: Katarzyna Czapiewska
OKŁADKA: Wiola Pierzgalska
ILUSTRACJE: Małgorzata GłuszczaK
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Anna GłuszczaK-Turska i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki wśródkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-720-8

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

